Science-Fiction • Fantasy • Horror
Wydanie Specjalne z CD CLICK!

FANTASY

7.40 zł (w tym 7% vat)
1/'03 (7) Marzec 2003 • indeks 358932



■ Reaktywacje i Rewolucje

MATRIX

■ Robert Zubrin zdradza sekrety NASA

Po tragedii Columbii

■ Sztuka straszenia

Stephen King Hellraiser

■ Niebezpieczny świat nauki

Klonowanie dla każdego?



NAŁOGI BYWAJĄ ZGUBNE...



W NUMERZE



Wydawnictwo Bauer
Sp. z o.o., Sp. k.
ul. Motorowa 1
04-035 Warszawa

Redaguje zespół:
Piotr Moskal (redaktor naczelny),
Jacek Piekara (z-ca red. nacz., red. mer.),
Agnieszka Trzebska (sekretarz red.)

Dział graficzny:
Jacek Goliatowski (kierownik działu, koncepcja graficzna pisma),
Marek Janowski, Wojciech Langner

Teksty w numerze:
Aleksandra Cichy, Artur Marciniak, Dawid Muszyński, Paweł Ziemkiewicz, Maciej Nowak, Kamil Śmiałkowski, Tomasz Nowak, Jolanta Lisowska, Andrzej Zaremba, Adrian Chmielarz, Izabela Szolc, Marzena Kowalska, Damian Kucharski

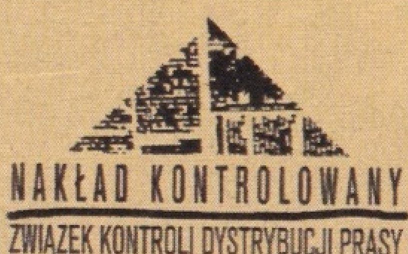
Adres korespondencyjny:
CLICK! FANTASY
skr. pocztowa 333
04-026 WARSZAWA

Fantasy w Sieci:
http://fantasy.gry-online.pl/click
e-mail: click@click.pl

Dyrektor wydawniczy:
Zbigniew Bański, Jerzy Szulwic

Dział reklamy:
Monika Walczak (kierownik),
Maciej Szwajkowski, Aleksandra Blicharz
tel. (0#22) 511-74-41

Druk:
Drukarnia Wydawnictwa Bauer
w Ciechanowie,
DPA Printing Company Kraków



ISSN 1509-0558















Konkursy

Opowiadania

















Moi Drodzy,



To nasze pierwsze spotkanie w nowym 2003 roku i – niestety – zacząć musimy od kajań, rozpaczliwych płaczów i lamentów. Czemuż to? Ano dlatego, że cena magazynu Fantasy wzrosła o niebotyczną sumę 90 groszy. Przez półtora roku utrzymywaliśmy cenę 6,50 zł, nie zważając na podwyżkę cen papieru i druku. Ale wszystko ma swoje granice i w końcu musieliśmy ustalić cenę na 7,40, która – mamy szczerą nadzieję – nie zmieni się jeszcze dłuuugo. Ale na osłodę i otarcie łez dodajemy plakat, który każdy miłośnik „Matrixa" powinnien natychmiast zawiesić na ścianie i podziwiać z otwartymi w zachwycie ustami ;).

Chciałem Wam serdecznie podziękować za liczny udział w ankiecie dotyczącej pisma. Króciutko o jej wynikach. Przeszło 90 procent z Was uznało, że Fantasy nie jest ani zbyt dziecinna, ani zbyt poważna. Po prostu w sam raz. Również przeszło 90 procent naszych Czytelników stwierdziło, że jest w stanie zapłacić za magazyn więcej, jeśli zamieścimy takie dodatki jak przed Świętami (czyli książkę). Mniej więcej po połowie rozdzieliły się głosy odpowiadających na pytanie, czy dodatki powinny znajdować się w każdym numerze, czy tylko raz na jakiś czas. Myślimy więc usilnie nad ekstraordynaryjnymi ;) upiększaczami.

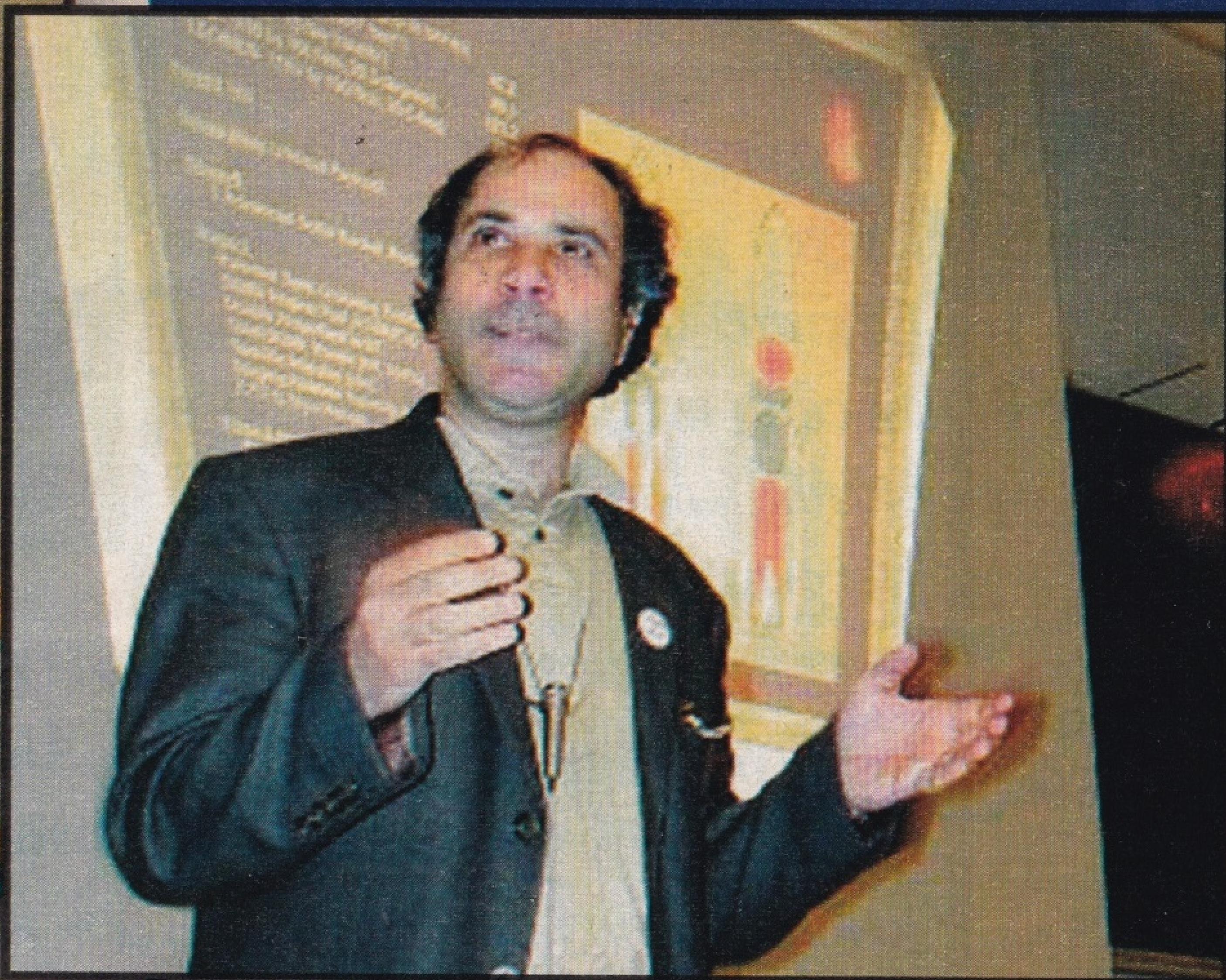
Życzę Wam miłej lektury i zapraszam na ponowne spotkanie. Nowy numer Fantasy znajdziecie w kioskach 29 kwietnia!

Listę uczestników ankiety, którzy wylosowali nagrody, podamy w następnym numerze.

Jacek Piekara

Kierunek: Kosmos





z Roberten Zubrinem
rozmawia Piotr Moskal

- **Imię i nazwisko:** Robert Zubrin
- **Zawód:** Inżynier astronautyki
- **Znak Zodiaku:** Baran
- **Ulubione zajęcie:** pisarstwo
- **Ulubione danie:** stek
- **Ulubiony pisarz:** wszech czasów – Shakespeare, wśród współczesnych pisarzy – Ken Follett
- **Film i książka, które zabrałbym ze sobą na bezludną wyspę:** „Casablanca", Dzieła zebrane Shakespeare'a
- **Miasto, w którym chciałbym żyć:** Seattle
- **Czego już nigdy nie uda mi się osiągnąć:** polecieć na planetę spoza Układu Słonecznego
- **Największe marzenie:** doczekać załogowej ekspedycji na Marsa za mojego życia
- **Gdybym spotkał złotą rybkę, to:** kazałbym jej zmienić świat na taki, jaki pokazano w „Star Treku"
- **Ulubiona maksyma:**

„Our doubts are traitors
And make us lose
The good we oft might win
By fearing to attempt"
W. Shakespeare

w wolnym tłumaczeniu:

„Nasze wątpliwości to zdrajcy,
Powodują, iż tracimy
Dobre rzeczy, które moglibyśmy uzyskać,
Gdyż boimy się spróbować"
W. Szekspir

- **Epoka, w której chciałbym żyć:** Ta, w której żyję. Daltego, że przyszłe pokolenia pamiętać będą o nas jako o ludziach, którzy jako pierwsi odważyli się sięgnąć po nowe światy.

PM: Pracuje Pan w branży kosmicznej od wielu lat (między innymi w koncernach Lockheed Martin oraz Martin Marietta – to jedni z głównych dostawców rakiet nośnych w USA). Czy mógłby Pan powiedzieć parę słów o tych firmach? – czym dokładnie się Pan zajmował? Czym charakteryzowała się praca w przemyśle kosmicznym w tamtych latach?

RZ: Byłem odpowiedzialny za wstępne projektowanie misji planetarnych. Obie firmy były olbrzymie i bardzo niejednorodne. Niektóre grupy (oddziały) wchodzące w ich skład były niezwykle twórcze, inne zaś kompletnie zbiurokratyzowane. Podczas pracy w koncernach miałem okazję doświadczyć na własnej skórze zarówno jednego, jak i drugiego podejścia.

PM: Co może Pan powiedzieć na temat rozwoju branży kosmicznej przez ostatnie 20 lat? Czy ewoluuje ona szybko w kierunku nowych rozwiązań, czy też popadła w stagnację?

RZ: Amerykański przemysł kosmiczny popadł w wielką stagnację od czasu zakończenia programu Apollo 30 lat temu. Wynika to przede wszystkim z braku jakiegoś ważnego i sprecyzowanego celu, do którego można by dążyć.

PM: Miesiąc temu światem wstrząsnęła wiadomość o katastrofie wahadłowca Columbia. Jakie mogły być przyczyny tragedii?

RZ: Z dostępnych obecnie danych wynika, iż bezpośrednią przyczyną katastrofy była awaria powłoki termicznej złożonej z płytek ceramicznych.

PM: Czy NASA będzie nadal korzystać z wahadłowców, a może już czas opracować nowe pojazdy i nowe technologie – lepsze, tańsze?

RZ: Wahadłowce będą nadal latać. Jednak niewątpliwie NASA opracuje mały pojazd zdolny do lotów na orbitę, wynoszony istniejącymi rakietami nośnymi wielokrotnego użytku. Dzięki takiemu rozwiązaniu będziemy mogli dostarczać ludzi i towary na orbitę za około 1/10 kosztów wystrzelenia promu kosmicznego. Mam nadzieję, że wtedy wahadłowiec wyewoluuje w swego rodzaju kosmiczną ciężarówkę z wielkim udźwigiem – gdyby zastąpić moduł załogowy (sam prom) wyższym członem rakietowym, taki układ nośny byłby zdolny wynieść do 120 ton na orbitę ziemską lub 45 ton w kierunku Marsa.

PM: Jaka będzie, według Pana, rola rosyjskiego przemysłu w badaniach Kosmosu po katastrofie Columbii? Czy Rosja zdominuje ten sektor? Czy zostanie wznowiony rosyjski program wahadłowca Buran?

RZ: Rosjanie będą niewątpliwie nadal wspierać program Stacji Orbitalnej Alfa swoimi rakietami nośnymi oraz modułami Progress i Sojuz. Nie sądzę jednak, by Rosja mogła zdominować przemysł kosmiczny, wątpliwym też mi się wydaje, by wznowione zostały prace nad Buranem.

PM: Jaki wpływ będzie miała tragedia Columbii na program badań Kosmosu w Stanach Zjednoczonych – czy ludzie stracą zainteresowanie tym tematem, czy może odwrotnie, zmotywuje ich to do większych wysiłków?

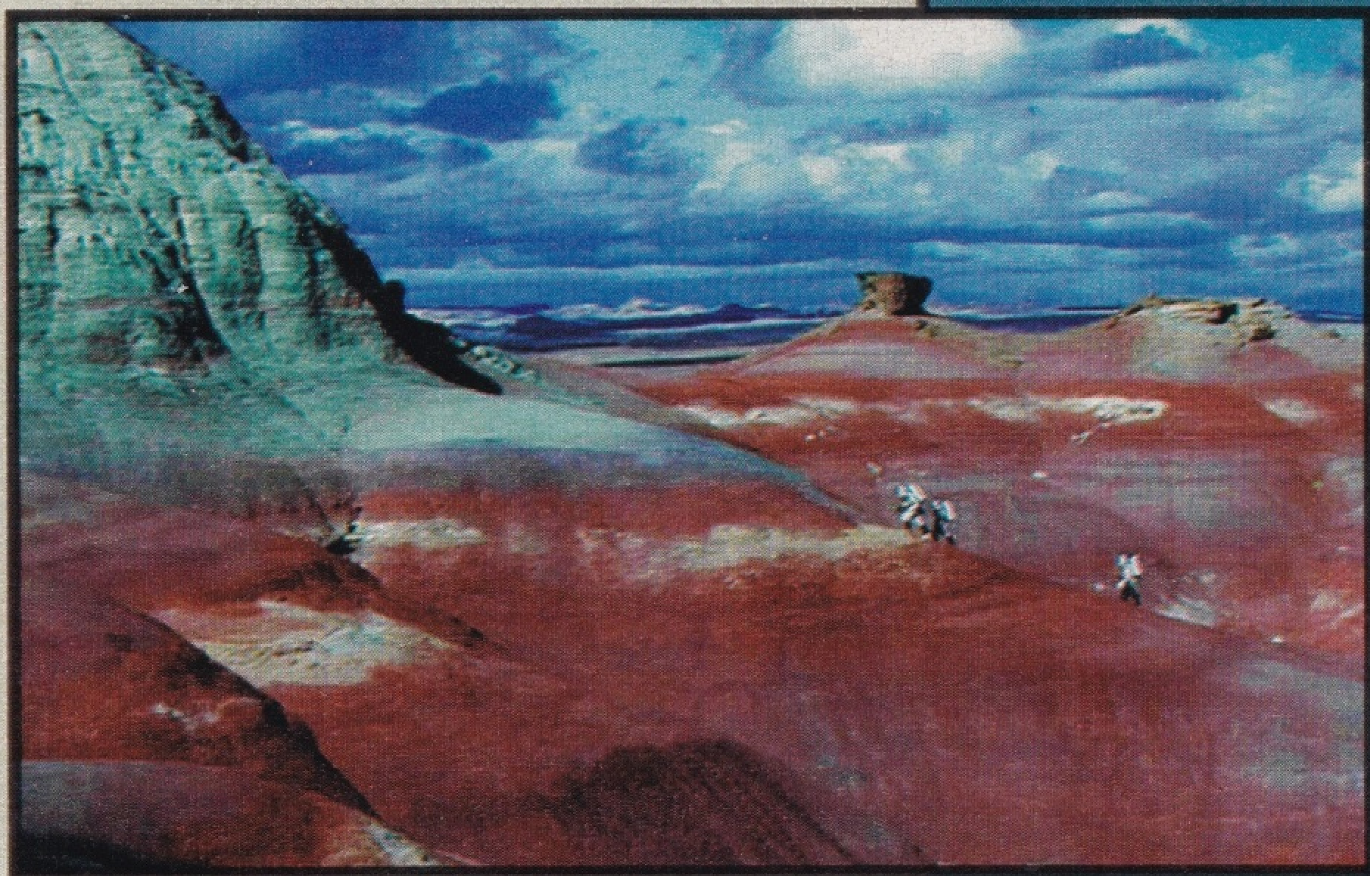
RZ: Sądzę, iż tragedia ta zmotywuje naukowców do wielkich czynów, podobnie jak kiedyś zimna wojna i wyścig zbrojeń zmotywowały USA do wysłania ludzi na Księżyc.

PM: Niektóre źródła spekulują, iż na pokładzie Columbii przeprowadzano pewne eksperymenty wojskowe mające związek z przygotowaniami do wojny z Irakiem. Co Pan o tym sądzi?

RZ: Myślę, że to głupie plotki.

PM: Jest Pan prezesem stowarzyszenia The Mars Society, międzynarodowej organizacji, która za cel obrała sobie przyspieszenie załogowej wyprawy na Marsa. Jak, według Pana, katastrofa Columbii wpłynie na program badań Czerwonej Planety? Czy możemy zapomnieć o obecności człowieka na Marsie w przeciągu dekady?







RZ: Nie. Jestem pewien, iż uda się tak zmodyfikować nasz program kosmiczny, by ponownie skupił się na sprawach najważniejszych i wartych uwagi. Nie sądzę, by ta katastrofa na dłuższą metę popsuła nam szyki.

PM: Jakie jest nastawienie oficjalnych instytucji rządowych (NASA, uniwersytety) względem Mars Society? Czy postrzegają tę organizację jako naukową, czy jako zbiorowisko fascynatów i hobbystów?

RZ: NASA, podobnie jak wiele uniwersytetów, blisko współpracuje z Mars Society. Ponad połowa załóg Arktycznej Stacji Badawczej Flashline i Pustynnej Stacji Badawczej to naukowcy z NASA i amerykańskich uniwersytetów. Nasza działalność jest bardzo doceniana przez wszystkich, którzy zainteresowani są badaniami Marsa.



PM: Mógłby Pan w skrócie opisać najważniejsze dokonania Mars Society w ostatnich latach?

RZ: Zbudowaliśmy i oddaliśmy do użytku Arktyczną Stację Badawczą Dlashline oraz Pustynną Stację Badawczą. Dzięki naszym zabiegom podwojono budżet na zrobotyzowane misje marsjańskie w USA. Wymyśliliśmy i wypromowaliśmy program NASA Mars Scout, dający niezależnym grupom badawczym możliwość otrzymania funduszy na badania i wolnego konkurowania z innymi. Pomogliśmy uchronić przed wstrzymaniem europejską misję Mars Express. Zorganizowaliśmy szereg międzynarodowych konferencji, dwie konferencje europejskie oraz wiele drobniejszych imprez. Ponad 600 stron referatów naukowych zostało zebranych i opublikowanych, dzięki czemu wiele osób może teraz świadomie uczestniczyć w dyskusji nad potencjalnym stworzeniem nowej gałęzi ludzkiej cywilizacji na Marsie. Ponadto dotarliśmy do licznych gazet i stacji telewizyjnych, a dzięki nim do przeszło 300 milionów osób.

PM: Często zastanawiamy się, czy w Kosmosie istnieje jakaś inna inteligentna forma życia. Co osobiście sądzi Pan na ten temat? Co sądzi Pan o teoriach ludzi takich jak Erich von Daeniken, którzy sugerują, iż kosmici bywali już na Ziemi?



RZ: Bardzo prawdopodobne jest, iż Kosmos wypełniony jest różnorodnymi formami życia. Jeśli tak faktycznie jest, przypuszczalnie występują w nim również formy inteligentne. Nie sądzę natomiast, by teorie Daenikena miały jakiekolwiek poparcie w nauce.

PM: Nawet na Ziemi jest sporo kultur czy społeczności, z którymi ludziom Zachodu ciężko jest się porozumieć, ciężko pojąć ich sposób myślenia. Gdyby na Ziemię zawitali kosmici, czy bylibyśmy w ogóle w stanie się z nimi dogadać (a może różnice byłyby zbyt duże) ?

RZ: Różnice byłyby ogromne, a trudności kolosalne, lecz wierzę, że w końcu udałoby nam się nawiązać kontakt.

PM: Czy sądzi Pan, że naukowiec powinien czuć się odpowiedzialny za to, w jaki sposób inni wykorzystują jego wynalazki (często w złych celach). Na przykład twórca rakiet, który widzi jak montowane są na nich głowice bojowe zabijające ludzi.

RZ: To zależy. Jeśli celem badań było wynalezienie technologii szkodliwych, jak na przykład broni biologicznej, naukowiec z całą pewnością jest winny i powinien czuć się odpowiedzialny. Jeśli cel był dobry, lecz efekt badań wykorzystano w złym celu, nie sądzę, by powinno się winić naukowców. Jeśli naukowca zatrudnia wojsko w celu zbudowania broni, powinien on zadać sobie pytanie o moralność reżimu, dla którego ta broń powstaje. Na przykład: ludzie, którzy opracowywali broń dla USA w czasie II wojny światowej, robili dobrze, natomiast na naganę zasługują ci, którzy pracowali dla III Rzeszy.



PM: Jakiś czas temu wyznaczono milion dolarów nagrody dla firmy, która zbuduje tani pojazd transportowy Ziemia-orbita wielokrotnego użytku. Jaki jest obecny status tego konkursu?

RZ: Z tego, co wiem, pieniądze na nagrodę są, lecz nikomu nie udało się, jak dotąd, jej zdobyć.

PM: Czy lubi Pan literaturę s-f? Czy sądzi Pan że motywuje ona naukowców do badań?

RZ: Tak, czasami lubię poczytać książki s-f. Czasami rzeczywiście mogą one zainspirować naukowców, w szczególności zaś młodzież, która z natury jest bardziej chłonna i ma bardziej otwarty umysł.

PM: Dziękuje za wywiad

Zdjęcia: archiwum Wydawnictwa Bauer, NASA

Tragedia Columbii

Tekst: Piotr Moskal



Tak z dużej wysokości wygląda słynny przylądek Canaveral, z którego startują amerykańskie misje kosmiczne. Widać pasy startowe i kompleksy budynków

Pierwszego lutego 2003 światem wstrząsnęła wieść o katastrofie amerykańskiego promu kosmicznego Columbia. Wahadłowiec rozpadł się na kawałki na wysokości 63 kilometrów, lecąc z prędkością 12.000 km/h, podczas powrotu z trwającej 14 dni misji na orbicie Ziemi. Na jego pokładzie znajdowało się 7 astronautów – sześcioro Amerykanów i Izraelczyk. Wszyscy zginęli.

Podczas gdy zewsząd napływały listy kondolencyjne, tylko w Palestynie tłum na ulicach cieszył się i świętował – pozostawię to bez komentarza. Powodów do radości było kilka: porażkę poniosła imperialistyczna ekspedycja, zginął Izraelczyk oraz Hinduska (Arabowie nie lubią ani Żydów, ani Hindusów), zaś dodatkowej pikanterii sprawie dodaje fakt, że katastrofa nastąpiła nad miejscowością Palestine w Teksasie. Allah u akbar!

Trwa śledztwo mające ustalić przyczyny katastrofy, już teraz jednak można z dużą pewnością określić, iż bezpośrednim powodem było oderwanie kawałka poszycia (osłony termicznej), który podczas startu odpadł od kadłuba promu, uderzył w skrzydło i uszkodził je. Pytanie, czy załoga zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji podczas pobytu na orbicie... Czy naprawdę nic nie dało się zrobić? Czy nie dało się uratować tych 7 dzielnych ludzi? A może ktoś winny jest zaniedbania? Na te pytania i wiele innych odpowiedzi usłyszymy, mam nadzieję, już wkrótce.

Katastrofa Columbii nie jest pierwszą porażką amerykańskiego programu kosmicznego. W 1986 roku, podczas startu, eksplodował wahadłowiec Challenger. Na jego pokładzie również zginęła cała siedmioosobowa załoga. Jak się okazało, wtedy przyczyną tragedii



Start wahadłowca Columbia z przylądka Canaveral na Florydzie. Miłośników tego typu widowisk odsyłamy do kin IMAX na film 3D pt. „Stacja kosmiczna"



Rick D. Husband

- Dowódca misji
- 45 lat
- Pułkownik Sił Powietrznych USA, pilot testowy. Został zwerbowany przez NASA w 1994 roku i przez ostatnie 9 lat spędził ponad 235 godzin w Kosmosie.



William C. McCool

- Pilot
- 41 lat
- Dowódca w Siłach Lotniczych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, pilot testowy. Zwerbowany przez NASA w 1996 roku, odbywał swój pierwszy lot kosmiczny.



Michael P. Anderson

- Szef ds.ładunku
- 43 lat
- Podpułkownik Sił Powietrznych USA, były instruktor pilotażu i oficer taktyczny. W sumie spędził ponad 211 godzin w przestrzeni kosmicznej.

David M. Brown



- Naukowiec
- 46 lat
- Kapitan U.S.Navy, chirurg pokładowy. Brown został zwerbowany przez NASA w 1996 roku i na pokładzie Columbii odbywał swój pierwszy lot kosmiczny.

Kalpana Chawla



- Naukowiec
- 41 lat
- Inżynier kształcona w dziedzinie technologii kosmicznych, instruktor pilotażu FAA. Zwerbowana przez NASA w 1994, w sumie spędziła w kosmosie ponad 376 godzin.

Laurel Blair Salton Clark



- Naukowiec
- 41 lat
- Pilotka U.S.Navy, chirurg pokładowy. Zwerbowana w 1996 roku, odbywała swój pierwszy lot.

Ilan Ramon



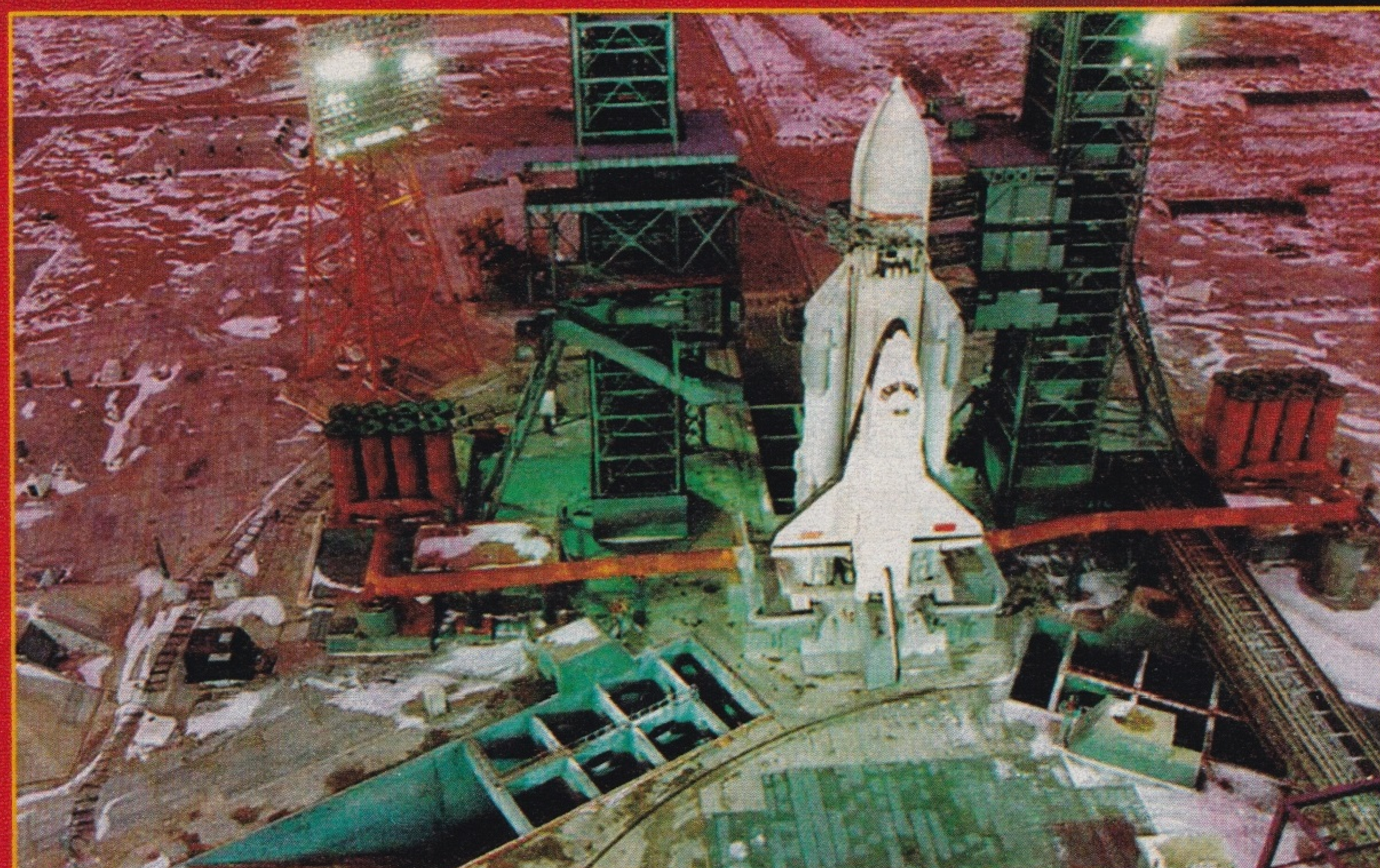
- Specjalista ds. ładunku
- 48 lat
- Pułkownik Izraelskich Sił Lotniczych, zajmował się nadzorowaniem ładunku Columbii. Jego kandydatura została zatwierdzona przez NASA w 1998 roku, odbywał swój pierwszy lot.



Choć z możliwości tej rzadko się korzysta, prom kosmiczny może startować z grzbietu samolotu. Normalnie zaś wynoszony jest na orbitę przez rakietowy układ nośny

była karygodna lekkomyślność kontrolerów lotu. W dniu startu chwycił przymrozek. Lot powinien zostać odwołany, ale ktoś zadecydował, że prom „da radę". A jednak nie dał. Na skutek zimna jedna z uszczelek w bocznej rakiecie nośnej skurczyła się i oszroniła, tracąc swe właściwości. Zaraz po starcie nastąpił wyciek paliwa, które przepaliło dziurę do głównego zbiornika i spowodowało eksplozję promu. Po katastrofie NASA na dwa lata wstrzymała loty wahadłowców. Po śledztwie zostały wznowione – w sumie w latach 1981-2002 odbyło się ponad 100 startów.

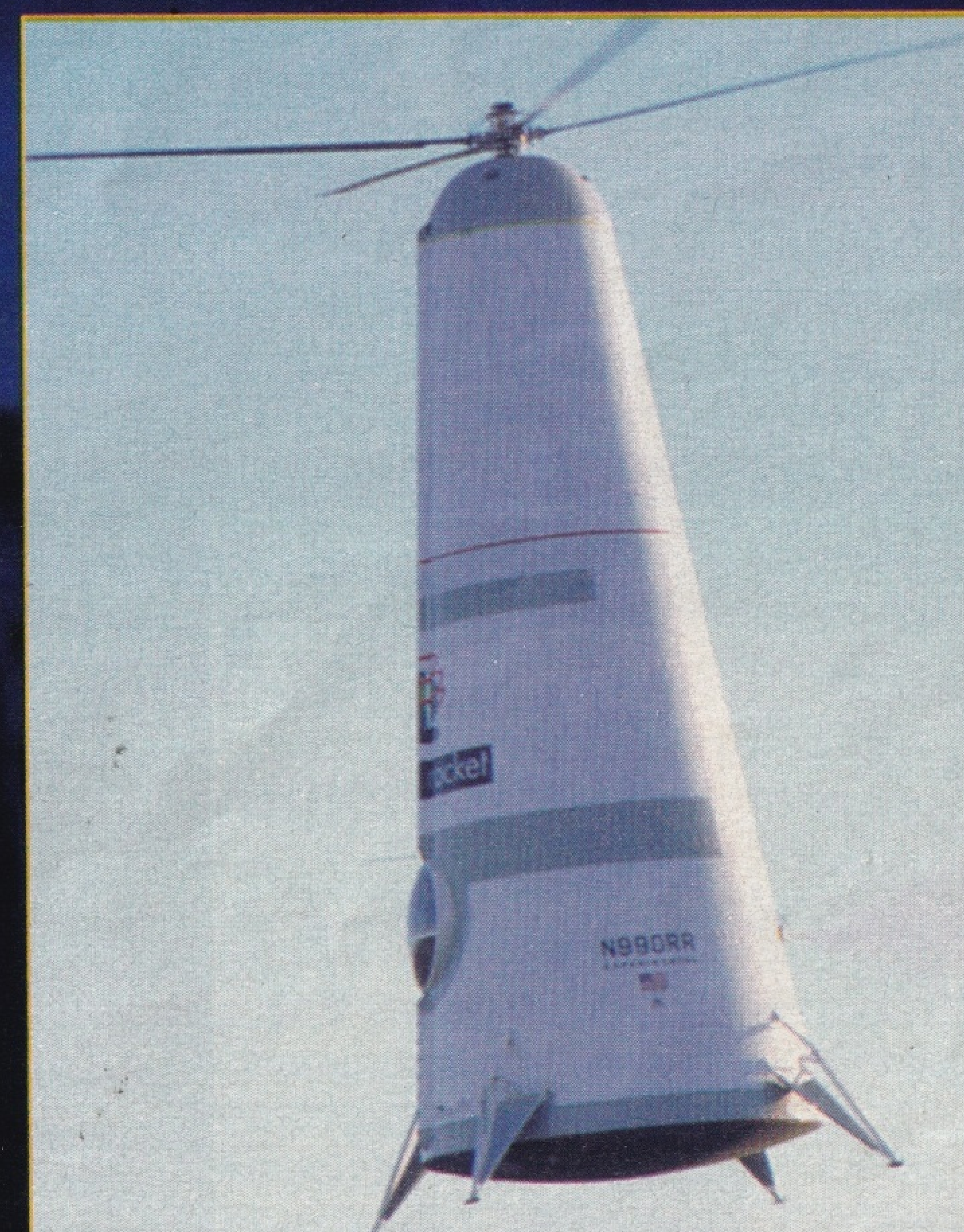
Tragedia Columbii pokazuje dobitnie, że pomimo sporego doświadczenia, jakie ma NASA, loty kosmiczne dalej są rzeczą niebezpieczną, a każdy, nawet drobny błąd, może doprowadzić do katastrofy. Amerykanom zostały jeszcze trzy wahadłowce: Discovery, Atlantis i Endeavour. Miejmy nadzieję, iż z niedawnego wypadku władze wyciągną wnioski i już nigdy nie będziemy musieli oglądać w TV tak smutnych i przerażających zdjęć, jak ostatnio.



Rosyjski prom kosmiczny Buran od lat rdzewieje w hangarze. Brak środków finansowych skutecznie hamuje rozwój rosyjskiego programu kosmicznego. Szkoda…

ALTERNATYWNE ŚRODKI TRANSPORTU

Pomimo iż amerykański program wahadłowców do tej pory sprawował się całkiem dobrze, od dłuższego czasu trwają prace nad wynalezieniem alternatywnego środka transportu na orbitę. Przede wszystkim chodzi o to, by obniżyć koszty – obecnie wyniesienie na orbitę 1 kg ładunku kosztuje około 10,000 dolarów.
Jak łatwo policzyć, każda misja wahadłowca pochłania olbrzymie sumy, co być może jest do przyjęcia w rządowym programie NASA, lecz skutecznie odstrasza wszelkich prywatnych inwestorów i blokuje rozwój przemysłu kosmicznego.
Kilka lat temu ogłoszono specjalną nagrodę X-Prize w wysokości 1 miliona dolarów dla firmy, której uda się zaprojektować pojazd zdolny do wielokrotnych startów i lądowań w krótkich odstępach czasu. Jak do tej pory nikt nie otrzymał jeszcze nagrody, jednak wiele zespołów z różnych krajów podjęło wyzwanie. Powstało sporo, czasami bardzo dziwnych, rozwiązań. Jednym z nich jest Roton – rakieta nośna, która startuje normalnie, korzystając z silników rakietowych, zaś wracając na Ziemię wykorzystuje śmigło, by wyhamować i delikatnie wylądować. To ciekawa konstrukcja i być może przyjmie się w przemyśle kosmicznym pod warunkiem, że konstruktorom uda się przezwyciężyć szereg problemów technicznych, które pojawiają się w miarę testowania Rotona.



Jedną z propozycji jest tzw. Roton, rakieta nośna wielokrotnego użytku, wyposażona w śmigło

Zdjęcia: archiwum Wydawnictwa Bauer, NASA

Tekst: Artur Marciniak, Dawid Muszyński

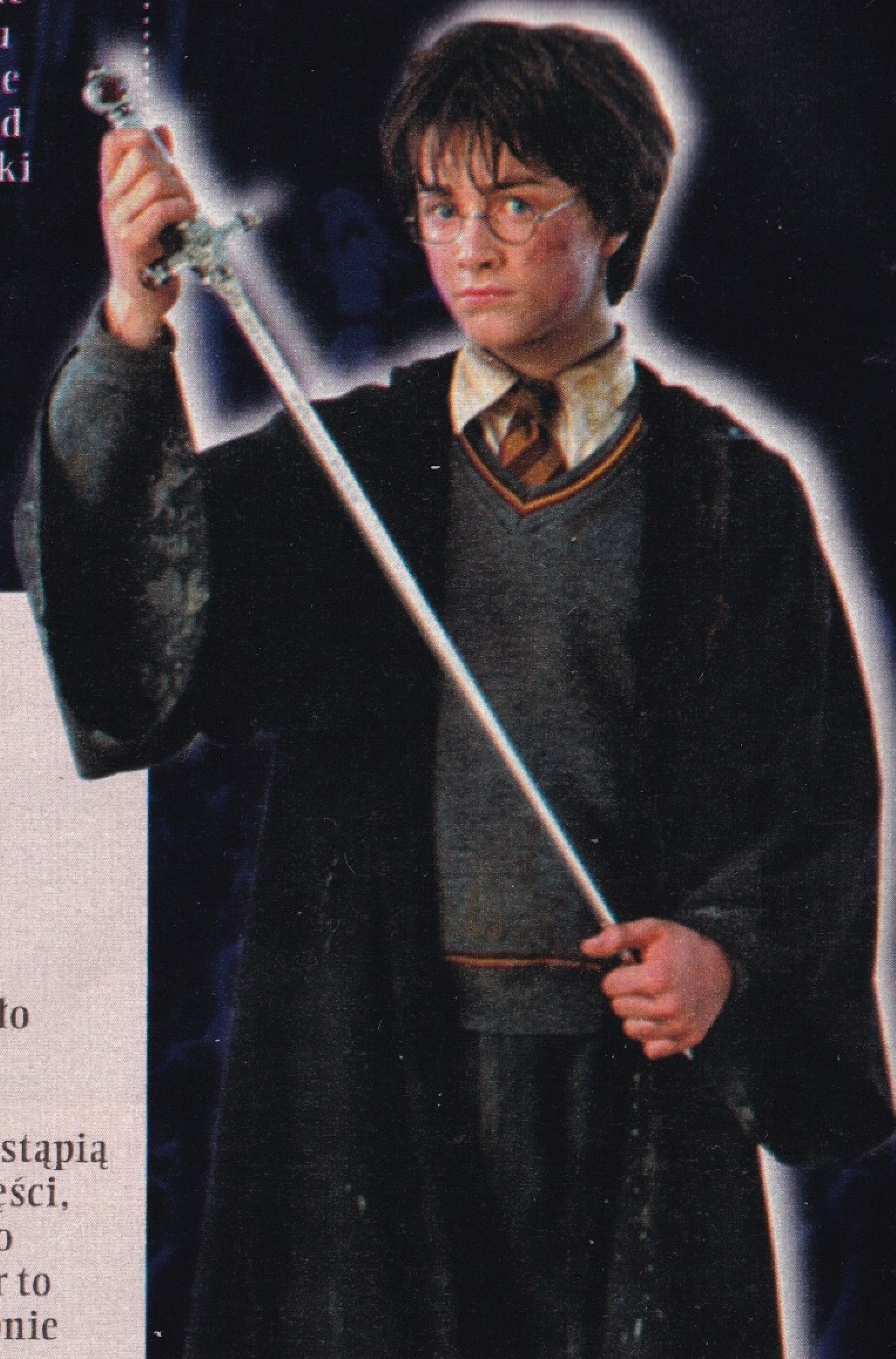
Ni to film, ni to gra

Jonathan Cherry, który wystąpi w głównej roli w filmie opartym na motywach zaczerpniętych z gry komputerowej House of the Dead, powiedział niedawno, że jego postać będzie przedstawiała gracza. „Jeśli gdzieś tam ktoś trzymał broń, to właśnie ja" – powiedział aktor. Podał też kilka faktów na temat granej postaci: ma ona na imię Rudy, jest studentem medycyny, który wraz z byłą dziewczyną i grupką przyjaciół wybrał się na wycieczkę na wyspę. Tam czeka ich spotkanie z licznymi zombie. Ciekawostką jest fakt, że w filmie wykorzystane zostaną sceny z gry. Widać je będzie wtedy, gdy na ekranie pokazywany będzie widok „z oczu bohatera". Zdaje się, że producenci znaleźli kolejny sposób na obniżenie kosztów produkcji filmów klasy B. Ciekawe, co będzie dalej...



Nakład V części Pottera

Wkrótce po podaniu daty wydania piątej części przygód Harry'ego Pottera, okazało się, że nadchodzi tak dużo zamówień, iż konieczne będzie wydrukowanie blisko siedmiu milionów egzemplarzy. Będzie to największy pierwszy nakład książki w twardej oprawie, jaki kiedykolwiek wydrukowano w USA. Pierwsze wydanie poprzedniej części cyklu, „Harry Potter i czara ognia", zostało wydrukowane w nakładzie 3 milionów egzemplarzy i sprzedało się w ciągu 48 godzin. Kolejne 3 miliony egzemplarzy rozeszły się w kilka kolejnych dni. Cena wydania w twardej oprawie została ustalona na 29.95 USD. Książka liczyć będzie 896 stron (poprzedni tom 752). Data wydania angielskiego – 21 czerwca 2003.

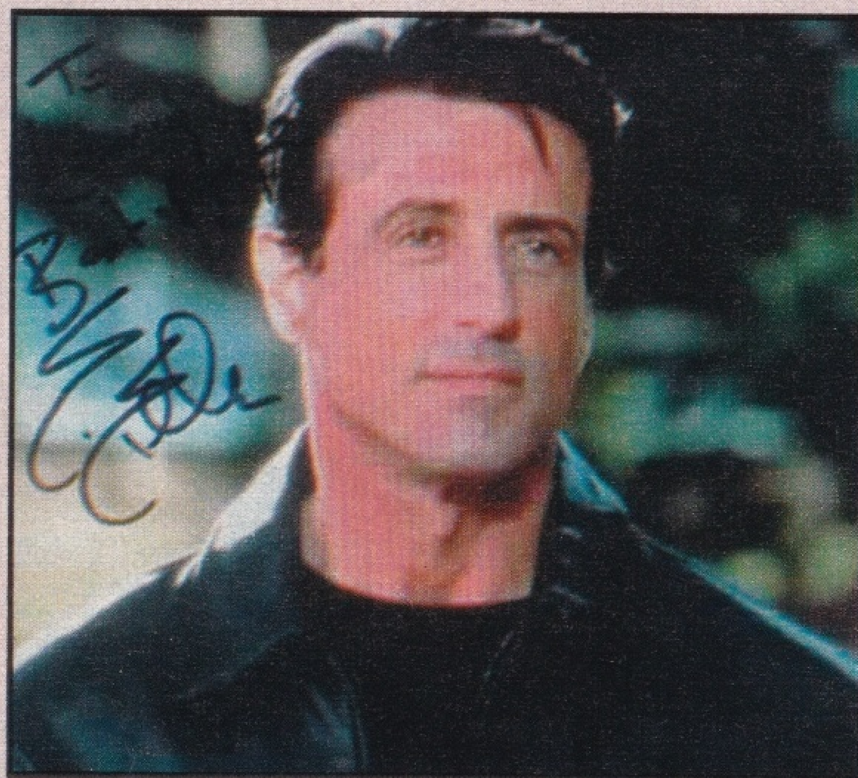


Gratka dla miłośników Lary

Firma Eidos, producent gry o przygodach Lary Croft, poinformowała, że w części nakładu Tomb Raider: The Angel of Darkness, przeznaczonej na PlayStation 2, znajdzie się albo figurka bohaterki, albo dodatkowy dysk DVD. W Sieci GameStop będzie to figurka, natomiast w Electronics Boutique dysk DVD zawierający: film o tym, jak powstawała gra, urywki poprzednich gier, reklamy telewizyjne, a także galerię postaci i zdjęć z gry. Wersja przeznaczona na PC ukaże się 7 kwietnia, natomiast wersja na PS2 tydzień później.

Rambo i mali szpiedzy

Na nasze ekrany nie tak dawno weszła druga część filmu „Mali agenci", a tymczasem za oceanem przygotowują się już do produkcji trzeciej części. Wiadomo, że głównego bohatera negatywnego zagra Sylvester Stallone. W filmie zatytułowanym „Spy Kids 3-D: Game Over" będzie nosił miano Toymakera. Jest to stary wróg rodziny Cortezów, któremu udało się uwięzić małą Carmen (graną przez Alex Vega) w wirtualnej rzeczywistości gry. W filmie wystąpią aktorzy znani z poprzednich części, czyli wspomniana Vega, Antonio Banderas i Daryl Sabara. Reżyser to Robert Rodriguez. Prawdopodobnie zobaczymy także aktorkę Carlę Gugino, grającą mamę bohaterów poprzednich filmów.







Powstanie park Drakuli

W pobliżu miejsca pochówku Włada Palownika, rumuńskiego księcia, którego życie i czyny dały początek legendzie o wampirze Drakuli, powstanie park rozrywki. Park ulokowany zostanie w pobliżu jeziora Snagow, około 40 kilometrów na północ od Bukaresztu. Wśród atrakcji znajdą się restauracje, hotele, zoo, pole golfowe i – oczywiście – gotycki zamek pełen strasznych niespodzianek. Park zajmie powierzchnię 520 akrów i będzie kosztował blisko 32 miliony dolarów. Według legendy ciało okrutnego księcia pochowane jest w klasztorze wybudowanym przez niego na wyspie pośrodku jeziora.



Wszechpotężny Carrey

Roger Birnbaum, producent wykonawczy komedii fantasy „Bruce Almighty", powiedział, że fani Jima Carrey'a ujrzą go w nowym świetle. Carrey w roli człowieka obdarzonego boską mocą to – moim zdaniem – dość karkołomna mieszanka... W zwiastunach filmu, wyświetlanych podczas finału Super Bowl, pokazane były sceny, w których bohater nadużywa swych mocy, np. sprawia, by uniosła się spódnica kobiety i nakłania psa do skorzystania z toalety. Według słów producenta, w filmie oprócz akcentów komediowych znajduje się wiele wątków „romantycznych". Osobiście, znając poprzednie dokonania komika, szczerze w to wątpię i spodziewam się za to czegoś w rodzaju „Głupiego i głupszego". Film wchodzi na ekrany amerykańskich kin 23 maja tego roku.



Gotowy scenariusz Spider-Mana 2

Kierownik studia Marvel Comics, Avi Arad, powiedział niedawno, że ukończono prace nad scenariuszem drugiej części filmowych przygód Spidermana. Ustalono także datę premiery sequela popularnego filmu – na ekranach amerykańskich kin pojawi się on 7 maja przyszłego roku. Arad powiedział, że trwają prace nad kilkoma innymi filmami, w których występują bohaterowie komiksów wydawanych przez jego firmę. Oprócz „Hulka" i „Daredevila" będziemy mogli obejrzeć przygody „Fantastycznej Czwórki" (pamiętam serial animowany z ich udziałem, nadawany w polskiej telewizji w latach siedemdziesiątych). Produkcją zajmuje się wytwórnia 20th Century Fox. Ta sama firma rozpoczęła prace nad filmem o „Silver Surferze".

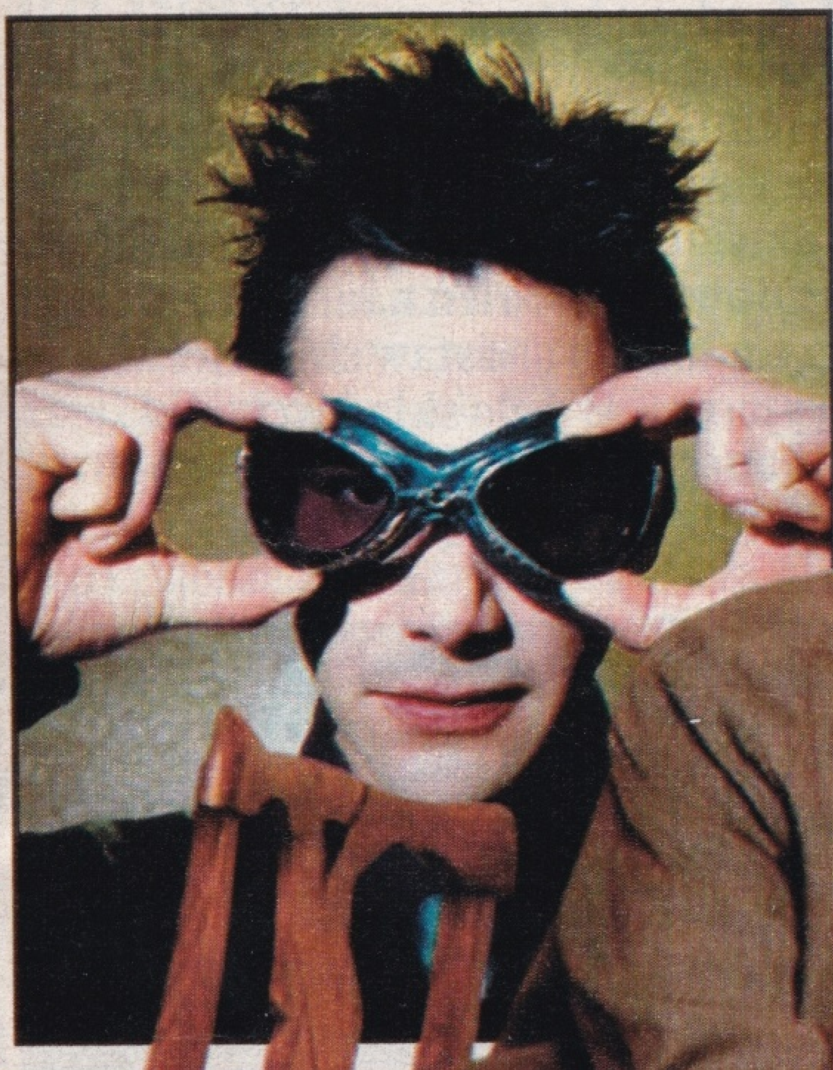
Druga część „Żołnierzy kosmosu”

W maju tego roku w Los Angeles rozpoczną się prace nad drugą częścią filmu „Żołnierze kosmosu”, który miał premierę w 1997 roku. Reżyserem filmu jest Phil Tippett, kierownik ekipy realizującej efekty specjalne w pierwszej części. Autor scenariusza to Edward Neumeier. Fabuła opowiada o grupie żołnierzy otoczonych przez robale w osamotnionym posterunku. Okazuje się jednak, że największe niebezpieczeństwo grozi im ze strony wroga wewnętrznego.



Poświęcenie aktora?

Keanu Reeves zrezygnował z około 38 milionów dolarów wynagrodzenia, nie chcąc, by ograniczono budżet dwóch zbliżających się filmów z serii. Producenci obawiali się, że pełne drogich efektów filmy nie przyniosą zadowalających zysków. Reeves zrezygnował z zapisanego w kontrakcie honorarium z części wpływów, by uratować część scen z efektami. Anonimowy przedstawiciel firmy Warner Bros powiedział: „Efekty specjalne w obu tych filmach są niewiarygodne, jednak niezwykle drogie. Istniało bardzo realne zagrożenie wycięcia wielu scen przewidzianych w scenariuszu, na szczęście Keanu zgodził się na rezygnację z części wynagrodzenia. Pożegnał się z naprawdę dużą kwotą”. Przypomnijmy, że „Matrix Re-aktywacje” wchodzi do kin w maju, a „Matrix Rewolucje” w listopadzie.



Następca Myst online

Firma Ubi Soft Entertainment podała, że kończą się prace nad grą Uru: Online Ages Beyond Myst, będącą sieciową grą przygodową, kontynuującą wątki znane z poprzednich gier serii – Myst i Riven. Gracze w Uru rozwiążą zagadki w drobiazgowo skonstruowanym świecie gry. Czeka ich także badanie rozległego, niedawno odkrytego podziemnego imperium D'ni, datującego się jeszcze sprzed czasów powstania cywilizacji ludzi. Gra opracowywana jest już od 5 lat i wkroczy wkrótce w fazę betatestów.



Już wkrótce nowa gra Z archiwum X

Vivendi Universal Games i Fox Interactive ogłosiły rozpoczęcie prac nad nową grą, w której wystąpią bohaterowie serialu „Z archiwum X”. Gra przeznaczona będzie na konsole PS2 i Xbox. Resist or Serve, bo taki jest tytuł gry, to horror osadzony w środowisku 3D, a akcja toczy się w tym samym czasie, co trzech pierwszych odcinków serialu. W grze wystąpią David Duchovny jako Mulder i Gillian Anderson jako Scully. Agenci znajdą się w niewielkim mieście Rocky Mountain, by zbadać serię niezwykłych morderstw, powiązanych z obecnością duchów i zjawiskami paranormalnymi.

Lem ma mieszane uczucia

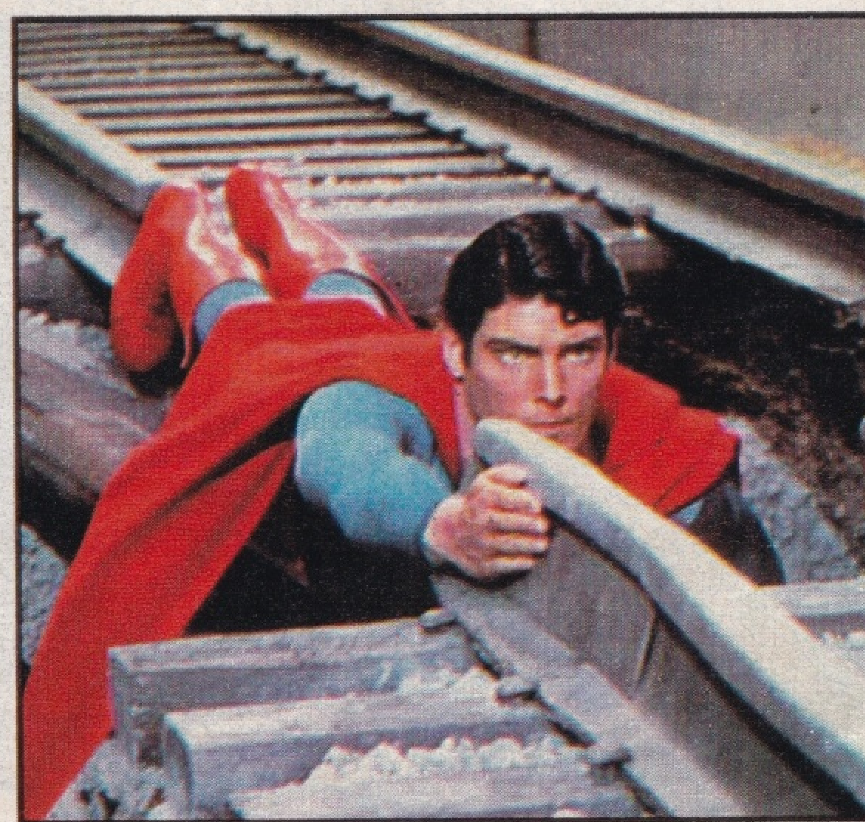
Nasz najbardziej znany na świecie autor literatury fantastyczno-naukowej, Stanisław Lem, wyraził niedawno swoje uczucia odnośnie ekranizacji powieści „Solaris”. Na oficjalnej stronie internetowej (http://www.cyberiad.info/english/main.htm) powiedział, że ekranizacja Soderbergha dotyczy bardziej sfery uczuć niż idei. Według słów Lema Ocean Solaryjski jest wielkim nieobecnym filmu. Autor pochwalił jednocześnie autorów za kreatywność. Napisał: „Film Soderbergha to ambitne, artystyczne kino – trudne do przełknięcia dla publiczności przyzwyczajonej do hollywoodzkiej papki”.



NeoConan?

W Sieci pojawiła się plotka mówiąca o tym, że bracia Wachowscy, reżyserzy filmu „Matrix”, prowadzą rozmowy o rozpoczęciu produkcji filmu „King Conan”. W filmie miałby wystąpić Arnold Schwarzenegger. Przyczyną, dla której Wachowscy zdecydowali się na rozpoczęcie rozmów, była petycja fanów ich twórczości, pod którą podpisało się blisko 10000 osób. „King Conan” to film, którego akcja ma toczyć się w kilkanaście lat po wydarzeniach pokazanych w filmach „Conan Barbarzyńca” i „Conan Niszczyciel”.





Czy mamy już Supermana?

Według niepotwierdzonych na razie plotek, główną rolę w mającym trafić wkrótce do produkcji nowym filmie kinowym o przygodach Supermana zagra Kanadyjczyk, Victor Webster, znany z roli w serialu „Mutant X”. Produkcja ma się rozpocząć jeszcze w tym roku, natomiast na ekrany obraz trafi w połowie przyszłego roku.



Peter Jackson w trylogii „Władca Pierścieni"

Peter Jackson jest znany z tego, że lubi występować we własnych filmach. Tak też się stało podczas realizacji dzieła J. R. R. Tolkiena. W „Drużynie Pierścienia" Jackson wcielił się w postać pijaka na ulicy Bree. W „Dwóch Wieżach" reżyser wystąpił dwukrotnie. Po raz pierwszy w tłumie dzikich ludzi biegnących po przemowie Saurona. Po raz drugi możemy go ujrzeć na murach Helmowego Jaru.

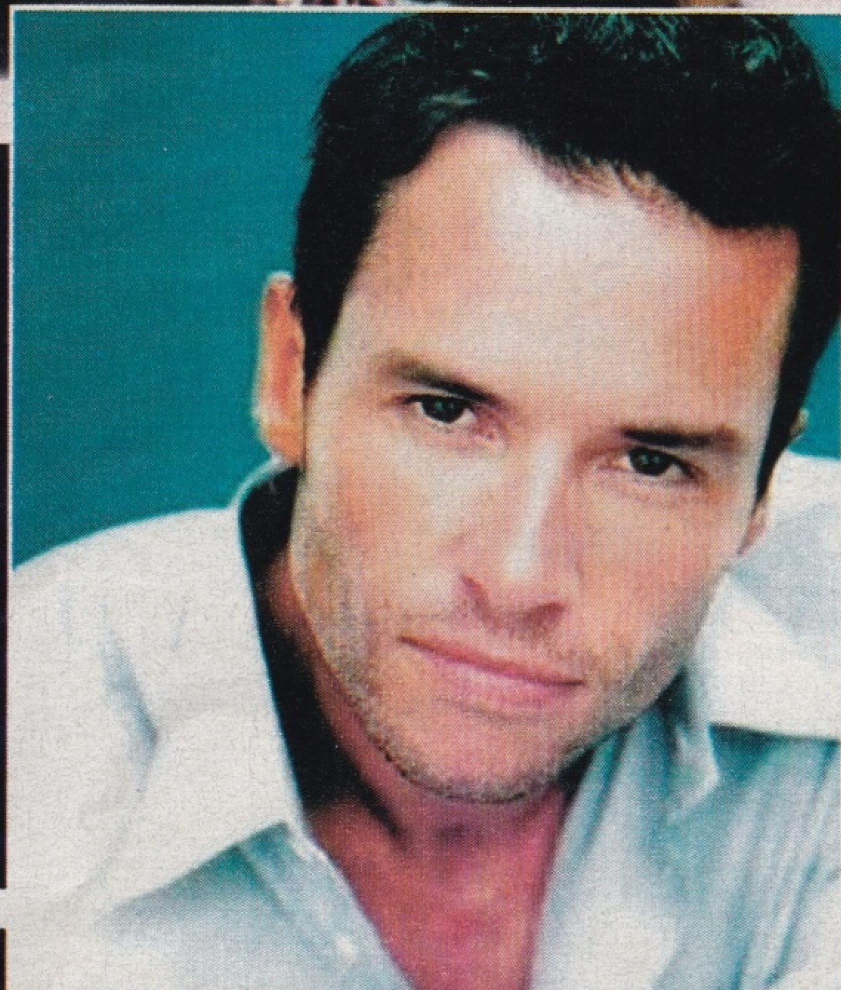
W filmie ujrzymy także dwójkę dzieci Jacksona oraz współautorkę scenariusza Philippe Boyens. Pojawiają się oni w scenie z jaskiń Helmowego Jaru.

Jakby tego było mało, Peter zaangażował także ilustratora książek Tolkienowskich – Alana Lee oraz scenografa Dana Hennaha. Stoją oni za Aragonem podczas przemowy Legolasa.



Plotki o Catwoman

Kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się, że główną rolę w filmie „Catwoman" zagra Ashley Judd. Nie jest to jednak wcale takie pewne. Według niepotwierdzonych na razie informacji, rola ta może przypaść czarnoskórej aktorce – Halle Berry. Opinie specjalistów, wyrażane na łamach portali filmowych są jednak sprzeczne. Witryna IGN FilmForce napisała, że choć producenci biorą Berry pod uwagę, to Judd znajduje się na razie na czele ich listy kandydatek. Produkcja ma rozpocząć się na przełomie wiosny i lata tego roku, a gotowy film wejdzie na ekrany w roku 2004 roku.



Kolejny Batman?

Australijski dziennik The Daily Telegraph napisał, że Guy Pearce, znany z głównej roli w filmie „Wehikuł czasu", jest brany pod uwagę jako kolejny Batman w filmie, którego reżyserem będzie Chris Nolan. Wyreżyserował on wcześniej „Memento", gdzie wystąpił właśnie Pearce.



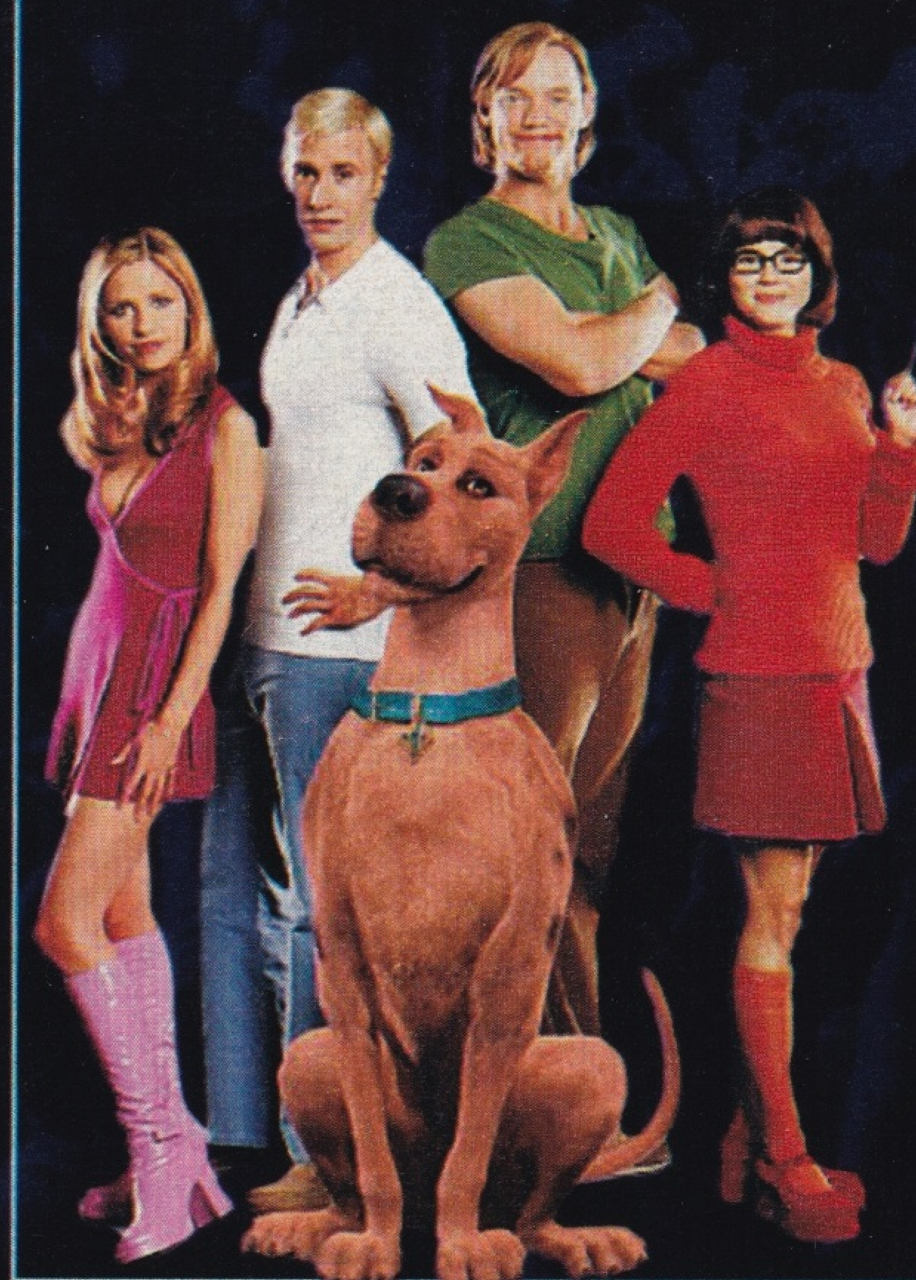
Oskarowa nominacja dla „Katedry"

Krótkometrażowy animowany film „Katedra" Tomka Bagińskiego znalazł się w gronie pięciu filmów nominowanych do najbardziej prestiżowej nagrody filmowej, czyli Oskara, w swojej kategorii. Autor filmu, powstałego na podstawie opowiadania Jacka Dukaja, pracował nad nim ponad 3 lata. Po usłyszeniu tej zaskakującej informacji stwierdził, że w razie wygranej pieniądze przeznaczy na nowy film, który będzie pełnometrażową animacją 3D na podstawie opowiadania Jacka Dukaja „Ruch Generała". Film Bagińskiego prezentowany jest w sieci kin Cinema City przed pokazami filmu „Solaris". W najbliższym czasie wydany zostanie także na płycie DVD, na której oprócz samego filmu znajdą się materiały pokazujące proces jego powstawania.



Nowy Scooby

Wiele wskazuje na to, że choć pierwsza część filmu fabularnego o przygodach grupki domorosłych detektywów i tchórzliwego psa cieszyła się umiarkowanym powodzeniem to powstanie druga część tej opowieści. Cała sprawa wyszła na jaw, kiedy okazało się, że w Vancouver, gdzie ma być kręcony film, zabrakło planów filmowych. Jednocześnie w mieście kręconych jest bowiem kilka innych filmów, w tym „Ja, robot". Produkcja drugiej części przygód Scooby'ego już na starcie opóźniła się o kilka tygodni.



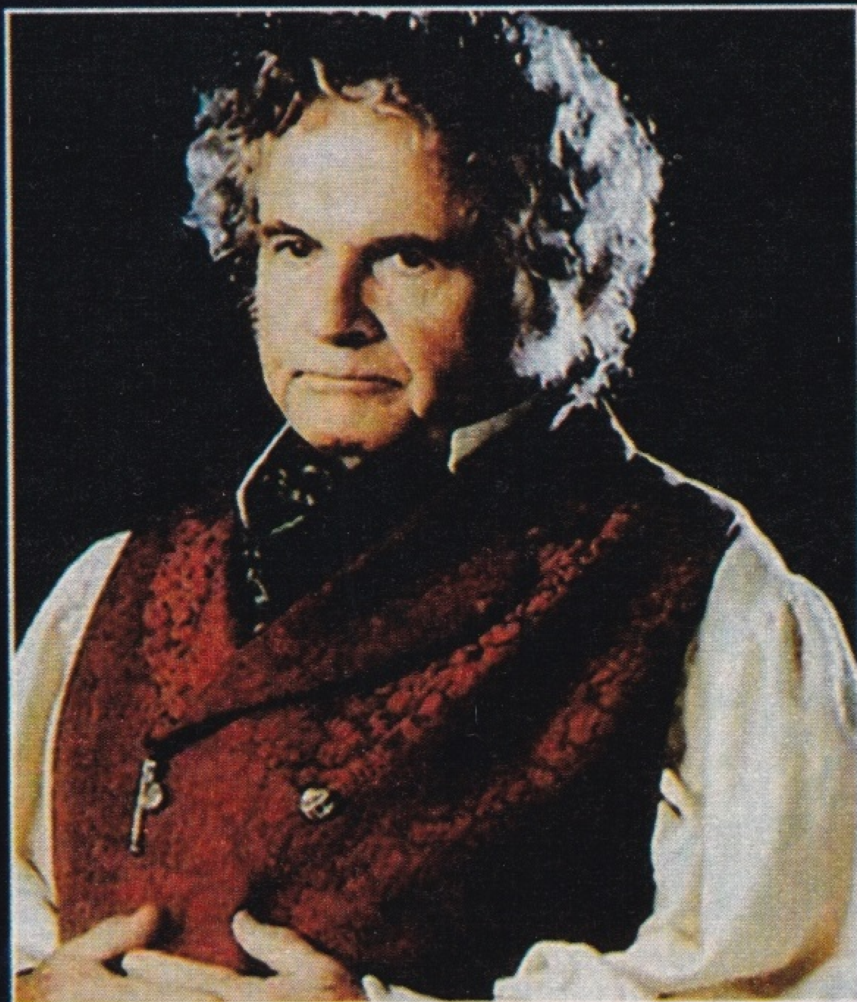
Mów po elficku

Być może zainteresuje was ten adres: http://www.uib.no/People/hnohf/qcourse.htm. Znajduje się tam kurs języka quenya, którym mówią elfy wysokiego rodu w dziełach Tolkiena. Kurs – według autorów – powinien nauczyć przynajmniej podstaw słownictwa i wymowy. W jego skład wchodzi kilkanaście lekcji dostępnych do pobrania w formie plików rtf.



Czyżby Hobbit?

W jednym z niedawnych wywiadów Peter Jackson, reżyser filmowej trylogii „Władca Pierścieni", opartej na książce J. R. R. Tolkiena, powiedział, że wbrew wcześniejszym deklaracjom nie wyklucza wyreżyserowania Hobbita. Jak powiedział, czeka tylko na właściwą ofertę.





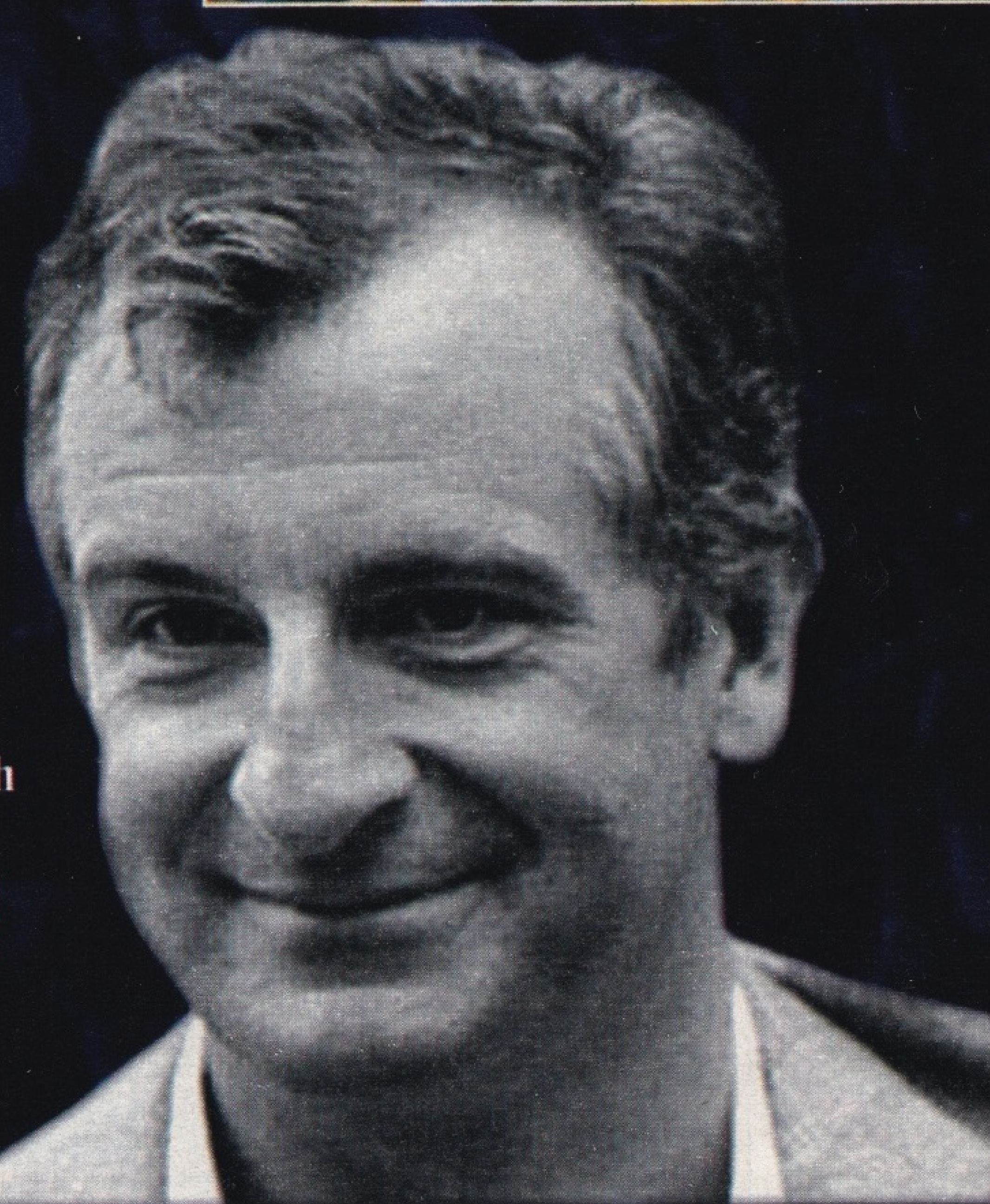
Koniec legendy



Na początku lutego faktem stał się upadek niegdysiejszego giganta rynku rozrywki elektrycznej, firmy ATARI. Stała się ona znana w latach siedemdziesiątych, a opatrzone jej logiem maszyny do gier znajdowały się we wszystkich barach i lokalach USA. Pierwszą grą firmy był znany Pong, czyli po prostu piłeczka odbijana przez dwie kreski (paletki tenisowe). Pracę straciło ponad 100 pracowników, a wśród nich osoba pracująca niemal od początku firmy, biorąca udział w tworzeniu drugiej gry firmy, Tanks.

Gratka dla galaktycznych autostopowiczów

Jane Belson, żona pisarza Douglasa Adama, autora kultowej powieści „Autostopem przez galaktykę", powiedziała w wywiadzie dla radia BBC, że rozpoczęły się prace nad ekranizacją dzieła jej zmarłego męża. Nad scenariuszem pracuje Karey Kirkpatrick („Uciekające kurczaki"), która zajmowała się tym jeszcze przed śmiercią pisarza. Wg niepotwierdzonych informacji reżyserem filmu będzie Jay Roach, znany z serii o przygodach agenta specjalnej troski, Austina Powersa.



Władca Pierścieni: Powrót Króla'

Według wypowiedzi osób związanych z produkcją trzeciej części „Władcy Pierścieni", film po wstępnym zmontowaniu trwa ponad 6 godzin. Niewątpliwie ulegnie on znacznemu skróceniu, jednak pokazuje to, jak wiele wątków trzeba umieścić w ostatniej części trylogii. Przypomnijmy, że premiera „Powrotu Króla" zapowiadana jest na grudzień tego roku.

Na ostatniej konferencji prasowej dziennikarzom udało się zdobyć kilka informacji na temat trzeciej części „Władcy Pierścieni". Scenarzystka Philippe'a Boyens zdradziła, iż „Powrót Króla" będzie w pełni poświęcony konfliktowi ojca z synem, czyli Denethore'owi i Faramirowi. Równocześnie postacie hobbitów Merry'ego i Pippina przejdą metamorfozę. Nauczą się posługiwać mieczem i jeździć konno, stając się tym samym wojowniczymi hobbitami.

Reżyser Peter Jackson wyznał, iż w ostatniej części trylogii ponownie spotkamy postać starego Bilba. Jest to ponoć jego ulubiona postać. Potwierdzona także została informacja, że Liv Tyler zaśpiewa piosenkę „Arwen's Song", która znajdzie się na ścieżce dźwiękowej z filmu. Premiera ostatniej części trylogii odbędzie się w USA 17 grudnia 2003 roku.

Potter nie pójdzie do piekła

Na konferencji prasowej, zwołanej w Watykanie na początku lutego, ojciec Don Peter Fleetwood, członek Papieskiego Komitetu Kultury, powiedział, że książki o przygodach Harry'ego Pottera nie są sprzeczne z wiarą chrześcijańską. Opisują odwieczną walkę dobra ze złem, znaną także w tradycji chrześcijańskiej. Według ojca Fleetwooda intencją autorki było



przekazanie dzieciom w jasny sposób różnicy między tym, co dobre i prawe, a tym, co złe i fałszywe.

Z Archiwum X w 2005 roku

TVP 2 oznajmiło niedawno iż 8. seria kultowego serialu o kosmitach nie znajdzie się w ramówce do 2005 roku. Wtedy właśnie wygasa telewizji koncesja na wyemitowanie serialu. Dwójka poinformowała także o zakupie 12 odcinków serialu Chrisa Cartera „Samotni strzelcy" (The Lone Gunmen). Opowiada on o zabawnej trójce hakerów występujących w epizodach „Archiwum X". Emisja nowego zakupu Telewizji Publicznej odbędzie się po emisji ostatniej serii przygód agentów Muldera i Scully. Aby przyspieszyć emisję serialu, fani złożyli petycję do Drugiego Programu TVP, więc jeśli chcesz do nich dołączyć, wejdź na stronę http://xf.sezon8.prv.pl.





Angelina Jolie o Larze

W ostatnim wywiadzie odtwórczyni postaci Lary Croft – Angelina Jolie wyznała, iż jak na gwiazdę kina akcji przystało sama wykonuje wszystkie sceny kaskaderskie. Musiała zatem jeździć konno oraz na skuterze wodnym i motocyklu. Jolie wyznała także, że zdjęcia do filmu rozpoczęto w najgorszy dla niej sposób – musiała bowiem chodzić w bikini, którego nienawidzi. Według aktorki druga część „Tomb Raidera" będzie mroczniejsza, ostrzejsza i bardziej sexy.

Nowe dzieło Tolkiena

W oksfordzkiej bibliotece amerykański naukowiec Michael Drout odnalazł liczący 2000 stron rękopis należący do J. R. R. Tolkiena. Jest to pochodzące z 1936 roku tłumaczenie anglosaskiego poematu epickiego z VIII wieku, pt. „Beowulf". Według uczonego odnalezione materiały posłużyły Tolkienowi do napisania „Władcy Pierścieni".

Laury i rózgi
czyli co dobrego i co złego przydarzyło nam się w 2002 roku

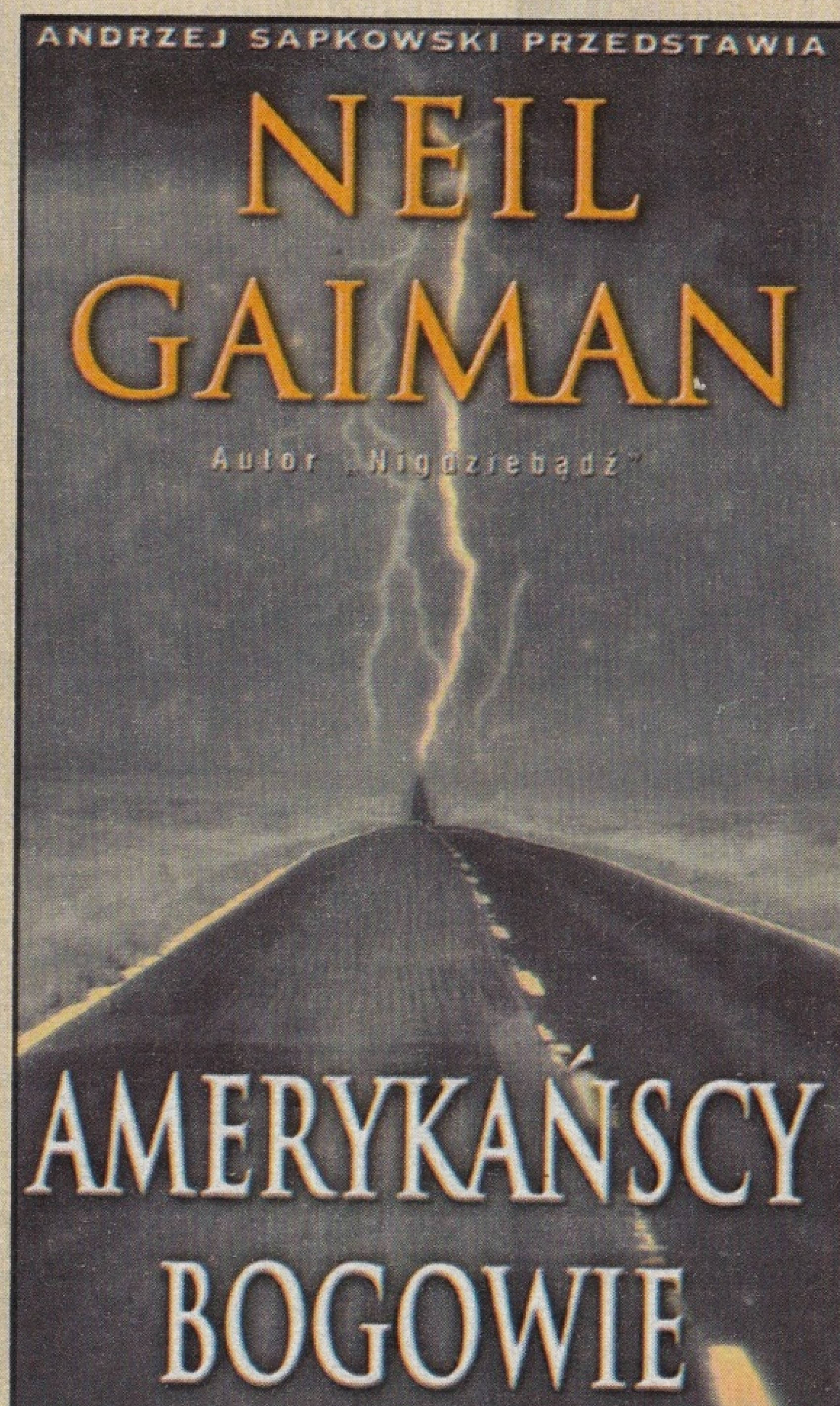
Tekst: Jacek Piekara, współpraca Tomasz Nowak

Książki

Najlepsze wydawnictwo



Bez wątpienia laury należą się Fabryce Słów. To dzięki niedawno debiutującemu wydawnictwu z Lublina czytelnicy mieli okazję zapoznać się z twórczością takich autorów jak Ziemkiewicz, Ziemiański czy Pilipiuk. Nagrodę przyznajemy również za konsekwentne promowanie polskiej literatury, za aktywność na rynku wydawniczym oraz szczególną pieczołowitość w kontaktach z autorami.



Najlepsza książka

Wydana przez oficynę MAG powieść „Amerykańscy Bogowie" Neila Gaimana to jedna z bardziej frapujących lektur 2002 roku (czytając ją, zrozumiesz, co by się stało, gdyby dawni bogowie zechcieli znów pojawić się na Ziemi). Książka jest gorąco polecana przez takich mistrzów grozy oraz fantastyki jak Straub, Carrol czy Gibson i rzeczywiście czyta się ją znakomicie. Gaiman nie tylko posługuje się pięknym, literackim językiem, ale widać, że w przeciwieństwie do znakomitej większości światowych autorów fantastyki ma jakiś oryginalny pomysł i koncepcję, a do pisania nie pcha go tylko gorączka złota ;) .



Skandal

Działalność wydawnictwa Supernowa trudno nazwać skandalem. Bardziej jest to podcinanie gałęzi, na której samemu się siedzi. Supernowa straciła przez własną indolencję takich autorów jak Białołęcka, Brzezińska, Dukaj i Ziemkiewicz, którzy odeszli do innych oficyn. Nie skorzystano z ofert Ziemiańskiego lub Pilipiuka, którzy teraz są gwiazdami gdzie indziej. Powszechna wśród autorów jest opinia, że Supernowa – zachwycona możliwością wydawania Sapkowskiego – do innych polskich pisarzy miała stosunek lekceważący i szyderczo-pogardliwy. Podobno wyniknęła też kwestia części umów autorskich, które zostały sformułowane w sposób wybitnie niekorzystny dla autorów (a opcje te chytrze zakamuflowano). Nic dziwnego, że kiedy pojawiły się tylko nowe możliwości (powstały między innymi wydawnictwa Fabryka Słów i Runa) wszyscy liczący się twórcy natychmiast z Supernowej uciekli.

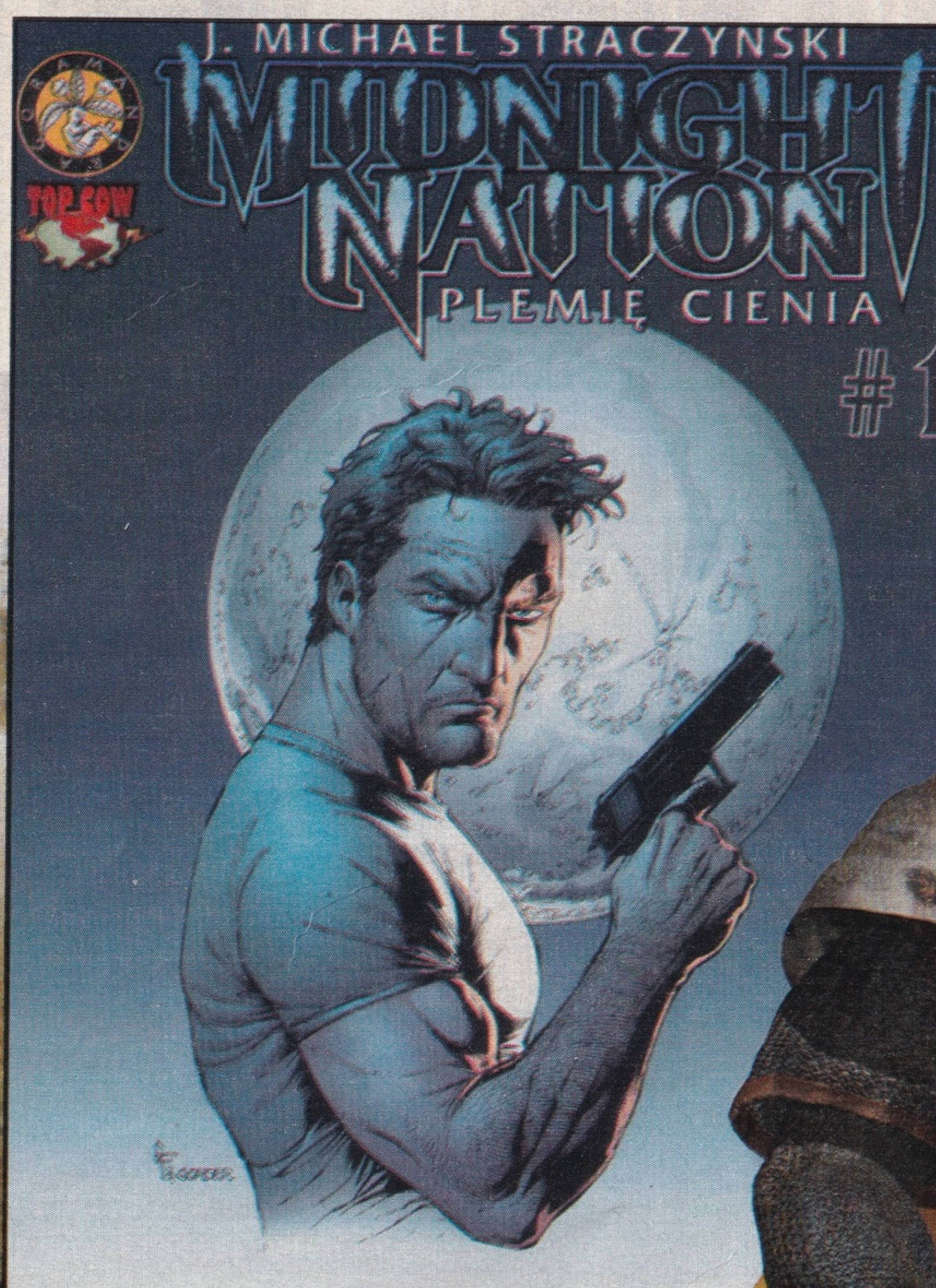
Komiksy

Najlepsze wydawnictwo

Tutaj wybór nie podlega dyskusji – Mandragora. Oferta wrocławskiej oficyny od samego początku prezentowała kolekcję najambitniejszych tytułów oraz autorów roszczących sobie miano ambitniejszych. W efekcie tytuły Mandragory wypełniły coraz bardziej widoczną na naszym rynku lukę pomiędzy amerykańskimi heroseriami, a zupełnie odmiennymi pozycjami europejskimi. Okazało się nagle, że i za oceanem też wydaje się „coś do czytania". Niewątpliwy atut Mandragory to także znakomita jakość edytorska publikacji. Dobre tłumaczenia, wysokiej klasy papier i druk to cechy, którymi żaden inny edytor komiksowy w naszym kraju poszczycić się nie może.

Najlepszy tytuł

Konsekwentnie należy wskazać tutaj pozycję Mandragory – „Nocne Plemię". Jest to bodajże jedyny cykl w naszym kraju (trzy tomy po cztery zeszyty), który zaczął i skończył się ukazywać w ubiegłym roku. Zważywszy na dziwne praktyki polskich wydawców rozciągających edycję serii do granic możliwości, jest to działanie godne pochwały. Być może solidna grafika i intrygujący scenariusz to trochę mało, aby nazwać Midnight Nation komiksem roku. Ale najcenniejsze w tej opowieści są przeżycia, doznania i doświadczenia bohaterów. Budzące zadumę, trochę nawet rzewne wątki skłaniać mogą co jakiś czas do ponownej lektury. I to bez groźby zabrudzenia podłogi strugami krwi wylewającymi się z wielu tytułów natychmiast po otwarciu komiksu.



Skandal

Zmieniające swą nazwę, image i ofertę tytułową wydawnictwo Fun Media (dawne TM Semic) zadebiutowało w lipcu ubiegłym roku kolejnym albumem przygód Lobo. Kto jednak pokusił się o nabycie tego tytułu, musiał rozwiązać nie lada łamigłówkę, aby odczytać pomieszane, pozbawione numerów strony w prawidłowej kolejności. Ponoć do dziś nie wszystkim się to udało...Niewątpliwie skandalem jest świadome przekazanie do sprzedaży ewidentnego bubla. Cóż, Fun Media słynie z takich „przeróbek". Łatwo, bowiem dostrzec na przykład brak niektórych plansz w cyklu „Tomb Raider"...

Gry komputerowe



Najlepsze wydawnictwo

Nie ma żadnych wątpliwości, że laury należą się wydawnictwu CD Projekt. Najlepsza i najprężniej działająca polska firma dystrybucyjna nie tylko sprzedaje wspaniałe produkty (np. MORROWIND i NEVERWINTER NIGHTS), lecz wielką uwagę poświęca polskim lokalizacjom, które na rynku uchodzą za wzór (choć zdarzają się też przykre wpadki oraz błędy). Poza tym CD Projekt konsekwetnie stosuje życzliwą odbiorcy politykę cenową, a także przygotowuje fantastyczne wydania specjalne swych starszych produktów. Nagroda za konsekwencję w działaniu, jakość oferty i umiejętność poruszania się na trudnym rynku. Trudno też nie zauważyć, że to właśnie CD Projekt wykupił niedawno prawa do realizacji gry komputerowej „Wiedźmin". Co z tego wyjdzie nie wiadomo, ale sama inicjatywa godna jest pochwały.

Najlepsza gra

Typując MEDIEVAL: TOTAL WAR na najlepszą grę wydaną w roku 2002 popełniam lekkie nadużycie. Bowiem nie jest to science-fiction, fantasy lub horror, lecz program pozwalający na uczestniczenie w wielkich wydarzeniach średniowiecza i stworzenie własnej, alternatywnej historii Europy. Kapitalnie przygotowane opcje polityczno-gospodarcze oraz rewelacyjna część bitewna (walki wielotysięcznych wojsk na trójwymiarowym terenie) czyni z tego programu jedną z najciekawszych gier w historii gatunku. MEDIEVALA nie mogą nie poznać miłośnicy historii, a i miłośnicy fantastyki znajdą tu coś dla siebie (niech żyje Polska od Portugalii po Gruzję!).

Skandal

Działalność wydawnictwa LEM wiele osób od lat obserwuje z niedowierzaniem. W jaki sposób ustalając tak wysokie ceny i stosując tak nędzną politykę marketingową, można jeszcze trzymać się na rynku? Czarę goryczy przelała kropla pod tytułem MEDIEVAL: TOTAL WAR. Nie dość, że ta rewelacyjna gra (numer 1 wszech czasów na liście prestiżowego miesięcznika PC Gamer) była potwornie droga, to LEM sprowadził początkowo do Polski śladowe jej ilości (chyba firma sama nie wierzyła, że w takiej cenie jest w stanie sprzedać więcej niż kilkaset sztuk produktu). W efekcie przez wiele miesięcy gracze zmuszeni byli do kupowania wydań pirackich, gdyż sprzedawcy w sklepach z grami tylko rozkładali bezradnie dłonie, twierdząc, że dystrybutor nie dostarcza im tytułu. Jednocześnie firma LEM zabawiała się nachalnym promowaniem jakiegoś crapu pod tytułem MODI I NANNA (sam dostałem na ten temat chyba kilkaset maili). To właśnie takim firmom jak LEM zawdzięczamy, że rynek piracki w Polsce ma się świetnie. Bo jeśli nie można, mimo najszczerszych chęci, kupić programu oficjalnie, to co robić?!





Film

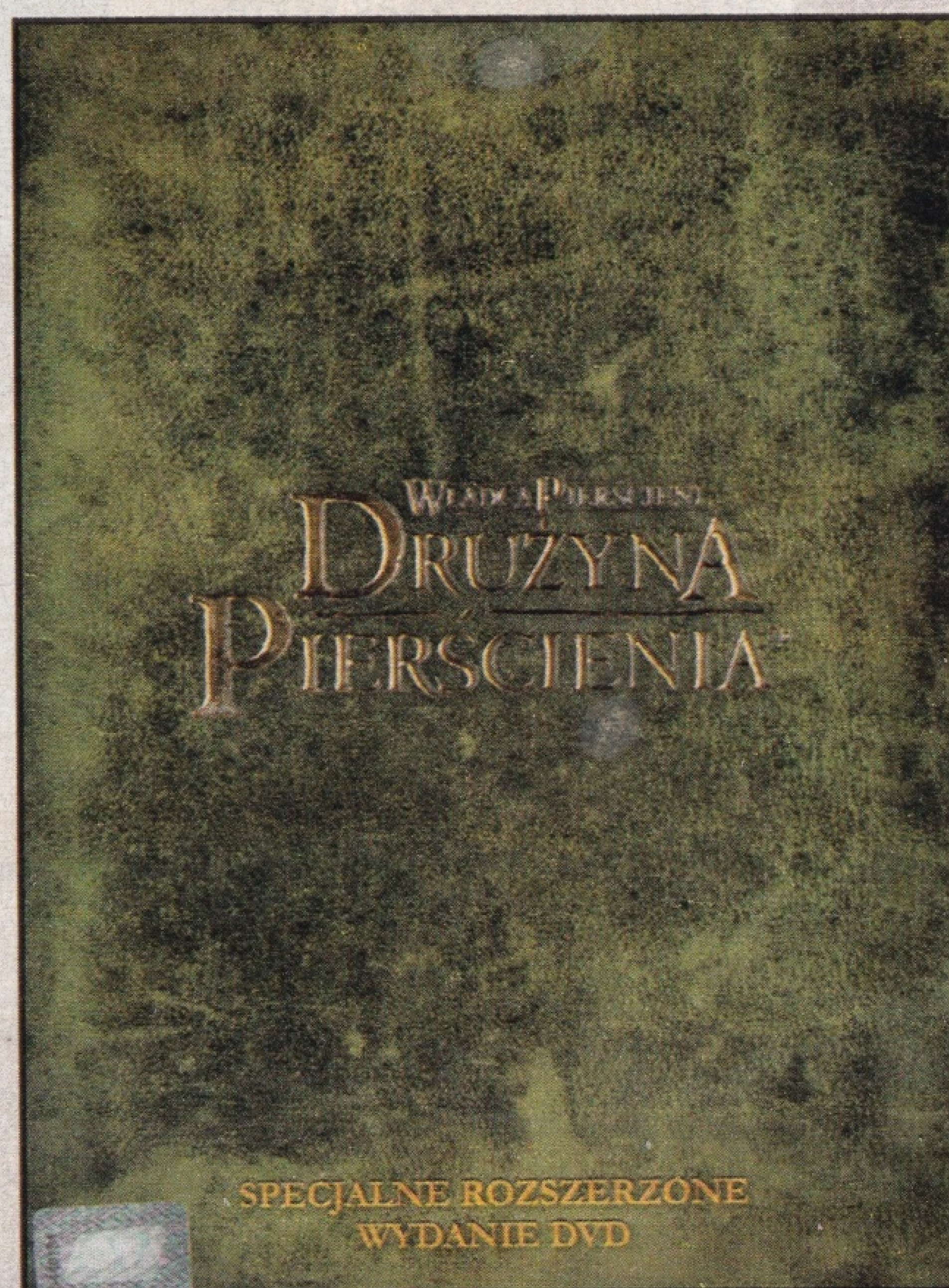
Najlepszy film kinowy

Gdybyście przeczytali tu inny tytuł niż „Władca Pierścieni: Drużyna Pierścienia", to nastąpiłaby lekka konsternacja, prawda? A więc nie przeczytacie! Laury należą się właśnie produkcji Petera Jacksona – reżysera, po którym chyba nikt nie spodziewał się niczego dobrego. Tymczasem ten nowozelandzki twórca (hollywoodzka czwarta liga) przygotował dzieło imponujące rozmachem i efektami specjalnymi, a co ważne, jedynie w minimalnym stopniu odchodzące od książkowego oryginału. „Władca Pierścieni" bił w Polsce rekordy popularności i został zaakceptowany nawet przez większość fanatycznych wyznawców twórczości Tolkiena.



Najlepszy film DVD

Nie ma innego wyjścia, jak złożyć czołobitny hołd przed czteropłytowym wydaniem filmu „Władca Pierścieni: Drużyna Pierścienia", dystrybuowanym w Polsce przez Warner Home Video. Miłośnicy Tolkiena oraz Jacksona otrzymali produkt kompletny. Nie tylko sam film w wersji kinowej, ale również pół godziny akcji, która została wycięta przy montażu. Poza tym znajdziesz na płytach między innymi komentarze reżysera i aktorów, tajne dodatki, filmy dokumentalne opowiadające o Tolkienie, aktorach oraz tworzeniu samego obrazu, galerię kilku tysięcy rysunków oraz fotografii, a także interaktywną mapę Śródziemia i dokument z jednego dnia z życia hobbita. Kto nie dostał jeszcze tego wydania na Gwiazdkę, niech weźmie kałacha i jedzie do Laponii policzyć się ze świętym Mikołajem.



Skandal

Dlaczego Francuzi, Amerykanie, Anglicy i reszta cywilizowanego świata mogli obejrzeć pierwszą część „Władcy Pierścieni" przed Gwiazdką 2001, a drugą przed Gwiazdką 2002? I dlaczego nam pokazano ten film wtedy, kiedy cały świat już od długich tygodni o nim dyskutował? Jeśli nie wiesz, spytaj panów z firmy Warner Bros Poland. To oni są odpowiedzialni za ten niewiarygodny i oburzający skandal.

Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer

Stephen King, pisarz, który stał się odnowicielem gatunku literackiego horroru i symbolem komercyjnego sukcesu, to człowiek znany na całym świecie. Jednocześnie stanowi idealny przykład ziszczenia amerykańskiego snu – utalentowany chłopak z biednej, rozbitej rodziny, który mimo piętrzących się na jego drodze przeszkód triumfuje. Potem zresztą powtarza podobny scenariusz po raz drugi – i znów zwycięża.

Stephen King The Real American Dream

Tekst: Paweł Ziemkiewicz

Bieda

Początki były ciężkie. Wychowywany wraz ze starszym bratem Dave'em przez samotną, nieco ekscentryczną matkę, w dzieciństwie dużo chorował. Rodzina nie miała pieniędzy, przenosiła się też z miejsca na miejsce, aż w końcu rodzeństwo matki, zakłopotane nieco całą sytuacją, umieściło ją w domku w Durham, gdzie zajęła się opieką nad zniedołężniałymi rodzicami. I tam już zostali, tam też King skończył szkołę i – dorabiając w fabryce – poszedł na studia w pobliskim Lisbon Falls. Właśnie na uniwersytecie poznał swą przyszłą żonę, Tabithę – razem pracowali w bibliotece.

Co mógł robić po studiach anglista bez grosza przy duszy? Oczywiście uczyć. Tyle, że z początku, nie mogąc znaleźć pracy, młody małżonek King pracował w pralni przemysłowej, dorabiając sobie od czasu do czasu opowiadaniami drukowanymi przez pisma dla panów, za które otrzymywał skromne honoraria.

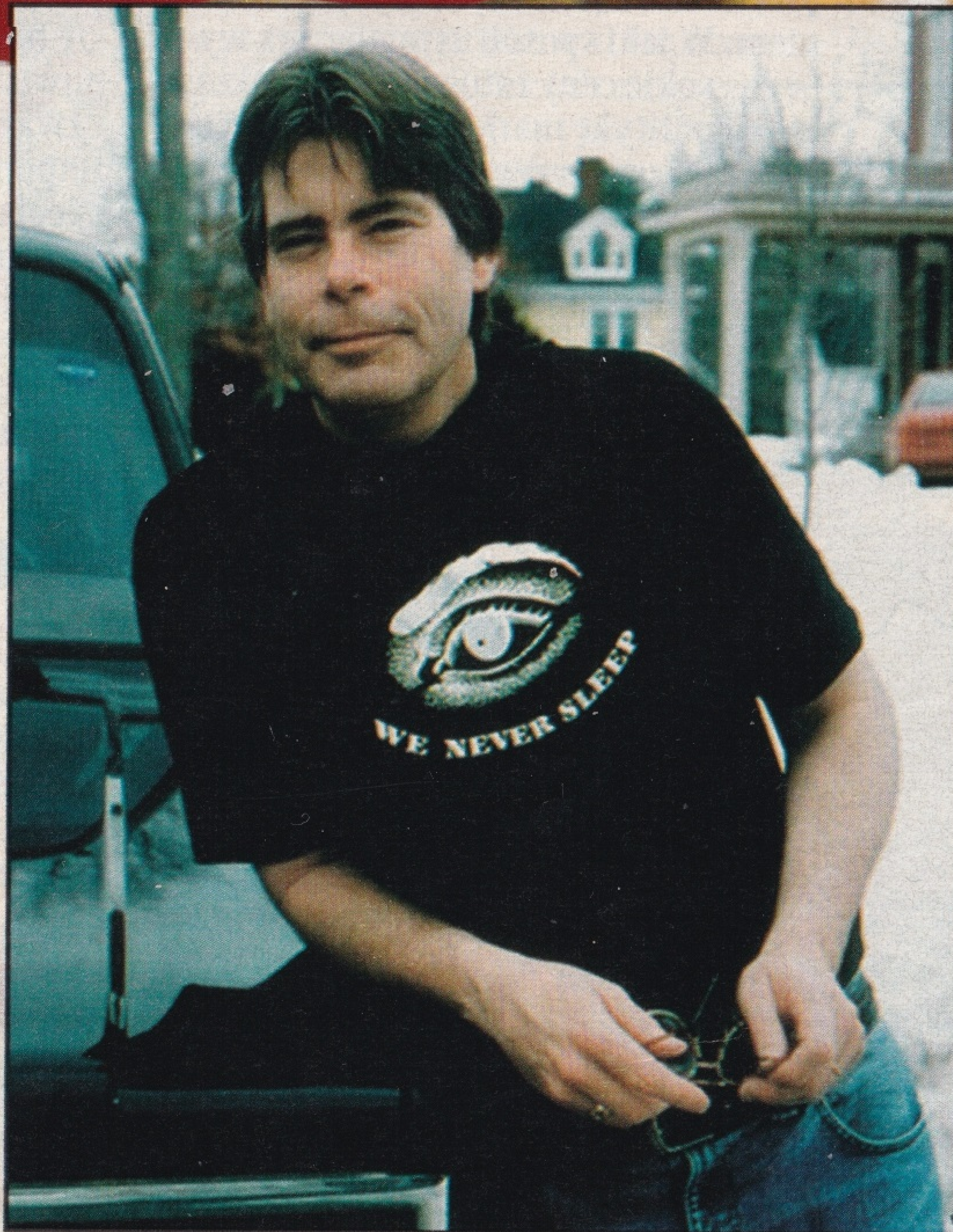
W 1971 roku Stephen zdobył posadę nauczycielską w liceum w Hampden w stanie Maine. Kingowie mieli już dwójkę dzieci i wiodło im się bardzo kiepsko, choć od czasu do czasu domowy budżet nadal zasilały skromne honoraria za opowiadania. Kolejnym takim opowiadaniem miała się stać historia Carrie White, prześladowanej w szkole, wyalienowanej nastolatki, lecz jak wspomina sam autor, nie czuł się z tą opowieścią pewnie i po zapisaniu kilku stronic przerwał pracę, a rękopis wyrzucił. Jego żona wyciągnęła tekst z kosza, przeczytała i zażądała, by kontynuował pisanie.

Pierwszy sukces

„Carrie" stała się pierwszym bestsellerem Kinga i odmieniła jego życie. Jednak w żadnym razie nie można jej nazwać debiutem, chyba że wydawniczym. Wcześniej napisał już do szuflady parę powieści i całe mnóstwo opowiadań. W istocie pisał od dzieciństwa, a pierwsze teksty zaczął posyłać do pism jako czternastolatek. Pisał także do gazetek szkolnych, wydawanych wspólnie z bratem, a nawet profesjonalnego pisma lokalnego (gdzie przygotowywał komentarze sportowe!). Po sukcesie „Carrie" (prawa do jej wydania w miękkiej oprawie zostały sprzedane za oszałamiającą jak na owe czasy sumę czterystu tysięcy dolarów – a pamiętajmy, że w roku 1973 było to znacznie więcej, niż obecnie, choć teraz też pieniądze to niemałe) King mógł już porzucić uczenie i zająć się wyłącznie pisaniem.

Mroczna połowa

Happy end? Niekoniecznie. Stephen już wcześniej przejawiał skłonności do alkoholu. Powoli stawał się nałogowcem. W miarę jak jego kariera rozwijała się, a sława



rosła, uzależniał się coraz bardziej. Do alkoholu dołączyły narkotyki. Jak sam wspomina, istnieją teksty – choćby powieść „Cujo" – których pisania w ogóle nie pamięta. W innych – „Lśnieniu", „Tommyknockers", „Misery" – z łatwością można doszukać się odniesień do niszczącego wpływu narkotyków i alkoholu na życie i twórczość pisarską. Przed niechybną katastrofą uchroniła go rodzina, stawiając ultimatum – odwyk albo rozstanie. Jak w porządnym amerykańskim filmie biograficznym – po upadku na dno nastąpił wzlot: King powrócił. Już jako abstynent, odzyskał formę pisarską i po kilku wyraźnie słabszych (jak na niego, kiepskimi bowiem w żadnym razie nazwać ich nie można) książkach wydał serię powieści, które zyskały uznanie nie tylko czytelników, ale i krytyki.

Śmierć kliniczna

Kolejny raz Stephen King trafił na czołówki gazet dziewiętnastego czerwca 1999, kiedy to podczas spaceru uderzyła w niego rozpędzona furgonetka, której kierowca stracił panowanie nad wozem. Z początku obawiano się, iż pisarz nie przeżyje – odniósł bardzo poważne obrażenia i niemal cudem uniknął śmierci. Po trudnej i bolesnej rehabilitacji powrócił do pisania. Obecnie coraz częściej wspomina o tym, że zamierza zakończyć karierę, jednak znając jego przeszłość i pasję pisania, trudno w to jakoś uwierzyć.

Najbardziej wyczekiwanymi książkami Kinga są dalsze tomy „Mrocznej wieży". Autor zapowiada, że cykl ten powiąże w jedną całość cały jego dorobek pisarski (uważni czytelnicy rzeczywiście dostrzegą mnóstwo elementów łączących poszczególne powieści). Na razie pozostaje nam czekać i cieszyć się tym, co mamy.

Eksperymenty

Warto przypomnieć pewne wydarzenie, które w znaczący sposób podważyło wiarygodność ocen krytyków dotyczących twórczości Kinga. Otóż King jest pisarzem płodnym. Na początku kariery został jednoznacznie zaszufladkowany jako autor grozy i jako taki świetnie się sprzedawał. Tymczasem miał w szufladzie powieści z czasów sprzed „Carrie", a także parę kolejnych, niepasujących zdecydowanie do jego oficjalnego wizerunku. Tak oto narodził się Richard Bachman – jego powieści to psychologiczne thrillery lub ponure dystopie s-f – które zdobył sobie pewne uznanie krytyki. Jeden z recenzentów wsławił się nawet opinią, iż „tak właśnie mógłby pisać Stephen King, gdyby potrafił pisać". Niestety, trafił z nią kiepsko, bo akurat wtedy King postanowił się ujawnić i „zabić" swoje alter ego. Co zresztą nie przeszkodziło mu lata później wskrzesić Bachmana jako autora „Regulatorów" – jednej (wraz z „Desperacją") z pary uzupełniających się powieści, traktujących o tych samych wydarzeniach i bohaterach.

„Regulatorzy" i „Desperacja" to niezwykły eksperyment pisarski, lecz nie jedyny w karierze Kinga. W końcu to właśnie on, jako pierwszy ze znanym nazwiskiem, rozpoczął bezpośrednią publikację w Sieci. „Moi przyjaciele... Mamy szansę stać się największym koszmarem wydawców", napisał na swej stronie, przedstawiając czytelnikom pierwszy odcinek opowiadania „The Plant". Doświadczenie jednak nie zakończyło się sukcesem, co oczywiście nie znaczy, że King zrezygnuje – z pewnością wymyśli coś nowego.

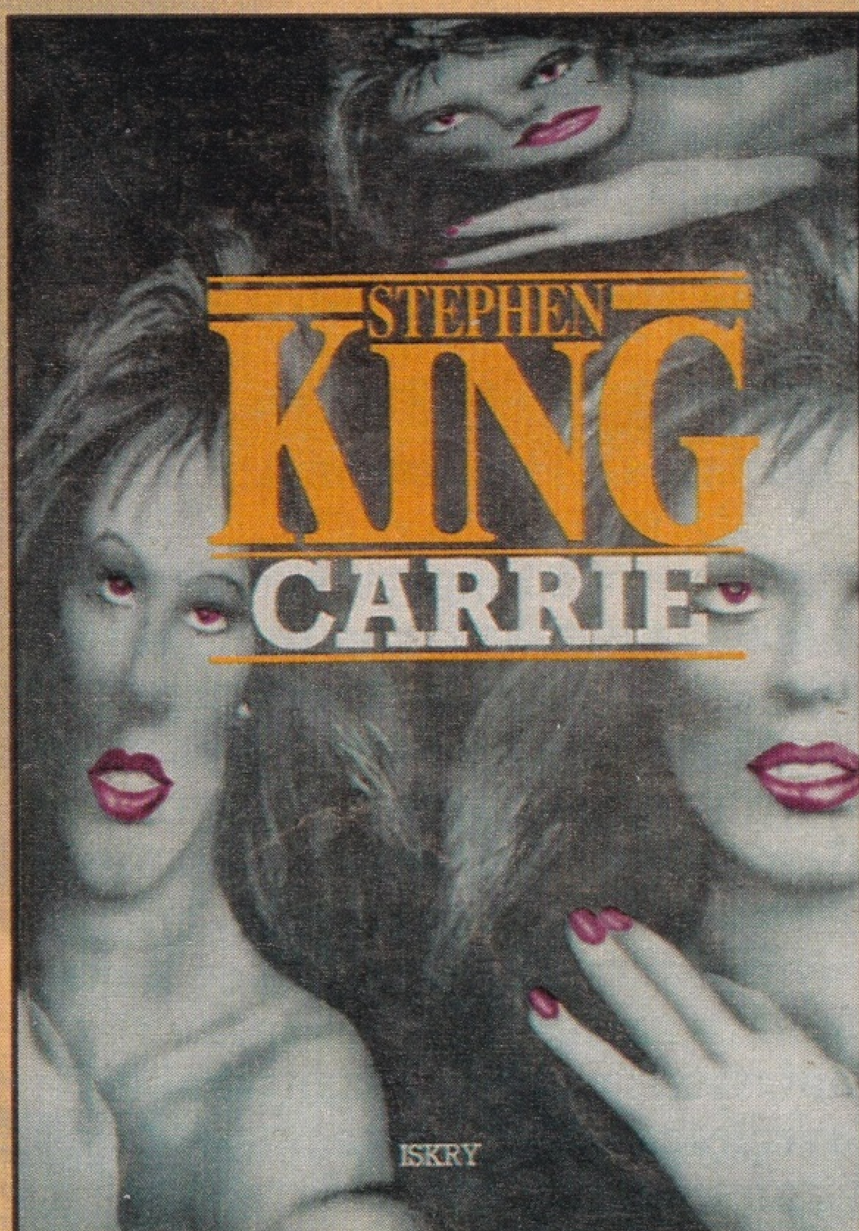
Dlaczego King?

Skąd jednak właściwie wziął się ów wielki sukces? Przecież powieści grozy, choć popularne, nigdy wcześniej nie stawały się takimi bestsellerami – w istocie autor specjalizujący się w grozie mógł w najlepszym razie liczyć na dość skromne życie, a opinię wśród krytyków miał zszarganą na zawsze. Oczywiście część odpowiedzi stanowi szczęście. King trafił akurat we właściwy czas. Przemówił do pokolenia Amerykanów wychowanych na makabrycznych komiksach EC, filmach w kinach dla zmotoryzowanych, prostym rock'n'rollu i naiwnej filmowej fantastyce. Nie przypadkiem w tak wielu jego książkach pojawiają się reminiscencje z owych czasów – dla Ameryki był to bowiem ostatni okres niewinności przed rozpowszechnieniem się narkotyków, przed krwawymi wojnami ulicznych gangów i gwałtowną brutalizacją kultury masowej. Sam King nigdy nie ukrywa swych popkulturowych korzeni i powiązań, a nawet więcej – jest z nich dumny. I choć często stawał się obiektem krytyki, nie wydaje się szczególnie tym przejmować.

Książki

Carrie

(Carrie), 1974.



Pierwsza opublikowana powieść Kinga. Historia zahukanej, nieatrakcyjnej nastolatki, wychowanej przez surową matkę-fanatyczkę religijną i prześladowanej w szkole. Książka zasłużenie zyskała ogromne powodzenie. King udowadnia w niej, że ma doskonały zmysł obserwacji amerykańskiej małomiasteczkowej rzeczywistości. Mimo iż – jak sam twierdzi we wspomnieniach – pisząc „Carrie", nie czuł się pewnie, bo środowisko nastoletnich dziewcząt było mu z oczywistych względów obce. No i temat, jakże bliski sercu każdego. Kto bowiem tak naprawdę w głębi duszy nie marzy czasem, by odkryć w sobie potężną moc i pokazać tym wszystkim s... synom, gdzie raki zimują.

Miasteczko Salem

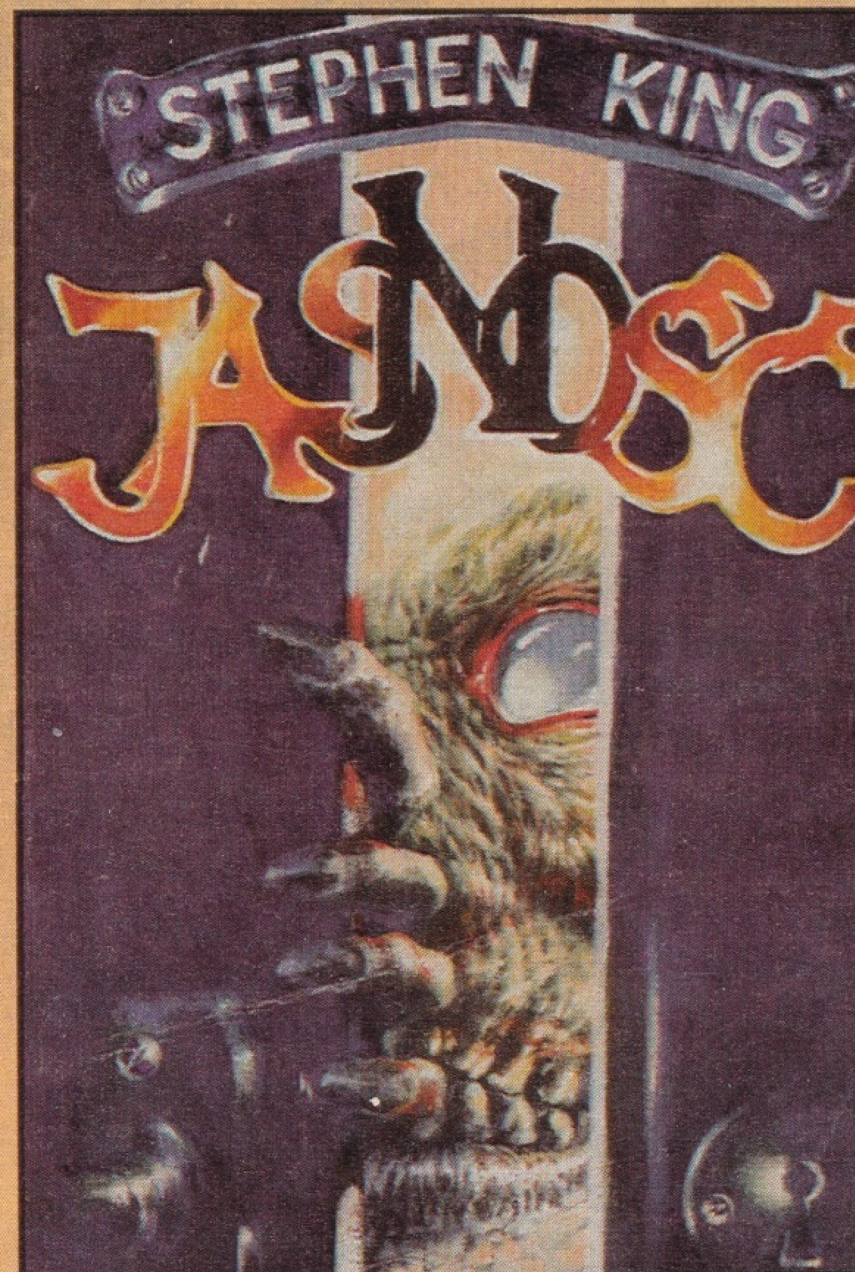
(Salem's Lot), 1975.

Współczesny Dracula w realiach ulubionego przez Kinga stanu Maine. Do tytułowego miasteczka przyjeżdża pisarz, który w tej mieścinie spędził dzieciństwo. Fascynujący go od dawna nawiedzony dom zostaje znów wynajęty. Potem zaś zaczynają ginąć ludzie... King zabawia się tu znanymi archetypami grozy – Złego Miejsca i wampirów jako zarazy, tworząc bardzo klasyczny horror. Bohater to pierwszy z serii Kingewskich pisarzy, któremu przychodzi zmagać się z rzeczywistymi koszmarami. Przez lata autor obiecywał, że powróci do tematu i stworzy kontynuację „Miasteczka Salem", lecz w końcu uznał, że minęło już zbyt wiele czasu. Szkoda.



Jasność/Lśnienie

(The Shining), 1977.



Leczący się z choroby alkoholowej pisarz (kolejny!) – Jack Torrance – dostaje wymarzoną pracę. Wraz z rodziną ma przez całą zimę doglądać położonego w górach hotelu Panorama. Kompletne odcięcie od świata, spokój, towarzystwo bliskich – wszystko to ma mu pomóc w dojściu do ładu z samym sobą i powrocie do pisania. Hotel jednak jest nawiedzonym budynkiem i jego wpływ na bohatera staje się coraz bardziej zgubny.

„Lśnienie" (w pierwszym polskim wydaniu „Jasność") to jedna z najbardziej znanych powieści Kinga – w czym niemała zasługa adaptacji filmowej Kubricka, z rewelacyjną rolą Jacka Nicholsona. Sama książka także jest godna uwagi – narastająca klaustrofobia, pogrążanie się Jacka w chorobie, rozpaczliwa desperacja jego żony Wendy, nadprzyrodzone zdolności niezwykle wrażliwego dziecka – wszystko to bardzo mocno przemawia do czytelnika.

Bastion

(The Stand), 1978.

Gigantyczna (tak pod względem rozmachu, jak i rozmiarowo) historia zagłady znanego nam świata. Śmiercionośny wirus grypy, uwolniony przypadkiem z wojskowego laboratorium, zabija niemal całą ludzkość. Niedobitki próbują odbudować cywilizację. Skupiają się wokół dwóch postaci-symboli, a tym samym każdy z nich dokonuje ostatecznego wyboru pomiędzy dobrem, a złem. I wszyscy wiedzą, że wcześniej czy później musi dojść do walki. „Bastion" to powieść fascynująca, może też jednak czytelnika zmęczyć wielością bohaterów oraz poplątaniem wątków. Długa, nawet jak na Kinga, miejscami wydaje się nieco nużąca, aczkolwiek wielbiciele pisarza mogą być usatysfakcjonowani. Z całą pewnością nie należy od tej pozycji rozpoczynać przygody z Kingiem.

Strefa śmierci

(The Dead Zone), 1979.

Młody człowiek, Johnny Smith, wpada w śpiączkę po wypadku samochodowym. Kiedy budzi się po pięciu latach, odkrywa, że dotykając kogoś, może odczytać jego przyszłość. Pomaga przypadkowym ludziom i policji, aż w końcu poznaje kandydata na prezydenta i odkrywa straszną przyszłość, jaka czeka świat pod jego rządami. Film stawia pytanie z gatunku: gdybyś mógł cofnąć się w czasie, to zabiłbyś Hitlera, kiedy był dzieckiem? Tytuł powieści, narzucony przez wydawcę, brzmi myląco, ponieważ w istocie chodzi tu o „martwą strefę", czyli miejsce w mózgu, które jest odpowiedzialne za wizje Smitha.

Podpalaczka

(Firestarter), 1980.

Bardziej s-f niż typowy horror. Badania nowego narkotyku, przeprowadzane na nieświadomych ryzyka studentach, rozwijają u części z nich zdolności parapsychiczne. Dwójka uczestników eksperymentu pobiera się i rodzi im się dziecko, które natychmiast wzbudza zainteresowanie tajnej komórki służb specjalnych. Dziewczynka jest bowiem podpalaczką – ma ogromne (i stale rosnące) zdolności pirokinetyczne. „Podpalaczka" jest lekturą stosunkowo lekką i, jak na Kinga, rozrywkową. Mocny Kingowski stan średni. Tu zło pochodzi wyłącznie od ludzi, brak w nich elementu nadprzyrodzonego. Straszne jest tylko to narzekanie amerykańskich pisarzy na niedobre służby specjalne. Gdyby nie one, to King dawno nazywałby się towarzysz Kinganow i był obywatelem ZSRR;).

Cujo

(Cujo), 1981.

Raczej thriller niż horror. Opowieść o szczęśliwej rodzinie, w której zdarza się tragedia. Ich ukochany pies zostaje zarażony wścieklizną i zmienia się w szalonego mordercę. W kulminacyjnym momencie osacza głównych bohaterów zamkniętych w samochodzie... „Cujo" to ucieleśnienie koszmarów każdego właściciela zwierząt – wizja przyjaciela, który staje się śmiertelnym zagrożeniem. Sama powieść raczej tylko dla fanatycznych miłośników Kinga.

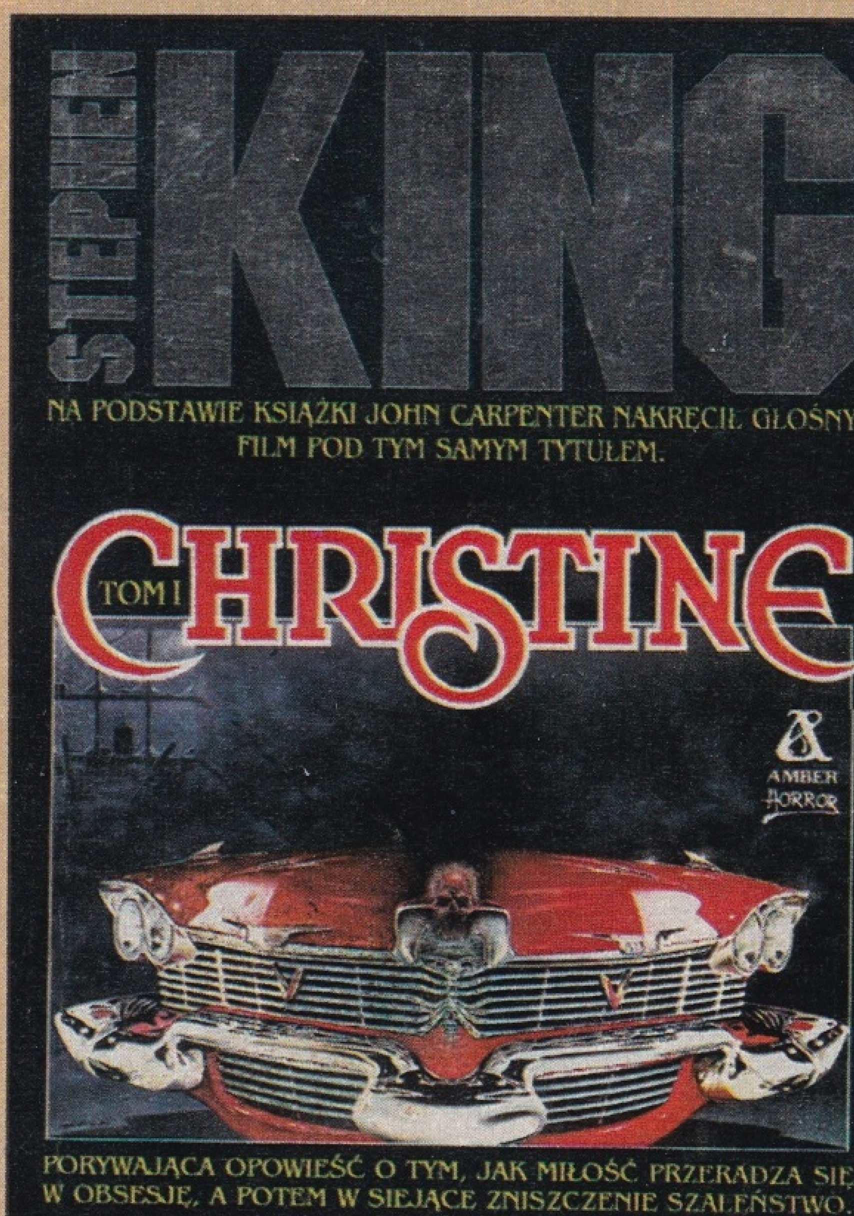
Cykl Mroczna wieża

(Roland, Powołanie trójki, Ziemie Jałowe).

Opowieść będąca połączeniem fantasy i horroru. Głównym bohaterem jest rewolwerowiec Roland podróżujący po apokaliptycznym świecie, gdzie nie istnieje już ludzka cywilizacja w znanej nam postaci. W pewnym momencie Roland uzyskuje możliwość kontaktu z naszą rzeczywistością. Ciekawy cykl, ale niewiarygodnie przegadany. Redaktorzy Kinga powinni zaopatrywać się w ostre i duże nożyce.

Christine

(Christine), 1983.

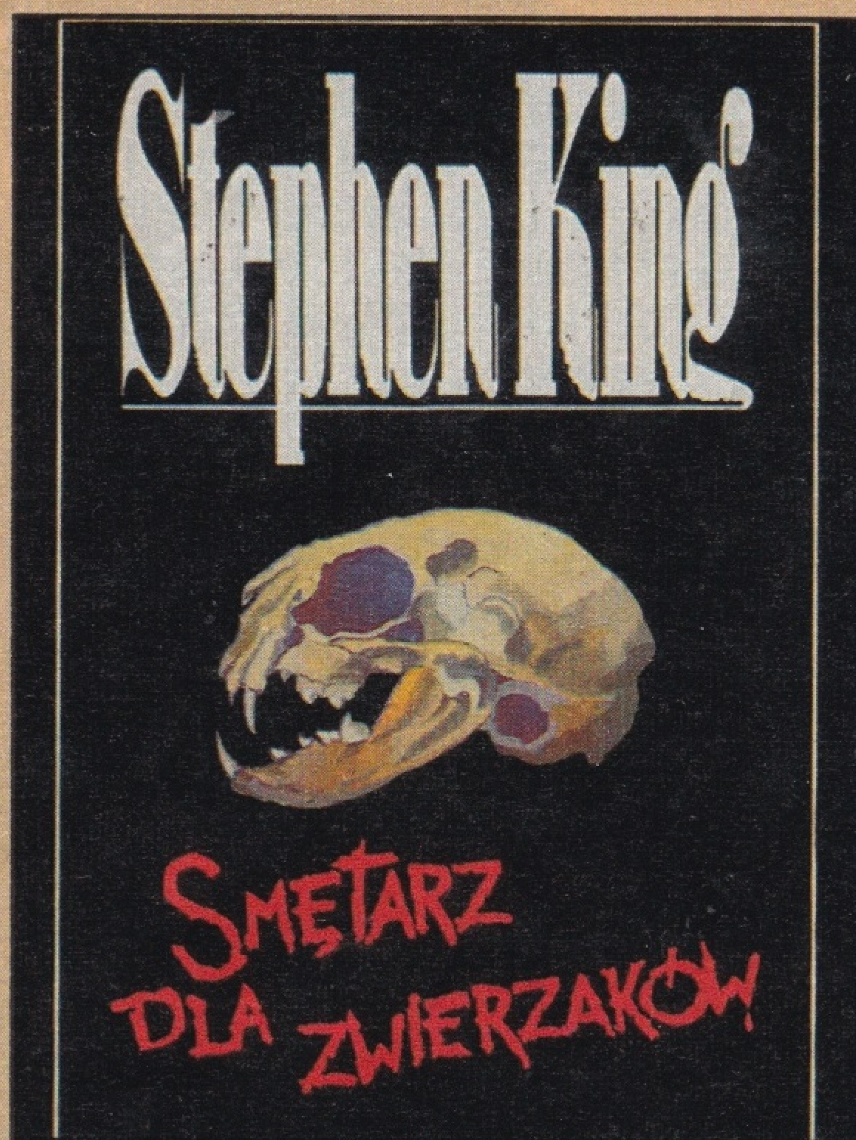


Opowieść o życiu nastolatków. Zakompleksiony Arnie znajduje stary samochód na sprzedaż i wbrew wszystkim postanawia go kupić. Remontując Christine (tak nazywa samochód), zyskuje na pewności i zmienia się w innego człowieka. Jednak nie są to zmiany na lepsze, a głównym ich powodem jest opętany przez diabła morderczy samochód. W każdej książce Kinga widać jego amerykańskość, ale nawet wśród nich Christine jest ucieleśnieniem amerykańskości. Chłopiec i jego wóz... Dla nas to nieco abstrakcyjne, ale jako horror sprawdza się całkiem całkiem.

Smętarz dla zwierzaków / Cmętarz zwieżąt

(Pet Sematary), 1983.

Szczęśliwa młoda rodzina – ojciec, matka, dwoje dzieci i kot – wprowadza się do nowego domu. Wkrótce dowiadują się od sąsiada, że w sąsiadujących z domem lasach kryje się stary cmentarz zwierząt, na którym dzieci z okolicy od dawna grzebią zmarłych ulubieńców. Potem jednak ojciec rodziny, doktor Creed, trafia na cmentarz za cmentarzem – mroczne miejsce, na którym zmarli ożywają. Raz zapoczątkowaną serię niełatwo zakończyć, bo Złe Miejsce pragnie coraz więcej. Cmętarz (tytuł pochodzi od dziecięcej pisowni tych słów) to naprawdę przerażający horror



i jedna z najlepszych książek Kinga. Z początku akcja toczy się leniwie, ale elementy grozy pojawiają się wcześnie, stanowiąc ostrzeżenie przez nieuchronnie nadciągającym szaleństwem.

Talizman

(The Talisman), 1984, (z Peterem Straubem). Czarny dom (Black House), 2001, (z Peterem Straubem).

Połączenie fantasy i grozy, z tym, że pierwsza książka należy do gatunku fantasy, a druga do literatury grozy. To dwie opowieści o Jacku Sawyerze (w pierwszej jest nastolatkiem, zaś w drugiej już dorosłym mężczyzną) i jego odwiedzinach w fantastycznej krainie zwanej Terytoriami.

W „Talizmanie" młody Jack poszukuje mistycznego artefaktu, który może ocalić jego matkę (i jej odpowiednik ze świata alternatywnego). W „Czarnym domu" już jako dorosły prowadzi śledztwo w sprawie seryjnego mordercy dzieci. Zarówno jedno, jak i drugie poszukiwanie prowadzi do świata Terytoriów (znanego także czytelnikom cyklu „Mroczna wieża" Kinga). Truizmem byłoby stwierdzenie, że King i Straub umieją pisać, i to nawet razem. Obie książki są zajmującą lekturą, ale stanowczo należy zachować kolejność czytania, gdyż „Czarny dom" wymaga znajomości części pierwszej.

To

(It), 1986.

Opowieść o przyjaźni i dorastaniu, a także o upiorach amerykańskiej małomiasteczkowej historii i rzeczywistości. Akcja rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych – w roku 1958, okresie dzieciństwa bohaterów, i w latach współczesnych, kiedy zło, z którym walczyli, znów powraca. I teraz, jako dorośli, muszą stawić mu czoło, by zakończyć pasmo nieszczęść i gwałtownych wydarzeń nękających miasteczko Derry (leżące, rzecz jasna, w stanie Maine). „To" uznawane jest również za jedną z lepszych powieści Kinga. Pojawia się tu kilka jego ulubionych motywów – postać pisarza, odrzucenie z dzieciństwa, złe miejsce. Jednak powieść wydaje się mocno przegadana. Przeszło tysiąc stron, mnóstwo wątków i bohaterów... Nożyce!

Oczy smoka

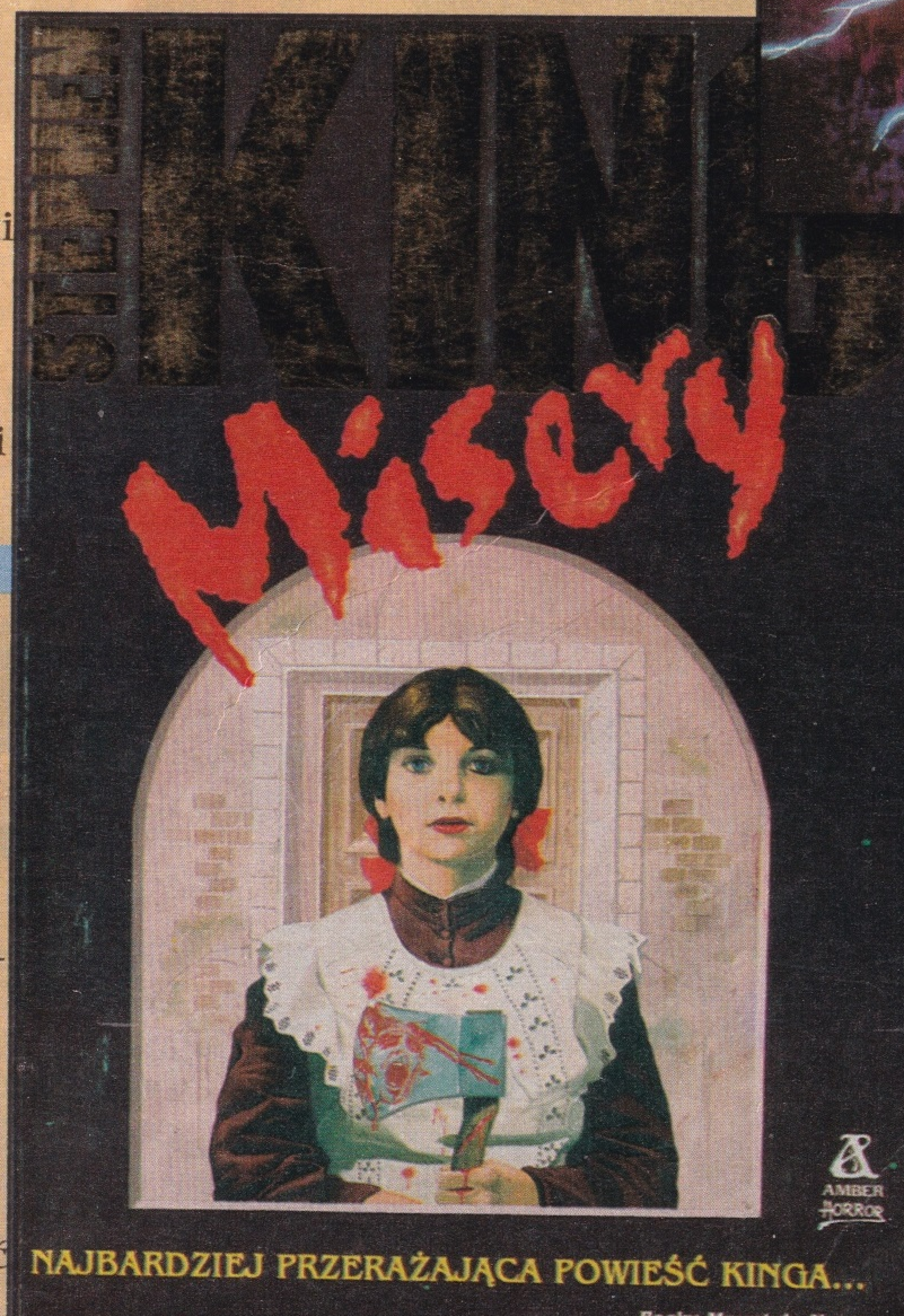
(The Eyes Of The Dragon), 1987

Nietypowa dla Kinga powieść fantasy w klasycznym wydaniu. W magicznym królestwie ginie król. O jego otrucie zostaje oskarżony starszy syn Piotr. W istocie jednak to sprawka złego czarnoksiężnika Flagga, który obejmuje władzę, kierując zazdrosnym o brata młodszym królewiczem Tomaszem. To podejście Kinga do fantasy nie należy do udanych. Dość przeciętna lektura może zainteresować głównie młodszych wielbicieli gatunku oraz Kingologów, którzy z radością dowiedzą się czegoś więcej o tajemniczym Flaggu (pojawiającym się również w „Bastionie" i „Mrocznej wieży").

Misery

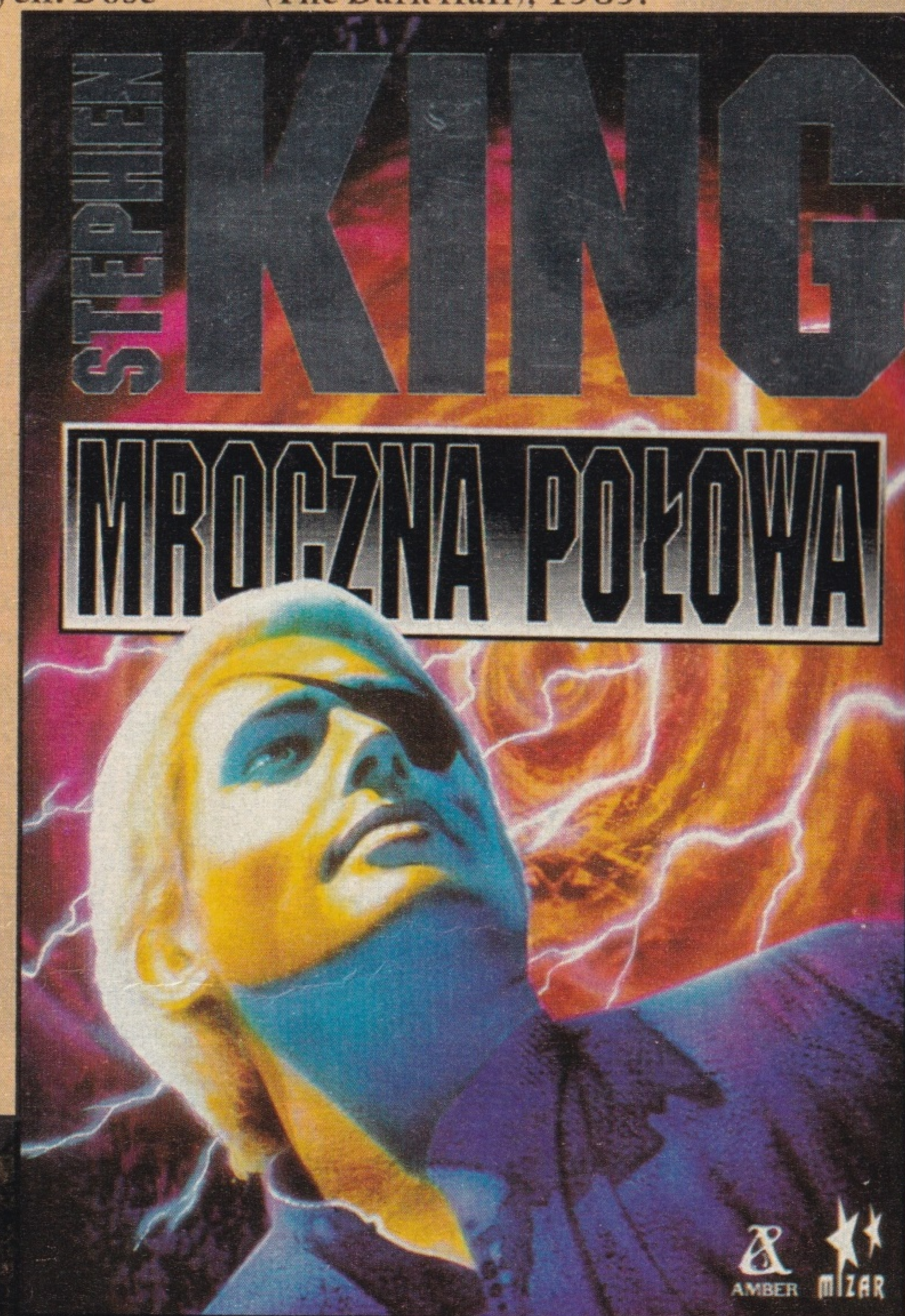
(Misery), 1987.

Pisarz, Paul Sheldon, robi niezwykłą karierę, publikując serię historycznych romansów o przygodach uroczej Misery. Jednak zmęczony bohaterką i powodzeniem powieściowej serii decyduje się na jej uśmiercenie. Jeszcze przed wydaniem ostatniej książki Sheldon przeżywa wypadek samochodowy, z którego ratuje go pielęgniarka, Annie Wilkes, ogromna fanka serii o Misery. Annie zabiera pisarza do własnego domu i zrozpaczona śmiercią ulubionej bohaterki każe ubezwłasnowolnionemu pisarzowi przywrócić ją do życia. Misery to świetny dreszczowiec, budzący miejscami naprawdę głębokie przerażenie, choć nie ma w nim elementów nadprzyrodzonych. Mamy jedynie szaloną (czytelnik dowiaduje się o tym wcześniej niż bohater) fankę i znękanego autora, który musi zrobić wszystko, by utrzymać się przy życiu. Dla Kinga zresztą – sam pisze o tym we wspomnieniach – jest to powieść autobiograficzna, ukazująca jego walkę z uzależnieniami. Bardzo dobra, dojrzała lektura, a przy tym czyta się ją jednym tchem.



Mroczna połowa

(The Dark Half), 1989.

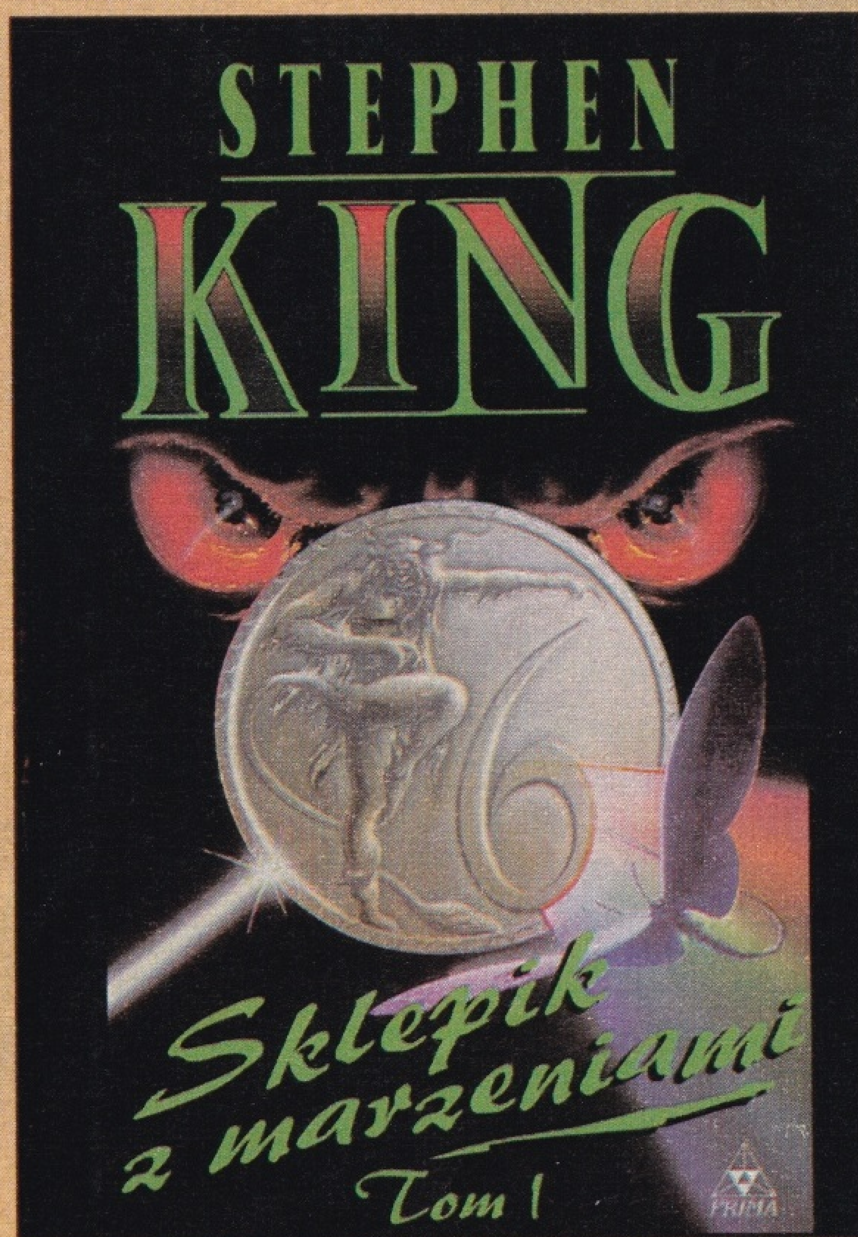


Kolejna powieść, której bohaterem jest pisarz. Tym razem autor cenionych powieści psychologicznych, Thad Beaumont, który pod pseudonimem George Stark pisze mało ambitne powieści sensacyjne. Okazuje się jednak, że Stark zyskuje własne życie... Nietrudno dostrzec tu silne akcenty osobiste. Lekceważenie autorów literatury popularnej, pewne rozdwojenie (King vs Bachman nie jest tak jaskrawym przypadkiem, ale jednak). Książka nie najwybitniejsza, ale ciekawa.

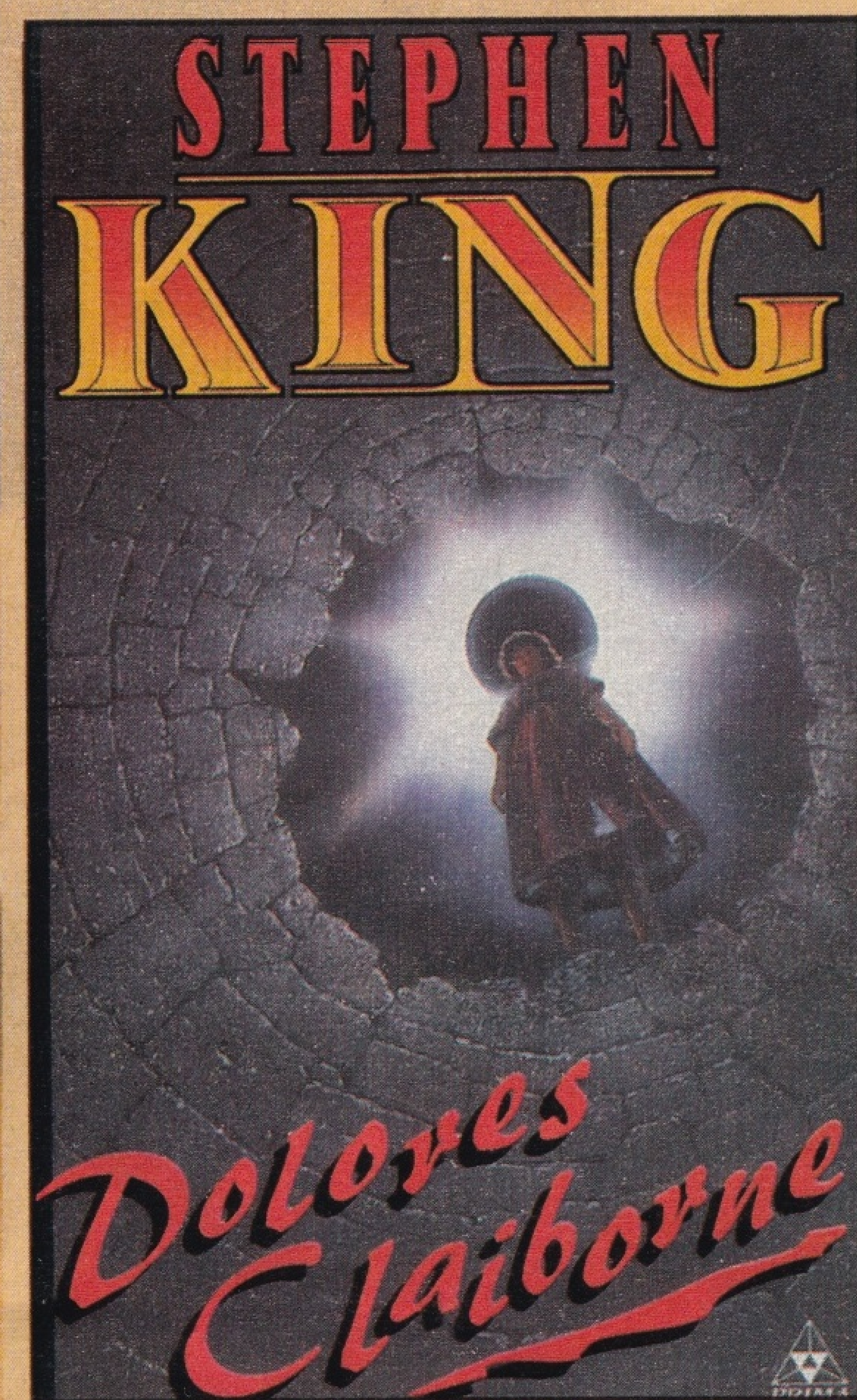
Sklepik z marzeniami

(Needful Things), 1991.

W małym miasteczku Castle Rock, w stanie Maine, pojawia się nowy mieszkaniec, ekscentryczny i elegancki Leland Gaunt. Wkrótce Gaunt otwiera antykwariat z używanymi rzeczami, w którym każdy kupujący może dostać to,



o czym zawsze marzył – piękny zestaw porcelany, kolekcjonerską kartę z autografem czy jakiś inny drobiazg. Trzeba tylko wyświadczyć drobną przysługę właścicielowi, np. wymazać błotem świeżo uprane pranie sąsiada, wybić komuś okno, otruć psa. Wkrótce w miasteczku zaczyna dochodzić do coraz większych konfliktów. Bardzo typowy, można rzec, klasyczny King. Pomysł, otoczenie, bohaterowie – wszystko jakże charakterystyczne dla tego pisarza. Górna strefa stanów średnich, miłośnicy z pewnością się nie zawiodą.



Dolores Claiborne
(Dolores Claiborne), 1992.

Powieść obyczajowa. Tytułowa Dolores Claiborne zostaje oskarżona o zamordowanie chlebodawczyni. Dolores składa na policji zeznanie, które zmienia się w spowiedź z całego życia. W czasie przesłuchania przyznaje się, że owszem popełniła zbrodnię, ale nie tę, o którą ją oskarżono. Jest to kolejna, zdecydowanie udana, wyprawa Kinga w świat mainstreamu. Dolores to książka świetna, trzymająca w napięciu i przejmująca. Jedno z najlepszych osiągnięć literackich Kinga.

Rose Madder
(Rose Madder), 1995.

Kolejna powieść obyczajowa z bardzo lekkimi elementami fantastyki. Tytułowa bohaterka jest kobietą w średnim wieku, która postanawia odejść od maltretującego ją w okrutny sposób męża i rozpocząć życie na nowo. Wyjeżdża do innego miasta, znajduje pracę i osobiste szczęście, lecz mąż postanawia ją odszukać i ukarać. Tymczasem Rose kupuje dziwny, magiczny obraz, który prowadzi do innej rzeczywistości. „Rose Madder" to rewelacyjne połączenie realizmu z fantastyką. Jednak, paradoksalnie, fantastyczne elementy powieści tylko osłabiają jej wymowę. W swojej części realistycznej jest to jednak jedno z najwybitniejszych i najbardziej wstrząsających studiów przemocy małżeńskiej, jakie powstało w światowej literaturze.

Zielona Mila
(The Green Mile), 1996.

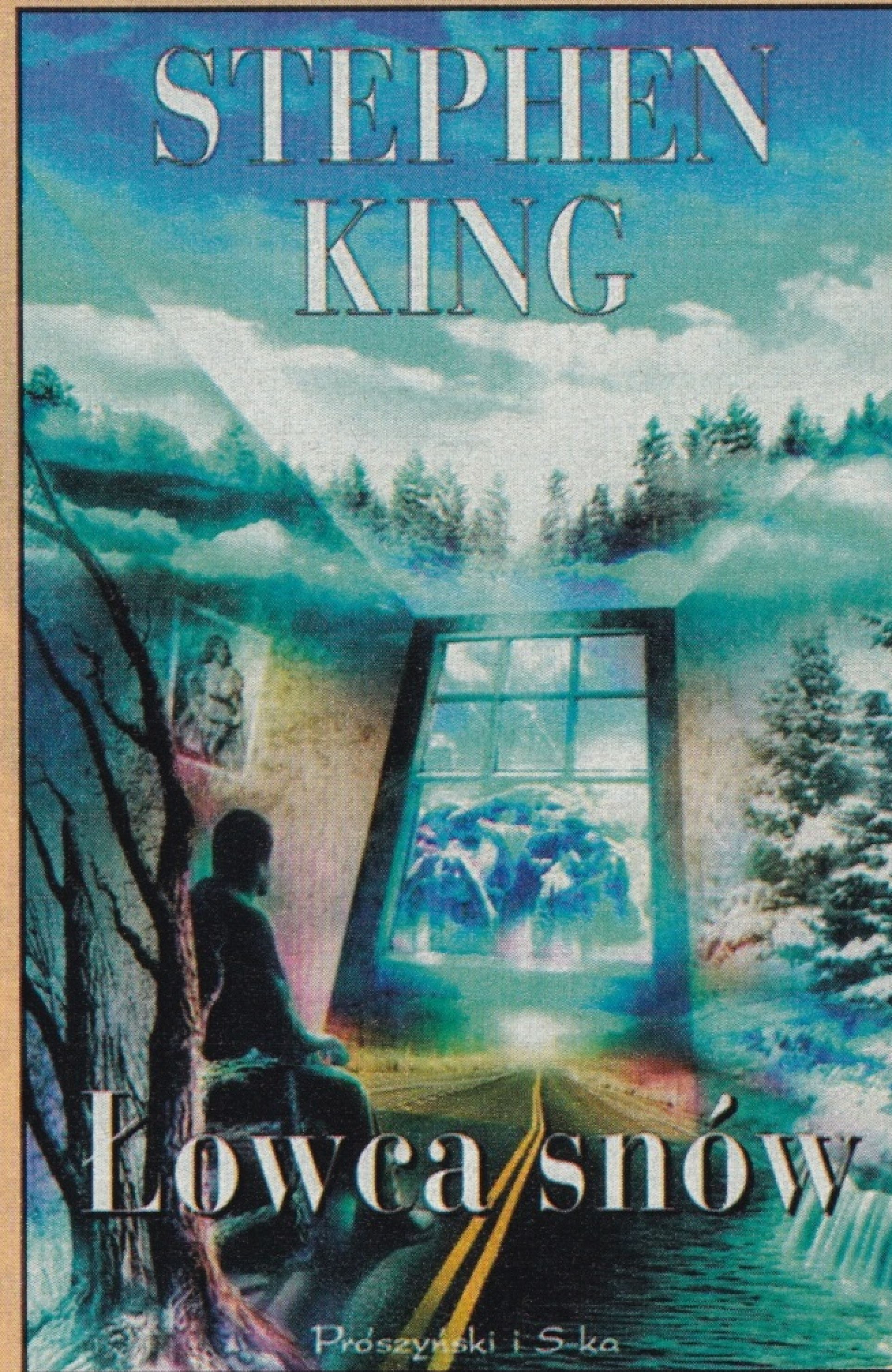
Tytułowa zielona mila to kawałek zielonej wykładziny, prowadzący z celi śmierci do komory gazowej. Akcja książki rozgrywa się w więzieniu, na oddziale skazanych na śmierć. Jeden ze skazańców to potężny Murzyn skazany za zamordowanie dwóch małych dziewczynek. Wkrótce okazuje się, że jest on obdarzony tajemniczą mocą uzdrawiania ludzi. Pierwotnie „Zielona Mila" ukazywała się jako specyficzna forma powieści w odcinkach – serii małych książeczek, przypominających dawne amerykańskie powieści groszowe. Książka okazała się naprawdę świetna, przejmująca i poruszająca. Nic, tylko brać i czytać!

Worek kości
(Bag of Bones), 1998.

Jeszcze jedna powieść, której bohaterem jest pisarz. Tym razem główny bohater przeżywa niemoc twórczą po tragicznej śmierci ciężarnej żony. Jednocześnie wpada na trop dziwnych wypadków, które miały miejsce przez kilkudziesięciu laty. I znów King w naprawdę dobrej formie. Worek kości to książka ponura i pod pewnymi względami nieco staroświecka. Jest to ukłon w stronę tradycyjnej literatury grozy. Ale też jest to prawdziwy horror, czyli dokładnie to, co przyniosło Kingowi sławę. Godna polecenia.

Łowca snów
(Dreamcatcher), 2001.

Powieść grozy wyraźnie nawiązująca do „To". Grupa przyjaciół z dzieciństwa wyjeżdża na zimowe polowanie. W lesie napotykają dziwnego myśliwego cierpiącego na tajemniczą chorobę. Od tego momentu zaczyna się lawina



dramatycznych wypadków ściśle powiązanych z wydarzeniami z dalekiej przeszłości. Kolejny powrót do Derry i kolejna powieść Kinga w dobrym, starym stylu. Choć nie dorównuje jego najlepszym osiągnięciom, to mieści się na półce tuż pod nimi.

POWIEŚCI RICHARDA BACHMANA

Wielki marsz
(The Long Walk), 1979

Świat alternatywnej przyszłości. Ray Garraty postanawia wystartować w najtrudniejszej konkurencji, jaką zna jego świat – tytułowym Wielkim Marszu. Uczestniczy w nim stu chłopców, a wygrywa tylko jeden – ten, który przeżyje. Upiorne zmagania pasjonują widzów, którzy zakładają się, kto dojdzie do nieistniejącej mety, a tymczasem kolejni zawodnicy tracą siły i odpadają z rozgrywki. Wielki marsz to wizja koszmarnego reality show, a także bardzo trafny psychologicznie obraz zmagań i analiza motywacji kierujących ludzkim postępowaniem. Choć to wczesna powieść, pozostaje nadal interesująca i wśród książek wydanych pod pseudonimem Bachman chyba najlepsza. Chociaż pseudofilozoficzne rozważania zawodników na setnym (i dalej) kilometrze (bo ciekawe, kto miałby ochotę gadać w czasie takiego marszu?) mogą budzić tylko uśmiech politowania.

Uciekinier
(The Running Man), 1982.

Powieść science fiction z gatunku dystopii. W roku 2025 Stany Zjednoczone to kraj potwornych kontrastów społecznych i majątkowych oraz wszechwładnej telewizji. Ben Richards, próbując zdobyć pieniądze na lecznie chorej córeczki, postanawia wystartować w najtrudniejszym reality show, tytułowym Uciekinierze. Dostaje do dyspozycji dwanaście godzin, a potem rozpoczyna się pościg. Richards wygra, jeśli zdoła przeżyć miesiąc i uniknąć zgrai zawodowych morderców. A jak dotąd nikomu się to nie udało. „Uciekinier" to fantastyczna powieść akcji. Podobno King napisał ją w kilka dni i istotnie, zawrotne tempo akcji zdaje się na to wskazywać. Czysta rozrywka, mówiąca wszak sporo o tym, dokąd zmierza kultura masowa.

Chudszy
(Thinner), 1984.

Horror z domieszką groteski. Groteskowe jest samo założenie – bohater, Billy Halleck, potrąca samochodem starą Cygankę i zostaje ukarany klątwą. W wyniku której... chudnie. Oto ziszczone marzenie wszystkich grubasów! Jednak powieści grozy zawsze ostrzegają przed spełniającymi się marzeniami. Halleck zaczyna wkrótce lękać się, iż chudnięcie może skończyć się dla niego tragicznie. Z początku trudno ten pomysł traktować poważnie (czymże jest chudnięcie wobec wampirów, nawiedzonych domów czy szalonych fanek?), ale King wie, co robi. Nie jest to może najwybitniejsza jego powieść, ale czyta się ją przyjemnie.

Regulatorzy
(The Regulators), 1996.

Uzupełnienie – no, może raczej osobliwe dopełnienie „Desperacji". Na spokojnej uliczce pojawia się pięć furgonetek, z których zaczynają padać strzały. Bardzo brutalna opowieść, w której pojawiają się bohaterowie „Desperacji" – jakby dwóch różnych autorów wzięło na warsztat podobny temat. Efekt ciekawy, choć powieść bardzo krwawa.

Zbiory opowiadań

- Nocna zmiana (Night Shift), 1978.
- Cztery pory roku /Skazani na Shawshank (Different Seasons), 1982.
- Szkieletowa załoga (Skeleton Crew), 1985.
- Czwarta po północy (Four Past Midnight), 1990.
- Marzenia i koszmary (Nightmares And Dreamscapes), 1993.
- Serca Atlantydów (Hearts in Atlantis), 1999.
- Wszystko jest względne: 14 mrocznych opowieści (Everything's Eventual), 2002.

Wszystkie wymienione tu książki to zbiory opowiadań, niektóre przekrojowe, inne złożone z kilku dłuższych tekstów. Wszystkie interesujące. King jako autor opowiadań i nowel to ciekawe zjawisko, bo powiedzmy sobie szczerze, jego najlepsze powieści często bywają dość opasłe. Tymczasem pisząc opowiadania, pokazuje, że świetnie potrafi zamknąć się w zwięzłych ramach.

Filmy i seriale według prozy Stephena Kinga

Proza Stephena Kinga zafascynowała twórców filmowych wkrótce po jego debiucie. Według jego utworów powstało wiele filmów fabularnych i miniseriali telewizyjnych. Na kilku opowiadaniach oparto scenariusze pojedynczych odcinków z seriali „Outer Limits" czy „Tales from the Darkside". King często krytykował filmowców, że przeinaczają znaczenie jego twórczości i nie oddają ducha książek, post anowił zatem sam pokazać, jak należy to robić. W 1986 roku wyreżyserował film „Maksymalne przyspieszenie" (Maximum Overdrive) według swojego opowiadania. Film okazał się kompletną klapą i od tej pory King przestał krytykować filmowców, a skupił się na pisaniu scenariuszy, co zaowocowało kilkoma świetnymi produkcjami, takimi jak: „Sztorm stulecia", „Czerwona róża" czy miniserial „Lśnienie". Dotychczas powstało około siedemdziesięciu filmów inspirowanych jego twórczością, lecz kolejne są już w produkcji. Część obrazów znamy w Polsce tylko z kaset wideo, niektóre trafiły do kina lub do telewizji; część tytułów nigdy nie znalazła się na naszym rynku.

1976 Carrie

(Carrie) reż: Brian De Palma; scen: Lawrence D. Cohen; obsada: Sissy Spacek, Piper Laurie, Amy Irwing, Nancy Allen, John Travolta.

Pierwszy film oparty na debiutanckiej powieści Kinga. Wyreżyserowany przez Briana De Palmę, z Sissy Spacek w roli tytułowej, odniósł ogromny sukces (między innymi nagroda na Festiwalu Filmów Fantastycznych w Avoriaz), co zachęciło producentów do dalszych adaptacji prozy Kinga. „Carrie" to opowieść o nieśmiałej, zakompleksionej nastolatce, która pod wpływem przeżytego szoku zaczyna wykorzystywać swoje niesamowite zdolności parapsychiczne, żeby dokonać zemsty. Jeden z lepszych filmów opartych na twórczości Kinga. W 1999 roku próbowano powtórzyć sukces i nakręcono luźną kontynuację („Furia: Carrie 2" – The Rage: Carrie 2)), ale wyszedł film sztampowy i schematyczny. W 2002 roku powstał miniserial telewizyjny.

1979 Miasteczko Salem

(Salem's Lot) reż: Tobe Hooper; scen: Paul Monash; obsada: David Soul, James Mason, Bonnie Bedelia, Lew Ayres.

Jeden z ciekawszych filmów opowiadających o wampirach (historia małego miasteczka stopniowo opanowywanego przez te potwory). Najpierw powstał miniserial telewizyjny według powieści pod tym samym tytułem, znakomicie oddający nastój książki. Serial skrócono, przemontowano i obecnie dostępny jest tylko jako film telewizyjny. W kilka lat później (w 1987 roku) nakręcono bardzo słabą kontynuację („Powrót do miasteczka Salem" (A Return to Salem's Lot)), wykorzystując tylko podstawowy pomysł Kinga.

1980 Lśnienie

(The Shining) scen. i reż: Stanley Kubrick; obsada: Jack Nicholson, Shelley Duvall, Danny Lloyd, Scatman Crotchers.

„Lśnienie" powszechnie uznawane jest za najwybitniejszy film, jaki powstał według prozy Kinga. Jednak sam autor bardzo go nie lubi, twierdząc, że Kubrick przeinaczył i zgubił przesłanie powieści. Z tego powodu King zdecydował się napisać scenariusz do miniserialu, który powstał w 1997 roku. Film opowiada o rodzinie mieszkającej w hotelu odciętym w zimie od świata. Ojciec rodziny (w tej roli świetny Jack Nicholson) powoli dostaje obłędu, aż wreszcie pragnie zamordować żonę i obdarzonego nadprzyrodzonymi zdolnościami syna. Poza wszystkim „Lśnienie" jest wstrząsającym studium narastania choroby alkoholowej. Jako ciekawostkę należy odnotować dwie nominacje do Złotej Maliny: Shelley Duvall dla najgorszej aktorki i Stanleya Kubricka jako najgorszego reżysera (!!!).

1982 Creepshow

(Creepshow) reż: George A. Romero; scen: Stephen King; obsada: Adrienne Barbeau, Leslie Nielsen, Ed Harris, Ted Danson, Stephen King.

Nowelowy film grozy oparty na opowiadaniach Kinga. Każda nowelka opowiada inną, straszną historię, ale wszystkie pełne są zjadliwego czarnego humoru. W filmie wystąpiło wielu znanych aktorów, a całość wyreżyserował mistrz filmowego horroru, George A. Romero.

1983 Cujo

(Cujo) reż: Lewis Teague; scen: Don Carlos Dunaway, Lauren Currier; obsada: Dee Wallace-Stone, Danny Pintauro, Daniel Hugh Kelly.

Dość wierna adaptacja powieści pod tym samym tytułem. Historia poczciwego psa, który podrapany przez wściekłe zwierzę sam zapada na tę śmiertelną chorobę i staje się mordercą. Sprawnie zrealizowany, ale nie zapada w pamięć.

1983 Strefa śmierci

(The Dead Zone) reż: David Cronenberg; scen: Jeffrey Boam; obsada: Christopher Walken, Brooke Adams, Tom Skerrit, Martin Sheen.

Według powieści pod tym samym tytułem. Historia mężczyzny, który po wypadku samochodowym zapada w śpiączkę i budzi się po kilkunastu latach. Wtedy okazuje się, że zyskał zdolność przepowiadania przyszłości, dzięki czemu musi wypełnić bardzo ważne zadanie. Obraz zdobył nagrodę dla najlepszego filmu na Festiwalu Filmów Fantastycznych – Fantafestival w Rzymie i otrzymał nagrodę



Srebrnego Saturna od amerykańskiej Academy of Science Fiction, Fantasy & Horror Films.

1983 Christine

(Christine) reż: John Carpenter; scen: Bill Phillips; obsada: Keith Gordon, Jophn Stockwell, Alexandra Paul, Harry Dean Stanton.

Adaptacja powieści pod tym samym tytułem. Zakompleksiony nastolatek kupuje stary samochód (tytułową Christine). Wkrótce okazuje się, że Christine jest samochodem obdarzonym magiczną mocą, a główny bohater zmienia się w pozbawionego moralnych skrupułów twardziela. Klasyczny horror w dobrym stylu.

1984 Dzieci kukurydzy

(Children of the Corn) reż: Fritz Kiersch; scen: George Goldsmith; obsada: Peter Horton, Linda hamilton, R. G. Armstrong, John Franklin.

Adaptacja opowiadania. Klasyczny horror o wiejskich dzieciakach, które zakładają własną sektę i zabijają wszystkich dorosłych. Niezbyt udany film (choć zdobył nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Fantastycznych w Brukseli), ale po nim nakręcono kilka kolejnych części (jeszcze słabszych), wykorzystując sam pomysł – 1993, „Dzieci kukurydzy 2" (Children of the Corn 2), 1994 – „Dzieci kukurydzy 3" (Children of the Corn 3), 1996 – „Dzieci kukurydzy 4" (Children of the Corn 4), 1998 – „Dzieci kukurydzy 5" (Children of the Corn 5) oraz „Dzieci kukurydzy 666" (Children of the Corn 666) w 1999 roku.

1984 Podpalaczka

(The Firestarter) reż: Mark L. Lester; scen: Stanley Mann; obsada: David Keith, Drew Barrymore, George C. Scott, Martin Sheen, Freddie Jones, Heather Locklear.

Scenariusz na podstawie powieści o tym samym tytule. Historia ojca i córki, którzy są ścigani i uwięzieni przez służby specjalne. Ojciec ma lekkie zdolności parapsychiczne, natomiast córka (w tej roli młodziutka Drew Barrymore) jest bardzo zdolną pirokinetyczką. Widowiskowe efekty specjalne, dobre aktorstwo. Jednym słowem udany film.



1985 Kocim okiem
(Cat's Eye) reż: Lewis Teauge; scen: Stephen King; obsada: Drew Barrymore, James Woods, Robert Hays, Alan King.

Trzy opowieści grozy połączone... jednym kotem. Zrealizowany z lekkim przymrużeniem oka może sprawić prawdziwą przyjemność miłośnikom grozy. Podczas kręcenia jednej z nowelek ekipa ustanowiła nowy rekord wpisany do Księgi Guinessa – dla potrzeb filmu zbudowano największe łóżko na świecie.

1985 Silver Bullet
(Srebrna kula) reż: Daniel Attias; scen: Stephen King; obsada Gary Busey, Everet McGill, Corey Haim, Megan Follows.

Scenariusz według nowelki. Opowieść o grupie nastolatków, którzy podejrzewają, iż w ich rodzinnej miejscowości grasuje wilkołak. Oczywiście nikt z dorosłych im nie wierzy i młodzi ludzie sami stają do walki ze złą istotą. Udany film pozostawiający miłe wrażenie.

1986 Maksymalne przyspieszenie
(Maximum Overdrive) scen i reż: Stephen King; obsada: Emilio Estevez, Pat Hingle, Laura Harrington, Yeardley Smith.

Debiut reżyserski Stephena Kinga. Opowieść o świecie, w którym przeciwko ludziom zbuntowały się wszystkie urządzenia mechaniczne. Mimo starań reżysera powstał obraz bardzo słaby, który dostał dwie nominacje do Złotej Maliny – Emilio Estevez (najgorszy aktor) i Stephen King (najgorszy reżyser).

1986 Zostańcie ze mną/ Stań przy mnie
(Stand by Me) reż: Rob Reiner; scen: Raynold Gideon, Bruce A. Evans; obsada: Will Wheaton, River Phoenix, Corey Feldman, Jerry O'Connell, Kiefer Sutherland.

Film obyczajowy. Nostalgiczny powrót do krainy młodości, którą wspomina znany pisarz.
Nominacja do Oscara za najlepszy scenariusz.

1987 Creepshow 2
(Creepshow 2) reż: Michael Gornick; scen: Stephen King, George A. Romero; obsada: Tom Savini, George Kennedy, Phillip Dore i inni.

Drugi film na podstawie noweli, który powstał w wyniku współpracy Kinga z Romero. Całość zawiera trzy filmiki grozy utrzymane w nieco bardziej poważnym nastroju niż „Creepshow" (co nie wyszło na dobre). Pierwsza część była zdecydowanie lepsza.

1987 Uciekinier
(The Running Man) reż: Paul Michael Glaser; scen: Steven E. De Souza; obsada: Arnold Schwarzenegger, Maria Conchita Alonso, Yaphet Cotto.

Thriller science fiction wg powieści wydanej przez Kinga pod pseudonimem Richard Bachman. W świecie niedalekiej przyszłości rozgrywana jest w telewizji gra na śmierć i życie. Tytułowy uciekinier (gra go Arnold Schwarzenegger) to policjant, który odmówił strzelania do bezbronnych ludzi i zostaje zmuszony do wzięcia udziału w grze.

1989 Smętarz dla zwierzaków
(Pet Sematary) reż: Mary Lambert; scen: Stephen King; obsada: Dale Midkiff, Fred Gwynne, Denise Crosby.

Adaptacja jednej z najlepszych powieści Kinga. Po tragicznej śmierci małego synka ojciec idzie pochować go na starym indiańskim cmentarzu, który ma moc wskrzeszania zmarłych. Oczywiście, jak łatwo się spodziewać, skutki tej decyzji są tragiczne. Bardzo dobry i przerażający film. Po kilku latach (w 1992 roku) nakręcono kontynuację, która jest zdecydowanie słabsza – „Smętarz dla zwierzaków 2" (Pet Sematary 2).

1990 Nocna szychta
(Graveyard Shift) reż: Ralph S. Singleton; scen: John Esposito; obsada: David Andrews, Kelly Wolf, Stephen Macht, Andrew Divoff.

Bardzo nieudany film o pracownikach nocnej zmiany w starej fabryce, którzy zostają zaatakowani przez gigantyczne szczury. Szkoda czasu.

1990 To!
(It!) reż: Tommy Lee Wallace; scen: Lawrence D. Cohen, Tommy Lee Wallace; obsada: Harry Anderson, Dennis Christopher, Richard Masur, Anette O'Toole, Tim Reid.

Miniserial wg powieści pod tym samym tytułem. W małym miasteczku pojawia się potwór zabijający dzieci. Grupka klasowych oferm staje do walki ze złem. „To!" jest nostalgiczną opowieścią o prawdziwej przyjaźni, potrafiącej zwyciężyć nawet największe zło. Jeden z lepszych seriali wyprodukowanych wg prozy Kinga.



1990 Misery
(Misery) reż: Rob Reiner; scen: William Goodman; obsada: James Caan, Cathy Bates.

Film wg niefantastycznej powieści pod tym samym tytułem. Historia popularnego pisarza, który w wyniku wypadku samochodowego wpada w ręce psychopatycznej miłośniczki jego książek. Reżyser świetnie dozuje napięcie, odtwarzająca główną rolę kobiecą Kathy Bates otrzymała za nią Oscara i Złotego Globa. Obok „Lśnienia" najwybitniejszy i najambitniejszy film zrealizowany według prozy Kinga. Lektura obowiązkowa!

1991 Czasem oni wracają/ Oni czasami wracają
(Sometimes They Come Back) reż: Tom McLoughlin; scen: Lawrence Konner, Mark Rosenthal; obsada: Tim Matheson, Brooke Adams, Robert Russler, Chris Demetral.

Horror. Nauczyciel w małej szkole usiłuje poradzić sobie z grupą niesfornych uczniów. Tragiczny splot wydarzeń prowadzi do śmierci kilku z nich. Nastolatkowie wracają, by się zemścić. Powstały też dwie kontynuacje niemające nic wspólnego z literackim pierwowzorem („Czasami wracają... znowu" (Sometimes They Come Back... Again) w 1996, „Czasami wracają... po więcej" (Sometimes They Come Back... For More) z 1998).



1991 Złote lata
(Golden Years) reż: Kenneth Fink, Allen Coulter, Michael Gornick, Stephen Tolkin; scen: Stephen King; obsada: Keith Szarabajka, Felicity Huffman, Ed Lauter.

Miniserial wg oryginalnego scenariusza Stephena Kinga, niestety niezbyt udany. Pewien pracownik tajnego laboratorium w wyniku wypadku w pracy zaczyna młodnieć. Oczywiście natychmiast zaczynają się nim interesować służby specjalne, a on im ucieka. I tak przez cały serial. Nieprawdopodobna nuda!

1992 Kosiarz umysłów
(The Lawnmover Man) reż: Brett Leonard; scen: Brett Leonard, Gimmell Everett; obsada: Jeff Fahey, Pierce Brosnan, Jenny Wright, Mark Bringleson.

Film z czołówki, z którego King kazał usunąć swoje nazwisko, ponieważ z pierwowzoru literackiego został tylko tytuł. Jeden z pierwszych filmów sf dotyczących rzeczywistości wirtualnej. Niezbyt interesujący, a jego kontynuacja z 1996 roku („Kosiarz umysłów 2: Ponad cyberprzestrzenią" – The Lawnmover Man 2: Jobe's War) jest jeszcze słabsza.

1992 Lunatycy
(Sleepwalkers) reż: Mick Garris; scen: Stephen King; obsada: Brian Krause, Madchen Amick, Alice Kriege, Jim Haynie, Ron Perlman.

Horror według oryginalnego scenariusza Kinga. Opowieść o tajemniczych istotach nieco przypominających wampiry i jedynymi stworzeniami,





których naprawdę się lękają, są koty. Film przeciętny, ani bardzo zły, ani bardzo dobry. Dla miłośników: piękne zdjęcia kotów. „Lunatycy" otrzymali cztery nagrody na Festiwalu Fantafestival – dla aktorki, reżysera, najlepszego filmu i scenarzysty.

1993 Mroczna połowa
(The Dark Half) reż: George A. Romero; scen: Paul Hunt, Nick McCarthy; obsada: Timothy Hutton, Amy Madigan, Michael Rooker, Julie Harris.

Ciekawy horror zrealizowany z dużym poczuciem czarnego humoru. Pewien pisarz (w tej roli Timothy Hutton) ma swoje tajemnicze alter ego, które popełnia makabryczne zbrodnie. Współczesna opowieść o doktorze Jekyll i Hydzie. Film zdobył trzy nagrody na Festiwalu Fantafestival – najlepszy film, aktor i senariusz.

1993 Monstrum
(The Tommyknockers) reż: John Power; scen: Lawrence D. Cohen; obsada: Jimmy Smiths, Marg Helgenberger, John Ashton, Robert Carradine, Joanna Cassidy.

Ciekawy i dobrze zrealizowany miniserial według nietłumaczonej jeszcze na polski powieści. W małym amerykańskim miasteczku zaczynają rozgrywać się dziwne wydarzenia – po kolei wszyscy mieszkańcy dostają się pod wpływ tajemniczej siły, która każe im robić dziwne rzeczy. Tylko główny bohater zdaje sobie sprawę, że dzieje się coś podejrzanego.

1993 Sprzedawca śmierci
(Needful Things) reż: Franke Clarke Heston; scen: W. D. Richter; obsada: Max Von Sydow, Ed Harris, Bonnie Bedelia, Amanda Plummer, J. T. Walsh.

Kolejny miniserial według powieści. Wyjątkowo niedobry polski tytuł (książka w polskim przekładzie nazywa się „Sklepik z marzeniami"), ale sam miniserial jest bardzo ciekawy i dobrze zrealizowany. W małym miasteczku otwiera podwoje sklep ze starociami, w którym każdy może dostać to, o czym marzy od dawna i zapłacić za to z pozoru niewygórowaną cenę – jest to tylko drobna przysługa. Jednak wkrótce w okolicy dochodzi do coraz gwałtowniejszych kłótni i sporów, a wydarzenia stają się coraz bardziej dramatyczne.

1994 Bastion
(The Stand) reż: Mick Garris; scen: Stephen King; obsada: Gary Sinise, Molly Ringwald, Jamey Sheridan, Laura San Giacomo, Rob Lowe, Adam Storke, Miguel Ferrer.

Kolejny miniserial wg prozy Kinga. W USA wybucha epidemia zabójczej grypy, której zarazki wydostają się z wojskowego laboratorium. W ciągu kilku dni cała cywilizacja ulega zagładzie, udaje się przeżyć jedynie grupce ludzi. Od tej pory zdani są tylko na siebie... Nieprawdopodobna nuda.

1994 Skazani na Shawshank
(The Shawshank Redemption) scen. i reż: Frank Darabont; obsada: Tim Robbins, Morgan Freeman, Gil Bellows, Clancy Brown.

Dramat więzienny. „Skazani na Shawshank" został uznany za drugi film w historii kina na liście najlepszych produkcji (w głosowaniu internautów). Obraz opowiada o losach mężczyzny skazanego na dożywocie za zamordowanie swojej żony. Wraz z innymi więźniami spędza długie lata w zamknięciu, starając się jakoś ułożyć sobie życie... Siedem nominacji do Oscara.



1995 Dolores
(Dolores Claiborne) reż: Taylor Hackford; scen: Tony Gilroy; obsada: Kathy Bates, Jennifer Jason Leigh, Christopher Plummer.

Adaptacja powieści. Tytułowa Dolores zostaje oskarżona o zamordowanie pracodawczyni. Podczas procesu poznajemy życie, które spędziła w małym miasteczku stanu Maine. Znakomity film obyczajowy.

1995 Langoliery
(The Langoliers) scen. i reż: Tom Holland; obsada: Dean Stockwell, David Morse, Mark Lindsay Chapman, Patricia Wettig.

Miniserial science fiction. Kilku pasażerów samolotu ze zdumieniem odkrywa, że podczas lotu zniknęła większość ich współtowarzyszy – pozostały tylko protezy, rozruszniki serca, peruki i tym podobne drobiazgi. Kiedy samolot wreszcie ląduje, okazuje się, że na lotnisku nie ma nikogo...

1995 Maglownica
(The Mangler) reż: Tobe Hooper; scen: Stephen David Brooks, Tobe Hooper, Harry Allan Toers; obsada: Robert Englung, Ted Levine, Vanessa Pike.

Horror o gigantycznej maszynie do maglowania, która jest nawiedzona przez złego ducha. Kilka krwawych scen i akcja bez sensu. Szkoda czasu. I lepiej nie myśleć, o czym może być kontynuacja („Maglownica 2" –. The Mangler 2 z 2001 roku).

1996 Chudszy
(Thinner) reż: Tom Holland; scen: Michael McDowell, Tom Holland; obsada: Richard John Burke, Joe Mantegna, Michael Constantine, Kari Wuhrer.

Horror o mężczyźnie przeklętym przez cygańskiego czarownika. Bohater filmu w ciągu kilkunastu dni zmienia się z typowego Amerykanina o sporej nadwadze w żywy szkielet. I ciągle chudnie. Klątwę może odwrócić tylko ten, który ją rzucił, ale stary Cygan nie ma na to najmniejszej ochoty. Dobry film zrealizowany według ciekawej powieści.

1997 Duchy
(Ghosts) reż: Stan Winston; scen: Stan Winston i Mick Garris; obsada: Michael Jackson, Pat Dade, Amy Smallman.

38-minutowy teledysk Michaela Jacksona. King był jednym z współtwórców pomysłu.

1997 Lśnienie
(The Shining) reż: Mick Garris; scen: Stephen King; obsada: Steven Weber, Rebecca De Mornay, Courtland Mead.

Miniserial, do którego scenariusz napisał sam King. Tym razem (w odróżnieniu od filmu z 1980 roku) jest to wierna adaptacja powieści, zachowująca jej główne przesłanie.

1998 Z Archiwum X: Chinga
(The X-Files: Chinga) reż: Kim Manners; scen: Stephen King,

Chris Carter; obsada: David Duchovny, Gillian Anderson, Kristin Lehmann, Tom Braidwood.

Jedyny odcinek niezwykle popularnego serialu, do którego scenariusz napisał Stephen King. Tym razem agentka Scully, prowadząc w stanie Maine dochodzenie w sprawie tajemniczego zabójstwa, natyka się na nawiedzoną lalkę.

1999 Sztorm stulecia/ Burza stulecia
(Storm of the Century) reż: Craig R. Buxley; scen: Stephen King; obsada: Timothy Daly, Colm Feore, Debrah Farrentino, Casey Siemaszko.

Miniserial wg oryginalnego scenariusza. Na kasetach wideo nosi tytuł „Sztorm stulecia", w drugim programie Telewizji Polskiej nadano go pod tytułem „Burza stulecia". Opowieść o dramatycznych wydarzeniach, jakie rozegrały się na maleńkiej wysepce leżącej w stanie Maine. Tuż przed burzą w miasteczku leżącym na wyspie pojawia się tajemniczy przybysz dysponujący nadprzyrodzoną mocą...

1999 Zielona Mila
(The Green Mile) scen. i reż: Frank Darabont; obsada: Tom Hanks, David Morse, Michael Clarke Duncan, Doug Hutchinson.

Kolejny film o tematyce więziennej (wg powieści o tym samym tytule). Tym razem akcja rozgrywa się na oddziale skazanych na śmierć i oczekujących na wykonanie wyroku w stanowym więzieniu. Jednym ze skazańców jest olbrzymi Murzyn posiadający nadprzyrodzone zdolności. Film poruszający i warty obejrzenia. Zdobył cztery nominacje do Oscara.





2001 Kraina wiecznego szczęścia
(Hearts in Atlantis) reż: Scott Hicks; scen: William Goldmann; obsada: Anthony Hopkins, Anton Yelchin, Hope Davis, David Morse.

Film obyczajowy. Ekranizacja pierwszego opowiadania („Mali ludzie w żółtych płaszczach") ze zbioru „Serca Atlantydów". Nostalgiczna opowieść o szczęśliwym okresie dzieciństwa i powrocie do krainy wspomnień. Autor zdjęć, Piotr Sobociński, dostał Brązową Żabę na festiwalu Camerimage w Toruniu.

2002 Czerwona róża
(Rose Red) reż: Craig R. Baxley; scen: Stephen King; obsada: Nancy Travis, Matt Keeslar, Kimberly J. Brown, Julian Sands.

Następny miniserial oparty na oryginalnym scenariuszu. Opowieść grozy o nawiedzonym domu. Pod kierunkiem doktora psychologii grupa osób obdarzonych talentami paranormalnymi wybiera się do opuszczonej starej rezydencji, w której od lat obserwowano zjawiska nadprzyrodzone. Mają tam spędzić tylko dwa dni, ale będą to dwa najdłuższe dni w ich życiu. „Czerwona róża" to nastrojowa opowieść, którą powinien obejrzeć każdy miłośnik gatunku.

Nierozpowszechniane w Polsce

- 1983 Woman in the Room reż: Frank Darabont; obsada: Bob Brunson, Brian Libby, Michael Cornelison. Kótkometrażowy.
- 1985 Tales From The Dark Side: Word Processor of the Gods i Tales From The Dark Side: Sorry, Right Number (1987) – dwa odcinki serialu grozy.
- 1986 Twilight Zone: Gramma – odcinek serialu.
- 1988 Monsters: The Moving Finger – odcinek serialu.
- 1990 Tales From The Dark Side: Cat From Hell – odcinek serialu.
- 1997 Quicksilver Highway scen. i reż: Mick Garris; obsada: Christopher Lloyd, Matt Frewer, Veronica Cartwright – film nowelowy, opowiadanie Kinga stało się podstawą jednej z historyjek.
- 1997 Trucks reż: Chris Thomson; scen: Brian Taggert; obsada: Timothy Busfield, Brenda Bakke, Aidan Devine – australijski film telewizyjny.
- 1997 The Night Flier reż: Mark Pavia; scen: Mark Pavia, Jack O'Donnell; obsada: Miduel Ferrer, Julie Entwisle, Dan Monahan – film nakręcony do dystrybucji wideo.
- 1998 Apt Pupil reż: Bryan Singer; scen: Brandon Boyce; obsada: Ian McKellen, Brad Renfro, Bruce Davison – film wg opowiadania „Uczeń".
- 1998 The Outer Limits: Revelations of Becka Paulson – odcinek serialu.
- 1999 Cain Rose Up scen. i reż: David Britten Prior - film fabularny.
- 2002 Carrie reż: David Carson; scen: Bryan Fuller; obsada: Angela Bettis, Patricia Clarkson, Rena Sofer – miniserial wg powieści „Carrie".
- 2002 Paranoid – 8-minutowy film wg wiersza Stephen Kinga.
- 2002 Dead Zone – serial telewizyjny (wciąż w emisji, na razie powstało piętnaście odcinków).

W produkcji

- Kingdom Hospital – miniserial, reż. Craig R. Baxter – King pisze scenariusz wg serialu Larsa Von Triera.
- Dreamcatcher („Łowca snów") – film fabularny, reż: Lawrence Kasdan, scena: William Goldman, obsada: Morgan Freeman, Tom Sizemore, Thomas Jane, Jason Lee.
- Desperation („Desperacja") – miniserial, reż: Mick Garris

Krążą także pogłoski o realizacji filmów wg opowiadania „Mgła" (w reżyserii Franka Darabonta) oraz dwóch powieści: „Worek kości" i „Pokochała Toma Gordona" (w reżyserii George'a A. Romero), a także realizacji filmu animowanego wg powieści „Oczy smoka".



Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer

Banita z lasu Sherwood



Robin Hood, to jedna z wielu postaci znanych z legend i książek, o której, zdałoby się, wiemy już wszystko. Jednak zazwyczaj, po chwili zastanowienia, nasza wiedza okazuje się nie wykraczać poza informacje z krótkiej encyklopedycznej notki, tudzież kilku filmów czy powieści. A skąd wzięły się legendy? Czemu są takie, a nie inne? Tego nie wie już prawie nikt...

Tekst: Maciej Nowak - Kreyer

Robin Hood – mylne skojarzenia

Zawadiaka z łukiem, w zielonym kubraku, charakterystycznym kapelusiku z piórkiem, rajtuzach, otoczony wesołą kompanią. Do tego jeszcze szpiczasta bródka. Widząc kogoś takiego, każdy bez wahania zawoła: Robin Hood! Ale, jak to w życiu bywa, popularny wizerunek ma niewiele wspólnego z rzeczywistością (nawet z tą tylko możliwą – nie mamy bowiem pewności, że Robin naprawdę istniał).



A przecież w tamtych czasach ludzie ubierali się nieco inaczej. Kubrak, zwany dubletem, to wynalazek połowy XIV wieku. Wcześniej męskimi strojami były rozmaite mutacje tuniki zakładanej przez głowę. Kapelusik z piórkiem to zaś innowacja najprawdopodobniej wprowadzona do europejskiego stroju dopiero w wieku XV. Rajtuzy tak naprawdę nie były rajtuzami, lecz częścią ubrania zwaną nogawicami, czyli czymś na kształt wielkich, obcisłych skarpet z grubego sukna, przywiązywanych do ubrania w okolicach pasa. Oczywiście, nie noszono koszul z kołnierzem, w które hollywoodzcy filmowcy odziewali choćby Errola Flynna i Douglasa Fairbanksa (to wynalazek wieków XVI-XVII, choć jeszcze w latach dwudziestych minionego stulecia większość koszul miała osobne, dopinane kołnierzyki).

Co do bródki i łuku, te akurat mogły się pojawić. Tak zwany wąski zarost jest charakterystyczny dla wieku XIII, choć raczej dla warstw wyższych. Łuk to zaś znany z Wojny Stuletniej długi łuk walijski. W czasach Ryszarda Lwie Serce używano go jednak głównie jako broni plebsu oraz jako broń myśliwską,

ale i to z rzadka. Anglicy przyjęli go jako broń wojskową dopiero w trakcie podboju Walii w latach 80. XIII wieku.

A co z wesołą kompanią? Towarzysze Robin Hooda, jeśli istnieli, pochodzili z nizin społecznych, w dodatku byli wyjętymi spod prawa bandytami. Nawet jeśli kierowały nimi szlachetne pobudki, to trudno sobie wyobrazić, by stanowili grupę radosnych zawadiaków, sypiących inteligentnym dowcipem. Prędzej przed oczyma staje obraz zgrai brudnych i obszarpanych drabów (żyjąc w lesie, trudno dbać o higienę), rechoczących z prostackich kawałów. A ich przywódca, żeby być akceptowanym, zapewne nie mógł się zbytnio odróżniać...

Robin Hood – dzieje legendy

Najpopularniejsza wersja legendy umiejscawia działalność banity z Sherwood na przełomie XII i XIII wieku, a wedle rozmaitych przesłanek historycznych (o którym będzie mowa później), raczej nie grasował on później niż w pierwszej połowie XIV stulecia. Najstarsza wzmianka o Robinie jako legendarnym bohaterze pochodzi z „Rymów o Robin Hoodzie" Piersa Plowmana, z roku 1377. W latach późniejszych powstawało mrowie ballad i wierszy o dzielnym banicie, chociażby: „Robin Hood and the Potter", „Robin Hood and the Monk" etc. Najdłuższa z nich i najsłynniejsza to „Geste of Robyn Hode" (Czyny Robin Hooda), która drukiem ukazała się w 1510 roku.

W tych wczesnych opowieściach banita jest inny niż moglibyśmy się spodziewać. Przypomina zwykłego bandytę, rzadko wspomaga ubogich i ani mu w głowie walka przeciw Normanom w obronie Sasów. Jest też brutalny względem wrogów (np. ucina głowę szeryfowi i Guyowi z Gisbourne). Co ciekawe, jedyny monarcha, o którym mowa w tych legendach, to dobry król Edward, w którym rozpoznaje się zwykle Edwarda II, panującego na początku XIV wieku. W kolejnych utworach legenda mutowała i stawała się coraz bardziej podobna do tego, co znamy dzisiaj. W XVI i XVII wieku pojawiły się opowieści dodające nową postać: minstrela Alana z Doliny, a także prezentujące sposób, w jaki kolejni rzezimieszkowie dołączali do bandy. Banita z Sherwood stał się wówczas wręcz herosem rewolucji, bowiem powoływało się nań wielu rozmaitych buntowników (choćby levellerzy, znani z Rewolucji Angielskiej). Postaci Robin Hooda, w celach propagandowych, używano też podczas starć katolików z protestantami.

Gdzie jest prawdziwy Robin Hood?

W książkach widzimy go jako szlachetnego banitę z lasu Sherwood, otoczonego wesołą kompanią, w skład której wchodzili: Mały John, Braciszek Tuck, Will Szkarłatny oraz przede wszystkim piękna Marion. Robin ze swoją bandą walczył przeciw szeryfowi z Nottingham i księciu Janowi władającemu Anglią pod nieobecność szlachetnego Ryszarda Lwie Serce. Rzeczywisty Robin (jeśli istniał) na pewno był banitą, choć czy szlachetnym to już całkiem inna sprawa. Wedle sporej grupy znawców problemu prawdziwym Robin Hoodem mógł być niejaki Robert Hode, dzierżawca arcybiskupa Yorku, któremu w roku 1225 udało się zbiec przed wyrokiem. Niestety, samo podobieństwo imienia może znaczyć niewiele. Trzeba pamiętać, że „Hood" (wliczając w to różne odmiany w rodzaju Hode) to dosyć popularne nazwisko (zwłaszcza w okolicach miejscowości Wakefield, gdzie umiejscawia się akcję większości legend o szlachetnym zbójcy). Bardzo więc możliwe, że wiele z noszących je osób mogło mieć na imię Robin, żyć mniej więcej w tym samym okresie i w dodatku parać się zbójnictwem. Takie zbieżności zdarzają się wbrew pozorom bardzo często. I to nawet w dzisiejszych czasach. Nawet autor tego artykułu musiał kiedyś zmodyfikować nazwisko, by nie być mylonym z Maciejem Nowakiem, dziennikarzem Gazety Wyborczej. Dodatkową komplikacją jest fakt, iż niektórzy osobnicy o nazwisku Hood, jeśli zajęli się już rozbojem, to często i chętnie przemianowywali się właśnie na „Robin Hood". Co mogłoby wskazywać na to, iż „Robercik Kaptur" mogło być po prostu popularnym określeniem łotrzyka w ogóle.



Który z tych wszystkich Hoodów i „hoodopodobnych" mógł być naszym banitą? Szczerze mówiąc, prawie tyle pomysłów, ilu badaczy. Poza wspomnianym Robertem Hodem, największe szanse mają:

* Rycerz Robert FitzOdo, żyjący za czasów Ryszarda Lwie Serce, nieopodal Lokcsley w Warwickshire. Około roku 1196 przestaje się o nim mówić „sir", co może sugerować, że został banitą. Po odrzuceniu normańskiego przedrostka „fitz" jego miano brzmiałoby Robert Odo, skąd już tylko krok do Robin Hooda.
* Robyn Hode, dworzanin króla Edwarda II w latach 1323-1324. Tenże Hode prawdopodobnie był uczestnikiem buntu przeciw królowi, który miał miejsce w roku 1322 w Lancaster. Rozgromieni rebelianci ukryli się w lasach, gdzie pędzili rozbójniczy żywot. Hode uzyskał w końcu przebaczenie monarchy, służył nawet u niego przez jakiś czas, ale ostatecznie wrócił do kniei. Elementy jego życiorysu zgadzają się z faktami podanymi w „Geste of Robin Hood".

Robin Hood – duch lasu

A może, szukając korzeni legendy o Robin Hoodzie, należy spojrzeć w całkiem innym kierunku? Może zajrzeć do królestwa baśni i mitów? Zdaniem niektórych znawców zagadnienia wiele wskazuje na to, że banita Robin Hood „wyewoluował" ze złośliwego, leśnego duszka zwanego Pukiem i należącego do tradycji celtyckiej. Istota ta znana była pod mianem Robin Goodfellow (w średniowiecznej Anglii słowo „robin" oznaczało chochlika). Stwór ów często płatał psikusy podróżnym (jak nasz banita), często też przyjmował kształty zwierząt (zbójca z Sherwood również lubił przebieranki). Kolejne przesłanki wskazujące na „mityczne" pochodzenie Robina to ulubiony przez niego kolor zielony (w mitologii celtyckiej związany z istotami nadprzyrodzonymi) oraz kolor czerwony, w który banita odziewa się w niektórych opowieściach z XVI wieku. Nie-











którzy badacze, zwłaszcza ci związani z filozofią New Age, twierdzą, iż banda Robina stanowiła sektę czcicieli pogańskich bóstw. Sugeruje się także, że Robin Hood to przekręcone Robin of The Wood, czyli „chochlik z lasu".

Robin Hood – wilkołak

Kiedy podąża się tropem mitologicznym, okazuje się również, że Robin Hood i jego kompani mieli wiele wspólnego z pradawnymi tradycjami „dzikiego wojska", czyli między innymi z wilkołakami oraz berserkerami. Pokrótce wyjaśniając: w pierwotnej kulturze Indoeuropejczyków istniała tradycja nakazująca młodym wojownikom „wyszumieć się" przed wejściem w zwykłe struktury społeczne. Rozpierani energią chłopcy na jakiś czas łączyli się w grupy półdzikich zabijaków, mieszkali na odludziu i atakowali członków sąsiednich plemion. Młodzieńcy żyli wówczas na sposób zwierząt i z nimi się utożsamiali (najczęściej z wilkami). Ofiary ich napadów (zazwyczaj nocnych) myślały, że mają do czynienia z jakimiś nadnaturalnymi bestiami, co dało początek legendom o wilkołakach.

A jaki tu związek z Robin Hoodem? Otóż jego banda spełnia większość „wymogów" bycia „dzikim wojskiem". Wszyscy są młodymi mężczyznami, są wyjęci spod obowiązujących praw i żyją na odludziu. Herne z serialu to zaś nikt inny, jak Rogaty Bóg – mityczny przywódca pochodów „dzikiego wojska". Warto też zaznaczyć, że w starej angielszczyźnie synonimami wyrazu „banita" były słowa „wilkołak" lub „wilcza głowa". Bardzo możliwe, że motyw banicji Robina to zniekształcenie opowieści o wilkołactwie.

Robin Hood – szlachcic

Spore zamieszanie panuje w kwestii pochodzenia Robina. Wedle starszych legend był on wolnym kmieciem, jednak już w 1500 roku zrobiono z niego hrabiego. Około 1600 roku jako miejsce jego pochodzenia wskazano wioskę Loxley (Locksley) w hrabstwie Nottingham, które nieco później zmieniono na inne Loxley, w hrabstwie Warwick. Stąd już tylko krok do wersji mitu przedstawiającego Robina jako skazanego na banicję szlachetnego rycerza, hrabiego Huntington. Uczynił nim Hooda niejaki Anthony Munday w dwóch sztukach napisanych za panowania królowej Elżbiety I. Obdarzył zresztą swego bohatera elementami życiorysu prawdziwego hrabiego Dawida Huntingtona, żyjącego w czasach króla Ryszarda i skłóconego z księciem Janem. Ale zarówno Fitz Odo, jak i Dawid byli Normanami z krwi i kości, nie zaś Saksonami (jak każe legenda) zbuntowanymi przeciw normańskim oprawcom. Ciekawe jednak, że sto lat przed nimi żył w tej samej okolicy niejaki Waltheof, Earl Huntington – rodowity Sakson i przywódca buntu przeciwko normańskiemu księciu Wilhelmowi Zdobywcy.



Wesoła kompania

Skoro wiemy już co nieco o banicie z Sherwood, pora przyjrzeć się bliżej jego kompanom. O nich wiemy już niestety sporo mniej.

Braciszek Tuck

Jego miano w języku angielskim brzmi „Friar Tuck". Przyjąwszy, że Robin grasował za czasów Ryszarda Lwie Serce, mamy tu anachronizm, dla użytkownika języka polskiego niezauważalny. W mowie Szekspira słowo „friar" oznacza bowiem wędrownego zakonnika (w przeciwieństwie do osiadłego „monka"), a takowych na przełomie XII i XIII wieku w Anglii jeszcze nie było. Wyjaśnienie jest proste: najprawdopodobniej Tuck to postać zapożyczona z piętnastowiecznej opowieści o dziejach sprytnego Tucka, zakonnika-bandyty („Frere Tuck", ok. 1417-1429).

Mały John

Z siłaczem Małym Johnem (czyli Johnem Little, przez Robina ochrzczonym Little Johnem) jest ten sam problem, co z jego hersztem. W średniowieczu żyło wiele osób noszących podobne lub prawie takie samo miano. Jeden z nich, John Litel, był nawet szeryfem Lincoln. Istniał też John de Litel, żyjący w pierwszej połowie XIV wieku, który kłusował w królewskich lasach.

Marion

Postać przeniesiona z francuskiej opowieści o pasterzu Robinie i pastereczce Marion. Nie chodziło bynajmniej o Robin Hooda, zbieżność imienia jest tu czysto przypadkowa. Ale w pewnym momencie przedstawienia o pasterzach włączono do zabaw związanych z Majowym Świętem, podczas którego prezentowano historie o Robin Hoodzie. I tak pasterza zastąpił zbójca, a Marion weszła do legendy jako jego szlachetnie urodzona ukochana.

Will Szkarłatny (Scarlet)

W drugiej połowie XIII wieku i na początku XIV żyło wielu osobników noszących takie lub podobne imię oraz przydomek (w różnych odmianach między innymi: Scarlet, Scatloch, Scathelocke). Miłośnikom telewizyjnego serialu Will kojarzy się z dzikim, agresywnym zabijaką i takim przedstawiały go wczesne wersje legendy. Potem jednak uczyniono zeń wymuskanego (choć silnego jak Herkules) dandysa. Jego postać bardziej przypomina minstrela Alana z Doliny niż porywczego Scarleta.

Much, syn młynarza

O tym osobniku nie wiadomo prawie nic. Legenda przedstawia go jako młodego, krzepkiego młynarczyka o niezbyt tęgim intelekcie. Przypuszcza się, że Much to jakiś dawny leśny bożek, który w legendzie przybrał postać człowieka.

Saracen

Nasze pokolenie miało rzadką okazję ujrzeć, jak kształtuje się legenda, gdyż na trwałe dodano do niej banitę Saracena. Było to wymaganie hollywoodzkiej „politycznej poprawności", która na producentach wymuszała dodawanie białym bohaterom czarnych współtowarzyszy. Po raz pierwszy Saracen pojawił się w słynnym serialu Carpentera i teraz pojawia się w większości opowieści o zbójcach z Sherwood.

Czarne charaktery

Szeryf Nottingham

Słowo „szeryf" kojarzy nam się raczej z Dzikim Zachodem, więc skąd się wzięło w średniowieczu? A jest to po prostu nazwa angielskiego urzędu, wprowadzonego po podboju normańskim. Szeryf zajmował się zbieraniem podatków i pilnowaniem porządku w przydzielonym mu regionie kraju (coś jak polski starosta). Setki lat później urząd ten przeniesiono do USA, a w Wielkiej Brytanii szeryfowie istnieją do dziś. W mieście Nottingham urząd szeryfa

wprowadzono w XV wieku. Wcześniej zajmował się on sprawami całego hrabstwa.

Guy z Guisbourne

We wczesnych legendach pojawia się jako kmieć, a nie szlachcic. Często też jest starszy od Robin Hooda. Trudno określić, czy taka postać istniała naprawdę, gdyż historia nie zna nikogo noszącego choćby podobne nazwisko. Istnieją jednak w północnej Anglii miejscowości nazywające się Gisburn albo Gisburne.

Robin i literatura

Robin zawędrował do historii literatury, stając się na początku XIX wieku jednym z bohaterów powieści „Ivanhoe" Waltera Scotta. Co ciekawe, to właśnie Scottowi i jego książce zawdzięczamy myśl, że Robin Hood walczy w imieniu Saksonów przeciw Normanom. Scott jako pierwszy twierdzi też, że prawdziwe nazwisko Hooda brzmi Robert z Locksley. Wyraźne inspiracje legendą Robina widać w innym słynnym dziele Scotta, czyli „Rob Royu".

Zabawne, że twórcą obowiązującego dziś kanonu angielskiej legendy jest Amerykanin, Howard Pyle. Był on głównie ilustratorem, a pracą literacką zajmował się jedynie sporadycznie. Tymczasem „Wesołe przygody Robin Hooda" (The Merry Adventures of Robin Hood of Great Renown in Nottinghamshire) jego autorstwa (z 1883 roku) to dziś absolutna klasyka, zawierająca wszystkie najważniejsze i najpopularniejsze wątki opowieści. Na niej opiera się też większość filmów o przygodach zbójcy z Sherwood.



Robin Hood od lat występuje w wielu komiksach. Ba, istnieje nawet superbohater Green Arrow (Zielona Strzała), wzorowany na postaci owego banity! Poza tym zbójca z Sherwood to wzór dla postaci Robina, towarzysza Batmana.

Pyle jako pierwszy umieścił przygody Robina w czasach króla Henryka II, ojca Ryszarda Lwie Serce.

Robin i film

Filmowa kariera sławnego rozbójnika zaczęła się już w roku 1909, jednak najsłynniejsze stały się obrazy z 1922 (z Douglasem Fairbanksem w roli tytułowej) i 1938 (z niezapomnianym Errolem Flynnem). Zwłaszcza ten drugi film stworzył kanon przedstawienia Robina, obowiązujący w kinie przez dziesiątki lat. Na uwagę zasługuje też film „Powrót Robin Hooda" (Robin and Marian) z Seanem Connerym i Audrey Hepburn, z roku 1976. Jest to obraz zasługujący na uwagę, gdyż pokazuje fragment legendy, o którym zwykle milczą reżyserzy i scenarzyści. Najczęściej kończą oni opowieść w chwili powrotu króla Ryszarda, nie pokazując służby u króla, ucieczki z niej i dalszego życia w lesie. Film z Connerym pokazuje Robina wracającego po latach z krucjaty, który pragnie przeżyć ostatnie chwile w starym lesie, ze starymi przyjaciółmi. I tam też godnie umiera.

W latach osiemdziesiątych powstał serial telewizyjny, który stał się przebojem, detronizując film z Erollem Flynnem. Mowa oczywiście o słynnym serialu „Robin Hood" (Robin of Sherwood) z Michaelem Praedem i Jasonem Connery w roli banity. Obraz ten zasłynął dzięki: znakomitej muzyce do filmu w wykonaniu grupy Clannad, sporej dbałości o realia historyczne, niesamowitemu baśniowemu nastrojowi, licznym odniesieniom do mitów. Zgrabnie wytłumaczono w nim rozbieżności co do pochodzenia i statusu społecznego Robina (uznając, że Robin Hood była to funkcja/przydomek dzielnego wieśniaka z Locksley, jak i Earla Huntington – co zresztą mogło być prawdą). Dodano też do legendy nowe postaci, wątki oraz nowy sposób widzenia postaci już znanych. Teraz mało kto potrafi sobie wyobrazić ów mit bez Saracena w bandzie Robina, bez nadprzyrodzonego opiekuna banitów – boga Herne'a, tudzież Willema Szkarłatnego jako dandysa, a Guya z Gisbourne jako prostackiego kmiecia. Zresztą, trudno się dziwić pewnym zmianom, gdy pomyśli się, że jego scenarzystą był sam Richard Carpenter.

O Robin Hoodzie pisali nie tylko mieszkańcy Wysp Brytyjskich. Aleksander Dumas senior jest autorem powieści „Robin Hood, prince des voleurs" (Robin Hood, książę złodziei). Świetną opowieść o przygodach Robina napisał również Polak, Tadeusz Kraszewski „Robin Hood, Marianna, żona Robin Hooda". Ostatnio, w pośredni sposób banita zawędrował do polskiej fantasy. Krystyna Kwiatkowska wydała zbiór opowiadań „Prosto z Sherwood", luźno powiązanych z postacią Robina i głównie odnoszących się do mitologicznych wątków opowieści. A Tomasz Pacyński, autor „Września", napisał powieść „Sherwood", opowiadająca o losach Mucha (Matcha), po śmierci Robina.

Wiele osób kojarzy postać Robin Hooda z Kevinem Costnerem, grającym banitę w obrazie „Robin Hood – Książę złodziei" (Robin Hood – Prince of Thevies) z 1991 roku. Film ów wzoruje się na serialu Carpentera, ale zawiera mnóstwo anachronizmów i niedorzeczności (skąd w XIII wieku nieopodal Nottingham wielka zgraja Celtów wyglądających jak starożytni Piktowie?), ale ogląda się go z przyjemnością. Szkoda tylko, że w jego cieniu pozostał wyprodukowany w tym samym roku film „Robin Hood" z Patrickiem Berginem i Umą Thurman. Szczególnie szkoda autorowi tego artykułu, albowiem jest to jeden z niewielu filmów o średniowieczu, w którym kostiumy odpowiadają realiom epoki. Przedstawia też bandę Robina taką, jaką mogła być naprawdę, czyli jako zgraję brudnych rzezimieszków.



Robin wiecznie żywy

Niezależnie od tego, czy istniał, czy nie, banita z Sherwood na trwałe wpisał się do europejskiej kultury, inspirując podobne opowieści na całym naszym kontynencie. Niewykluczone, że w tym i polsko-słowacką opowieść o Janosiku. Wkradł się też do fantasy i baśni (starczy wspomnieć Bowmana z Legendy Davida Gemmela, a ostatnio Romana ze Shreka). Po dziś dzień inspiruje też różnych buntowników, w tym politycznych. Piosenkę wspominającą Robina ma swym

Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer

Okrutny świat Hellraisera powstał w wyobraźni angielskiego pisarza i reżysera Clive'a Barkera. Przez wielu autor ten uważany jest za następcę Stevena Kinga na tronie króla horroru. Sam King o swoim młodszym konkurencie wyrażał się zawsze w samych superlatywach i nie stronił od zamieszczania pochlebnych opinii o Barkerze.

Tekst: Karol Śmiałkowski

Hellraiser





Słudzy Lewiatana, tajemniczy Zakon Gasha. Jeśli ktoś jest całkowicie owładnięty swoją obsesją albo wszedł w posiadanie kostki LeMarchanda, może ich przyzwać z zaświatów, ale z pewnością nie wyjdzie mu to na zdrowie. Oto Cenobici.

„Ściana za nimi zasklepiła się. Cenobici zajęli pokój. Razem z nimi w pokoju pojawiały się i znikały fosforyzujące światła, niczym odbłyski rybich łusek w morskiej toni. Błękitne, zimne – bez uroku. Frank był zaskoczony, że nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak wyglądają Cenobici. (....) Dlaczego bał się na nich spojrzeć? Czy to pokrywające każdy skrawek ich ciała blizny wywoływały jego przestrach? Ciała ich były ponakłuwane, poszatkowane, porozszarpywane i jakby potargane w popiele. Bił od nich słodkawy zapach przypominający wanilię. Zapach był słodkawy, ale mimo to przebijał przezeń dobywający się z ich ciał odór. (....)". W taki oto sposób po raz pierwszy pojawili się Cenobici. Zdarzyło się to na pierwszych stronach powieści Clive'a Barkera „Powrót z piekła" („Hellbound Heart"). Historię, która rozpoczyna się sceną otwarcia przez Franka portalu do piekła Barker napisał w 1986 roku. Tę zaledwie stupięćdziesięciostronicową opowieść opublikowano w następnym roku jako część antologii „Night Vision 3". Jeszcze w tym samym 1987 roku na ekrany angielskich kin wszedł pełnometrażowy debiut Barkera – „Hellraiser". Twórca sam napisał scenariusz na podstawie „Powrotu z piekła" i wyreżyserował ten niskobudżetowy brytyjski horror.

Cenobici z kart literatury zstąpili na filmowe ekrany. I zupełnie jak w książce – raz przywołani, pozostaną z nami do końca. A wszystko wskazuje, że do tego końca jeszcze daleko. Aktualnie trwają prace nad siódmym już filmem z cyklu (pod tytułem „Hellraiser: Deader"), który będzie miał premierę w przyszłym roku. Ale to dopiero plany. Przyjrzyjmy się uważniej temu, co spotkało wysłanników Lewiatana do tej pory.

Gwoździogłowy i spółka

Clive Barker to artysta multimedialny. Pisarz, dramaturg, scenarzysta filmowy, reżyser, ilustrator i nie tylko. Przez lata nazywano go nadzieją i przyszłością horroru, ale skoro w zeszłym roku przekroczył pięćdziesiątkę, chyba już dziś nikt go tak nie przedstawia. Dwie dekady temu Clive zaczął publikować kolejne tomy straszliwych opowiadań. W sumie ukazało się sześć części

„Ksiąg krwi" i są to zdecydowanie jedne z najlepszych antologii horroru w historii. A potem rozkręcił się i zaczął pisać coraz dłuższe rzeczy. Jego powieści, od krótkich („Powrót z piekła" czy „Cabal – nocne plemię"), przez dłuższe („Kobierzec", „Wielkie sekretne widowisko"), ewoluowały do potężnych sag jak „Imajica", które nie dość, że nie mieściły się w jednym tomie, to nie mieściły się również w definicji horroru. Były raczej epickimi opowieściami na granicy fantasy, grozy i erotyki.

Równocześnie z Barkerem pisarzem istniał też Barker filmowiec. Ten nakręcił jeszcze w młodości, przed „Księgami krwi", dwie mroczne krótkometrażówki „Salome" (1973) i „The Forbidden" (1978). Film zawsze był jego pasją, więc kiedy tylko zdarzyła się okazja do wyreżyserowania „Hellraisera", skrzętnie ją podchwycił. Po sukcesie kinowego „Powrotu z piekła" Barker wyreżyserował jeszcze dwa kolejne filmy na podstawie swych literackich fabuł. W 1990 roku powstał „Nightbreed" (na podstawie powieści „Cabal"), ale film nie spodobał się ani widowni, ani samemu Barkerowi. Zbyt mocno ingerujący w obraz amerykańscy producenci (narzucili oni nawet nie najlepszego aktora Craiga Sheffera do zagrania głównej roli) popsuli film do tego stopnia, że zniechęcony efektem Barker porzucił ideę stworzenia kolejnych literackich części „Cabala". Nakręcony pięć lat później „Mistrz magii" również nie znalazł uznania wśród widzów, nie licząc sporej grupy wytrwałych fanów Barkera. Właśnie wśród nich i miłośników wyrafinowanego horroru oba te filmy mają status kultowych. Ale tak naprawdę popularny stał się jedynie „Hellraiser".



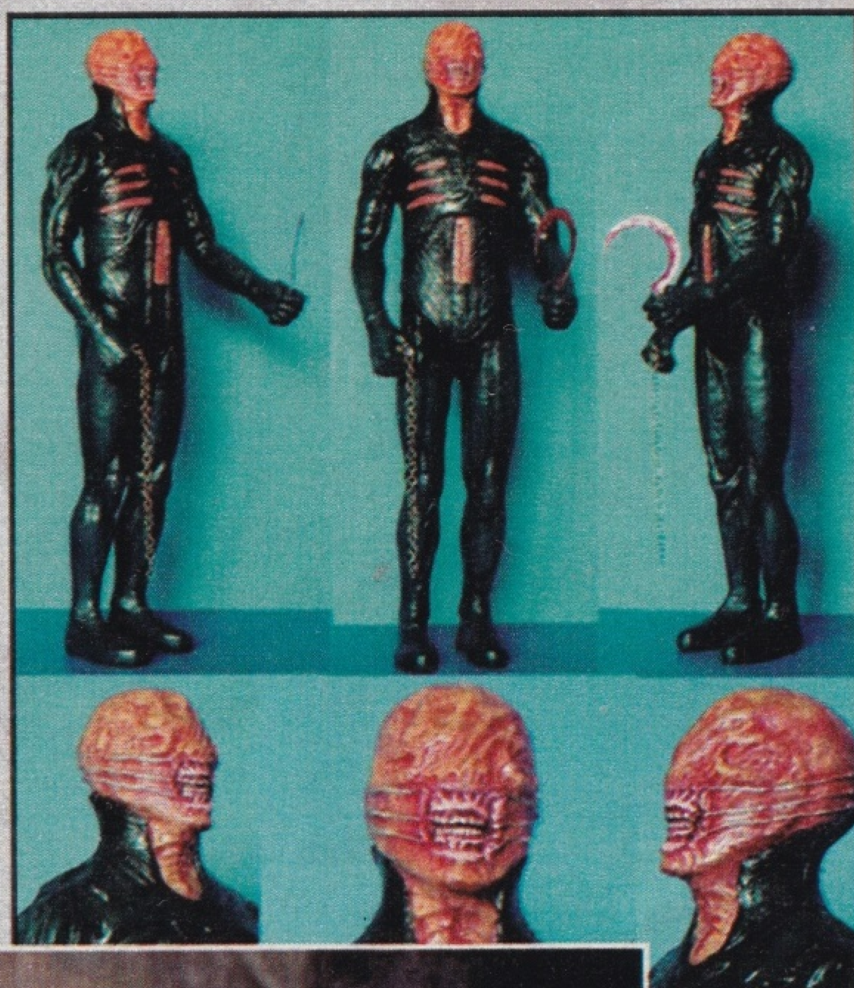


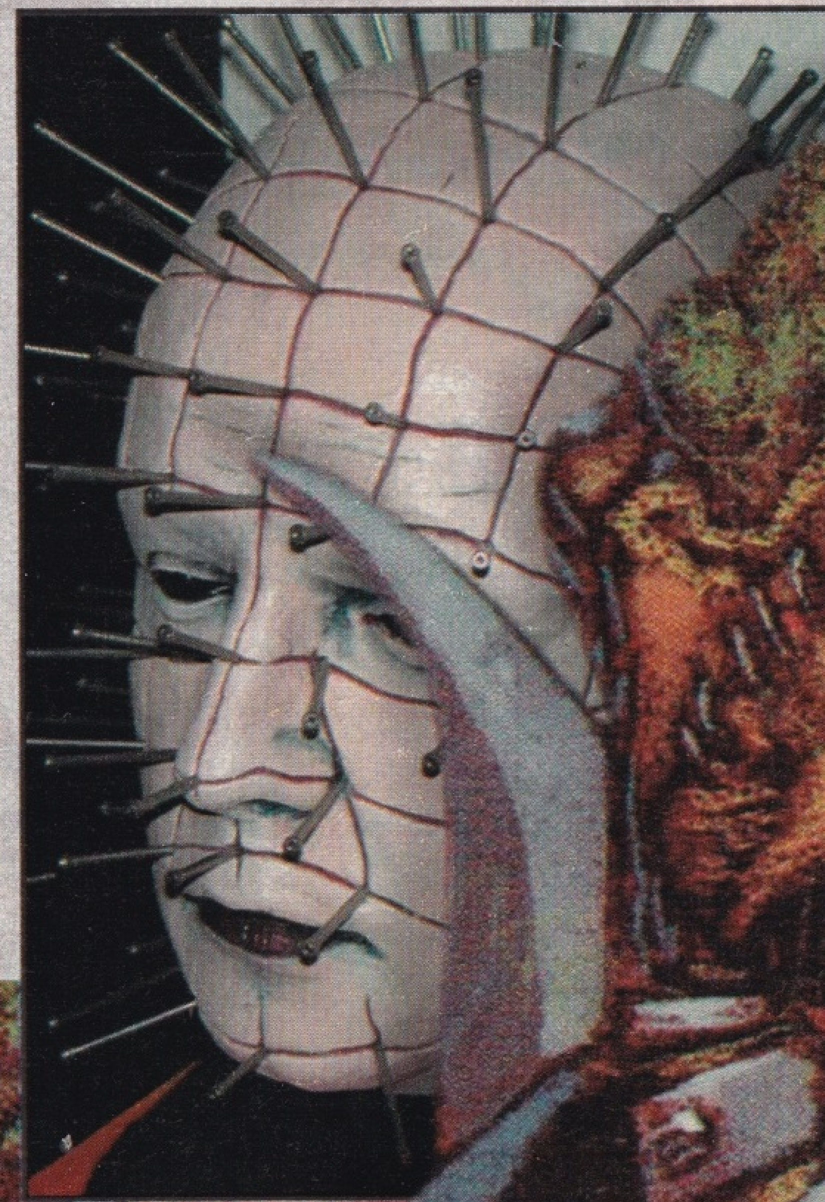
Film

Jak już wspomniałem, wszystko zaczęło się od Franka. Wszedł on w posiadanie tajemniczej kostki Lemarchanda i usiłował, układając ją (niczym kostkę Rubika), otworzyć portal do Piekła. Nie do końca był świadomy, co go czeka, więc kiedy zjawili się Cenobici, został w spektakularny sposób rozdarty na strzępy za pomocą metalowych haków. Przeżywając zarówno niewiarygodny ból, jak i przedziwną ekstazę. Jakiś czas później do domu, na którego strychu zginął Frank, wprowadzili się jego brat Larry z żoną Julią i córką Kirsty. Larry skaleczył się przy przeprowadzce, a odrobina jego krwi wystarczyła, by ożywić szczątki brata. Ten nawiązał kontakt z Julią, która przed laty została jego kochanką. Namówił ją, by sprowadzała do domu i mordowała obcych mężczyzn – ich krew pozwalała Frankowi powoli rekonstruować ciało. Cały czas zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli o jego ucieczce z Piekła dowiedzą się Cenobici, kara będzie straszliwa. W finale młoda Kirsty przywołuje Cenobitów za pomocą kostki, a oni z zapałem ponownie zajmują się Frankiem. Obok niebanalnej fabuły i makabrycznych efektów specjalnych największym atutem filmu okazali się właśnie sami Cenobici. Ich nadnaturalne pochodzenie, wygląd i niewyobrażalne cierpienie, jakie niosą i równocześnie sami odczuwają, było zupełnie nowym pomysłem w kinowej grozie. Dziś ich lider – Pinhead jest równie znany fanom horroru jak Freddie Krueger z „Koszmaru z ulicy Wiązów", Jason z „Piątku trzynastego" czy Mike Myers z „Halloween".

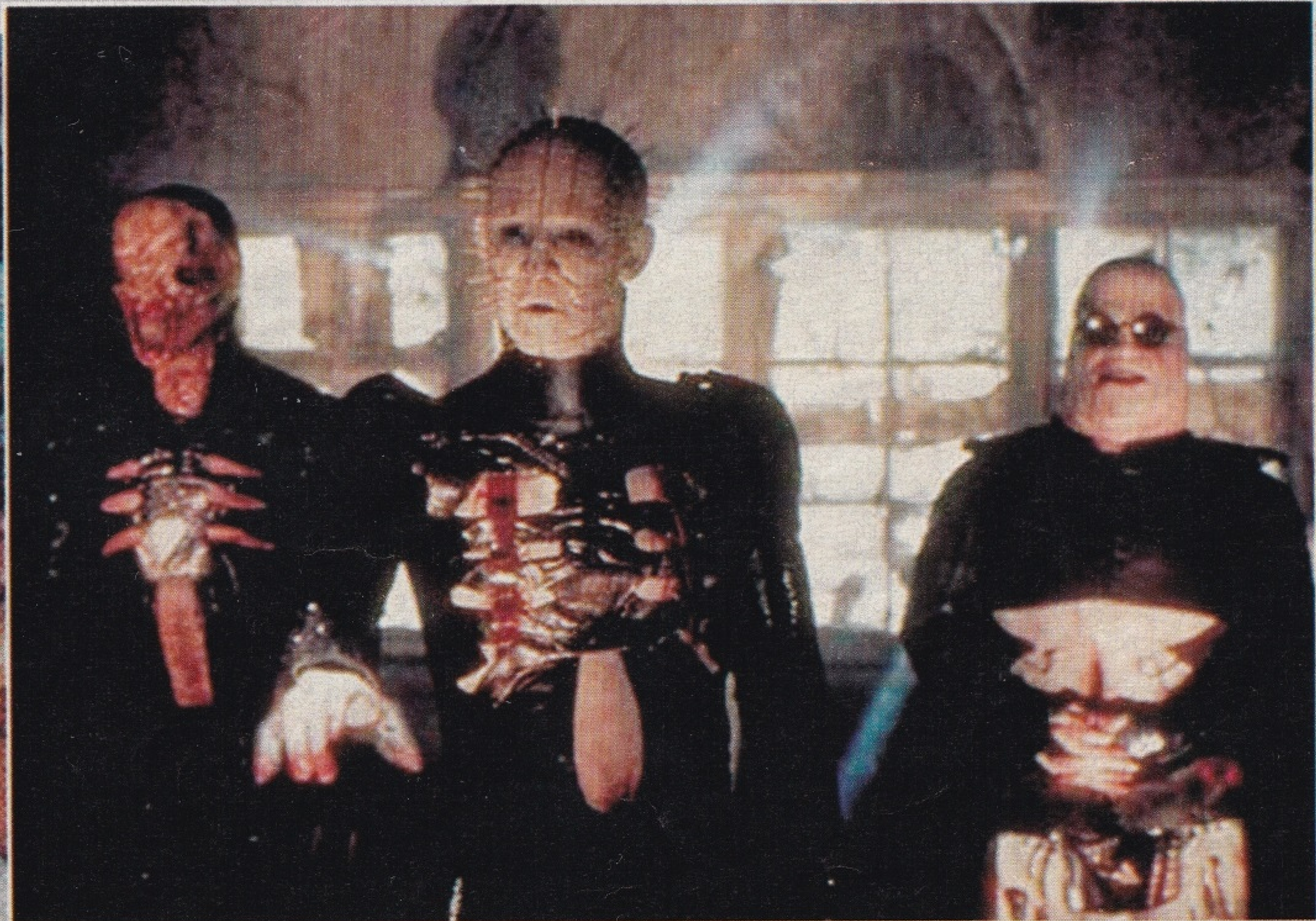
Pinhead

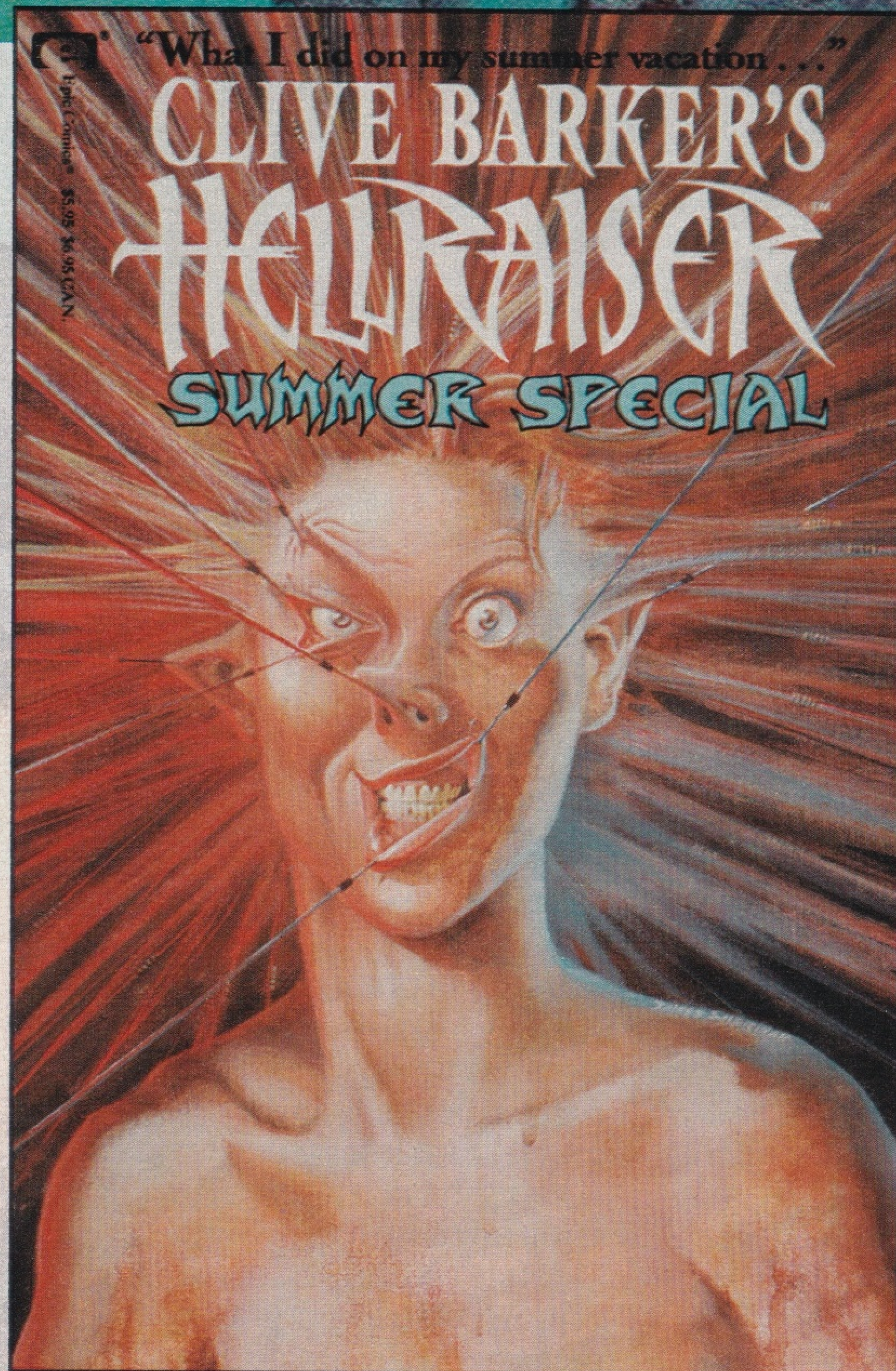
Kto raz widział przywódcę Cenobitów, ten z pewnością nigdy nie pomyli go z nikim innym. Podpowiem, że angielskie imię „Pinhead" (Gwoździogłowy) świetnie oddaje jego wygląd. Na łysej głowie w równych odstępach powbijane ma dziesiątki gwoździ tworzących upiorną szachownicę. Głowa ta, obok samej kostki Lemarchanda, stała się znakiem firmowym cyklu „Hellraiser", a wcielający się w tę postać Doug Bradley to jedyny aktor występujący we wszystkich filmach cyklu. Bradley i Barker przyjaźnią się jeszcze od czasów szkolnych i razem zagrali w pierwszym młodzieńczym filmie Barkera „Salome". Nic więc dziwnego, że Clive zaprosił starego przyjaciela do swego pełnometrażowego debiutu. Widać tylko jego miał odwagę namówić na wielogodzinną charakteryzację na potrzeby tej postaci. Kiedy Bradley po raz ostatni, po zakończeniu zdjęć do „Powrotu z piekła", ściągał z głowy gwoździe, nie mógł przewidzieć, że staje się właśnie nową ikoną popkultury. A gwoździe w jego głowę zostaną „wbite" jeszcze wiele razy.











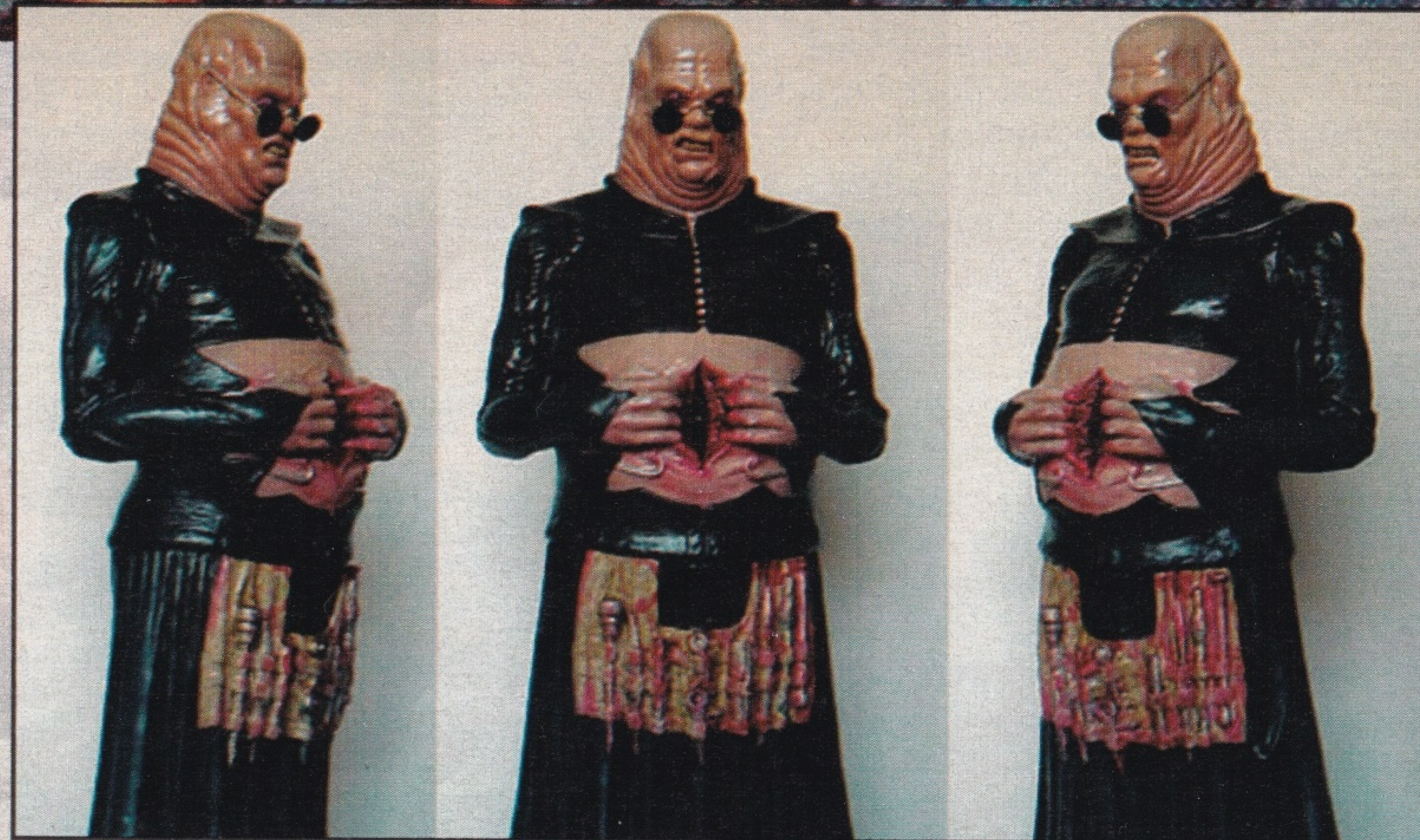
Sequel

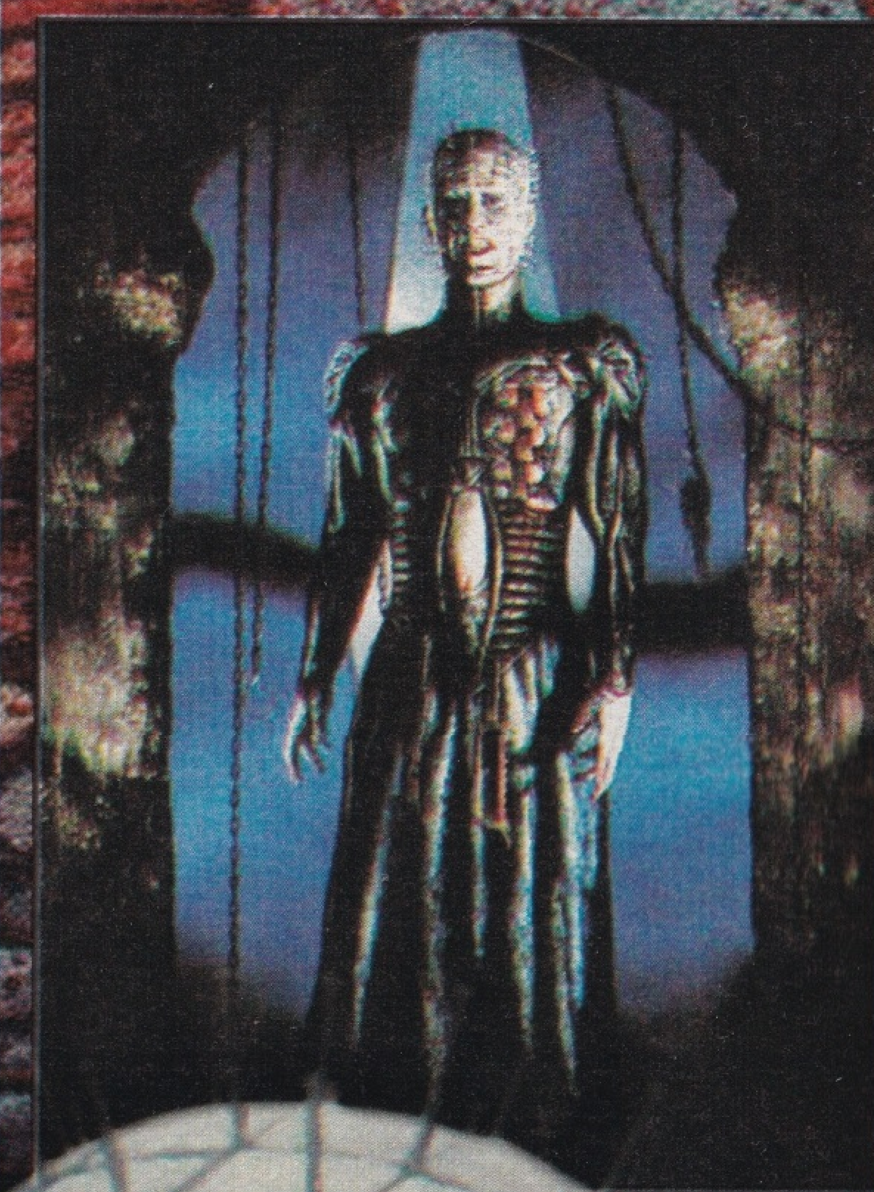
Kultura popularna nie cierpi niedopowiedzeń. Cenobici zrobili na widzach spore wrażenie, więc teraz wszyscy chcieli się dowiedzieć, kim są, skąd się wzięli, kim jest tajemniczy Lewiatan, jak wygląda Piekło. Bardzo niewiele można było o tym wyczytać czy zobaczyć u Barkera. Ale popkultura nie znosi próżni. Skoro Clive tego nie opowiedział, inni muszą dopowiedzieć za niego. Już rok po premierze „Hellraisera" do kin trafiła kolejna brytyjska produkcja „Hellbound: Hellraiser 2". Sam Barker nie miał nic wspólnego z tą fabułą, występował w napisach tylko jako „executive producer" i pewnie zainkasował sympatyczną sumkę. Ale lawina popularności Pinheada i kolegów ruszyła.

Akcja drugiej części toczyła się głównie w zakładzie psychiatrycznym, do którego trafiła znana z poprzedniego filmu Kirsty i w... Piekle. Lekarz dziewczyny – dr Channard – był tak zafascynowany jej opowieścią, że zapragnął skontaktować się z Cenobitami. I jak łatwo się domyślić, nie wyszło mu to na zdrowie. Duża część fabuły filmu rozgrywała się już w samym Piekle, które zostało bardzo oryginalnie i plastycznie przedstawione. Jego wielkim centralnym elementem był sam Lewiatan, który okazał się wielką przekształconą kostką Lemarchanda. Dowiedzieliśmy się z tego filmu znacznie więcej o Cenobitach i ich mrocznym panu. Oni to nieśmiertelne demony, niegdyś ludzie, którzy przywołali Lewiatana i stali się jego sługami. Cierpią nieustanne, niewyobrażalne męki, które są równocześnie dla nich źródłem rozkoszy. Każdy Cenobita jest inny, a jego wygląd i cierpienia w dużej mierze zależą od obsesji i żądzy za życia. Druga część filmu była jeszcze bardziej brutalna niż poprzednia - krwawa i okrutna, a niektóre ze scen mogą budzic obrzydzenie i strach nawet u zapalonych miłośników horrorów.

Komiksy

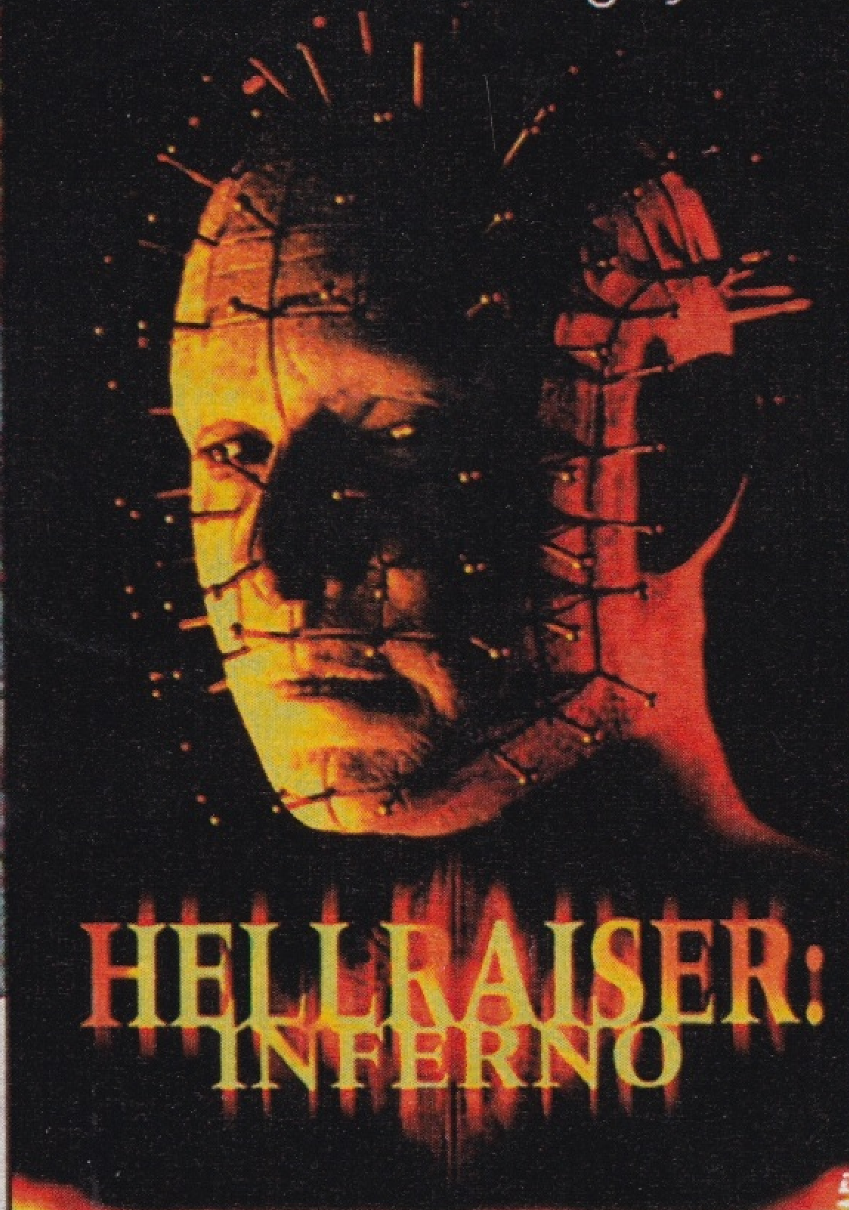
Na kolejny film trzeba było czekać aż cztery lata, ale w tym czasie uniwersum Cenobitów rozrosło się dzięki komiksom. Amerykańskie wydawnictwo Marvel (to od Spider-mana, Daredevila i Hulka) wydawało wówczas komiksy dla dorosłych czytelników, przyjmując nazwę Epic Comics. I tam właśnie przez 5 lat (1989-1993) wychodziła seria „Clive Barker Hellraiser". W dwudziestu kolejnych numerowanych tomikach (+ kilka specjalnych) najwybitniejsi artyści komiksu amerykańskiego snuli swe historie o Cenobitach, kostce i kolejnych ofiarach koszmaru. Wśród scenarzystów można znaleźć takie nazwiska jak Neil Gaiman (autor obsypanej nagrodami powieści „Amerykańscy Bogowie") czy Larry Wachowski (twórca „Matrixa"), a grafikę tworzyła sama śmietanka rysowników. Reprodukowana obok okładka pierwszego numeru (autorstwa Johna Boltona) jest kwintesencją grozy, jaką zwykł wywoływać Pinhead. A w środku? Nie tylko Cenobici i kostka wśród współczesnych amatorów kontaktów z Piekłem, ale również historie osadzone w średniowieczu, na Dzikim Zachodzie, w wiktoriańskiej Anglii czy w Hollywood lat 20... Okazało się, że słudzy Lewiatana pomagali (za określoną w cenniku nagrodę) np. w zostaniu najwybitniejszym pianistą albo bokserem na Ziemi czy bawili się w dekadenckim przedwojennym Paryżu. Bardzo sympatycznym dodatkiem do każdego numeru „Hellraisera" były okładki i specjalne całostronicowe ilustracje niepowiązane z komiksami, w których swe wizje Barkerowskiego horroru przedstawiali najznamienitsi plastycy kultury popularnej, m. in. Ted McKeever, Bill Sienkiewicz, Jon M. Muth, Kent Williams, Mike Mignola czy Simon Bisley.





Z czasem, jak to w komiksach, świat zaczął rozrastać się na wszystkie strony. Pojawiły się numery specjalne, doszło również do crossoveru (crossover to np. sytuacja, w której Batman spotyka Supermana) pomiędzy różnymi barkerowskimi seriami. Bowiem komiksy oparte na twórczości Barkera to nie tylko „Hellraiser". Przez lata ukazywały się komiksowe adaptacje kolejnych opowiadań zawartych w „Księgach krwi", a bezpośrednią komiksową kontynuację miał drugi film Barkera – „Nightbreed". I właśnie w dwuczęściowej historii „Jihad" zde-









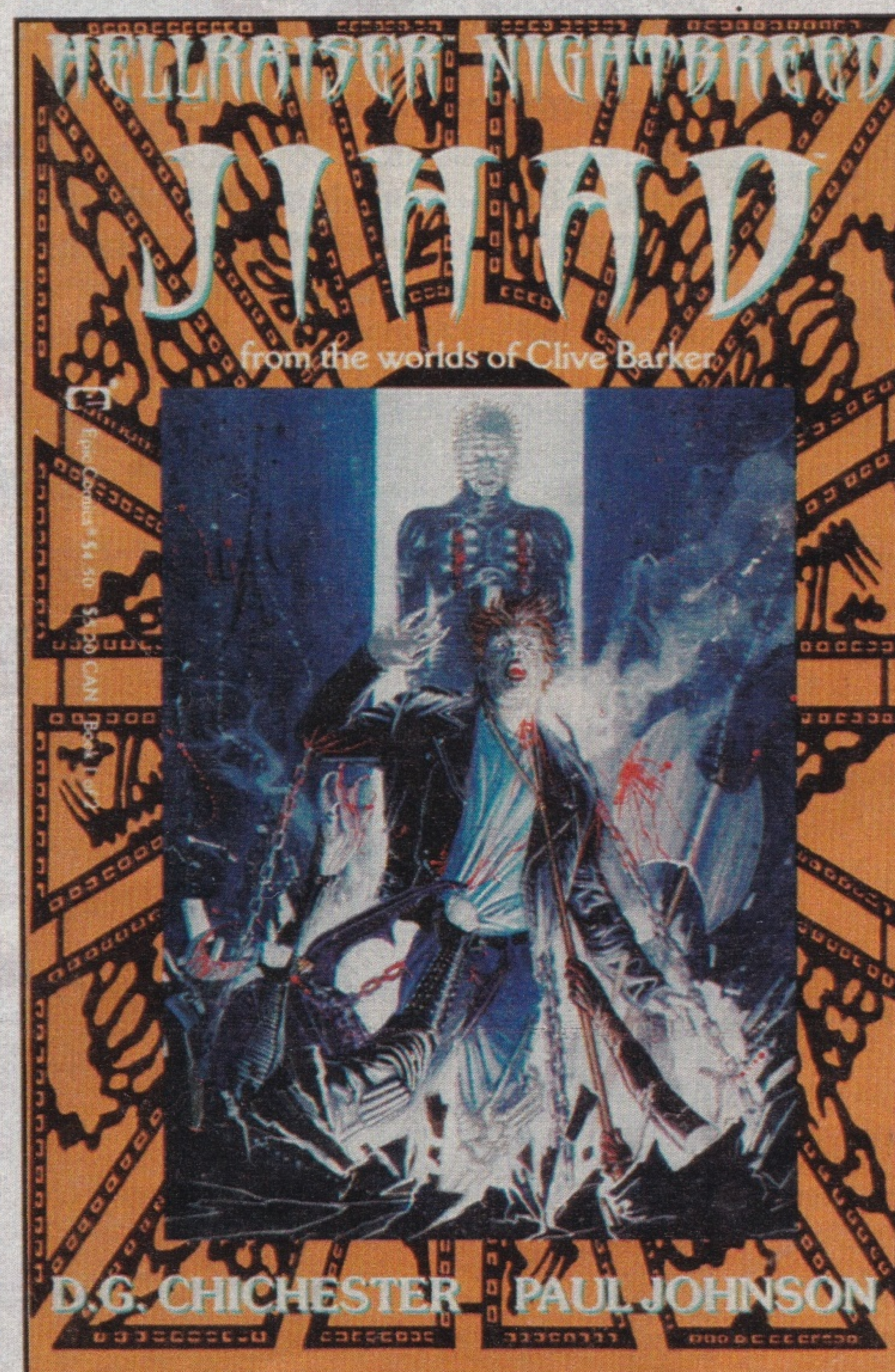
rzyli się i zwarli w morderczym starciu bohaterowie tych niezależnych kreacji mistrza horroru – Cenobici vs Nocne Plemię. A w podstawowej serii komiksów „Hellraiser" jeszcze raz zamieszał sam Barker i w numerze 17 pojawili się zupełnie nowi bohaterowie – Harrowers. Jak sam Clive napisał we wstępie do tego numeru, świetnie się bawił, wymyślając tych przeciwników Cenobitów. Ich premierowy występ zilustrował młody wówczas i nieznany szerzej Alex Ross – dziś jeden z najbardziej popularnych „malarzy" komiksu, autor m. in. plakatu do zeszłorocznej edycji Oscarów (jak łatwo się domyślić, ten numer serii „Hellraiser" osiąga dziś najwyższe ceny w katalogach). Kiedy trzy numery później zamknięto serię, dysydenci z Marvela zdecydowali, że jeszcze da się wycisnąć trochę pieniędzy z fanów Cenobitów. W grudniu 1993 ruszyły dwie niezależne serie: „Harrowers" (reklamowane hasłem „Wyprute ze stron Hellraisera") i oczywiście sam „Pinhead". Ten ostatni przez pół roku (6 numerów) wędrował przez różne epoki historyczne i świecił swą nagwożdżoną czaszką na najróżniejszych kontynentach. Dokładnie tyle samo wytrzymali na rynku „Harrowersi" i w maju 1994 temat Cenobitów w komiksie został zamknięty.

Piekło na Ziemi

Dopiero w dwa lata później, w 1996 roku, powstał „Hellraiser: Bloodline", a w samym środku komiksowej prosperity mieliśmy do czynienia z częścią trzecią pod tytułem „Piekło na Ziemi". Była to już czysto amerykańska produkcja, w miarę płynnie połączona z poprzednimi. Fabuła mówiła o uwolnieniu się Pinheada z postaci kamiennego posągu, w który zamienił się w finale „Hellbound". Dowiedzieliśmy się też sporo o wieku szczenięcym sztandarowego Cenobity, który za życia nazywał się Elliott Spencer i był oficerem w czasie I wojny światowej. W finałowej walce właśnie duch Elliota pomaga głównej bohaterce pokonać swoją złą inkarnację. A dziewczyna po odesłaniu Cenobitów do Piekła wrzuciła niepotrzebną już kostkę Lemarchanda w fundamenty świeżo powstającego budynku. Tak na wszelki wypadek, gdyby cykl miał się na tym skończyć. Zaś na wszelki wypadek (gdyby miał się nie skończyć;)) w ostatniej scenie widzimy, że gmach, który powstał na tych fundamentach, jest od strony architektonicznej wyraźnie oparty na kostce Lamerchanda. „Piekło na Ziemi" było już produkcją z mnóstwem ulubionych przez Amerykanów efektów specjalnych w postaci wybuchających samochodów, a sama fabuła zdecydowanie odbiegała jakością od poprzednich dwóch części.

Niekończąca się opowieść

Producenci stwierdzili jednak, że jedziemy dalej. Ale „Hellraiser" to nie „Piątek Trzynastego" i hasło „część 4" trochę głupio brzmi. Więc od tego momentu zdecydowali się na wyrzucenie numerków i reklamę prowadzić jedynie za pomocą kolejnych podtytułów. Tym bardziej, że fabuła „Hellraiser: Bloodline" wyraźnie miała być próbą ostatecznego zamknięcia serii. Próba się nie udała, ale powstał nieźle zakręcony film. Dzieli się on na trzy nowele: ramowa dzieje się w roku.... 2127 na stacji kosmicznej. Tam naukowiec Paul Merchant opowiada kolegom historię swych przodków: najpierw Philipa LeMarchanda, który w XVIII wieku przypłacił życiem stworzenie słynnej kostki, a potem Johna Marchanda, słynnego architekta, który zbudował budynek wykorzystujący motywy kostki i bezskutecznie próbował poprzez sekrety jego konstrukcji zamknąć portal do Piekła. Kolejna próba następuje właśnie w odległej przyszłości. Cenobici przybywają na stację kosmiczną i dają się nabrać na hologram Paula, a ten ostatecznie ich więzi i zamyka portal na zawsze. Ale przecież do roku 2127 jest jeszcze mnóstwo czasu! I można w nim umieścić akcję wielu kolejnych filmów z Pinheadem i kolegami. Następny „Hellraiser: Inferno" powstał więc w 2000 roku, a główną rolę Josepha, złego i skorumpowanego detektywa z Los Angeles, zagrał stary znajomy Craig Scheffer (ten sam, którego wmuszono Barkerowi do głównej roli w „Nightbreed", przez co film niespecjalnie się udał). O tym obrazie tez niewiele dobrego da się powiedzieć. Piąta odsłona „Hellraisera" w ogóle już nie była kręcona z myślą o kinach i trafiła wprost na rynek wideo.



A że ten rynek jest dość chłonny, to kolejne przygody Cenobitów powstają już nie co cztery, ale co dwa lata. W 2002 mieliśmy więc możliwość bać się na „Hellraiser: Hellseeker". I w filmie tym powróciła do cyklu (po czternastu latach nieobecności!) znana z pierwszych dwóch części Kirsty – pogromczyni Cenobitów. Teraz to spokojna i stateczna żona, której mąż wpada w złe towarzystwo (Pinheada i spółki). Do przyszłorocznego odcinka (premiera 14 stycznia 2004), zatytułowanego „Hellraiser: Deader", trwają właśnie zdjęcia w Rumunii, a przeciwniczką pana od gwoździ ma być Kari Wuhler („Sliders", „Atak pająków"). Choćby ze względu na nią należy na tę część oczekiwać z niecierpliwością.

I ty możesz zostać Cenobitą

Słudzy Lewiatana to ofiary własnych obsesji. Za życia owładnięci potężną żądzą przywołali Lewiatana, a ten inaczej rozumiał warunki kontraktu niż oni. Dał im obłędną rozkosz, która – nieograniczana w żaden sposób – przekształciła się w niekończące cierpienie. Ich nerwy wciąż odczuwają ból, a oni sami dawno już przestali rozróżniać go od przyjemności. Każdy Cenobita jest inny – inaczej wygląda, innym żądzom jest podporządkowany: chciwości, pysze, rodzinie, sławie, miłości. Jeśli więc macie coś, co was mocno kręci, a wpadnie wam w ręce kostka Lemarchanda, poważnie się zastanówcie, zanim spróbujecie nią manipulować;).

Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer

Tekst: Tomasz Nowak

Komiksy – przegląd nowości

Universal War One. Tom 1. Genesis

Bajram D., F. Baranger, Egmont Polska, 48 str., 17,90 zł

Fabuła

Recepta na sukces UW1 jest krótka: zmieszać „Parszywą dwunastkę" z „Wing Commanderem" i przyprawić odrobiną futurystycznego kultu. I tak oto pojawiają się urodzeni straceńcy, desperaci, zboczeńcy, którym dano szansę rehabilitacji w specjalnej jednostce wojskowej. Podbijają serca czytelników, gdyż tworzą barwna menażerię postaci, o cechach wyjątkowych, często wybitnych (ale znajdziemy wśród nich również prawdziwe bestie). Dzięki niezwykłemu splotowi owych cech szczególnych gromada przestępców staje się elitarną eskadrą pilotów kosmicznych myśliwców. Niemniej to właśnie za sprawą psychicznych odchyleń co chwila wplątują się oni w niemałe kłopoty. W końcu los rzuca ich w bezmiar Nieznanego – tajemniczej czarnej kuli, spowijającej część Układu Słonecznego.



Rysunek

Ta dynamiczna, pełna przygód space opera, narysowana została w sposób bardzo tradycyjny. Twórcy skoncentrowali się głównie na postaciach, zaś tło pozostawili wyobraźni czytelników. Mimo iż akcja często rozgrywa się w międzygwiezdnej przestrzeni, brak tu graficznych fajerwerków. Wszystkie ilustracje utrzymane są w stonowanej kolorystyce, specyficznej dla poszczególnych plansz – miejsc, gdzie właśnie rozgrywa się akcja. Rzetelna, realistyczna praca (o ile tak można oczywiście powiedzieć o intergalaktycznych przygodach :)).

Rork. Gwiezdne światło

Andreas, Twój Komiks, 56 str., 18,90 zł

Fabuła

Kolejny, czwarty już tom cyklu przynosi porcję niezwykłego mistycyzmu. Tym razem Rork otrzymuje wezwanie i udaje się na bliżej nieokreślone pustkowie, by tam niespodziewanie poznać cząstkę swej przeszłości.



Znów przyjdzie mu stawić czoła nie tylko Tajemnicy, ale również ludzkiej małości, a pod koniec wyruszyć z kolejną misją.

Scenariusze Andreasa bez wahania nazwać można „onirycznymi". Ich zwiewna tajemniczość tworzy nastrój niezwykły i niepowtarzalny. To, co dzieje się w jego świecie, wydaje się kosmicznym prawem, nieuchronną, nieuniknioną koleją rzeczy. Oczywistością pozorną, bo właściwie nic nie jest tu oczywiste ani jasne. Dlatego tak chętnie powraca się do tych historii, ciągle czytając i odczytując je na nowo.

Grafika

W odróżnieniu od scenariusza, rysunki komiksu są niezwykle ostre i wyraziste. Grubość kreski sprawia, że stają się czasem wręcz wulgarne. Andreas łamie przy tym kanony tradycyjnej estetyki i piękna. Poi oczy czytelnika pustką przedstawianego świata i szpetotą bohaterów. Nie pozwala pozostać tylko przy powierzchownych wrażeniach, każe czytać znaczenia ukryte w ich świadomie zniekształconych, wykrzywionych obliczach.

Transmetropolitan. Żądza życia #1

Ellis W., Robertson D., Demulder K., Ramos R., Eyting N., Mandragora, 96 str., 26,90 zł

Fabuła

O ile już pierwszy album przygód niejakiego Pająka Jeruzalem pełen był mocnych przeżyć „estetycznych", o tyle drugi sięga już po ekstremum. Jeruzalem to genialny dziennikarz tworzący w Mieście – miejscu, w którym cywilizacja zjada już własne dzieci i odchody. Krocząc pozornie niezależnymi ścieżkami swej intuicji i talentu, jest w gruncie rzeczy marionetką, więźniem populizmu wyznawanego przez wielbiące go masy. Fabuła tego komiksu jest obrazoburcza, często wulgarna i prostacka, przekracza momentami (w pełni świadomie) granice dobrego smaku. Stanowi jednak również ciekawe studium współczesnej „estetyki". Z drugiej strony, nawet Pająk posiada czasem w miarę normalne, ludzkie uczucia, co czyni go postacią w pewien sposób frapującą, choć raczej niereformowalną.



Grafika

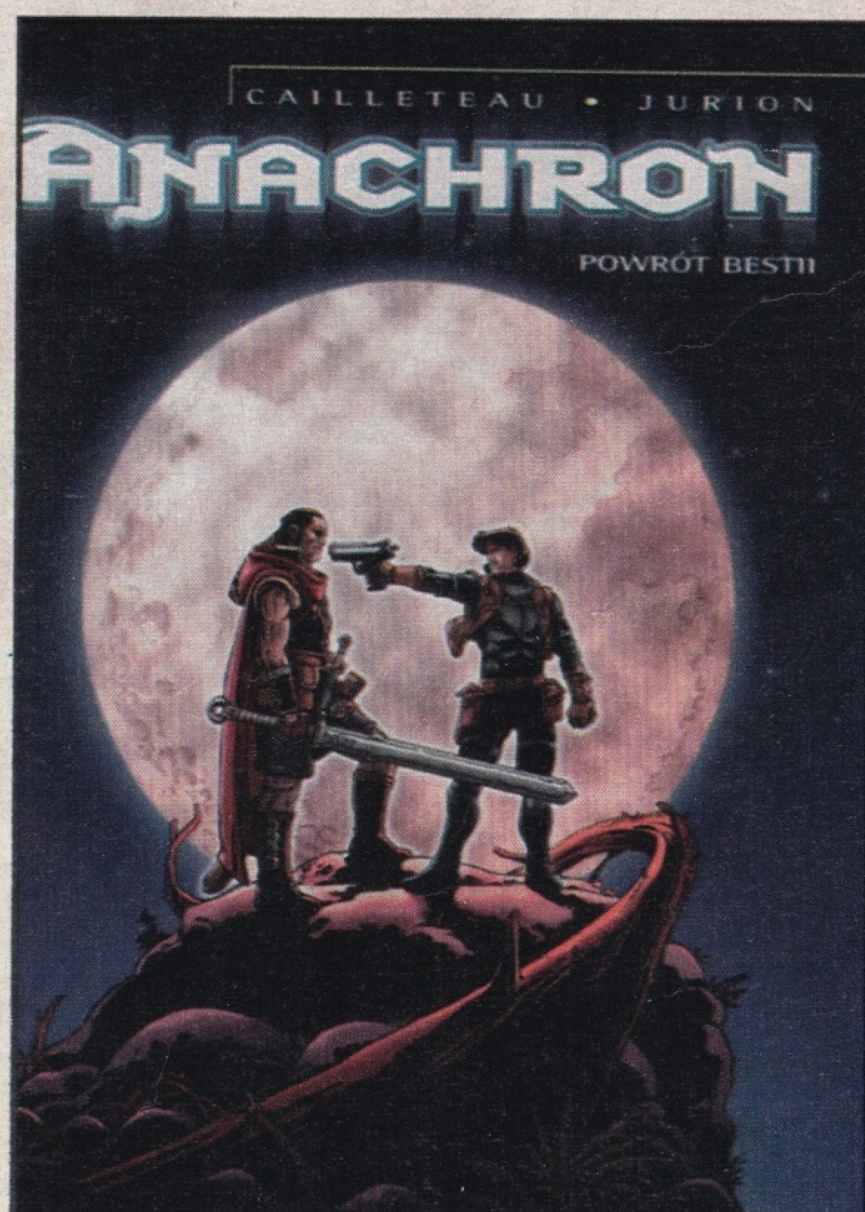
Cała historia narysowana jest z wielkim wyczuciem i talentem. Mimo bogatego wykorzystania komputera stylistyka komiksu wyraźnie nawiązuje do twórczości tradycyjnej – malowanych płaszczyznowo ilustracji dwuwymiarowych. Komiks charakteryzuje go dbałość o szczegóły i bogata ekspresja. Mimo kilku niedociągnięć jest to realizm w jak najlepszym wydaniu.

Anachron. Powrót bestii

Cailleteau Th., Jurion J., Egmont Polska, 48 str., 16,90 zł

Fabuła

Anachron to swoisty kolaż, w którym fantasy miesza się ze space operą, a wątki mityczne z typowym s-f. Autorzy otwarcie podejmują ryzyko stworzenia kiczu. Odważnie mieszają światy baśniowe z fabułą niemalże sensacyjną, okraszając wszystko sporą dawką humoru (niekiedy o czarnym zabarwieniu). Po raz kolejny okazuje się, że opowieść, której motywem przewodnim jest historia zbudzonego nieopatrznie Zagrożenie dla świata, może stanowić naprawdę zgrabną całość. Pomimo iż (a może właśnie dlatego) pełno w niej zapożyczeń. Trudno jednoznacznie zdefiniować nastrój tej dynamicznie poprowadzonej historii. Mimo iż dzięki licznym odniesieniom fabuła zdaje się przewidywalna, to jednak niesie ze sobą ciągłe zaskoczenia, które z nadzieją pozwalają oczekiwać dalszych tomów cyklu. W każdym razie fabuła toczy się w myśl zasady: niech zwycięży Dobro!



Grafika

Tym, co uwypukla atmosferę, a jednocześnie podkreśla dystans, z jakim twórcy traktują swoją historię, jest rysunek. Mimo grubej konturówki staje się on dzięki komputerowym barwom wręcz delikatny. Pomimo wyraźnych zniekształceń postaci, ilustracje pokryte stonowanymi barwami zachowują walor niezwykłej czytelności. Widać w nich sprawność warsztatową, ale również smak artystyczny. Są one po prostu estetyczne, co wyróżnia Anachron spośród coraz powszechniejszej komiksowej papki.

Hitman

Ennis G., McCrea J., Feeny C., D'Angelo G., Murakami G., Mandragora, 144 str., 29,90 zł

Fabuła

Cóż może przyciągnąć uwagę komiksowych fanów bardziej niż historia rozgrywająca się na pełnych przemocy ulicach Gotham? Tytuł ten zaskoczy jednak zagorzałych wielbicieli superbohaterów, a zwłaszcza zwolenników rozsławiającego miasto Mrocznego Rycerza. Im Batman jako „mysza" i chłopiec do bicia może się nie spodobać. Sam Hitman wydaje się antytezą wszelkich postaci, tak pospolicie władających w amerykańskim komiksie nadprzyrodzonymi mocami. Nie, nie, on również posiada niezwykłe możliwości, ale już sam sposób ich „nabycia" trąci farsą. Drwinę tę podkreślają groteskowe ilustracje przedstawiające wszystkie „nieludzkie" monstra. O ile bowiem postaci ludzi prezentują się w miarę wiarygodnie (może poza dwugłowym mafioso Dublezem), to ociekająca plastikową sztucznością galeria potworów jest ewidentną kpiną. Do końca nie wiadomo, czy jest to próba „nawrócenia" Gotham na „zwykły" kryminał, czy świadoma gra twórców z czytelnikiem? Tak czy owak, kij w mrowisko supermanów został włożony głęboko.



Grafika

Tytuł jest bardzo nierówny graficznie. Mamy tu zarówno kadry doskonałe pod względem formalnym i stylistycznym, jak i ewidentnie prostackie obrazki rysowane jakby w pośpiechu po to tylko, by wypełnić przestrzeń. Ilustracje są bogate w barwy, choć w przeważającej części utrzymane zostały w chłodnych i ciemnych tonacjach.

Tajemnicza Broń. Inwazja Żółtego Cesarstwa

Jacobs E. P., Bierme Ph., Daniels L., Podsiedlik, Raniowski i S-ka, 56 str., 15,90 zł

Fabuła

Budząca pewne rozrzewnienie, i to raczej u czytelników starszej daty, Tajemnicza Broń jest komiksem ze wszechmiar tradycyjnym. Ocenę taką utwierdza bardzo konserwatywny, prosty rysunek, narracja prowadzona w dużej części tak, jak w opowieści obrazkowej oraz nieskomplikowana, przygodowa fabuła. Jest to jednak



jeden z nielicznych tytułów podejmujących tematykę militarną, niewyniesioną gdzieś w otchłań Kosmosu, ale stanowiącą pewien scenariusz dalszego rozwoju naszej cywilizacji. Dziś to pomysł już może nieco naiwny, ale w czasach powstawania komiksu (blisko 20 lat temu) z pewnością chwytliwy.

Niewątpliwie, wizja chińskiej dominacji nad światem i wojny przyszłości to tematy stricte fantastyczne. Niemniej w dalszej części opowieści autorzy dążą wyraźnie w kierunku fabuły przygodowej, bliższej stylem historiom o Indianie Jonesie. Czy zatem to już koniec fantastycznych akcentów? Zobaczymy dopiero w kolejnych tomach serii.

Grafika

Poważnym zarzutem, kierowanym najprawdopodobniej do polskiego edytora, jest dość słaby, mało kontrastowy druk. Spłowiałe barwy odbierają życie ilustracjom i zakłócają ich rolę narratorską oraz opisową. Niezbyt czytelne jest też liternictwo umieszczane czasami na kolorowym tle. Generalnie: komiks z „myszką", ale (a może właśnie dlatego) wart jest odnotowania.

Kran. Walou-Walou, dziedzictwo przodków

Herenguel E., Zimmermann F., Amber, 48 str., 19,80 zł

Fabuła

Poszukiwania nowych komiksowych hitów wyraźnie pchają ostatnio wydawców ku tytułom humorystycznym. Mimo iż Walou to opowieść o zemście i walce o władzę, jest to bardziej pastisz aniżeli poważna historia fantasy. Zabawna, nieco surrealistyczna fabuła jest przede wszystkim źródłem dobrej rozrywki. I trudno doszukiwać się tu głębszych podtekstów. Przypominający nieco Janosika, niezbyt rozgarnięty Kran (co za imię!) oraz zwalczająca go, kojarząca się z rudą Pippi, królewska faworyta otwierają pochód karykaturalnych postaci. Na jego końcu tkwią wyjątkowo bestialscy Hunowie oraz maskotka Krana, ulubiony i trochę nerwowy wilkołak.



Grafika

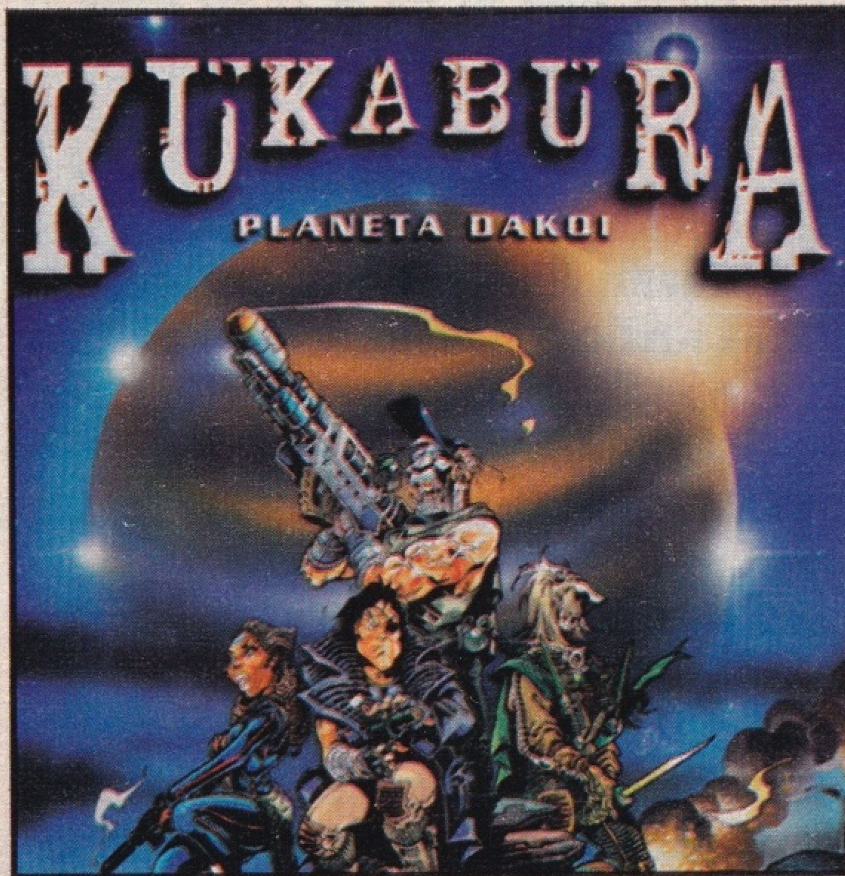
Bardzo ciekawy jest tu zwłaszcza rysunek. Pozornie niedbały, zniekształcony, wręcz groteskowy, ale faktycznie dopracowany, pełen detali, szczególnie, kiedy chodzi o postaci. Nie zobaczysz tu powszechnie rozpoznawalnej „gładkości" Asterixa. Wręcz przeciwnie – wszędzie zdaje się dominować chaos, który odzwierciedla również pozornie niespójne kadrowanie. W sposób zaskakujący wyłaniają się z niego jednak kolejne wątki fabuły, czytelne i przejrzyste.

Kukabura. Planeta Dakoi

Crisse, Egmont Polska, 48 str., 17,90 zł

Fabuła

Gwiezdni awanturnicy eksplorujący światy zamieszkane przez dziwnie alienopodobne stworzenia. Koczownicze plemiona zamieszkujące bezmiar międzygwiezdnej pustki. Szczyty



galaktycznej władzy. Wreszcie misja galaktycznych komandosów. Wszystkie te elementy spaja w jedno ciążąca nad nimi Tajemnica. Obrazy wydające się początkowo wyrwane z kontekstu powoli, pod koniec pierwszego albumu nowego cyklu, zaczynają tworzyć jakąś całość. Planeta Dakoi nawiązuje do najlepszych wzorców fantastyki przygodowej. Uważny czytelnik dopatrzy się tu mnóstwa świadomych nawiązań oraz odniesień do klasyki gatunku.

Grafika

Lekka i bardzo przejrzysta szata graficzna cieszy oko. Znakomite obrazy kosmicznej przestrzeni, ciekawe wizje światów, różnorodność nieco karykaturalnych postaci. Ten ostatni element służy rysownikowi za dodatkowe narzędzie ekspresji i rozwiewa również skutecznie grożące tego typu opowieści widmo nieuzasadnionej powagi (które łatwo zmieniłoby ją w pustą bufonadę).

Technokapłani. Technoprzedszkoła

Jodorowsky A., Janjetov Z., Beltran F., Egmont Polska, 48 str., 17,90 zł

Fabuła

Nieustanny postęp sprawia, że tematy techniczne stały się niezmiernie ryzykowne. Dlatego dziś autorzy znacznie rzadziej sięgają do „czystego" science-fiction. Pozwalają sobie na to jedynie najwięksi, a Alexando Jodorowsky z pewnością do nich należy. Technokapłani to kolaż kosmicznej epopei z cyberpunkiem, obfitujący w wątki quasireligijne. Pozornie mariaż taki trąci kiczem i rzeczywiście komiks zdaje się chwilami na jego skraju balansować. Jednakże opowieść o zmutowanych mieszkańcach wszechświata, rządzącego się brutalnymi, bezwzględnymi prawami siły, w którym rząd dusz sprawują równie okrutni kapłani wirtualnego kultu, skonstruowana jest bardzo solidnie. Splatające się ze sobą motywy tragedii i zemsty, poniżenia i wywyższenia, niezmordowanego dążenia ku marzeniom za wszelką cenę, tworzą historię niezwykle bogatą, wielopłaszczyznową. Tytuł ten powinien ucieszyć wszystkich fanów hard s-f.

Grafika

Szata graficzna albumu została przygotowana bardzo solidnie. Ilustracje szkicowane delikatnymi konturami są wyjątkowo sugestywne. Sprawiają wrażenie realistycznych, a efekt ten potęgowany jest przez szerokie plany przedstawiane często w poszczególnych kadrach. To właśnie ów realizm, choć surowy, stanowi o oryginalności futurystycznych obrazów. Urzeka również kolorystyka. „Syntetyczna", naniesiona komputerowo, idealnie pasuje do nastroju opowieści. Z jednej strony stonowana, a z drugiej bardzo bogata, pełni niezwykle ważną rolę w dynamizowaniu narracji.



Tekst: Aleksandra Cichy

Bez czego nie może obejść się manga i anime? Oczywiście bez bohaterek z biustami jak u Pameli Anderson, nieprawdopodobnie długimi nogami i ogromnymi oczami oraz bez wielkich… robotów i dużej, dużej dawki seksu.

Kobiety w mandze i anime: w poszukiwaniu ideału

Powyższa teza niewątpliwie wydaje się atrakcyjna, zwłaszcza że w animacji i komiksie ograniczeniem jest tylko wyobraźnia artysty. Można tutaj przedstawić wszystko i wszystkich, zrealizować nawet najbardziej skryte marzenia. Brzmi interesująco, ale… niezmiernie daleko jest popularnej mandze i anime do stereotypu przedstawiającego ją jako zbiór płytkich erotycznych historyjek z biuściastymi panienkami. Racji nie mają także ci, którzy – nakarmieni dużą dawką arcydzieł w stylu Pokemonów – oskarżają japońską animację o infantylizm. Jak zwykle prawda leży pośrodku…

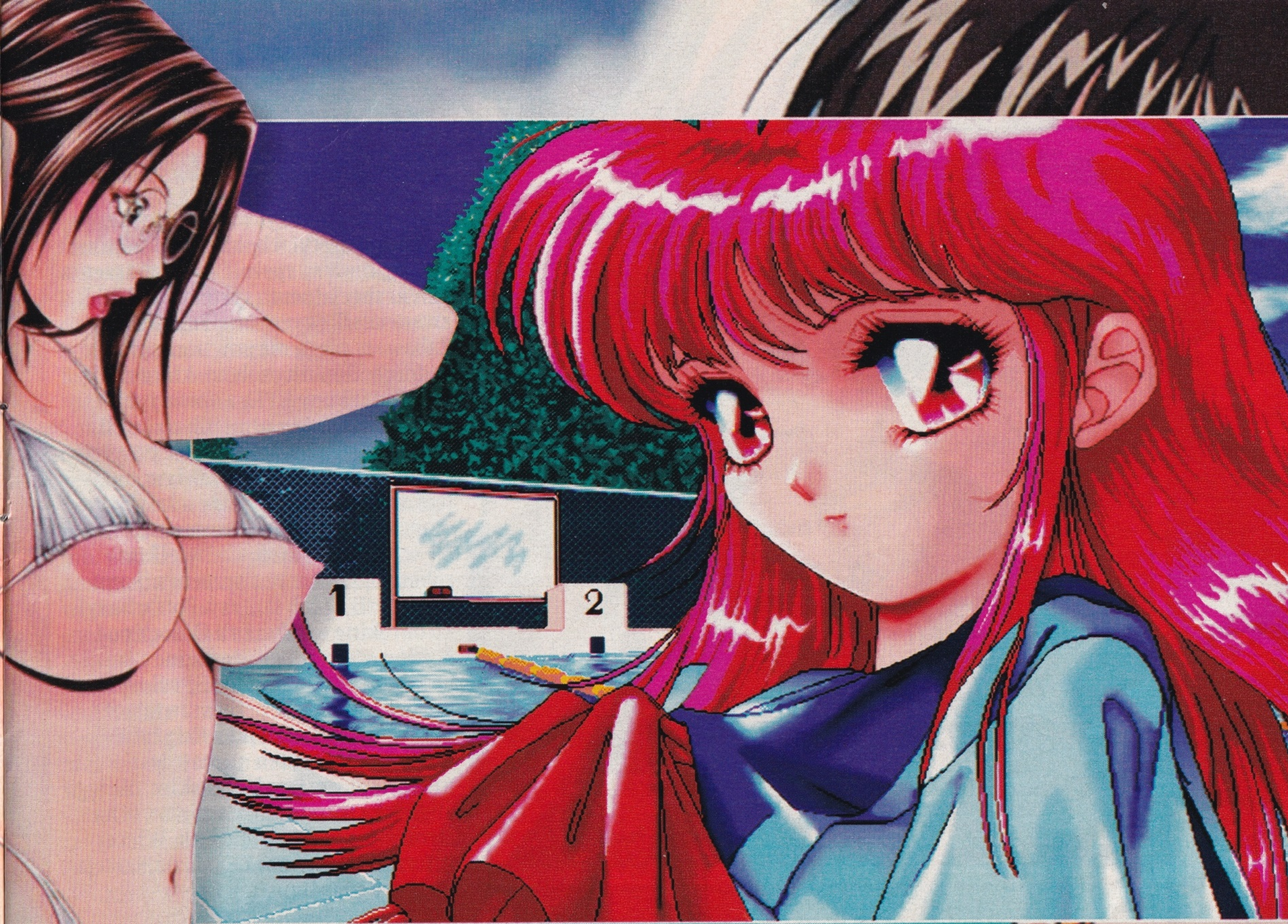
Japońska specyfika

Nie można zapominać o tym, że manga i anime pochodzą z kraju, któremu daleko jest do pogodzenia się z zasadami równouprawnienia płci. Japonki uzyskały prawa wyborcze dopiero w 1945 roku! Coraz więcej z nich kończy dobre studia, ale oczekuje się, że po urodzeniu dziecka zostaną w domu i zajmą się nim. Jeżeli jednak będą chciały podążać drogą kariery (zwykle są zatrudniane jako ostatnie, ale zwalniane jako pierwsze), to w biurach częściej niż mężczyźni zajmują się takimi fascynującymi zajęciami jak parzenie kolegom herbaty czy kserowanie za nich dokumentów. W ankiecie, przeprowadzonej w 1998 roku wśród uczniów pierwszych klas szkół podstawowych w Tokio, chłopcy podawali, że chcieliby zostać strażakami, graczami w baseball i właścicielami sklepów z zabawkami. Wśród dziewczynek najbardziej popularny okazał się zawód… narzeczonej. Jednak wraz z upływem lat i zwiększeniem znaczenia kobiet w japońskim społeczeństwie ewoluuje obraz bohaterek mangi i anime, który zależy oczywiście także od płci odbiorcy tych produkcji.



Dla kogo jest manga?

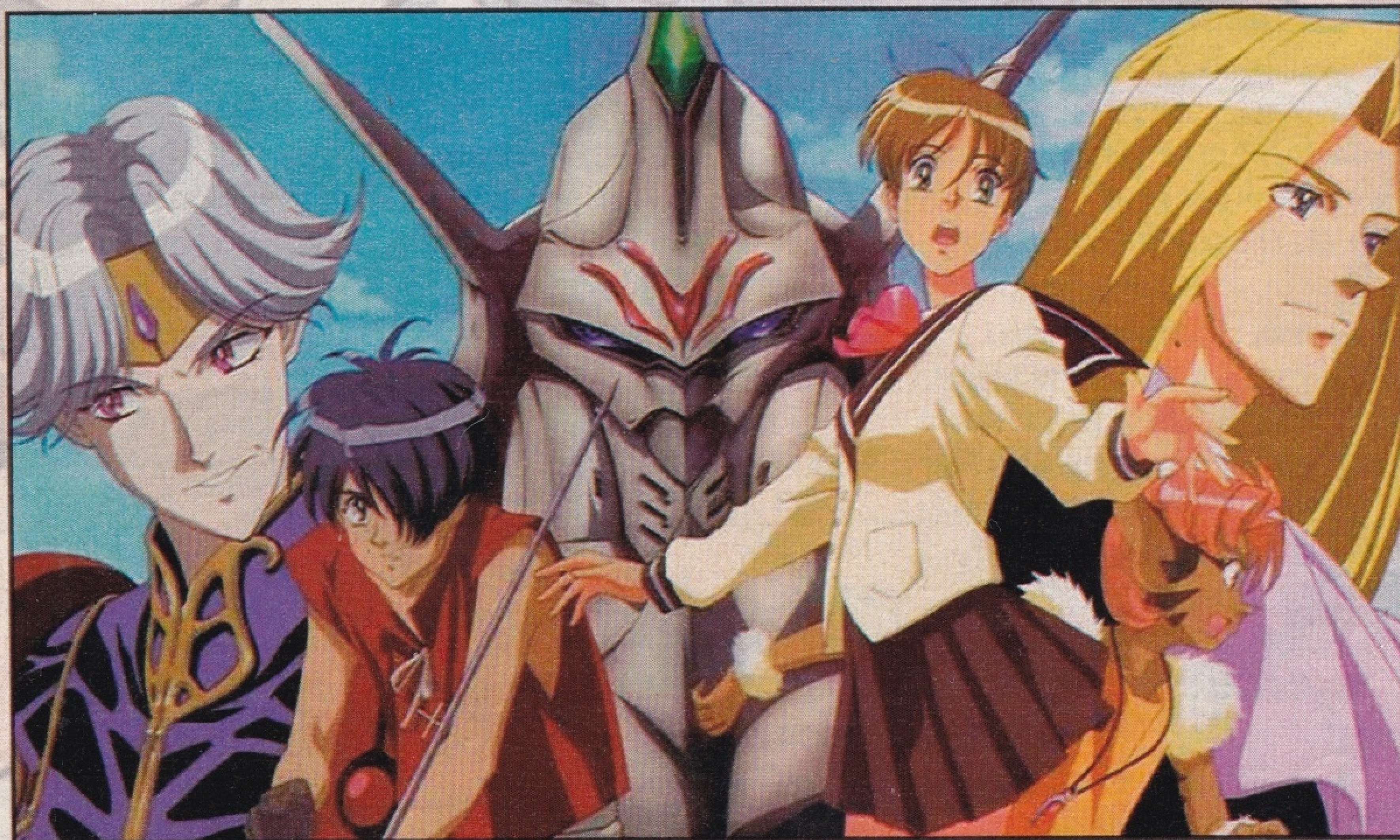
W mającej 126,5 mln. mieszkańców Japonii publikowanych jest około 13 mangowych tygodników, 10 dwutygodników i 20 miesięczników. Nakład, co najmniej 10 z nich, jest wyższy niż milion egzemplarzy. Wśród różnych typów komiksów znajduje się horror, erotyka, fantasy, s-f, romans, opowieści dla urzędniczek, samotnych matek i wiele, wiele innych, w tym oczywiście pornografia oraz historie dla najmłodszych. Manga wykorzystywana jest m. in. do nauki muzyki. Również przy jej pomocy rząd wyjaśnia ważne ekonomiczne i polityczne zagadnienia. Japoński komiks i animacja to ogromny zbiór tematów różniących się miejscem akcji, sposobem przedstawiania świata, w którym żyją bohaterowie i bohaterki, czy wreszcie ich specyficznym obrazem. Artyści, specjalizujący się w danym typie mangi i doskonale znający gusta swych odbiorców, przedstawiają perfekcyjny obraz kobiety. Spełnienie potrzeb czytelnika jest tym łatwiejsze, że mangowe bohaterki można zmieniać w nieskończoność, obdarowując je nierealnymi cechami fizycznymi i psychicznymi. Japońscy twórcy nie ryzykują, że spotkają się z druzgocącą krytyką. Zrobili to reżyserzy, którzy do ról



nieskończonych piękności Galadrieli i Yennefer wybrali Cate Blanchett i Grażynę Wolszczak, co nie spodobało się fanom Tolkiena i Sapkowskiego. Wystarczy wykorzystać parę sztuczek z żelaznego arsenału, wiedząc, jakiego wizerunku postaci kobiecych oczekują małe dziewczynki, dorosłe kobiety czy mężczyźni. W mandze dla bardzo młodych dziewcząt idealna bohaterka jest niewinną dziewicą z wielkimi, sarnimi oczami (tak jak w produkcjach żeńskiej grupy Clamp, autorek m. in. Magic Knight Rayearth), przesłodzoną do granic możliwości. W pornograficznej mandze hentai kobiety to po prostu obiekty seksualne, które przypominają ideały piękna (w wymiarach), znane także z zachodnich „dzieł" tego typu.

Płeć i wiek

Główny podział mangi i anime, chociaż bardzo schematyczny, uwzględnia płeć odbiorcy, do którego skierowana jest dana produkcja. Dla uczniów szkół podstawowych i liceum przeznaczona jest manga shonen (np. Rurouni Kenshin, Blade of the Immortal, Oh! My Godddess, Ranma, Dragonball), a dla dziewczynek w tym samym wieku manga shoujo (np. Sailormoon, Magic Knight Rayearth, Fushigi Yuugi, Marmalade Boy, Devil Hunter Yohko). Co więcej: mogą powstać nawet dwie opowieści rozgrywające się w tym samym świecie, a przeznaczone dla różnych grup odbiorców (np. dwa rodzaje mangi Escaflowne). Jak można się łatwo domyśleć, w tym pierwszym rodzaju większy nacisk położono na wartką akcję, efektowne sceny, a mniej na złożoną tematykę emocji. Nie oznacza to oczywiście, że brakuje w nim wątków romansowych.



Manga dla chłopców

Zwykle jednak bohaterki stanowią raczej tło dla rozbudowanych męskich postaci, wspierając swych ukochanych i pomagając im. Zadaniem kobiet jest dopingowanie przystojnych młodzieńców, którzy poświęcają się tak szczytnym celom jak gra w piłkę, baseball czy ratowanie świata przed zagładą. Od czasu do czasu bohaterka powinna dać się ocalić z rąk niegodziwców, zemdleć po forsownym spacerze na deszczu, a wolny czas spędzać na marzeniach o poślubieniu ukochanego i rodzeniu mu dzieci. Może się nawet okazać, że dzielna superkobieta, obdarzona wielkimi mocami, osiągnie prawdziwe spełnienie tylko wtedy, gdy wybierze spokojne, zwyczajne życie u boku ukochanego i nie będzie się już popisywała umiejętnościami, które nie przystoją damie. Wyjątkowo optymistyczna perspektywa, chociaż nie można zapominać, że często to dzięki miłości i poświęceniu wiernej dziewczyny bohaterowie osiągają cel, który sobie wyznaczyli.

W shonen nie brakuje także elementów o podtekście erotycznym. Mangowe bohaterki bywają mniej lub bardziej nagimi kobietami, którym młodzi chłopcy mogą, często po raz pierwszy, przyjrzeć się dokładniej, co oczywiście bardzo im się podoba.

NAJBARDZIEJ ORYGINALNE PARY

Bulma i Vegeta (DRAGONBALL)

czyli para jak z telenoweli. Ekscentryczna kobieta-naukowiec i przemądrzały przedstawiciel superrasy o wygórowanych ambicjach. W jednym z tomów mangi nagle okazuje się, że zostali rodzicami małego chłopca, chociaż jeszcze odcinek wcześniej ona miała chłopaka, a on wydawał się zupełnie niezainteresowany kobietami.

Miki i Yuu (MARMALADE BOY)



czyli początki bywają trudne. Piękna dziewczyna poznaje przystojnego młodzieńca, ale w dosyć oryginalnych okolicznościach. Otóż pewnego dnia rodzice Miki oznajmiają jej, że poznali na Hawajach przemiłą parę i zamierzają wymienić się partnerami. Jakby tego było mało, okazuje się, że szczęśliwi wybrańcy mają przystojnego syna, Yuu, w którym od razu zakochuje się Miki. Dobrze, że wszyscy mogą mieszkać razem jak jedna szczęśliwa rodzina. Jednak wiele wskazuje na to, że Yuu jest rodzonym bratem Miki...

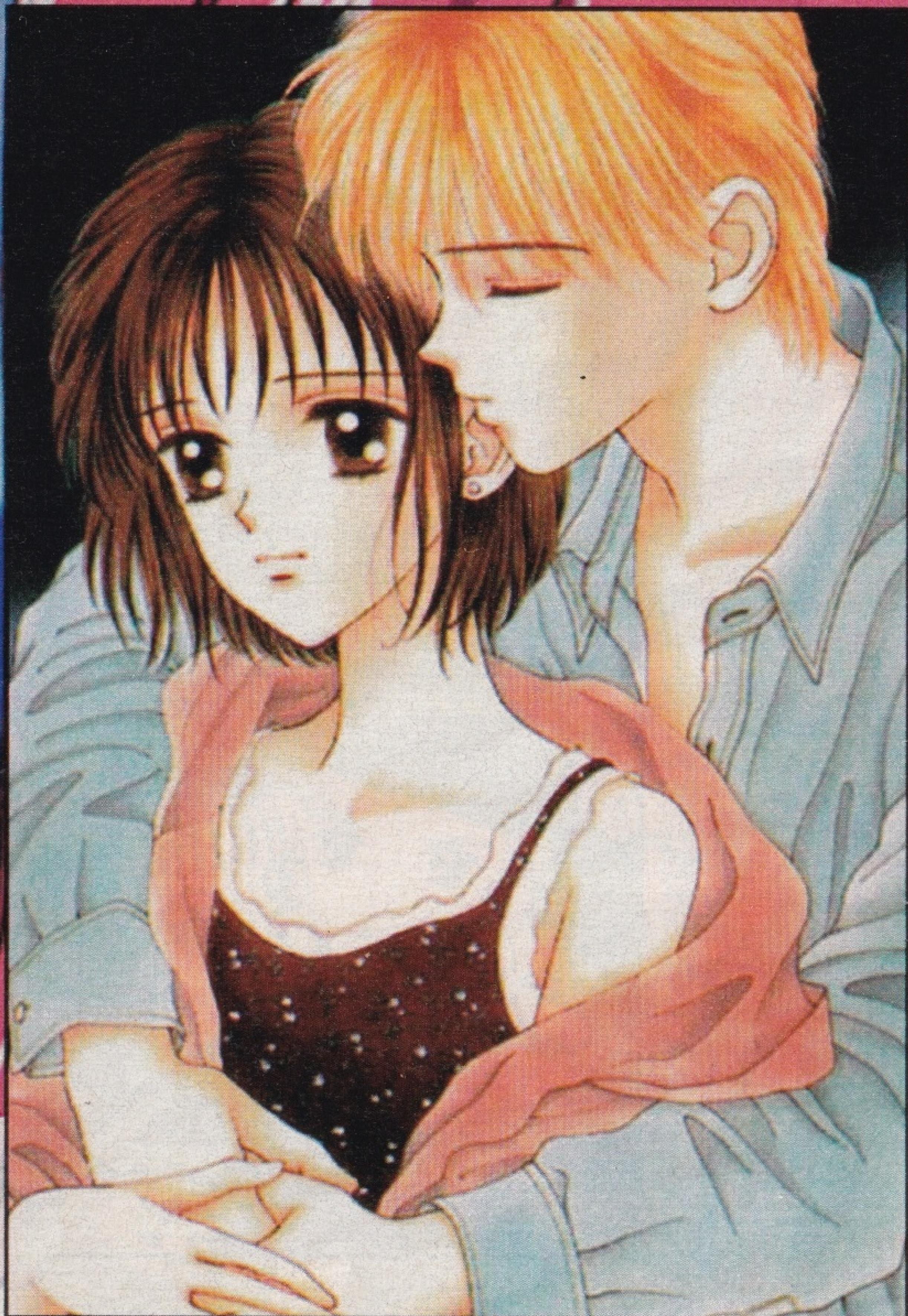
Akane i Ranma (RANMA 1/2)

czyli dwie strony medalu. Zgodnie z wolą rodziców Akane ma poślubić Ranmę, który nie dość, że niezbyt jej się podoba, to jeszcze ma brzydki zwyczaj zamieniania się w kobietę po polaniu się zimną wodą... do tego ma większy biust od Akane.

Ai i Youta (VIDEO GIRL AI)

czyli czego się nie robi dla przyjaciół. Youta jest beznadziejnie zakochany w najpiękniejszej koleżance z klasy, jednak nie może zdobyć się na wyznanie jej uczuć. Na pomoc przychodzi mu dziewczyna z filmu wideo, Amano Ai, która przedostaje się do realnego świata.

Belldandy i Keiichi (OH! MY GODDESS) czyli dziewczyna na telefon. Keiichi zamierzał zamówić zwykłą pizzę, ale zamiast tego połączył się z... biurem bogiń i dostarczono mu jedną z nich, Belldandy. Potem nieopatrznie wypowiedział też życzenie: chciał, żeby bogini została z nim na zawsze. Szkoda tylko, że Keiichi kompletnie nie zna się na kobietach, co spowodowało wiele zabawnych komplikacji.







Na początku, w opowieściach dla młodszych chłopców, dominują niewinne rozmowy o dziewczęcych majteczkach czy pokazywanie osobników płci pięknej pod prysznicem. Potem zdarzają się nawet „momenty", kiedy bohater może dotknąć (krągłej) piersi koleżanki. Cała sprawa posuwa się dalej w komiksach dla starszych chłopców, a romans w końcu jest finalizowany w mandze dla najstarszej grupy licealistów. Te wszystkie atrakcyjne cechy mangi shonen sprawiają, że cieszy się ona sporym powodzeniem nie tylko w Japonii.

Manga dla dziewcząt

Zupełnie inną odmianą japońskiego komiksu jest manga shoujo, której odbiorcą są dziewczęta (chociaż oczywiście ma ona też grono wiernych męskich czytelników), a twórcami najczęściej kobiety.

Shoujo powstała później niż shonen, a jej rozwój rozpoczął się w latach sześćdziesiątych, kiedy okazało się, że kobiety stanowią coraz większą liczbę wszystkich czytelników mangi (zdarzają się jednak opracowania, w których ten typ komiksu uważany jest za podgatunek mangi shonen). Na razie znajduje mniejszą grupę odbiorców (skierowany do chłopców mangowy tygodnik ShÛnen Jump ma nakład 5 930 000, a przeznaczony dla dziewcząt miesięcznik „Ribbon" połowę mniejszy), ale rozwija się dynamicznie, zwłaszcza że większość młodych Japonek bardzo chętnie czyta komiksy.

W mandze shoujo historie zwykle dotyczą

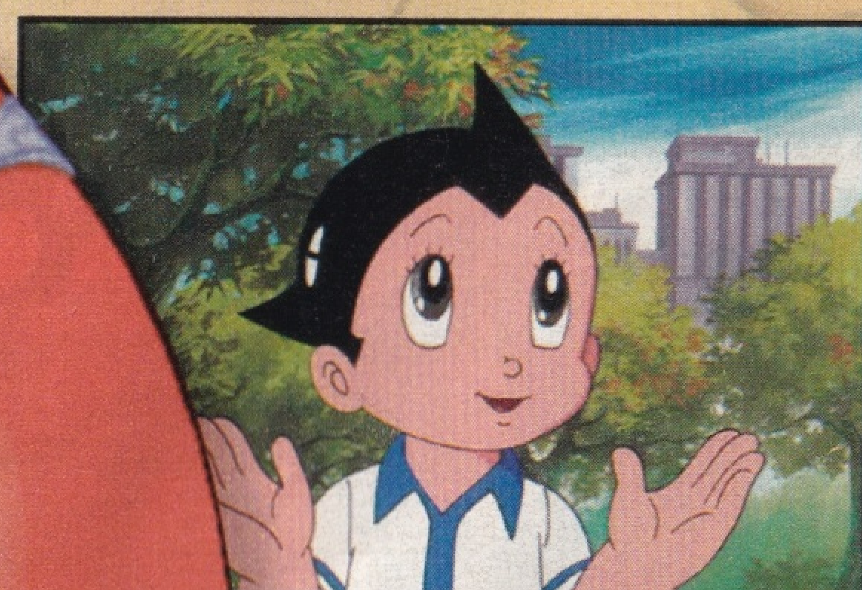
WIELKIE OCZY, MAŁE USTA

Jeśli chcesz przeżyć takie same przygody jak bohaterki (i bohaterowie) anime i mang, możesz spełnić swoje marzenia dzięki specjalnemu systemowi RPG, zwanemu Big eyes, small mouth. Zabawa w niego nie powinna sprawić żadnego kłopotu osobom, które znają inne książkowe RPG, a nawet tym, którzy nigdy się z nimi nie zetknęli. Dzięki niemu można przeżyć przygody zainspirowane niemal każdym rodzajem anime i mangi, wziąć udział w romantycznej przygodzie, nastraszyć się w horrorze, kierować wielkim robotem, zmierzyć z przeciwnikami w scenerii s-f lub fantasy. Potrzeba tylko odrobinę wyobraźni! Oprócz podstawowego systemu, dostępne są także odmiany RPG oparte na określonych seriach anime, np. przedstawiające przygody Czarodziejki z Księżyca. Niestety, system ten na razie jest niedostępny w języku polskim, ale jego angielską wersję można zamówić na stronie www.amazon.co.uk. Więcej informacji na temat BESM znajdziecie na www.guardiansorder.com.

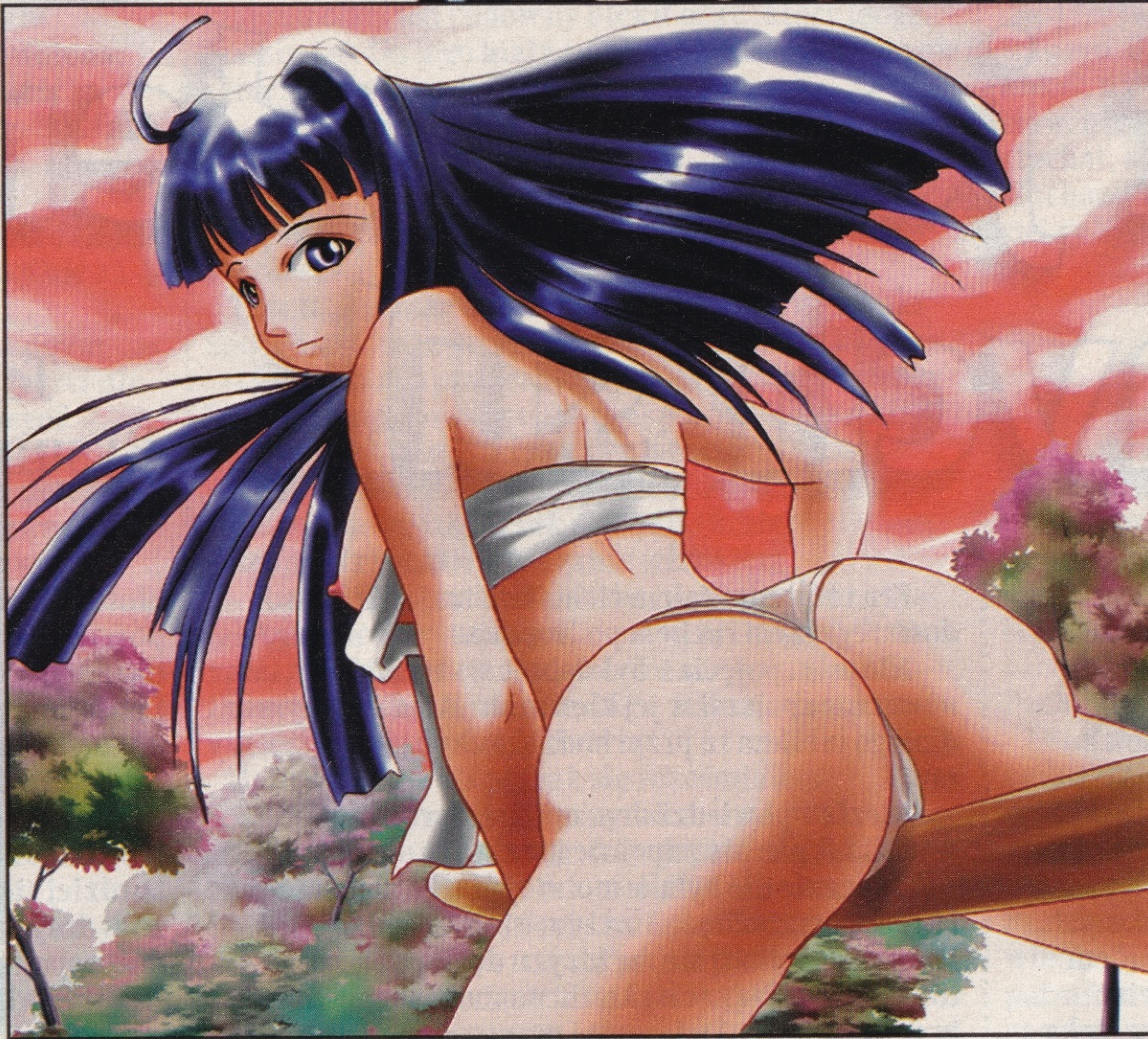


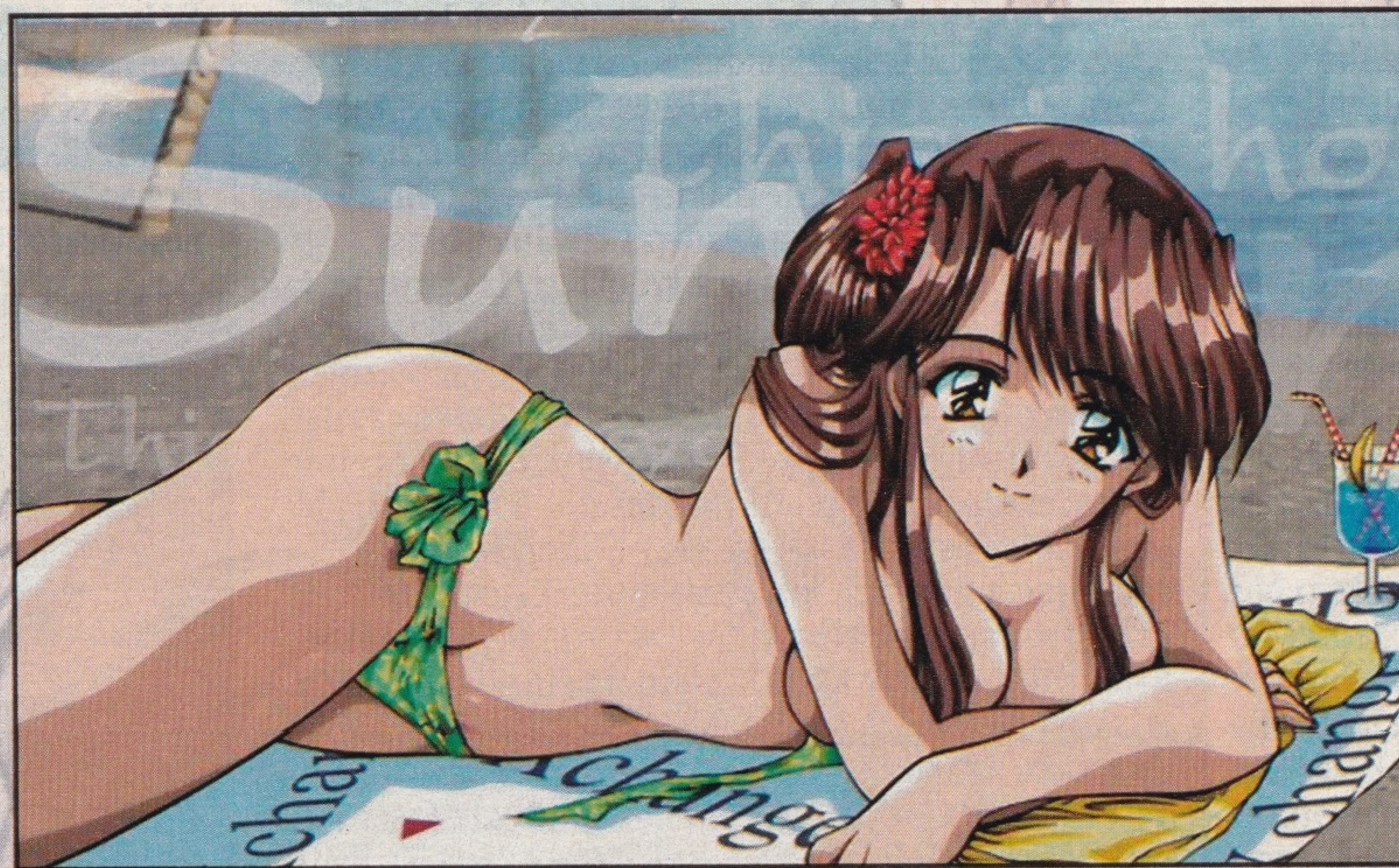
WIELKIE OCZY BETTY BOOP

Wiele osób uważa, że pierwowzorem słynnych sarnich, wielkich oczu bohaterek mangi i anime były urocze oczka niejakiej Myszki Miki, ale prawda jest zupełnie inna. Za całe zamieszanie odpowiada lekarz Osamu Tezuka, ojciec nowoczesnego japońskiego komiksu i anime (jego pierwsza większa manga, Shintakarajima, została opublikowana w 1947 roku). Tezuka nie tylko zupełnie zmienił sposób przedstawiania ilustrowanych historii, znacznie je wydłużył i napełnił dynamiką znaną z filmów, ale także przyznawał się do swojej fascynacji Waltem Disneyem i jego filmami. Jednak swoich bohaterów (m. in. z anime Tetsuwan Atom, które podbiło rynek amerykański w latach 60. pod nazwą Astro Boy) obdarzył oczami, które podpatrzył u animowanej amerykańskiej



związków między dziewczętami a chłopcami, opowiadają o relacjach międzyludzkich, pełno jest w nich emocji (doskonale przekazywanych dzięki wielkim, wyrazistym oczom bohaterek), bez względu na to, czy rozgrywają się pod przykrywką dramatu, komedii, horroru, czy fantasy. Bohaterki z tego rodzaju komiksu różnią się w znacznym stopniu od kobiet znanych z shonen, chociaż daleko im od wojujących feministek. Typowa opowieść z mangi shoujo toczy się bowiem według utartego schematu: dziewczyna spotyka chłopaka (np. w szkole) i po pewnym czasie dostrzega, jaki to on jest wyjątkowy, wspaniały, cudowny, w wyniku czego zapada na chorobę zwaną miłością, która cechuje się kiepskim humorem, i udrękami psychicznymi (kocha, nie kocha...). Oczywiście wszystko dobrze się kończy, bo któż mógłby oprzeć się urokowi bohaterek shoujo i ich sarniemu spojrzeniu, chociaż czasami cała historia zmierza do wzruszającego, acz tragicznego końca. Przy takiej opowieści wcale nie dziwi fakt, że bohaterki nie tracą czasu na zajmowanie się bardziej przyziemną stroną miłości, czyli seksem, chociaż zdarza im się (w komiksach dla starszych dziewczynek) korzystać i z takich rozkoszy. W najnowszych komiksach dla dziewcząt coraz częściej występują jednak bohaterki, które nie tylko dorównują swoim towarzyszom, ale bywają nawet od nich silniejsze i inteligentniejsze, co jeszcze jakiś czas temu było po prostu nie do przyjęcia!





Manga dla pań

Innym typem mangi są komiksy przeznaczone dla dorosłych kobiet, w których nawiązania do seksu i przyjemności fizycznej zastępują romantyczne porywy serca, zwłaszcza że często ich bohaterki są znudzonymi i niedocenianymi mężatkami, szukającymi spełnienia w ramionach innego mężczyzny. Wiadomo, jakie sceny dominują w takich właśnie produkcjach, a filmy i komiksy tego gatunku pomysłowością dorównują nawet mangom dla dorosłych mężczyzn.



Dozwolone od lat 18

Niestety, do Ameryki i Europy z różnorodnej oferty mangi, a zwłaszcza anime, docierają głównie jej dwa rodzaje. Pierwszy, reprezentowany przez Pokemony i Digimony, przeznaczony jest dla najmłodszych, którzy na Zachodzie są typowymi odbiorcami animowanej twórczości. Drugi rodzaj to oczywiście pornograficzne hentai (np. La Blue Girl, Urotsukidoji), do którego wyjątkowo łatwy dostęp mają wszyscy użytkownicy Internetu. To jemu zawdzięczamy obraz tzw. mangowej panienki w obcisłym stroju, z dużym biustem i wyjątkowo chętnie uprawiającej seks na wszelkie możliwe (i niemożliwe) do wyobrażenia sposoby, zdanej na łaskę i niełaskę mężczyzn. To właśnie ten wizerunek dominuje nad wizerunkiem pozytywnych, dzielnych bohaterek, takich jak chociażby Akane z Ranmy i Major Kusanagi z Ghost in the Shell, których coraz więcej pojawia się w japońskich mangach.

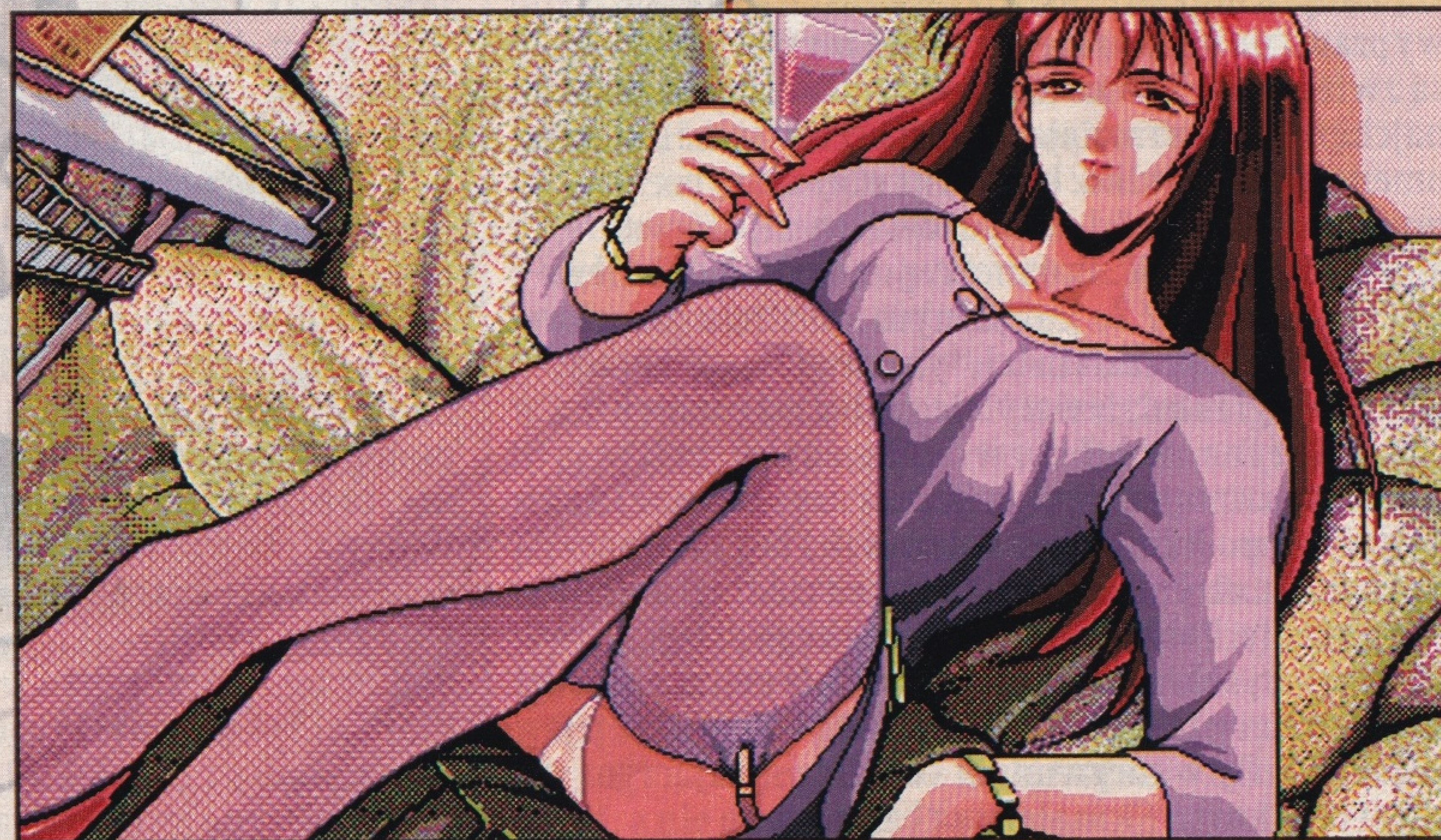
W mandze i anime można spotkać dużo więcej interesujących i oryginalnych postaci kobiecych, które nie mieszczą się w przedstawionych powyżej schematach. Niestety, opisanie ich zajęłoby niejeden numer FANTASY. Jeśli interesują was bohaterki z japońskiego komiksu i animacji, spróbujcie dotrzeć do najlepszych pozycji z tego gatunku i osobiście je poznajcie. Naprawdę warto...

OGROMNE, OKRĄGŁE OCZY



Nie istnieje pojęcie jednego, wspólnego stylu, który charakteryzowałby wszystkie mangi i anime. Dotyczy to także sposobu przedstawiania oczu bohaterek, który zależy od tematu komiksu czy animacji, a także od tego, do jakiego odbiorcy skierowany jest dany produkt. Olbrzymie, okrągłe oczy, przypominające „młyńskie koła", są charakterystyczne dla młodych i niewinnych bohaterek, które występują głównie w słodkiej mandze shoujo (najlepszym przykładem są tutaj anime żeńskiej grupy Clamp, autorek m. in. Magic Knight Rayearth, czy doskonale znana w Polsce Czarodziejka z Księżyca). Artyści obdarzają postaci większymi oczami, bo dzięki temu mogą dokładniej przekazywać emocje, targające bohaterkami (oczy są przecież zwierciadłem duszy). O wiele mniejsze oczy mają bohaterki anime i mangi, w których poruszane są poważniejsze tematy (Nausicaa of the Valley of the Wind, Księżniczka Mononoke) albo występujące w produkcjach dla dorosłych (np. Crying Freeman).





Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer

OPOWIADANIE

Świat jest pełen chętnych suk

Tekst: Damian Kucharski
Rysunki: Marcin Kułakowski

Najważniejsze są buty. Buty i paznokcie. Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, że dziewczyna, którą dopiero co spotkałeś i z którą zamieniłeś właśnie kilka pierwszych zdań, potrafi już powiedzieć wszystko o twoich butach i dłoniach. Potrafi również stwierdzić czy jej się podobają, czy też nie. A jeśli jej się podobają, być może rozważy twoją kandydaturę na spędzenie najbliższej nocy. Oczywiście świat jest również pełen blachar bardziej zainteresowanych grubością twojego portfela niż twoim wyglądem i dbałością o detale. Ale nie będziemy przecież rozmawiać o blacharach. Prawdziwą kobietę, taką z krwi i kości, charakteryzuje dbałość o detale. Nie musisz być Antonio Banderasem. Bądź sobą i miej styl. Ja byłem sobą i miałem styl. Lubiłem drogie przedmioty, ale z tym też należy mieć umiar. Nie ma nic gorszego, niż facet wyciągający złotą papierośnicę to nie daj Boże nabijaną drogimi kamykami. Jasne, że za sprzedaż tej papierośnicy można by nieźle pożyć, ale za wachlarz dolarów też można nieźle pożyć, a publiczne wachlowanie się nimi nie jest uważane za szczyt dobrych manier. Ja miałem skromną, srebrną papierośnicą z delikatnie wybitym w rogu inicjałem. Zresztą nie nosiłem w niej papierosów. Srebrna papierośnica była legowiskiem Białej Damy. Zaręczam ci, że koks wciągany ze srebrnej papierośnicy smakuje lepiej niż wciągany z łazienkowej półki lub nie daj Boże, z deski sedesowej. Miej styl – zawsze to powtarzam. Jeśli masz styl uchodzi ci płazem wiele rzeczy, które robione bez stylu są tylko żałosne.

Siedziałem przy trzecim barze w moim ulubionym klubie w centrum miasta. Nie było tu ani za głośno ani za cicho. Muzyka taka, by leciutko ożywić umysł, a nie zagłuszyć go hukiem decybeli. Red Bull z Absolutem wymieszany w proporcjach jeden do jednego. I kostka lodu. Nigdy dwie. Zawsze tylko jedna. No cóż, nikt nie powiedział, że nie lubię prostych rozrywek. Czasami dobry jest chateubriand, a czasami krwista pieczeń zdjęta z osmolonego grilla i garść nieobranych ze skóry podpieczonych ziemniaków. Przychodziłem do tego klubu co drugi wieczór. Ciężko wyobrazić mi sobie, że mógłbym spędzać wieczory samotnie przed telewizorem albo z gazetą w ręku. O nie, kochany. Kluby to czysta, żywa adrenalina. To wyprawa na polowanie. Ty jesteś myśliwym, a one są zwierzyną. Nawiasem mówiąc zwierzyną jak najchętniej wystawiającą się na celny strzał. Nomen omen... Ważne tylko, by można potem się pochwalić myśliwym. Ja chciałem być myśliwym, którym można się chwalić. Próżność, powiesz? A cóż złego jest w próżności? Że jest jednym z siedmiu grzechów głównych? Popełniłem ich tyle, że główny, a mały, jeden, drugi lub dziesiąty nie robiły mi różnicy.

Dziewczyna, na którą zwróciłem uwagę, siedziała samotnie w rogu baru. Przyszła tu najprawdopodobniej bez koleżanek i bez faceta, a przynajmniej nikt do niej nie podszedł od dobrej pół godziny. Popijała pomarańczowego drinka w wysokiej szklance i zdawała się nie zwracać uwagi na otaczający ją świat. Złote, długie kolczyki w jej uszach lśniły w czerwonym świetle pulsującego z sali reflektora. Skinąłem na barmana.

– Kto to? – zapytałem cicho wskazując ją ledwo dostrzegalnym ruchem podbródka.

– Nie mam pojęcia – był dobrze wytrenowany, bo nawet nie spojrzał w jej kierunku. Między innymi dlatego lubiłem tu przychodzić – chyba jest pierwszy raz.

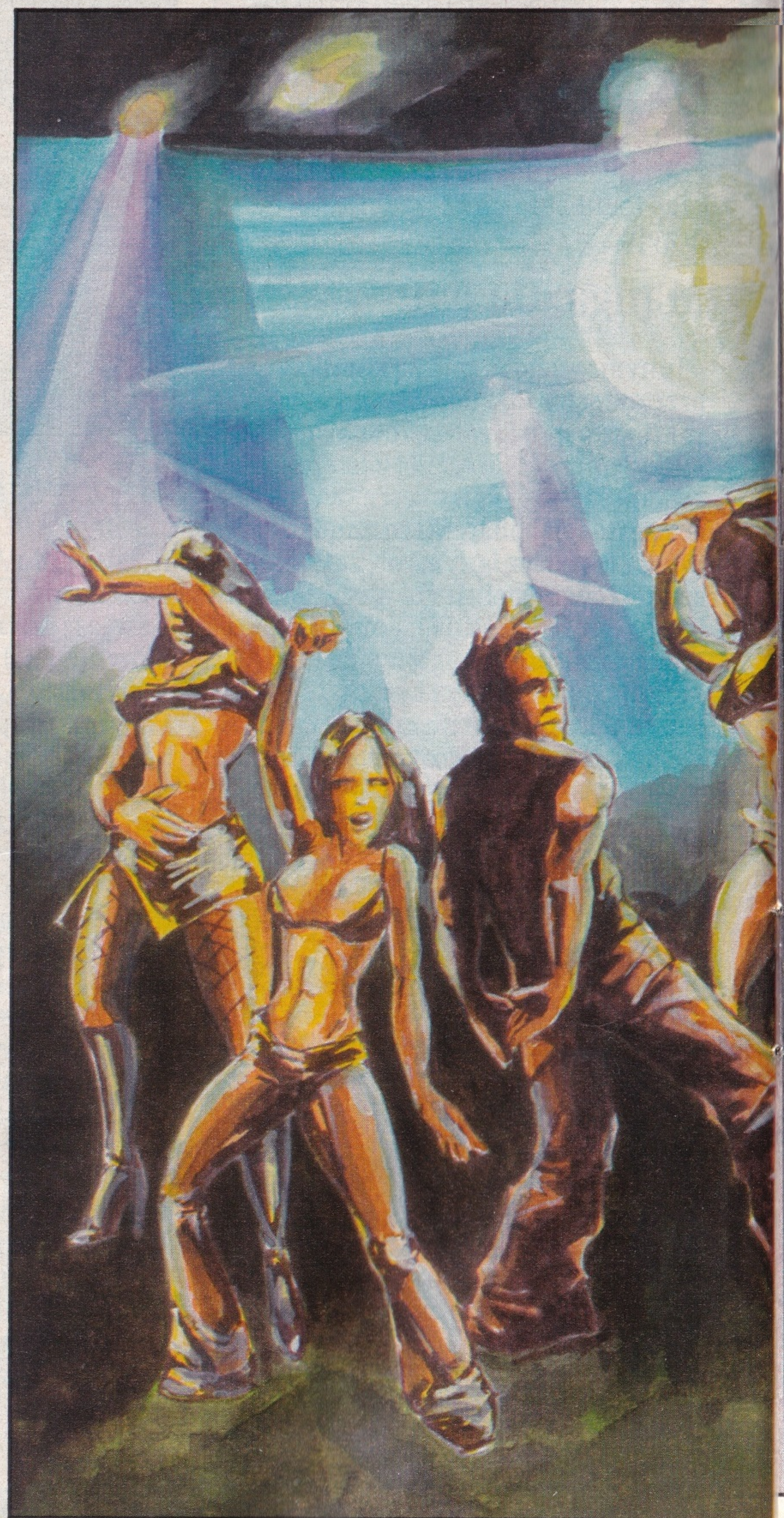
– Niezła – powiedziałem upijając łyczek – nie w moim typie, ale zupełnie niezła.

Faktycznie nie była w moim typie. Bardzo wysoka i krótka ostrzyżona. A za tym nie przepadam. Podobno upodobanie mężczyzn do długich włosów to atawizm. Pędząc na koniu można było pochwycić brankę z długimi włosami i przytroczyć ją za nie do siodła. Koncepcja ciekawa, ale ja jakoś słabo wierzę w atawizmy. Bardziej podobał mi się obraz kobiety, która jedzie na mnie, a jej długie, gęste włosy falują jak porywane wiatrem. No dobrze, tyle na temat włosów. Jej niestety nie miało co falować. Ale za to pod czarną sukienką rysował się duży biust. Naprawdę duży biust. A to z kolei działa na mnie, jak płachta na byka. Budzi zastrzyk adrenaliny. Duży biust jest stworzony do zabawy nim. Co śmieszne, ta zabawa nigdy się nie nudzi. Jeśli masz dziewczynę z małymi piersiami, prędzej czy później obsesyjnie zaczniesz myśleć o wielkim biuście. O ogromnych piersiach. O cycach jak szczyty Mount Everestu. O falujących górach bitej śmietany. Zaczniesz przeglądać pisma dla panów i wybierać tylko takie filmy porno, gdzie aktorki uginają się pod ciężarem własnych piersi. A jeśli dziewczyna ma duży biust? Cóż, taka zabawa nigdy nie staje się nużąca. Stary dowcip mówi, że dziewięciu na dziesięciu facetów woli laski z wielkimi cyckami, a ten dziesiąty woli tych dziewięciu. Coś w tym jest. Znałem facetów z upodobaniem do małych piersi i prędzej czy później okazywali się ukrytymi homoseksualistami. Nie żebym miał coś przeciwko homoseksualistom. Przynajmniej wtedy, kiedy znajdują się maksymalnie daleko ode mnie.

Laska siedząca przy barze miała pociągłą, szczupłą twarz o lekko wystających kościach policzkowych, bardzo jasną cerę i śliczne, długie palce pianistki. Uwielbiam długie, szczupłe palce. Z długimi, pomalowanymi paznokciami. I niekoniecznie w kolorze krwistej czerwieni, bo to w końcu bardzo, ale to bardzo trywialne. Wystarczy bezbarwny albo perłowy lakier. Tak naprawdę liczy się kształt i długość, a nie kolor. I miała piękne, złote kolczyki. Łezki połyskujące różem w blasku czerwonego światła.

W nieinteresującej się zewnętrznym światem dziewczynie przy barze coś mnie nieodparcie pociągało. Oczywiście może się okazać, że to tylko poza. Sygnał sprzedawany światu: „patrz siedzę tu taka samotna, zajmij się mną",.. No cóż, zobaczymy. Jednak uznałem, że przed spotkaniem z nią czas na spotkanie z Białą Damą. Ona wcale nie zmienia mojego spojrzenia na świat. Nie czuję się dzięki niej bardziej atrakcyjny ani bardziej wygadany. Bogu dziękować nie brakuje mi ani jednego, ani drugiego. Ale sam moment wciągnięcia w nozdrza tego gorzkiego proszku jest jak podróż na drugi koniec tęczy. Jest zapowiedzią garnka ze złotem, który ukrył przemyślny leprechaun. Oczywiście każdy mądry człowiek zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczne jest zabieranie leprechaunowi jego złota. Wielu mówi, że nie tylko narażasz się na pościg właściciela, ale złoto w promieniach słońca okaże się tylko zeschłymi liśćmi albo kupką miedzi. I następna prawda o Białej Damie: jeśli pozwolisz, aby zaczęła rządzić twym życiem to zacznie to robić. Z całą bezlitosną i okrutną obojętnością. Ja już nie miałem się czego bać. Czułem na sobie oddech leprechauna i czułem też, że Biała Dama coraz bardziej się mną interesuje. Tak to już jest. Jeśli zbyt długo patrzysz w otchłań, uważaj, bo otchłań może spojrzeć w twoim kierunku. We mnie otchłań wpatrywała się od dawna.

Westchnąłem. To był zły czas na takie myśli. W końcu nie przyszedłem tu, by zastanawiać się nad nędzą swojego istnienia, debetem na kartach kredytowych i nie spłaconymi długami zaciągniętymi u ludzi, którzy nie przepadają za niesolidnymi dłużnikami. Teraz był wieczór. Czas zabawy. Czas polowania. Jutro będzie jutro i niech je licho!



Podszedłem do nieznajomej dziewczyny, kiedy Biała Dama mocno się już rozgościła w moim ciele. Siedziała pod sercem i w mózgu zadowolona, uśmiechnięta, dzieląc się ze mną swoją radością. Kiedy się zbliżałem poczułem delikatną, kadzidlaną woń perfum. To był naprawdę ładny zapach, a ja uwielbiam, kiedy kobiety ładnie pachną.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam – powiedziałem zniżając głos – pozwól tylko, że spytam, czy nie za bardzo się potłukłaś?

– Kiedy spadałam z nieba? – odparła znużonym tonem i nawet nie spojrzała na mnie – czy faceci nie mogą wymyślić czegoś bardziej oryginalnego?

– Och – powiedziałem, gdyż nie byłem wcale zaskoczony. W końcu prawdziwy myśliwy potrafi poradzić sobie zarówno ze zwierzyną, która ucieka, jak i taką która atakuje – strasznie mi przykro, że ktoś wcześniej, po raz pierwszy ci to powiedział i mogę tylko żałować, że to nie byłem ja. Ale niezależnie od tego, ile razy byś słyszała, że jesteś piękna, będzie to zawsze prawdą.

Tym razem spojrzała na mnie. Miała przejrzyste, niebieskie oczy o barwie południowego nieba.

– Słowa podlegają inflacji – powiedziała – im więcej mówisz, tym mniej jest to warte.

– Zawsze możemy posiedzieć i pomilczeć – uśmiechnąłem się – a ja wtedy wytężę cały zmysł telepatyczny, by poznać twoje imię.

– A może byś go tak powytężał na własnym miejscu? – zaproponowała.

– Oczywiście – powiedziałem – pozwól tylko, że na do widzenia pozwolę sobie zamówić ci drinka – podniosłem dłoń, uprzedzając jej protest – który będziesz mogła wypić spokojnie i cieszyć się samotnością. Myślę tylko nad tym, co do ciebie pasuje. Zastanówmy się. Najpierw mleko, jak biel twojej skóry. Potem blue curacao, które tylko w małym stopniu odda ten cudowny błękit oczu, który mogę podziwiać. Do tego biały rum, aby lekko ogrzać twoje serce. I gałązka mięty dla ozdoby...

– A co ona ma symbolizować? – spytała.

– Oczywiście chłód twego głosu – powiedziałem – do całości dodamy kulkę lodów waniliowych, aby przypominała Królową Lodu, zapewne bliską i serdeczną ci przyjaciółkę.

Tym razem roześmiała się. Miała piękny, głęboki śmiech, tak różny od głupiutkiego chichotu blachar.

– Blue Moon – powiedziała – dobry wybór. Ile drinków masz opanowanych w ten sposób? Wszystkie typy urody? Wszystkie kolory włosów?

– Polegam na intuicji i szybkich skojarzeniach – odparłem – a jaki drink pasuje do mnie?

Spojrzała i otaksowała mnie wzrokiem.

– Red Bull – powiedziała – bo idziesz przed siebie jak byk, nie zwracając uwagi na innych. Wypełnić szklankę Absolutem, bo przecież nie wypada pić innej wódki. Dodać kostkę lodu. Jedną. Dla zaznaczenia pewnej namiastki stylu.

Zatkało mnie, ale jednak się roześmiałem.

– Słyszałaś, prawda? – zapytałem – wierzę w kobiecą intuicję, ale nie do tego stopnia. Podaj Blue Moon, jeśli łaska – zwróciłem się do barmana, który flirtował z jakąś szczupłą dziewczyną o długich, spalonych trwałą włosach. Ale mimo flirtowania zamówienie usłyszał natychmiast. Ot, profesjonalizm.

– Słyszałam – przyznała – ale coś w tym jednak jest. Cóż, nie stój tak. Skoro już się pojawiłeś, usiądź i wypij ze mną tego drinka.

– Dzięki za zaproszenie – odparłem i zgrabnie posadziłem tyłek na stołku.



I tak to już jest, przyjacielu. Tak naprawdę, one chcą cię tak samo, jak ty ich. Wymagają jednak jednego. Byś przez moment je zainteresował. Byś nie dukał, nie pocił się i nie czerwienił. Byś nie szukał słów, nie milkł w nieodpowiednim momencie. Byś słuchał, kiedy one mówią i mówił, kiedy one chcą słuchać. To takie proste. Ha, gdyby to było takie proste, ty byś miał co wieczór inną dziewczynę, a nie ja.

Ψ Ψ Ψ

Jej ciało było doskonalsze niż mogłem przypuszczać. Wyćwiczone fitnessem i kształtne. Strome piersi z różowawymi, sterczącymi sutkami. Długie nogi o pięknie uformowanych łydkach i cudownie wąskie w pęcinach. A poza tym ślicznie pachniała. Nie tylko jej kadzidlane, ciężkie perfumy. Pachniało jej ciało. Skóra. Pot.

Leżała obok mnie, spocona, z głową odrzuconą na poduszkę i z zamglonymi oczami. Wpatrywała się w sufit nad nami.

– Słodki Boże – powiedziała.

Dotknąłem opuszkami palców jej szyi i karku. Prawie niezauważalnie. Każdy człowiek ma na karku włoski. Zwykle bardzo krótkie i delikatne. Jeśli potrafisz w odpowiedni sposób ich dotknąć, kobieta zaczyna tylko marzyć, żeby rozłożyć przed tobą nogi. Jasne, że kark i szyja są strefami erogennymi. Ale nie o to chodzi. Każda kobieta w tym momencie, gdy dotykasz jej szyi wyobraża sobie, co będzie, kiedy tak samo delikatnie, czule, jak powiew letniego wietrzyku, dotkniesz jej w innych miejscach. Faceci są zwykle tak prości, gwałtowni i niezręczni. Jasne, że one lubią siłę i brutalność. Symulowany gwałt. Odrobinę przemocy. Ale lubią wiedzieć, że to tylko taka gra, a ty potrafisz swoimi ustami i palcami dotrzeć do samego dna ich duszy.

– Mmmm – mruknęła – Aleks, gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś?

Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie. Ludzie rodzą się z pewnymi darami. Jeden potrafi pięknie malować, inny śpiewać, a jeszcze inny grać. Ja byłem wirtuozem instrumentu tworzonego przez kobiece ciało. Od czternastego roku życia – pierwszej seksualnej inicjacji – wiedziałem, co trzeba robić, by z dziewczęcych ust wydobyć soprany krzyku i alty słodkich pomrukiwań. Od czternastego roku życia otaczały mnie kobiety, które po pierwszej spędzonej razem nocy zachowywały się, jak kotki w rui. Lubiłem to. Do czasu. Bo powołaniem prawdziwego artysty jest dzielenie się swym kunsztem z możliwie najszerszą publicznością. Czy wyobrażasz sobie wirtuoza skrzypiec chcącego grać tylko dla jednej osoby? Przez całe życie dla jednej osoby? Jakież to byłoby straszne, podcinające skrzydła, depresyjne... Poza tym ja je naprawdę kochałem. Wszystkie. Jasnowłose, rude i ciemne. Te wysokie, o długich nogach i dużych piersiach, ale również te niskie, szczupłe i z małymi biustami. I one to wiedziały. Że w łóżku jestem dla nich, bo prawdziwym zadaniem mistrza jest stworzenie genialnej muzyki na każdym dostępnym instrumencie. Słowo „oziębłość" nie istniało w moim słowniku, tak samo jak słowa „nie chcę" i „za dużo". Ja ich po prostu nigdy nie słyszałem. Kobiety były moimi Stradivariusami i Steinwayami i potrafiłem im to okazać. A każda z nich lubi czuć się najważniejsza. To się nie zmieniło i nigdy nie się zmieni.

– To nie ja – odparłem – to ty. Jesteś perfekcyjna w każdym calu. Cudowna. Nie wiesz nawet, jakie to genialne uczucie mieć cię obok siebie. Czuć twój smak i zapach – przjechałem szybko językiem po jej naprężonych sutkach, a ona jęknęła – widzieć, jak leżysz tutaj... Taka piękna i doskonała. Jakbyś wyszła spod dłuta Fidiasza albo z morskiej piany.

Uśmiechnęła się. One zawsze się uśmiechają. Pod warunkiem, że są w stanie zrozumieć, co mówisz. Ale to już twoje zadanie. Dobieraj słownik do partnerki, a nie odwrotnie. Są takie, które finezja tylko

rozśmieszy. Są takie, nad którymi trzeba się pochylić i patrząc im głęboko w oczy, ściskając im piersi tak by jęknęły z bólu, powiedzieć:

– Mógłbym cię rżnąć do końca świata, suko.

Cóż, dla każdego coś miłego.

Doprowadziłem ją do końca cztery razy, a za każdym razem błękit w jej oczach coraz bardziej się rozmazywał i były teraz jak zamglone, letnie niebo. Zasnęliśmy, a kiedy się obudziłem zobaczyłem, że na moim skórzanym fotelu, naprzeciwko łóżka, siedzi facet w ciemnym płaszczu. Zamrugałem.

– Co pan tu robi, do cholery? – prawą rękę delikatnie przesunąłem w stronę skrytki, w której trzymam broń.

Broń. Szumnie powiedziane. Nic specjalnego. Maleńki pistolecik–zabawka kalibru 22. Nie zastrzeliłbyś nim niedźwiedzia, ale z kilku metrów na pewno możesz skrzywdzić człowieka.

– Nie, nie – zacmokał – ja to mam.

Przerzucił mój pistolet z lewej do prawej dłoni i uśmiechnął się. Nawet nie z wyższością, czy paskudnie. Ot, tak: z roztargnieniem. Przyjrzałem mu się uważniej. Był elegancko ubrany. Czarny płaszcz, nienagannie skrojony ciemny garitur, starannie wypastowane buty o tępych czubach. W świetle lampki zauważyłem, że ma jednak zdecydowanie zbyt długie paznokcie i zbyt długie włosy. W pewnym wieku nie wypada, by włosy spadały ci na kołnierzyk koszuli.

A on musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Przypominał trochę Richarda Chamberlaina. Sympatyczny, ale cyniczny uśmieszek, lekka zniewieściałość w głosie, wyglądzie i ubiorze. To nie był mój typ faceta, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie obawiaj się Aleks – powiedział spokojnie – przyszedłem tylko pogadać, korzystając z twojej bliskiej znajomości z Di.

Di? Ach tak. Di. Tak przedstawiła się moja dzisiejsza blondynka.

– To od Diany? – zapytałem wtedy.

– Skoro ci się podoba, niech będzie że od Diany.

Z mroku, cicho jak kot wyłoniła się właśnie Di. W moim granatowym szlafroku. Musiała mocno podwinąć rękawy, ale trzeba przyznać, że i tak wyglądała uroczo. Usiadła na drugim fotelu i założyła nogę na nogę. Poły szlafroka rozwarły się, a ja poczułem się, jak na „Nagim instynkcie".

– Jesteście małżeństwem? – tylko to mi przyszło na myśl. Zazdrosny mąż poszukujący nieco zbyt łatwo ulegającej pokusom żony.

– Nie – roześmiał się szczerze, jakby sama myśl setnie go ubawiła.

Odetchnąłem z ulgą. Zazdrośni mężowie nie byli tym, co tygrysy lubiły najbardziej. Nieznajomy tymczasem ostrożnie odłożył na stolik mój pistolet. Pstryknął w lufę, a broń zawirowała na blacie.

– Przyszedłem z pewną propozycją, Aleks – powiedział patrząc gdzieś za moje plecy – kiedy zasnąłeś, Di zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o twoich wyjątkowych... hmmm – zatrzymał się, jakby szukał właściwego słowa – talentach. Pomyślałem, że być może będę mógł z nich skorzystać...

– Jezuuu, nie robię tego z facetami – przerwałem mu.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby nie rozumiejąc.

– Och – rzekł w końcu – nie. Nie to miałem na myśli. Osobiście nie mam co prawda nic przeciwko seksowi z mężczyznami, ale potrafię zrozumieć inny punkt widzenia – pokiwał wyrozumiale głową, jakbym był prostym tubylcem nie umiejącym docenić wyrafinowanych przysmaków rozwiniętej cywilizacji – szczerze mówiąc nie mam nic przeciwko żadnym konfiguracjom łóżkowym, ale to nie należy do tematu naszej rozmowy.

– A co do niego należy? – zapytałem.

– Chciałbym ci zaproponować pracę, Aleks – wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złotą papierośnicę. Oczka rubinów zalśniły czerwienią.

– Mogę? – zapytał.

– Bardzo proszę – odparłem.

Rozejrzałem się i sięgnąłem po paczkę czerwonych Marlboro leżącą na nocnym stoliku. Była pusta.

– Czy byłby pan tak uprzejmy? – zapytałem.

– Przykro mi. Moje papierosy nie smakowałyby ci, Aleks. Di.

– Tak, proszę pana?

– Daj Aleksowi papierosa.

Już chciałem powiedzieć, że ona przecież nie pali, ale ugryzłem się w język. Wyciągnęła z kieszeni szlafroka (mojego szlafroka!) paczkę Marlboro i rzuciła ją prosto w moje dłonie. Rozpakowałem i zapaliłem. Nieznajomy spokojnie czekał aż usiądę wygodniej i zaciągnę się.

– Tak więc, wracając do naszej rozmowy. Co sądzisz o stałej, dobrze płatnej pracy w miłych warunkach? I o świetnych propozycjach emerytalnych na przyszłość?

– Nie wybieram się na emeryturę – mruknąłem.

– Jeszcze nie – odparł – ale starość przychodzi szybciej niż ktokolwiek by pomyślał. Poza tym z tego, co wiem twoja sytuacja finansowa nie wygląda najlepiej... Prawda?

– O jakiej pracy pan myśli? – zapytałem decydując się pominąć milczeniem uwagę na temat moich długów. Skoro o tym wiedział, nie było nic do dodania.

– Aleks, wiesz na czym polega rola dobrego menadżera?

– Chętnie posłucham.

– Rolą dobrego menadżera jest znalezienie pracownikowi takiego zajęcia, w którym tenże pracownik się spełnia. Kiedy do pracy przychodzi z radością i satysfakcją, pełen nowych, innowacyjnych pomysłów, pełen zapału i fantazji. Rolą dobrego menadżera jest sprawienie, by pracownik żegnał każdy dzień z radością z wypełnionych obowiązków i mile podniecony czekał na to, co przyniesie dzień następny...

– Mówi pan o sytuacji idealnej. To bardzo piękne – powiedziałem, bo wyraźnie oczekiwał jakiejś uwagi z mojej strony.

– A dlaczego mamy nie mówić o ideałach? – prawie wykrzyknął, a ja widziałem, że Di leciutko się uśmiechnęła – oczywiście, że mówmy o ideałach! Kto szykuje się, by zdobyć Mt. Everest, ten na pewno wejdzie chociaż na Alpy. A kto myśli o górce przed domem, nigdy nie spojrzy na świat z szerszej perspektywy.

– Całkowicie się z panem zgadzam – powiedziałem i była to prawda.

– Di, nalej nam whisky. Widzę, że z Aleksem bardzo miło się konwersuje.

Podniósł pistolecik ze stołu i rzucił w moją stronę. Złapałem.

– Schowaj go na miejsce, Aleks – rzekł poważnym tonem – to na dowód, że nie zamierzam ci zrobić żadnej krzywdy.



Poczułem się lepiej wiedząc, że broń jest teraz obok mojej prawej ręki. Inna rzecz, że nieznajomy faktycznie nie budził strachu. W sposobie jego mówienia, zachowania, krótko mówiąc: w jego stylu, było coś dziwnego, coś odmiennego, może leciutko staroświeckiego, ale nie było to bynajmniej niemiłe. Poza tym, jeśli ktoś chce z tobą robić interesy, jeśli do czegoś cię potrzebuje, to przynajmniej przez pewien czas istnieje nadzieja, iż możesz czuć się w jego towarzystwie bezpiecznie.

Di podeszła do barku. Wyjęła dwie ciężkie szklaneczki o grubych dnach i nalała do nich whisky na trzy palce. Najpierw zaniosła drinka swojemu szefowi, a potem podeszła do mnie. Kiedy podawała mi szklankę nasze palce się zetknęły. Nie cofnęła dłoni, tylko uśmiechnęła się.

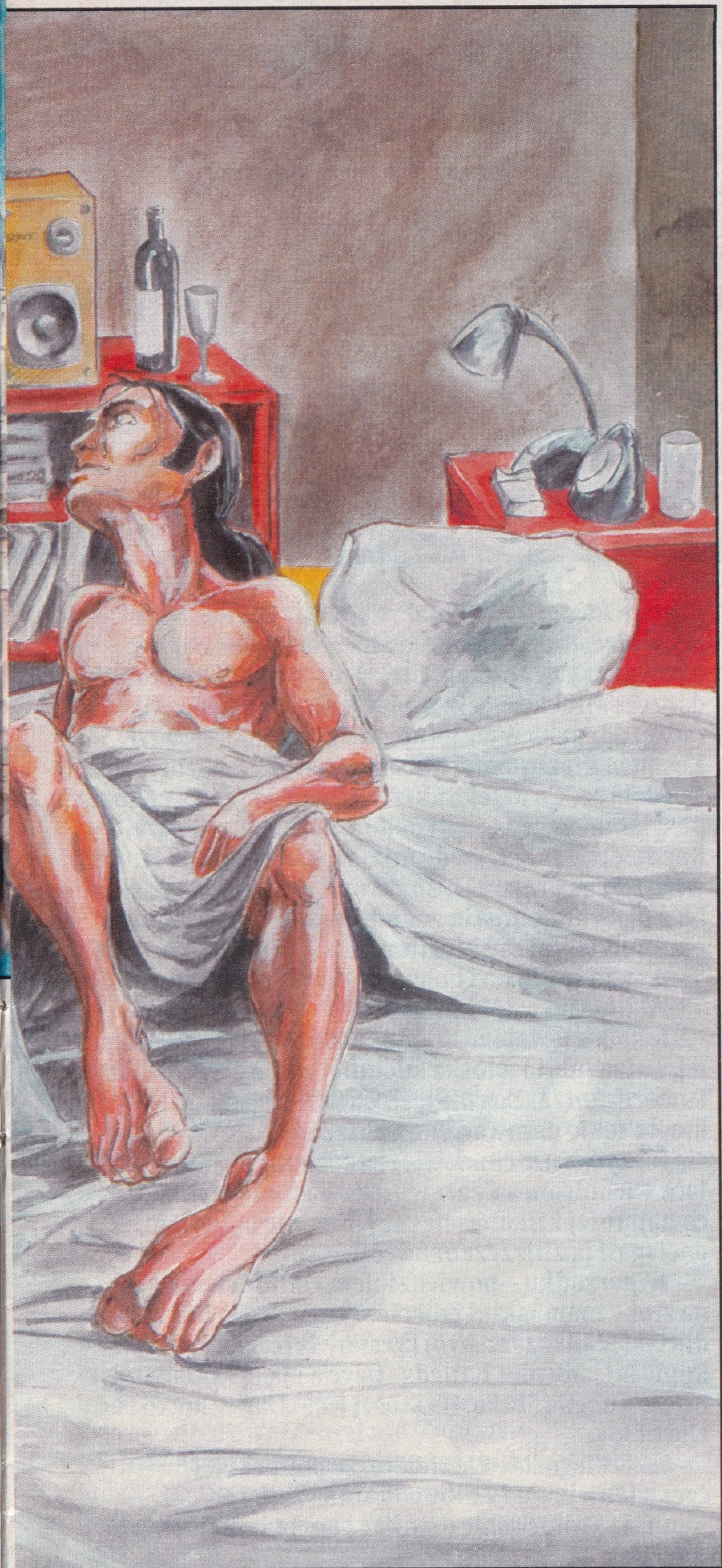
– Czy mogłabym położyć się obok Aleksa? – zapytała.

Machnął dłonią, jakby go to zupełnie nie obchodziło. Di jednym zgrabnym ruchem ściągnęła z ramion szlafrok i zupełnie nieskrępowana, z pełną swobodą wślizgnęła się do łóżka, pod kołdrę. Wtuliła się w moje ramię i delikatnie drapnęła paznokciami po brzuchu.

– Wszystko będzie dobrze – tchnęła mi w ucho – sam zobaczysz, on ma dla ciebie fajną propozycję.

– Nie szepcz w towarzystwie, Di – upomniał ją dobrotliwie, ale uśmiechnął się.

Założyłbym się, iż wiedział, co mi powiedziała na ucho.



– Jasssne – mruknęła i wpasowała głowę pod moją pachę – nie wyspałam się, cholera.

– Ale chyba nie żałujesz, co? – zapytał i skosztował whisky.

Poczułem, że ona się uśmiecha spod mojego ramienia, ale nic nie odpowiedziała.

– Dobrze, Aleks. Miło nam się rozmawia, ale wracajmy do meritum. Mój czas jest niestety dość mocno ograniczony. Jestem prezesem i głównym udziałowcem pewnego...

– Konsorcjum – mruknęła Di spod mojej pachy. Jej oddech załaskotał mnie. Nadal pięknie pachniała.

– Niech będzie konsorcjum – zgodził się – staramy się działać oględnie, ostrożnie i w niejakiej tajemnicy, gdyż mamy potężnych wrogów pragnących wyeliminowania nas z rynku. Dysponujemy siecią przedstawicielstw, kontaktami w sferach biznesowych i rządowych, ale ani się tym nie chwalimy, ani tego nie podkreślamy. Generalnie wyznajemy zasadę, iż pracujemy tylko z osobami, które chcą pracować z nami. To, przyznasz, zdrowe podejście. Nikogo nie zmuszamy do wstąpienia w szeregi naszej firmowej rodziny, ale jeśli już to nastąpi wymagamy absolutnej lojalności, posłuszeństwa oraz dyspozycyjności. Powiem krótko, Aleks: od nas się nie odchodzi.

Powiedział to w taki sposób, że aż przeszedł mi dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Di prychnęła z niezadowoleniem i pogłaskała mnie po brzuchu.

– Jest pan zawsze taki zasadniczy – powiedziała odwracając głowę – chce go pan przestraszyć?

– Po prostu tłumaczę zasady działania naszej firmy – rzekł, ale ton wyraźnie mu złagodniał – nie chciałem cię przestraszyć, Aleks – dodał wyjaśniająco.

– Wywiad? – zapytałem – dobra i tak pan nie odpowie. Po co właściwie pytam? Jednak muszę wiedzieć – zgniotłem papierosa w popielniczce – jakie będą moje zadania i jakie uzgodnimy wynagrodzenie?

– Tak, tak. O głodzie pracować nie wypada. Wiesz kto to powiedział? Hipokrates. Bardzo rozsądny człowiek.

– Jeśli chodzi o warunki, cóż mogę ci zaproponować? Zastanówmy się... Powiedzmy duży apartament w dobrej dzielnicy. Na początek jako mieszkanie służbowe, po roku pracy dostaniesz go na własność. Poza tym firma spłaci twoje długi i otrzymasz kartę kredytową z wysokim limitem. Opłacisz z niej wszelkie koszta związane z utrzymaniem. Ubrania, jedzenie, alkohole, imprezy. Dostaniesz służbowy samochód. Nie – zastanowił się – dwa samochody. Jeden sportowy, efektowny, z wykopem, a drugi taki na co dzień. Poza tym pensja, dajmy na to, pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Czy to dobre warunki?

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy kpi, czy o drogę pyta? Dobre warunki? To były rewelacyjne warunki! Zwłaszcza dla kogoś, kto miał nieszczęście narobić długów i od wielu lat żył z dnia na dzień.

– Jest w szoku – wyjaśniła Di i ziewnęła – lubi pan ten efekt, co?

Roześmiał się.

– Lubię – odparł szczerze – i nie mogę się jakoś przyzwyczaić. A to już przecież tyle lat – zamyślił się, a potem machnął dłonią – rozumiem, że warunki ci odpowiadają?

– Gdybym powiedział, że nie, to bym zgrzeszył – zapaliłem następnego papierosa i zobaczyłem, że drżą mi palce – zastanawiam się tylko, co ja takiego mam zrobić? Zamordować prezydenta?

– Nieee tam – żachnął się – mamy bardzo dobre kontakty z Kancelarią, a ty Aleks, wybacz, ale jesteś ostatnią osobą, która nadawałaby się do przeprowadzenia zamachu terrorystycznego.

– I Bogu dziękować – dodałem.

– Być może cię zaskoczę, ale naszym celem jest wykorzystanie twoich nadzwyczajnych i, wierz mi na słowo, nadzwyczaj rzadkich talentów. Dzisiejsza noc z Di była testem...

– Miłym testem – mruknęła i pocałowała mnie w ramię.

– I chodzi nam tylko o to, byś przestał bezproduktywnie trwonić talent. Ty jesteś wirtuozem, Aleks, a grasz dla przypadkowej publiczności. Może warto zagrać dla odmiany w jakimś celu? W jakimś konkretnym celu.

– Ja nie wiem, czy my się dobrze rozumiemy? – zgasiłem papierosa w popielniczce i zaraz zapaliłem następnego.

Nieznajomy spokojnie popijał whisky i przyglądał mi się z kpiarskim uśmieszkiem.

– Mam sypiać z kobietami, które mi wskażecie?

– Trywializując – westchnął – od razu zaznaczę, iż ta praca nie będzie w niezgodzie z twymi wymaganiami estetycznymi. Polecimy twej uwadze kobiety piękne lub co najmniej interesujące i atrakcyjne. Jednak nie chodzi o sam seks, Aleks. Też, ale nie tylko. Czasami będzie chodziło o romans, o uczucie, może nawet o miłość – skrzywił się lekko przy ostatnim słowie – a czasami może tylko o rozmowę i niewinny flirt.

– Choćbym miał wszystką wiarę, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, stanę się jako miedź brzdąkająca albo cymbał brzmiący – skomentowała Di słodkim głosikiem, ale wyczułem w nim pewną złośliwość.

– Święty Paweł – powiedział chłodno – piękne i jak zwykle u niego idiotyczne.

– Czyli mam być męską dziwką? – powiedziałem w zamyśleniu.

– Aleks, nie traktowałbym tego zadania w ten sposób...

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Czemu nie? – zapytałem i przygarnąłem Di aż pisnęła.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

– Podoba mi się jego podejście do świata – rzekł – miałaś nosa, Di.

– Ja mam w ogóle wiele talentów – powiedziała nieskromnie – prawda, Aleks?

Jej dłoń zjechała z mojego brzucha na dół. Naprawdę miała talent. Przynajmniej w palcach.

– Daj mu na razie spokój – skrzywił się, a ja zastanawiałem się, jak mógł zobaczyć, co ona robi, gdyż ruch jej dłoni był tak delikatny, że kołdra nawet nie drgnęła.

– Chcę być zapisana w umowie – wyciągnęła dłoń spod kołdry i zabębniła mi paznokciami po piersi.

– Co takiego? – zdziwił się.

– Chcę, żeby Aleks poświęcał mi co najmniej jeden weekend w miesiącu – wyjaśniła.

– Ależ Di – powiedziałem – to niepotrzebne. Przecież zawsze chętnie się z tobą spotkam. Ta noc była naprawdę niezapomniana i wierz mi, że marzę o tym, aby ją powtórzyć. Zwłaszcza, jeśli nie będziesz już jej spędzać ze mną z powodów zawodowych – dodałem z leciutką ironią.

– Dobra, dobra – odparła – ja wiem, jak z tobą jest. Wymówki, najpierw uprzejme, potem coraz chłodniejsze i coraz mniej grzeczne, aż w końcu w ogóle się nie podchodzi do telefonu – trąciła mnie w nos końcem palca - jesteś niegrzecznym chłopczykiem, Aleks i w związku z tym chcę być w umowie.

Jej szef wzruszył ramionami.

– Jeśli Aleks nie ma nic przeciwko temu – mruknął.

– Jasne, że nie ma – odparła stanowczo i znowu zjechała dłonią pod kołdrę. Ścisnęła mi jądra tak mocno, że mało nie krzyknąłem – spróbowałby tylko coś mieć.

– W porządku – nieznajomy wstał i teraz dopiero zobaczyłem, że jest bardzo wysoki. Musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a długi płaszcz jeszcze to wrażenie pogłębiał – miło się z tobą gawędziło, chłopcze. Di załatwi wszystkie formalności i z nią będziesz się kontaktować w bieżących sprawach. Sądzę, że za jakiś tydzień otrzymasz pierwsze zlecenie. Bądź w dobrej formie – spojrzał na mnie uważnie – i, pamiętaj, niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy. Jesteś na razie

tylko na stażu, a nawet nie wyobrażasz sobie, jak wiele mogą osiągnąć w naszej firmie dobrzy pracownicy. I nie przesadzaj z koksem. Narkotyki prędzej, czy później z każdego zrobią wrak.

– Dziękuję panu – powiedziałem – naprawdę jestem wdzięczny, że zechciał mi pan zaproponować pracę. Postaram się nie zawieść pańskiego zaufania.

– Ale grzeczniutki – rzekła Di złośliwym tonem.

– I bardzo dobrze – mężczyzna skinął poważnie głową – wiem, że twoja wdzięczność i szacunek są szczere, Aleks. Doceniam to.

Nie żegnając się wyszedł z pokoju i za chwilę usłyszałem trzask zamykanych frontowych drzwi. Opadłem na łóżko.

– Rany – westchnąłem – kim on jest? Dobrą wróżką?

Pochyliła się nade mną, a jej pełny biust zakołysał się tuż przy mojej twarzy.

– Coś w tym rodzaju – szepnęła – dobrze, że byłeś dla niego grzeczny. To ci się opłaci, wierz mi. A teraz, mój mały ogierze, przypomnij: na czym to skończyliśmy?

– Tylko nie mały – mruknąłem i mocnym ruchem zgarnąłem ją pod siebie, ręką unieruchamiając jej nadgarstki. Tym razem dla odmiany miałem ochotę na odrobinę pieprzu z papryką, jeśli rozumiesz o co mi chodzi.

Ψ Ψ Ψ

Apartament był ogromny. Dwa wielkie pokoje z kuchnią i łazienką na parterze oraz łazienka i dwie sypialnie na piętrze. Siedmiometrowa ściana w salonie cała składała się z ciągu szyb (sprawdziłem, że szkło jest pancerne), a z góry roztaczał się widok na centrum miasta. Apartament urządzony był w stylu, który uwielbiam. Szkło, metal i proste konstrukcje. Szafy zatopione w ścianach, wygodne fotele. Żadnych antycznych mebelków, żadnych tapet w szlaczek, żadnych gipsowych koafiur na suficie. Rzygać mi się chce, kiedy widzę tak urządzone mieszkania. Całe wyposażenie było olśniewająco nowe i nowoczesne. Kino domowe warte tyle co luksusowy samochód, w całości skomputeryzowana kuchnia. Po prostu żyć nie umierać. Trzeba przyznać, iż mój nowy szef miał gust i gest, a ja lubiłem ludzi z gestem, zwłaszcza kiedy mieli mi wypłacać pensję.

– Nieźle, co? – zapytała Di.

Dzisiaj wyglądała jak perfekcyjna asystentka prezesa dużej firmy. Nienagannie skrojony popielaty kostium ze spódnicą sięgającą za kolana. Dyskretny makijaż, małe, nie rzucające się w oczy kolczyki w uszach i paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem. Ale jej nowy image również na mnie działał i powiedziałem jej to. Ze śmiechem wykręciła się z moich rąk.

– Najpierw obowiązki – rzekła – a potem przyjemności. Czujesz się już oprowadzony po nowym gospodarstwie?

– Spoko, poradzę sobie.

Stałem obok niej i głaskałem przegub jej dłoni. Uśmiechnęła się. Przez tydzień, który spędziliśmy ze sobą naprawdę ją polubiłem. Była wesoła, inteligentna i nieprawdopodobnie sexy, zarówno w łóżku, jak i poza nim. Poza tym byłem szczęśliwy i rozluźniony. Dobra praca, rewelacyjna pensja. Czegóż chcieć więcej? I nie zamierzałem zapominać, że to Di poleciła mnie szefowi. Miło byłoby, gdyby kiedyś ona z kolei potrzebowała mnie. Może mam słaby charakter, ale lubię się odwdzięczać. Szkoda tylko, że do tej pory w moim życiu jakoś nie zdarzały się ku temu okazje.

– Mam dla ciebie pierwsze zlecenie, mój miły – uśmiechnęła się figlarnie.

– Nie mów! – poczułem dreszczyk podniecenia – o kurczę...

– Siadaj, Aleks – dodała rzeczowo – nie, nie obok mnie, bo nie będziesz mógł się skupić – znowu zaczęła się śmiać, a ja po raz kolejny zauważyłem, jak piękne ma zęby – tu, naprzeciwko.

Usiedliśmy po dwóch stronach niskiego stołu ze szklanym blatem, a ja przyniosłem jeszcze z baru dzbanek soku i dwie szklanki.

– Może coś mocniejszego? – zapytałem.

– Nie. I ty też nie.

– Skoro tak, to tak – wlałem sok do szklanek i wróciłem do kuchni po lód.

Di wyciągnęła z aktówki plastikową, przezroczystą teczkę. W środku była jedna kartka papieru, zadrukowana dużym, wyraźnym drukiem.

– Na początek wyjaśnienie, Aleks – powiedziała bardzo poważnym tonem – pamiętaj, że nikt od ciebie nie oczekuje stuprocentowych sukcesów. Życie jest nieprzewidywalne i wszystko może się w nim zdarzyć. Oczywiście, jeśli będziesz miał na koncie zbyt wiele porażek, to rozwiążemy kontrakt, ale przede wszystkim masz pamiętać o jednym: nie stresuj się. Wiesz chyba, że w twoim fachu stres może być zgubny? – parsknęła śmieszkiem.

– Ha, ha, ha – powiedziałem – jakież to głębokie i jednocześnie zabawne.

– Ale prawdziwe. Dobra, przejdźmy do rzeczy. Jutro o jedenastej trzydzieści rano masz czekać na tym parkingu – stuknęła paznokciem w mapę pokazując dokładnie docelowy punkt – kiedy zadzwonimy do ciebie pojedziesz powolutku drogą. Najwyżej pięćdziesiąt na godzinę. Poza wszystkim nie chcę żadnych gliniarzy i żadnych mandatów, bo będzie się liczyć koordynacja czasowa. Na poboczu zobaczysz dziewczynę w sukni ślubnej i zabierzesz ją.

– W sukni ślubnej? Uciekająca panna młoda? – zakpiłem.

– Dokładnie tak – nie odpowiedziała uśmiechem.

– I co dalej?

– Dalej zależy od ciebie. My chcemy efektu. Dziewczyna ma zrozumieć, że decyzja o małżeństwie była idiotyzmem. Wybij jej z głowy wszelkie skrupuły i myśli o narzeczonym, a uznamy że operacja zakończyła się sukcesem.

– Tylko tyle? – zastukałem palcami w blat – skąd wiecie, że ona da nogę ze ślubu?

– Ciekawość, pierwszy stopień do piekła – odparła, jakby to miała być odpowiedź – zajmuj się swoimi sprawami, a my zajmiemy się naszymi.

– Okej, okej, nie ma się co urażać...

– Nie urażam się. Tłumaczę – powiedziała chłodno.

Rzeczywiście wyglądała teraz jak asystentka prezesa spławiająca namolnego klienta. Nie podobało mi się to nowe wcielenie, ale nie zamierzałem się nią dzielić tymi przemyśleniami. Skoro chciała zawodowego dystansu, będzie go miała.

– Przeczytaj dossier – podała mi kartkę.

W prawym górnym rogu było kolorowe zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny o pełnej buzi i wesołych, piwnych oczach. Miała lekką wadę zgryzu i zadarty nosek.

– Ale się zaczyna – mruknąłem – podobno miały być atrakcyjne.

– Nie marudź. Czytaj. Gdybyś wiedział, jakie ja miałam pierwsze zlecenie... – urwała nagle.

Spojrzałem na nią i odwróciła wzrok.

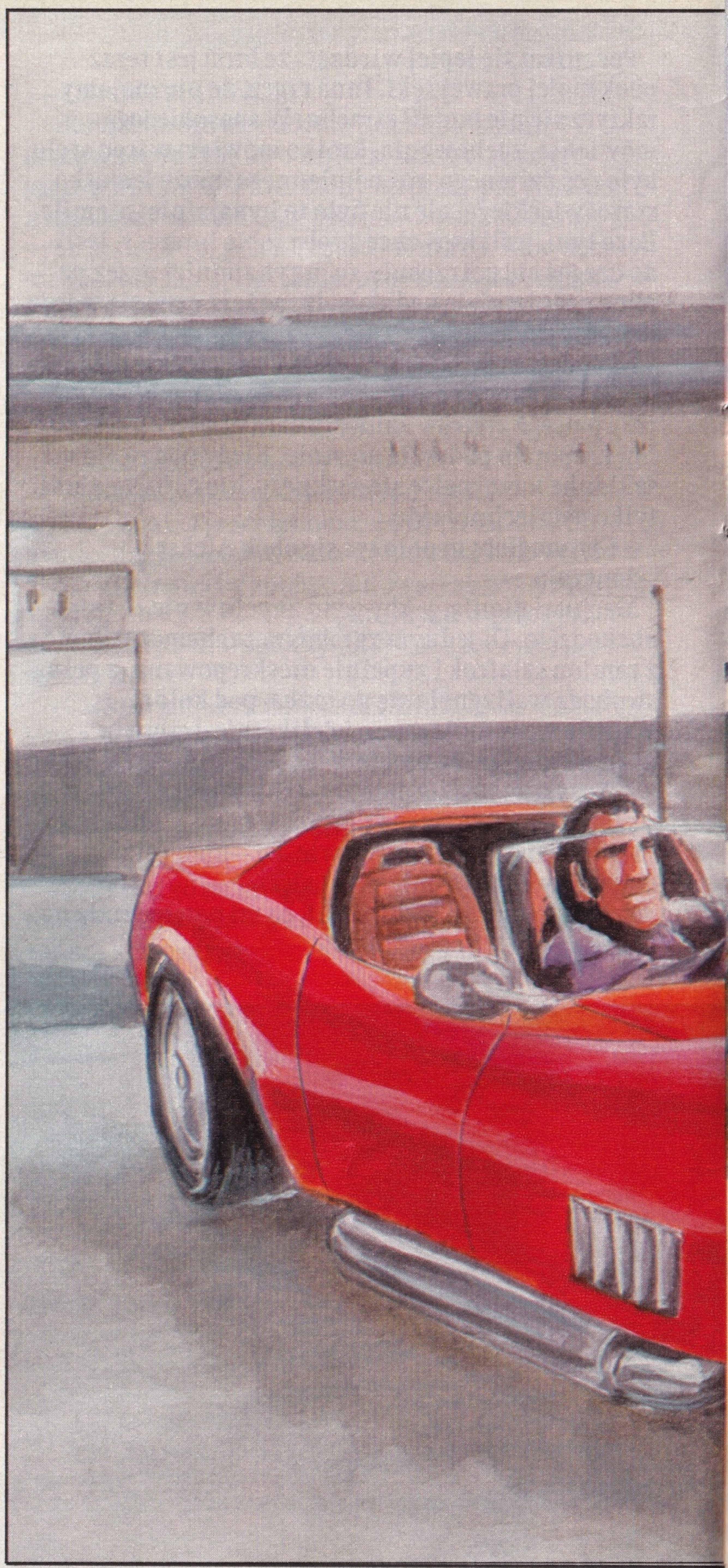
– Zresztą było to już tak dawno temu, że nawet nie pamiętam. I ja nie dostałam takich obietnic, jak ty – czyżbym wyczuł leciutką zazdrość w jej głosie?

– Musiałaś się w życiu nieźle napracować tyłkiem, co? – uznałem, że należy jej się drobny prztyczek.

– Przeczytaj dossier, to popracuję nim pod tobą – mruknęła.

– Zbytek łaski.

Zacząłem czytać. Dziewczyna miała na imię Luiza. Dwadzieścia pięć lat. Sto sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu. Włosy kasztanowe, oczy piwne, wymiary 95 na 65 na 95. Pięćdziesiąt osiem kilo. Cóż, biust w porządku, ale mogłaby trochę schudnąć. Skończyła wydział ekonomii, ale



nie pracowała. Uwielbiała Cohena i Cave'a, więc jak widać miała pociąg do zniszczonych facetów o chropawych głosach. Ciekawe, czy podobną estymą darzyła Micka Jaggera, który u mnie powodował raczej odruchy wymiotne. Ale gusta kobiet są jak Kosmos. Niezbadane, niezmierzone i niebezpieczne. No, dobrze. Co dalej o Luizie? Swojego faceta poznała pięć lat temu i tworzyli ponoć nierozłączną parę. Rozdziewiczył ją, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, więc trzeba przyznać, że chroniła tego swojego skarbu z pieczołowitością godną lepszej sprawy. Potem nie sypiała już z nikim innym.

– A skąd wy to do cholery wiecie? – zapytałem – siedzicie jej w łóżku?

Nie spodziewałem się odpowiedzi i nie uzyskałem jej. Luiza lubiła włoską kuchnię, zwłaszcza spaghetti i owoce morza. No cóż, jeśli chodzi o spaghetti, mogła sobie darować. Jeszcze trochę kalorii i będzie się toczyć, a nie chodzić. Jej ukochanym aktorem był Jack Nicholson, a Czarownice z Eastwick widziała co najmniej kilkanaście razy. No i nie mówiłem, że pociągali ją zniszczeni faceci?

– W porządku – powiedziałem i odłożyłem kartkę na stół – mam jakieś pojęcie. Teraz, droga Di, zadanie dla ciebie. Ruszysz swój zgrabny tyłeczek i pójdziesz kupić mi „Murder Ballads" Cave'a i jakąś składankę hitów Cohena. Taką, na której jest „Dance me to the end of love".

– Co takiego?! – widziałem, że policzki jej czerwienieją – a ty niby co zamierzasz robić?

– Ja? Ja zrobię sobie drinka i pooglądam telewizję.



wszystko!), jak i na to, w którą stronę gra potoczy się później. Dwudziestopięcioletnia laska, której do tej pory wsadzał tylko jeden facet musiała mieć choćby podświadomą chęć wypróbowania swych talentów na kimś innym. Nie wierzę w dziewczyny nie do poderwania. Wierzę tylko w to, że istnieją kiepscy podrywacze. Wiedziałem co prawda, że nie potrafię aż tak czarować, jak niektórzy, ale za to miałem w ręku (he, he, w ręku!) jeden poważny atut. Dla dziewięćdziesięciu procent kobiet, które spędziły ze mną noc, naczelnym życiowym zadaniem stawało się zadręczanie mnie telefonami z prośbą o następne spotkanie. I czasem ulegałem sile ich perswazji, choć nie ukrywam, że moim zdaniem świeży towar jest lepszy od już skonsumowanego.

– Dance mi to the end of love – zanuciłem, bo piosenka starszego pana jednak zostawała w głowie.

I wtedy ją zobaczyłem. Stała na poboczu, w welonie oraz ślubnej sukni i rozpaczliwie machała ręką. Kilometr dalej, za jej plecami, widziałem białą wieżyczkę niewielkiego kościoła, a mniej więcej w połowie drogi kilka biegnących sylwetek. Cóż, można powiedzieć, że pogoń szła jej tropem... Nadszedł więc czas, w którym rozlega się dźwięk trąbek i przybywa amerykańska kawaleria. Wcisnąłem przycisk Play, a potem delikatnie zahamowałem tuż przy niej i otworzyłem drzwi.

– Wsiadaj – powiedziałem.

Wtargnęła do środka i zawinęła długą, białą suknią. Zauważyłem, że cały jej dół miała już w błocie.

– Jedź! Jedź, proszę!

– Do usług – odparłem i nacisnąłem pedał gazu.

Odrzuciła głowę do tyłu i ciężko oddychała. Spojrzałem na nią kątem oka. Miała przekrzywiony welon i rozmazany makijaż. Wyglądała, hmmm, dziwnie. No cóż, zresztą wyglądała właśnie tak, jak wyglądać powinna uciekająca panna młoda.

– Dziękuję ci – powiedziała w końcu – dziękuję, że się zatrzymałeś.

– Amerykańska kawaleria – odparłem – zawsze zjawia się w tym właściwym momencie.

- Och, Cohen – musiała dopiero teraz usłyszeć cichą muzykę – uciekam z własnego ślubu i spotykam faceta, który słucha „Dance me to the end of love". Jeeeezu!

– Lubisz go? – zjechałem na lewy pas i wyminąłem wlokącego się nissana z łódką na dachu.

– Lubię? Ja go uwielbiam!

– I słusznie. Gdzie mam cię podrzucić?

To pytanie musiało jej sprawić kłopot, bo długą chwilę milczała.

– Nie wiem – powiedziała w końcu bezradnym tonem – może na razie pojedziemy po prostu przed siebie? Jeśli ci to nie przeszkadza, oczywiście.

– Mnie? Oczywiście, że nie. Nie co dzień człowiek ma okazję podwozić uciekającą pannę młodą. A może to program telewizyjny? Filmują mnie ze śmigłowca?

Uśmiechnęła się blado, ale chyba tylko dlatego, że uznała, iż uśmiechnąć się wypada.

– Nie. Rozczarowałam cię?

– Może o tyle rozczarowałaś, że gdyby to był program, nie przeżywałabyś dramatu, tylko dobrze się bawiła. A rozstanie zawsze jest dramatem – obróciłem na nią wzrok – nawet wtedy, kiedy rozstajemy się z kimś, z kim z całą pewnością być nie chcemy.

– Dlaczego tak jest? – zapytała po chwili.

– Bo jesteśmy dobrymi ludźmi – odparłem – i nie chcemy sprawiać nikomu bólu. Tyle, że nie wolno poświęcać swojego życia, by kogoś nie zranić. Mamy tylko jedno życie, więc warto je dobrze wykorzystać.

Pokiwała głową.

– Co ja robię? Co ja najlepszego robię? – szarpnęła i zdarła z głowy welon, a jej włosy spłynęły na ramiona. Srebrna szpilka zsunęła się pod siedzenie.

– Widocznie tak miało być – zdałem sobie sprawę, że w dossier nie było nic o tym, czy pali papierosy i zastanawiałem się, czy powinienem przy niej

– Odbiło ci? Od kiedy jestem twoją służącą?

– Podobno masz zajmować się wszystkimi formalnościami, prawda? – rozparłem się wygodnie w fotelu – czy też będziemy nasze wzajemne stosunki konsultować z szefem?

Patrzyła na mnie, a w jej oczach zabłysły niebezpieczne ogniki. Zapaliłem papierosa.

–Iiidź już – powiedziałem – a jak wrócisz, będziesz mi mogła zrobić loda.

Ogniki w jej oczach zgasły i roześmiała się.

– Przygotuj wannę – powiedziała – chcę wypróbować twoje jaccuzi. A potem szampan, żeby uczcić pierwsze zlecenie.

Wstała i podeszła do drzwi. Od progu odwróciła się jeszcze i wystudiowanym ruchem przejechała językiem po ustach.

– A jeśli chodzi o loda – mruknęła zmysłowo – to czemu nie? Jeśli tylko sobie zasłużysz... A ty Aleks wiesz co lubię, więc przygotuj język na trudne wyzwania.

Ψ Ψ Ψ

Punktualnie o jedenastej trzydzieści zadzwonił telefon.

– Ruszaj, Aleks – powiedział jakiś męski głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałem.

Silnik zapalił z cichutkim pomrukiem. Do czego można porównać jazdę luksusowym samochodem? Do delikatnego seksu na wodnym materacu? W każdym razie do czego by nie porównywać, było to po prostu boskie uczucie. Fakt, że samochód nie należał do mnie, lecz do firmy, ale miałem nadzieję, że popracuję w niej na tyle długo, by przeszedł na moją własność. Włączyłem odtwarzacz i po minucie „Dance me to the end of love" wcisnąłem pauzę. Zupełnie nie przemawiały do mnie te nostalgiczno-tragiczno-dramatyczne klimaty. Jestem prostym, wesołym chłopcem. Dobrze się napić, dobrze się naćpać i dobrze podymać – czyż świat może zaoferować coś więcej niż tylko zajebistą scenografię do tych trzech rzeczy? Bo jasne, że lepiej dymać na hawajskiej plaży niż w obskurnym hotelu na godziny. Niemniej, tak jak mówię: to już jest tylko sprawa scenografii, a nie scenariusza.

Sunąłem spokojnie prawym pasem nie przekraczając, tak jak mi kazano, pięćdziesiątki. Ktoś śmignął obok mnie z donośnym rykiem klaksonu i zobaczyłem faceta za kierownicą pokazującego mi środkowy palec. Dupek! Gdybym tylko chciał przycisnąć, jego toyota zniknęłaby w moim tylnym lusterku, jak fantom.

Zastanawiałem się, czy Luiza, uciekająca panna młoda, jak nazywałem ją w myślach rzeczywiście będzie stała na poboczu. I skąd moi mocodawcy mogli o tym wiedzieć już kilka dni wcześniej? Zwierzyła się druhnie, że zamierza wyciąć taki numer? A może miała podobne doświadczenia, co Julia Roberts? W każdym razie czułem dreszczyk niepokoju i emocji. Zarówno z uwagi na spotkanie i pierwszy kontakt (a od pierwszego kontaku zależy

zapalić. A jeśli czuła obrzydzenie do tego nałogu? Cóż, nie warto ryzykować pierwszego kontraktu dla jednego dymka.

– I to jest wytłumaczenie? Że tak miało być?! – prawie krzyknęła.

– A co by się stało, gdybym się nie zatrzymał? Gdyby ci ludzie biegnący za tobą dogonili cię? Ile im brakowało? Dwóch minut? Trzech? Wszystko jest grą przypadku, a my możemy wykorzystać tę grę mniej lub bardziej umiejętnie.

– Puść jeszcze raz – zażądała, bo piosenka się skończyła – czy wiesz, że mój narzeczony nie znosił Cohena? Mówił, że to seksoholik i narkoman w najgorszym stylu.

– A co to ma za znaczenie? – zapytałem – uwielbiam też Nicka Cave'a, a nie sądzę, żeby o jego życiu prywatnym można powiedzieć coś dobrego.

– Słuchasz Cave'a? Rany, że ja musiałam uciec ze ślubu, żeby spotkać faceta, który słucha Cave'a i Cohena – tym razem zaśmiała się już szczerze – dobra, mały test: ulubiony aktor?

– Pacino – powiedziałem bez zastanowienia i w lusterku zobaczyłem leciuteńkie rozczarowanie na jej twarzy – ale stary Pacino, ten z „Adwokata diabła". I Nicholson. Ten z „Wilkołaka" i z „Czarownic z Eastwick". Mogę powiedzieć Pacino i Nicholson, ale mogę też powiedzieć Nicholson i Pacino. Fifty-fifty. A ty?

– Bingo – odparła – a co lubisz robić?

– Zbyt intymne pytanie – odparłem i przez moment zastanawiałem się, czy nie przeholowałem. Ale nie. Znowu się uśmiechnęła.

– Miejsce na wakacje?

Cholera! Co to było? Gra w sto pytań? Dlaczego nie przygotowali solidniejszego dossier? A może padłoby pytanie: czy chciałbyś zapalić? Yesss, my lady! Bardzo bym chciał!

– Czy ja wiem? Miejsce nie jest takie ważne – odparłem powoli – ważne jest, by mieć je z kim dzielić.

Nie odzywała się długą chwilę.

– Racja – powiedziała – ja chyba nie chciałam z nim niczego dzielić. Chyba.

– Związek między dwojgiem ludźmi ma być olśnieniem – strasznie mi się chciało palić, ale starałem się skupić na tym, co mówię – fajerwerkiem, chęcią bycia coraz bliżej. Dzielenia się tym co dobre i złe. Jeśli zastanawiasz się na początku drogi, to znaczy, że nie masz się nad czym zastanawiać.

Obróciłem się w jej stronę. Droga była pusta i prosta, więc nie musiałem nawet patrzyć przed siebie.

– W każdej chwili, kiedy widzisz tę drugą osobę masz wiedzieć ze stuprocentową pewnością, że to jest ten jedyny i wybrany. Miłość ma upajać, jak dobre wino, a nie powodować kaca.

– Spotkałeś kogoś takiego? – spytała cicho.

– Pesymiści wierzą, że żyjemy na najlepszym ze światów. Optymiści mają nadzieję, że jednak tak nie jest.

– Trzeba jakoś żyć – wzruszyła nerwowo ramionami – bo przecież można stracić życie na szukaniu.

– Jakoś? – powiedziałem z ironią, która przyszła mi nawet bez trudu – masz jedno życie i chcesz je przeżyć JAKOŚ?

Patrzyła na mnie, jakby coś do niej zaczęło docierać. I milczała.

– Jesteś piękną, mądrą kobietą – rzekłem i spojrzałem znowu na drogę – dlaczego nie masz żądać od życia wszystkiego, co tylko może ci dać?

– Nie jestem piękna – zaprotestowała.

One zawsze protestują. No, prawie zawsze. A potem zaczynają znajdować w sobie różnorakie wady i ty masz je przekuć w zalety.

– Przecież jestem za stara - mówią.

– Nie, kochanie, jesteś tylko dojrzałą kobietą. Czy młode, kwaśne wino może się równać z tym, które latami dojrzewało w słońcu i wypiło jego blask?

– Ach, mam za duży nos – skarżą się.

– O czym ty mówisz? Spójrz na wizerunki najpiękniejszych kobiet rzymskiego cesarstwa? Czy zobaczysz tam perkate, świńskie noski?

Jednak musisz uważać, by nie przeholować. We wszystkim dobry jest umiar i nawet one przy całej swojej próżności mogą się zorientować, że coś jest nie tak. Chociaż powiem ci w sekrecie: to się bardzo rzadko zdarza.

Specjalnie przyjrzałem się jej tak, by widziała, że się przyglądam. Policzki jej się zaróżowiły i odgarnęła włosy z czoła.

– Jak wypadła lustracja? – spytała.

– Miss Świata byś nie mogła zostać, ale czy każdy facet chce poznać lalkę Barbie, która jedyne, co umie powiedzieć, to że jej marzeniem jest pomagać dzieciom na całym świecie?

Roześmiała się, bo widać oglądała te same programy, co ja.

– Poza tym mam brzydkie nogi – dodała.

– Pokaż.

– Słucham?

– A co mam odpowiedzieć, skoro twoja niewątpliwie urocza ślubna suknia zasłania cię do kostek? Pokaż, to szczerze powiem, co myślę.

– Mam się rozebrać?

– Nie, na Boga – tym razem ja się roześmiałem – po prostu pokaż nogi.

Patrzyła na mnie jakoś dziwnie.

– Wiesz, trudno powiedzieć, żebyś był nieśmiały albo mało bezpośredni.

– W lecie chodzisz w krótkich sukienkach, na plaży w kostiumie kąpielowym. Znając dzisiejsze kostiumy można powiedzieć: prawie naga. A wstydzisz się pokazać nogi? – uznałem, że jak za chwilę nie zapalę, to szlag mnie trafi. Ale rozmowa rozwijała się w zabawnym kierunku. Nie powiem: zaplanowanym, ale na pewno korzystnym.

– To nie do końca to samo – znowu odgarnęła włosy z czoła – no dobra – zdecydowała się w końcu – a co mi tam! Patrz sobie.

Zawinęła sukienkę, ale nawet przy takim geście uważała jednak, by nie posunąć się za daleko. Faktycznie miała za grube kostki i za grube łydki. Na granicy tolerancji. W porównaniu z cudownie wytoczoną Di była jak pociągowy koń przy wyścigowej klaczy.

– Zadowolony?

– Ty powinnaś być zadowolona.

– A to czemu?

– Masz śliczne, kobiece nogi. Czy myślisz, że faceci przepadają za suchymi kijkami Callisty Flockhart? Że tak fajnie głaskać kogoś po szczudłach? Nie szukaj problemów, gdzie ich nie ma. Twoje nogi są nie tylko atrakcyjne, ale powiem, jeśli wybaczysz mi śmiałość, że nasuwają erotyczne skojarzenia.

Rozłożyłem ręce, w geście, który miał oznaczać, że taka dosłowność przyszła mi z trudem, ale naprawdę nie mogłem się pohamować.

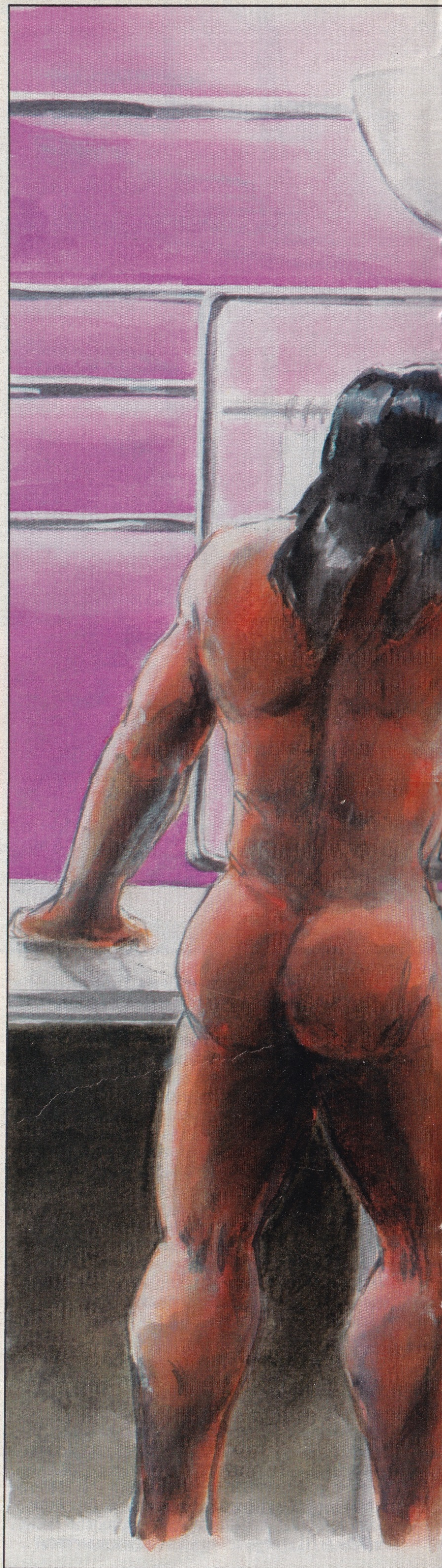
– Nie no, nie gniewam się – powiedziała i była trochę zakłopotana - ale nie wiem. To tylko komplementy.

– Nigdy nie prawię komplementów – odparłem celowo używając nieco archaicznego wyrażenia – bo samo znaczenie tego słowa mówi, iż nie jest ono prawdziwe. A nie przepadam za kłamstwami.

Boże – pomyślałem – i Ty słyszysz i nie grzmisz! Ale kobiety nigdy nie chcą słyszeć prawdy. Chcą przejrzeć się w twych oczach jak w magicznym zwierciadle, a na pytanie: „mirror, mirror on the wall who is prettiest of them all? " lustro ma bez wahania odpowiadać: „you, my Queen". I tak właśnie świat się toczy.

Ψ Ψ Ψ

Na początku była nieśmiała, skrępowana i przerażona. A ja nie nalegałem. Trochę to wszystko trwało, ale mieliśmy przecież dużo czasu. Całowałem ją i głaskałem tak długo, aż poczułem, że mięknie jak wosk, jej usta wysuwają się do





pocałunków, a dłonie spazmatycznie błądzą po moim ciele. I potem już było zupełnie inaczej. Coś w niej się obudziło. Wskazówka przekręciła się na godzinę dwunastą i nagle nie była to już ta sama kobieta, co przed sekundą.

Całą tę noc pamiętam, jakby była wyrwanymi kadrami z pornograficznego filmu. Nie jestem w stanie złożyć tych kadrów w całość. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie niczego poza obrazami i zdaniami wyrwanymi gdzieś z próżni.

– Tak, tak mi rób! Właśnie tak!

– Zerżnij mnie, Aleks, błagam zerżnij mnie!

– Tak proszę cię, właśnie tu, na cycki!

– Daj mi go do buzi! Muszę cię ssać, Aleks!

– Teraz chcę jechać, jechać…

Jej piersi, jej nogi, jej pośladki, jest usta, jej palce, jej włosy. Kadry. Tylko to mi zostało po nocy z Luizą. Szkoda, że tylko to, bo przecież nie jesteśmy niczym więcej, jak pamięcią.

Kiedy rano obudziłem się, zobaczyłem że ona już nie śpi. Podparta na łokciu przyglądała mi się uważnie.

– Osiem razy – powiedziała i nawet głos miała inny, niż wtedy, kiedy ją poznałem. Jakby twardszy – osiem cholernych, pieprzonych razy. A jak z tym dupkiem miałam raz na miesiąc, to wydawało mi się, że powinnam chodzić w skowronkach.

Usiadła na mnie, a jej piersi zakołysały się tuż nad moją twarzą. Niewątpliwie powinna schudnąć, ale miałem nadzieję, że to chudnięcie nie rozpocznie się od biustu.

– Pięć lat do dupy – dodała – Aleks, czy ty wiesz, co to znaczy stracić pieprzone pięć lat?

– Nadrabiaj, skarbie – uśmiechnąłem się, dotknąłem jej pośladków i wsunąłem ją na siebie – nadrabiaj, jak się tylko da.

– Mówisz? Naprawdę ci się podobam? – jej oczy robiły się coraz większe – taaak, Aleks. Idziemy do dziesiątki? Idziemy do równego rachunku?

– Słyszę i jestem posłuszny – odpowiedziałem jej cytatem z Księgi Tysiąca i Jednej Nocy, a potem wszystko zaczęło się od nowa.

ΨΨΨ

Nie wszystkie zlecenia były tak wdzięczne, jak zlecenie dotyczące Luizy. I niestety nie wszystkie kończyły się tak miło. Pamiętam pewną zimną bussiness woman o typie urody rasowej Aryjki, która po kilku, przyznam miłych, nocach zupełnie straciła głowę. Czyhała na mnie pod bramą, na podziemnym parkingu, nagrywała się w nieskończoność na sekretarkę, opowiadała, że zostawiła męża i dwoje dzieci. Di ze śmiechem nazywała to „ubocznymi skutkami naszej działalności", ale w końcu załatwiła adwokata, który zajął się sprawą. I całe szczęście, bo w innym wypadku musiałbym się wyprowadzić z apartamentu, który naprawdę polubiłem (zwłaszcza ten niewiarygodny widok z okien salonu). Przez wszystkie miesiące pracy dla Di i jej szefa poniosłem tylko jedną spektakularną porażkę (drobnych potknięć było więcej, ale zawsze dawało się jakoś sytuację wykręcić na naszą korzyść). Może nawet więcej niż porażkę – klęskę. Dopiero po kilku dniach Di wyjaśniła, co się stało.

– Kiedy miała piętnaście lat zgwałcił ją znajomy ojca. Facet był tak podobny do ciebie, że mógłby być twoim starszym bratem…

– Cholera – patrzyłem na nią jednocześnie wściekły i zawiedziony, bo to byłoby prawdziwe wyzwanie – dlaczego nie dowiedziałem się o tym wcześniej?

Wzruszyła ramionami, a ja nie wiedziałem, czy wpuszczenie mnie w ten kontrakt było faktycznie pomyłką, czy też kolejną próbą moich uzdolnień. Miałem jednak nadzieję, że pomyłką, bo czegóż mogli się spodziewać nie dostarczając mi kompletu informacji? I to tak ważnych informacji!

Pewnego dnia (a był to dzień letni, słoneczny i upalny) Di odwiedziła mnie bez wcześniejszej zapowiedzi, czego zwykle starała się nie robić. Wpuściłem ją do środka, a ona obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

– Jak ty wyglądasz? – syknęła.

Nie miałem nawet siły odpowiedzieć i powlokłem się z powrotem do łóżka. Za dużo wódki i za dużo koksu. Moje ciało tego poranka było jednym wielkim bólem. Wydawało mi się, że każdy mięsień, każde ścięgno i każda kość żyją własnym życiem, a życie to polega tylko na tym, by minuta po minucie i sekunda po sekundzie mnie niszczyć. Poszedłem do łazienki i wyrzygałem resztki alkoholu. Z gardła płynęła mi krew, bo w nocy zdarłem śluzówki nosa. Spojrzałem do lustra tylko po to, by zobaczyć własną bladą twarz, podbite oczy i mętne źrenice. Dłonie drżały mi tak, że nie mogłem utrzymać szklanki z wodą.

– O to ci właśnie chodziło w życiu, Aleks? – spytałem w przestrzeń – jeśli tak, to gratulacje. Właśnie osiągnąłeś cel.

Przepłukałem usta płynem do zębów i powlokłem się z powrotem do pokoju. Di siedziała w fotelu wściekła jak osa. Piękna i elegancka. Na blacie zobaczyłem wysoką szklankę z drinkiem i dwie kreski, równiuteńko ułożone na szkle.

– Chcesz mnie zabić? – spytałem słabym głosem.

– Chcę z tobą porozmawiać – warknęła i podała mi słomkę.

– Nie, do cholery – odtrąciłem jej dłoń - przeżarło mi śluzówki.

Wziąłem biały proszek na opuszek palca i wtarłem w dziąsła. Raz, a potem drugi i trzeci. Charakterystyczny gorzki smak i jakieś bezsensowne poczucie ulgi. Wiedziałem, że już za chwilę, za kilkanaście minut, wszystko będzie dobrze. Ból ustąpi, a świat stanie się piękniejszy. Cóż, wszystko co nas nie zabija, to nas wzmacnia. Później sięgnąłem po szklankę. Bogu dziękować zrobiła mi jakiegoś przyzwoitego drinka, bez Red Bulla, bo czułem, że na sam jego zapach bym się porzygał i nie zdążył nawet dobiec do łazienki. Di odczekała kilkanaście minut, wściekle wertując kolorowe pismo o modzie. Nawet szelest kartek pod jej palcami sprawiał mi ból.

– Okej – powiedziałem w końcu i upiłem kilka następnych łyków. Czułem się już zdecydowanie silniejszy, a mózg zaczynał funkcjonować na normalnych obrotach. Problemy powoli stawały się coraz odleglejsze – mów, czego chcesz.

– Następne zlecenie – powiedziała wyjmując z aktówki plastikową, przezroczystą kopertę – tym razem nieco nietypowe.

– Człowiek do zadań specjalnych. To ja. Mogę prosić jeszcze kreskę?

– Nie.

– Okej. Nie to nie. Sam sobie zadzwonię.

Wyrwała mi z dłoni słuchawkę telefonu i huknęła nią tak w aparat, że aż jęknęło.

– Posłuchaj uważnie. Zlecenie jest na jutro – podała mi kartkę.

– Ładna – przyjrzałem się uważnie zdjęciu.

– Jutro o osiemnastej będzie siedziała w tej tajskiej knajpie. Tu masz adres – stuknęła paznokciem we fragment tekstu – zainteresuj ją. Bądź miły, romantyczny i słodki. Jeśli jeszcze to potrafisz – dodała złośliwie.

– Do usług…

– Nie musisz jej podrywać, nie musisz z nią spać. Nawiąż tylko kontakt, zaproś, umów się na następny raz. Jak najszybciej. To porządna dziewczyna, więc nie bądź za bardzo wyluzowany. Traktuj ją z szacunkiem.

– Wszystkie wy jesteście dobre suki – mruknąłem – co ty mi pieprzysz, Di? To jest mój kawałek roboty.

– No to spróbuj ją tylko schrzanić – powiedziała z pogróżką w głosie.

– Ho, ho, ho… Przestraszyłem się. Jesteś taka wściekła, bo cię nie chcę zerżnąć. Prawda, słodka Di?

Patrzyła na mnie, a w jej oczach płonęły niebezpieczne ogniki. Wytrzymałem ten wzrok, bo znowu nie dość, że byłem słodko naćpany, to jeszcze dzisiejsze promile obudziły uśpionych braci z dnia wczorajszego i poszli razem na imprezkę.

– Dzisiaj nie chciałabym, żebyś dotknął mnie

nawet palcem – syknęła – ale wracajmy do tematu – dodała już opanowanym tonem – najzabawniejszy jest ostatni fragment roboty. Kiedy już się w tobie zakocha, kiedy zdecyduje się pójść z tobą do łóżka, zaprosisz ją do takiego ładnego, miłego domku w górach.

– Bardzo sympatyczne – zapaliłem papierosa. Smakował wyśmienicie.

– Potem ją pobijesz i zgwałcisz – dokończyła z uśmiechem i zabębniła paznokciami po szklanym blacie – bardzo brutalnie zgwałcisz i bardzo brutalnie pobijesz. Może kreseczkę?

Popatrzyłem na nią, a potem wzruszyłem ramionami.

– Jaja sobie robisz.

– Polecenie od szefa, skarbeczku - pokręciła głową – a jak polecenie to polecenie i my biedne żuczki nie mamy wiele do gadania.

– Może ty nie masz, ale ja mam. Nigdy nie zrobię czegoś takiego – wzruszyłem znowu ramionami i mnie samego zdenerwował ten gest.

Co ona sobie, do cholery, wyobrażała? Że jestem najemnym zbirem? Opryszkiem z ulicy? Gangsterem? Silnorękim mafii?

– Aleksik ma wyziuty siumienia – powiedziała spieszczając głos, jakby zwracała się do dziecka – rychło w ciaś.

– Jestem poszukiwaczem przyjemności – odparłem i sformułowanie mi się spodobało, więc powtórzyłem je jeszcze raz – a nie przemocy. Nigdy nie chciałem nikomu zrobić krzywdy i nie zamierzam tego zmieniać na stare lata.

– Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane – wstała do barku i zrobiła sobie drinka. Z tego co widziałem whisky na dwa palce z wodą i bez lodu.

– Słuchaj, Di – rzekłem – zabierz teraz stąd tyłek, bo muszę się wykąpać, coś zjeść i zadzwonić. Choć nawiasem mówiąc na samą myśl o żarciu chce mi się rzygać. Ale niezależnie od tego, jak długo będziesz tu siedziała odpowiedź zawsze brzmi: nie.

– Zadzwonić? – zapytała z ironią – nigdzie nie dzwoń, zostawię ci swój towar. Ciekawe tylko co na to powiedzą twoje śluzówki.

Podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach.

– Aleks, pospotykasz się z nią, a potem jakoś samo pójdzie – jej głos wyraźnie złagodniał – przez takie rzeczy trzeba przejść. Po prostu. Przejść i zapomnieć.

– Przecież ja jej zrobię krzywdę na całe życie! Nie rozumiesz? Jak mógłbym o tym zapomnieć?

– Nic jej nie będzie. Wierz mi. Ja zajmę się doprowadzeniem jej do ładu. Prawdziwa przyjaciółka... a potem coś więcej.

– Taaakie buty – znowu zapaliłem papierosa i dopiłem drinka do końca – nic mnie to nie obchodzi. Pieprzę taki biznes.

Usłyszałem świergot dzwonka, a Di zdjęła dłonie z moich ramion.

– Otworzę – powiedziała.

Kiedy wróciła nie była już sama.

– Ktoś chciał się z tobą spotkać, Aleks – oznajmiła.

Był tak samo wysoki, jak zapamiętałem to z pierwszego spotkania. Tym razem jednak w piaskowym garniturze, białej koszuli i spokojnym krawacie w popielate paski. Miał eleganckie, choć nieco staroświeckie zamszowe buty z zaokrąglonymi noskami. Na dworze musiało być co najmniej trzydzieści stopni ciepła, ale na jego twarzy nie widziałem nawet kropelki potu.

– Dzień dobry – powiedziałem wstając – ja nie wiedziałem, że pan dzisiaj przyjdzie.

– Witaj, chłopcze. Usłyszałem o kłopotach, a że właśnie byłem w pobliżu...

Di odsunęła przed nim fotel, a potem podała szklaneczkę whisky wprost do jego dłoni. Znowu miał zbyt długie paznokcie, ale widać było, że z całą pewnością dbał o manicure. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zapytał.

– Tak – przełknąłem ślinę, a przyszło mi to z trudem, bo miałem wyschnięte gardło – uważam, że to nie jest dobre zlecenie dla mnie. Ja się nie nadaję. Tym się powinien zająć ktoś inny...

Wymienili z Di rozbawione spojrzenia.

– Nie doceniasz się, Aleks – rzekł z nieco teatralnym westchnieniem – ale firma cię docenia. Tak delikatne zlecenie jest oznaką najwyższego zaufania.

– Delikatne – powtórzyłem – jakoś nie przyszło mi wcześniej to słowo do głowy. Delikatne... Ha!

– Pamiętasz naszą rozmowę o dobrym managemencie? – nie czekał na potwierdzenie i ciągnął dalej – błyskotliwy manager umie dostrzec w pracowniku takie zalety, z których on nawet nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

– Ja nie jestem opryszkiem – nie miałem pojęcia, jak ich mam przekonać – nigdy nikogo nie pobiłem. W każdym razie żadnej kobiety. Ja nie chcę nikomu robić krzywdy...

– Dobre chęci – parsknął – wiesz, Aleks, co się mówi o dobrych chęciach, prawda? A apropos nie robienia krzywdy. Pamiętasz pierwsze swoje zlecenie. Małą Luizę?

– Oczywiście.

– Zastanawiałeś się, jak jej odejście odebrał narzeczony? Oczywiście rozmawiamy w kontekście krzywdy – dodał ironicznie.

– Takie rzeczy się zdarzają – wzruszyłem ramionami – ciągle ktoś kogoś zdradza.

– Tylko on był w niej bardzo zakochany – wtrąciła Di – bardzo, bardzo, bardzo. I płyta, którą dostał musiała mu nie do końca przypaść do gustu.

– Płyta? Jaka płyta?

– Płyta DVD z filmem z waszej nocy – roześmiała się – mnie zwłaszcza podobał się fragment, jak ta mała zlizuje sobie spermę z cycków. Jak myślisz: jemu też się podobał?

Wstałem, poszedłem do barku i nalałem sobie pół szklanki whisky. Wypiłem.

– Nie zrobiliście tego – powiedziałem stojąc do nich odwrócony plecami. Dłonie znowu zaczęły mi drżeć. Ale wiedziałem, że oni nie muszą nawet odpowiadać.

– Pił przez trzy dni i palnął sobie w łeb. Zdumiewające, prawda? – spytała słodziutko Di – te skomplikowane uczucia, rozedrgane emocje, burze nastrojów. Ludzie są tacy słabi.

– I o to chodziło, prawda? – nadal nie odwracałem się – o niego, nie o nią?

– Jasne, że o niego – w głosie szefa było jakieś znużenie – tak więc nie pieprz mi o winie, chłopcze. Ci faceci z NASA też tylko robią rakiety. I nie interesuje ich potem, w co rakiety uderzają.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– W Oświęcimiu byli ludzie, którzy tylko ważyli złote zęby wyrwane Żydom. Oni nie robili nic złego, Aleks. Ważyli, spisywali, prowadzili statystyki, wysyłali do Niemiec transporty z przetopionych sztabek. Czy byli czemuś winni? Przecież żaden z nich nawet nie dotknął nikogo palcem!

– Pieprzę Oświęcim – w końcu się odwróciłem. Znowu miałem pełną szklankę – i ciebie też pieprzę – machnąłem dłonią w jego stronę, a whisky polała mi się na palce – i ciebie, Di, też pieprzę.

– Nie dzisiaj – roześmiała się – ale jak będziesz grzeczny...

Mężczyzna też się uśmiechnął.

– Wyśpij się Aleks, przestań pić i ćpać, a świat od razu nabierze kolorów. Zamówić ci jakieś miłe towarzystwo? Odprężysz się trochę.

– Ja was naprawdę pieprzę – powiedziałem wymawiając wyraźnie każde słowo. Nawet nie chciałem wiedzieć, jakie były skutki wykonania moich innych kontraktów – wypisuję się z interesu. Zostawiam wam mieszkanie, samochody, kartę, telefon, jak chcecie to weźcie sobie moje ubrania, czy co tam...

– On myśli, że to takie proste – wzruszyła ramionami Di i przysiadła na poręczy fotela.

– Firma nie przyjmuje wymówień – rzekł poważnie – ostrzegałem cię, chłopcze, na samym początku naszej znajomości.





– Zróbcie więc wyjątek.
– Nie robimy wyjątków, bo zbyt chętnie stawałyby się regułami. Twoja dupa jest nasza. Na zawsze.
Spojrzałem mu prosto w oczy. Były jak studnie pełne mroku.
– Nie – powiedziałem dobitnie – może jestem ćpunem, pijakiem i jebaką, ale mam jakieś resztki przyzwoitości. Może bardzo, bardzo małe resztki. Ale mam. I odpowiedź dalej brzmi: nie.
– Aleks, ja nie znam tego słowa. Dam ci szansę, chłopcze i zapomnę, naprawdę zapomnę o dzisiejszej niemiłej rozmowie. Potrzebujemy cię, wierz mi. A ty potrzebujesz nas.
– Mówcie sobie co chcecie – usiadłem na łóżku.
– I co z nim zrobić, Di? – spytał z jakimś smutkiem w głosie – dlaczego nasi najlepsi pracownicy mają wyrzuty sumienia, co?
– Ja nie mam – odparła.
– Ty nie, ale to też trochę trwało, jeśli sobie przypominasz.
– Aleks, przecież wiesz dla kogo pracujesz, prawda? – mówił teraz spokojnym, ojcowskim tonem – zawsze wiedziałeś. Tak jak wiedziałeś, od czego skrótem jest imię Di.
– Nie.
– Faza zaprzeczania - skomentowała Di – powrót do dzieciństwa. Zaraz schowa głowę pod koc, a jak ją wysunie, nas już nie będzie.
– Wiedziałeś, wiedziałeś – powiedział pobłażliwie – a ja dam ci jeden temat do przemyślenia. Pamiętasz historię Hioba?
– Tego co leżał na gnoju i miał wrzody?

– Trywializując – skrzywił się – ale naturalistyczne opisy trzeba w tym wypadku traktować jako alegorię. Pamiętasz dlaczego tak cierpiał?
– Bo Bóg go chciał doświadczyć? – przypomniałem sobie.
– Dokładnie. A teraz wyobraź sobie, że skoro miłosierny Pan – słowo „miłosierny" wymówił z wyraźnym szyderstwem – w taki sposób doświadczył swego wiernego sługę, to co MY możemy zrobić z kimś, kto chce nas zdradzić? Uwierz mi, że Hiob przy tobie będzie uchodzić za szczęściarza.
Mimo całego naćpania i nachlania zadrżałem. Byłem święcie przekonany, że mówi serio. Śmiertelnie serio.
– Zawsze też mogę sobie strzelić w łeb...
– I to, myślisz, uwolni cię od naszego towarzystwa? – spytał, a Di roześmiała się dźwięcznie.
– Skończ ten kontrakt i dostaniesz urlop – rzekł po chwili, znowu wracając do ojcowskiego tonu – długi, przyjemny urlop na pacyficznych wyspach. Pełen chętnych laseczek w wieńcach z kwiatów i pięknych widoków. Jak chcesz załatwimy ci dobry odwyk...
– Hu, hu, so exciting – przerwałem mu ironicznie.
– A jak nie, to góry najlepszego towaru. Powiedziałbym nawet: towaru nieziemskiej jakości. Tylko bądź z nami, Aleks. Zostań w rodzinie. Rzadko kogoś o coś proszę, a ciebie proszę, chłopcze.
– Czy nie mówią o tobie, że jesteś ojcem kłamstwa? – zapytałem i było mi wszystko jedno – powiedziałem już, że was pieprzę?
– Jutro o osiemnastej – rzekł wstając z fotela – bądź grzeczny, Aleks, a zapomnimy o głupich sporach. Chcesz, żeby Di została na wieczór?
Pokazałem mu środkowy palec i wlazłem pod kołdrę.
– Muchy – powiedziałem – powinny koło ciebie latać muchy.
– Chyba mnie pomyliłeś z Candymanem – odrzekł spokojnie, a potem patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.
Wreszcie skinął dłonią na Di i oboje wyszli. Zostałem sam ze swoimi myślami. I z telefonem, z którego nie omieszkałem skorzystać, pomimo przeżartych śluzówek.
A potem jeszcze przyszło mi do głowy, że się pomylił. Candyman był władcą pszczół, a nie much.

ΨΨΨ

Kiedy się obudziłem nie byłem już ani tak zdecydowany ani tak odważny. Byłem skacowany, roztrzęsiony i przerażony. Dotarł do mnie z całą brutalnością fakt kim jestem i dla kogo pracuję. Czy mój szef miał rację mówiąc, że wiedziałem od początku, co robię i z kim się zadaję? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Sądzę, że przez cały czas pracy dla firmy, nie chciałem go zadawać. Wolałem nie zastanawiać się, dlaczego oni dysponują wiadomościami, których uzyskanie i potwierdzenie było co najmniej zastanawiające. Wolałem nie wiedzieć, czemu służą moje kontrakty i co tak naprawdę pomagają im osiągnąć.

Wiesz, jakie to jest uczucie dowiedzieć się, że pracowałeś dla diabła? Skąd możesz wiedzieć? Sam nie byłem pewien, czy po prostu kokaina i wóda nie wyżarły mi mózgu, a oni tylko zręcznie nie podsycali obaw i nie bawili się moim kosztem. A może raczej próbowałem się tylko pocieszyć myślą, iż są bezwzględnymi przestępcami, a nie istotami ponadnaturalnymi. Bo z dwojga złego wolałem już bezwzględnych przestępców.

Zdawałem sobie sprawę, że nie ucieknę przed nimi. To nie mafia ani policja. Tu nie pomoże samolotowy bilet w najodleglejszy zakątek świata i nie używanie własnego nazwiska oraz kart kredytowych. Jeśli tylko będą chcieli, dopadną mnie. A wiedziałem, że będą chcieli. Choćby po to, by dać odstraszający przykład lub zemścić się, że zawiodłem ich nadzieje. Albo dla czystej rozrywki. Dla któregokolwiek z tych powodów albo z żadnego z nich. W każdym razie nie mogłem się czuć bezpiecznie. Nigdzie.

Czy popadałem w paranoję, czy po prostu trzeźwo oceniałem sytuację? Co zrobiłbyś, gdyby twój przyjaciel przyszedł i powiedział, że pracuje dla Piekła? Szkoda, że nie mogłem nawet wypróbować tego sposobu, bo nie miałem przyjaciół, którym mógłbym się wyżalić. Miałem tylko laski na jedną noc lub na kilka nocy i miałem firmę. Słodką rodzinkę. Co mogli mi zaoferować? Wieczną młodość? Być może. A czego mogli zażądać? Jakie będzie któreś z kolei zlecenie? Zabij kogoś, Aleks. Podłóż bombę, Aleks. Porwij samolot, Aleks. Oszpeć twarz tej dziewczynie, Aleks. Oberżnij jej cycki, chłopcze. Mogli zażądać wszystkiego. Jasno, jak nigdy w życiu, zdałem sobie sprawę, że jeśli ustąpię raz, to będę ustępował już przez całe życie. A może uznają za milutki żarcik i dowcipne zakończenie historii, jeśli trafię do pudła i przez resztę życia będę naczyniem rozkoszy dla zgrai czarnych kulturystów? Wzdrygnąłem się. Dlaczego mieliby mnie oszczędzać? Dlaczego miałem wierzyć w cokolwiek, co mówią? Czyż sam nie nazwałem go ojcem kłamstwa?

Wstałem z łóżka i otuliłem się kocem, bo miałem dreszcze. Podszedłem do barku i nalałem sobie szklaneczkę whisky. A potem z tą szklanką i z butelką powlokłem się do kuchni i wszystko wylałem do zlewu. Bursztynowa struga. Upajający zapach. Tak łatwo byłoby wychylić jednego, drugiego i trzeciego drinka. I zapomnieć. Ułożyć na szklanym blacie dwie równiutkie kreseczki, a potem już zgodzić się na wszystko. Może zachowają się uczciwie? Może dostanę naprawdę urlop na pacyficznych wyspach i stado dziewczyn w wieńcach z kwiatów?

Włożyłem głowę do zlewu i puściłem strugę lodowatej wody. Przez pierwsze sekundy myślałem, że umrę. Chłód popełzł do mózgu i serca, więc zawinąłem mocniej koc na ramionach. Potem wytarłem włosy ręcznikiem i drżąc wszedłem z powrotem do łóżka. Skuliłem się w nim, jak embrion. Co miałem robić? Przecież nie chciałem w życiu nic innego, prócz przyjemności. Może nie byłem mądry i dobry, ale na pewno nie byłem zły. Rozpłakałem się z żalu nad samym sobą, a łzy płynęły mi po policzkach, kapały na pierś i szyję. Wyłem, jęczałem i beznadziejnie szlochałem. Rozpaczałem nad samym sobą. I tak, zwinięty w embrionalnej pozycji, z twarzą mokrą od łez, zasnąłem po raz drugi.

Kiedy się obudziłem minęło już południe. Kac, Bogu dziękować zelżał i czułem, że jestem w stanie trzeźwiej spojrzeć na świat. Przypomniałem sobie mój płacz z zeszłej nocy i wzdrygnąłem się. Nie znoszę okazywać słabości! Spojrzałem na zegarek na nocnym stoliku. Trzynasta piętnaście. Cztery godziny czterdzieści pięć minut do podjęcia zlecenia. Cztery godziny na zastanowienie się, czy je podejmę. A może zagrać na czas? Przecież spotkania z tą pragnącą romantycznej miłości dziewczyną muszą potrwać. Ile? Tydzień? Dwa tygodnie? Miesiąc? Ale cóż to zmieni? Czy przez miesiąc znajdę drogę ucieczki przed firmą?

Wstałem i zacząłem się ubierać. Mechanicznie. Jasne, lniane spodnie i piaskowa koszula z krótkim rękawem. Przyczesałem włosy i kiedy w lustrze zobaczyłem własną twarz uznałem, że będzie lepiej, jeśli założę ciemne okulary. Coś gnało mnie na zewnątrz, do ludzi. Chciałem przez chwilę stanąć w tłumie, przyjrzeć się ich codziennemu pośpiechowi, pozazdrościć życia, gdzie kłopotem jest niezapłacony rachunek albo zdradzający mąż, albo brak kasy na kupno nowego samochodu czy upierdliwy przełożony. Mój Boże, co ja bym oddał za takie problemy! Starając się uniknąć małych kłopotów wpakowałem się w bagno. I choć nie chciałem się do tego przyznać, wiedziałem, że jedyne, co mi pozostaje to brnąć głębiej i głębiej, i głębiej. A co się stanie potem? Czy dla mnie jeszcze będzie jakieś „potem"?

Wysiadłem z windy, skinąłem głową strażnikowi, który zrobił zdziwioną minę, bo chyba nigdy nie widział mnie wychodzącego o tej porze, i pchnąłem przeszklone drzwi. Wyszedłem na rozsłonecznioną ulicę pełną gwaru i ludzi. Mój Boże – zdałem sobie sprawę, jak dawno już nie wychodziłem w pełnię dnia. Byłem niczym Morlokowie, niczym stworzenia mroku. Szkoda, bo świat był naprawdę piękny. Ktoś mnie potrącił i poczułem jakąś irracjonalną wdzięczność za to potrącenie. Poszedłem przed siebie ulicą, w sklepiku obok kupiłem puszkę coli i piłem ją nie zważając, że pochlapałem sobie koszulę.

– Ostatnie cztery godziny niewinności – powiedziałem sam do siebie – o osiemnastej będziesz już innym chłopcem, Aleksiku.

Byłem zmęczony, wycieńczony i rozpaczliwie pragnąłem koksu. Biała Dama czekała na krawędzi wzroku, gotowa przyjść i przytulić mnie, kiedy tylko ją zawołam. Gotowa zatańczyć ze mną i pocieszyć mnie. Dać mi siłę. Tyle, że ja wiedziałem, jaka twarz kryje się pod białym welonem. Wszyscy na początku wierzą, że tam, pod muślinem, jest twarz pięknej, radosnej dziewczyny. Ale to nieprawda. Im dłużej tańczysz z Białą Damą tym wyraźniej widzisz, że welon zakrywa trupią czaszkę. Martwą, pozbawioną skóry, ciała i oczu. Tylko kiedy to zobaczysz, najczęściej jest ci już wszystko jedno. A poza tym do samego końca wierzysz, że przemieni się w piękną dziewczynę.

Czułem, że pocę się i koszula oblepia już plecy. Po czole, policzkach i nosie spływał mi gęsty pot. Kropla kapnęła z czubka nosa, a ja sięgnąłem do kieszeni spodni i zorientowałem się, że zapomniałem chusteczki. Otarłem czoło dłonią, a potem mokry wierzch dłoni wytarłem w spodnie. Na jasnym materiale została szara smuga. Odszedłem z ulicy w cień drzew i przysiadłem na ławce. Dopiłem do końca colę i wrzuciłem pustą puszkę do kosza na śmieci. Spojrzałem na zegarek. Trzynasta pięćdziesiąt pięć. Mój czas się kurczył.

Obejrzałem się przez ramię i dostrzegłem, że siedzę przed niewielkim otynkowanym na biało kościółkiem. Na małym placu przed wejściem stał wcementowany krzyż z rozpiętym Chrystusem.

– No i widzisz – powiedziałem – nawet Ty nie możesz mi pomóc. Wisisz tam sobie i masz w dupie moje problemy. A może byś, dla odmiany, coś zrobił? Coś pożytecznego? Coś poza umieraniem i jęczeniem, że czujesz się opuszczony?



Wyłuskałem papierosa z kieszonki koszuli i zapaliłem. Skoro zaczynam rozmawiać z figurką Chrystusa, to naprawdę nie jest już dobrze. Fala pożądania koksu przyszła jak atlantycki przypływ. Zrobiło mi się słabo.

– Przepraszam – usłyszałem kobiecy głos – czy mogę tu usiąść, obok ciebie?

Otworzyłem oczy i nie byłem już w stanie odwrócić wzroku. Przede mną stała najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem w życiu. Cofnij. Słowo najpiękniejsza brzmi w tym wypadku jak zniewaga. Jak zniewaga brzmi porównywanie jej z kimkolwiek innym. Była uosobieniem wdzięku. Cudem natury. Czarem. Jej oczy były jak pola fiołków, a włosy skrzyły się w słońcu, niczym posypane złotem. Usta zdawały się stworzone do pocałunków i uśmiechów.



Wysoka, wysmukła i uśmiechnięta, w jasnej sukience na cienkich ramiączkach, stała przede mną, a ja podniosłem się z ławki.

– Proszę – powiedziałem – i tak już miałem iść.

Wiedziałem, że muszę odejść, bo nie byłem w stanie znieść piękna, które w niej było.

– Zostań, Aleks – powiedziała cicho – przecież czekałam właśnie na ciebie.

Usiadłem. A raczej klapnąłem na ławkę.

– Prosiłeś o pomoc, Aleks, a sam mówiłeś, że kawaleria nadciąga zawsze we właściwej chwili.

Przyglądała mi się z czułym i ciepłym uśmiechem. Usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę. Miała chłodne dłonie. Takie dłonie chcesz przytulić do czoła, kiedy jesteś chory.

– Kim jesteś? – zapytałem.

Roześmiała się i nagle otoczył ją blask. Tylko przez moment. Jasna, gorąca aureola będąca skondensowanym światłem. – Przecież wiesz – odparła – jestem awersem, tam gdzie on jest rewersem. Jestem lampką w jego mroku. Jestem ostatnim posiłkiem, którym dzieli się biedak. Jestem wszystkim tym, czym on nigdy nie będzie.

– Jestem chory – powiedziałem patrząc pod nogi – jestem bardzo, bardzo chory. Naćpany. To wszystko się nie dzieje naprawdę. Chciałbym się już obudzić, jeśli można.

– Obudziłeś się już, Aleks – dotyk jej palców przywracał spokój – obudziłeś się odmawiając mu. Przychodząc tu. Nic się nie dzieje samo z siebie.

Podniosłem wzrok. Patrzyła na mnie z troską.

– A więc to On cię przysłał? – zapytałem – czy tak właśnie wyglądasz? Tak wyglądasz naprawdę?

– Naprawdę? A co to znaczy? Czy to jest naprawdę? – nagle wstała, a jej postać wystrzeliła pod niebo. Tylko przez ułamek sekundy widziałem straszną sylwetkę, otoczoną morderczo lśniącym blaskiem. W dłoniach dzierżyła miecz, a potężne białe skrzydła sięgały z jednego krańca nieba po drugi. I po tym ułamku sekundy znowu siedziała koło mnie prześliczna, delikatna dziewczyna o chłodnych palcach i fiołkowych oczach.

– Które naprawdę jest naprawdę? – spytała z przekornym uśmiechem.

– A co do drugiego pytania – powiedziała po chwili – to nie On mnie wysłał – nagle przez jej twarz przemknął jakby cień bólu – On jest... za daleko.

Nie wiedziałem, czy rozumiem, co mi chce powiedzieć i nie wiedziałem, czy chcę to rozumieć.

– Co mam robić? – spytałem – co mam ze sobą zrobić?

– A czego byś chciał, Aleks?

To opowiadanie jest w pewien sposób nietypowe. Układając jego scenariusz i pisząc je nie mogłem się zdecydować na wybór zakończenia. Po kilku dniach rozterki doszedłem do wniosku, że pozwolę sobie zaprezentować Wam wszystkie trzy możliwości. Mam nadzieję, że wybierzecie z nich tę, która najbardziej trafia w Wasze gusta (Damian Kucharski).

Zakończenie numer 1

– Zresztą nie mów, Aleks. Sama ci powiem. Służyłeś złej sprawie. Ale czy miecz jest winnien, czy ręka, która nim kieruje?

Był to jakiś punkt widzenia i nie powiem, żeby mi nie odpowiadał.

– Fizyk może się zajmować energią atomową służącą tworzeniu bomb, ale i budowie elektrowni jądrowych. Czy jego zdolności są więc same w sobie złe, czy też po prostu źle wykorzystane?

Słuchałem naprawdę uważnie, ale nie miałem pojęcia dokąd ona zmierza.

– Czy wiesz jakie jest życie aniołów, mój miły? Czy myślisz, że zajmowanie się waszymi podłościami, nienawiściami, okrucieństwem i wojnami nas bawi? Kiedy wracamy tam – do miast szybujących pod niebem - czy jesteśmy szczęśliwi? Nie, Aleks. Jesteśmy zmęczeni. Zrezygnowani. Otępiali waszym bólem.

Spojrzała na mnie.

– A ty dajesz coś, czego nie możemy dać sobie nawzajem. Coś – widziałem, że trudno jej znaleźć słowa – coś strasznie ludzkiego i strasznie pięknego.

Milczałem przez chwilę.

– Nie wiem, czy cię dobrze rozumiem – powiedziałem w końcu wolno – a więc to mam robić? Zajmować się tobą, kiedy wracasz zmęczona, zrezygnowana i otępiała? Dać ci – powiodłem dłońmi w powietrzu i też nie mogłem znaleźć słów, bo dziwnie rozmawia się o seksie z aniołem.

– Mnie? – uśmiechnęła się promiennie – och, mnie też, Aleks i mam nadzieję, że będziesz traktował właśnie mnie ze szczególnym zaangażowaniem, bo to w końcu ja się pierwsza zjawiłam.

– Czyli... czyli będą też inne? Tak samo piękne, jak ty? I ja mam się z nimi kochać?

– Prawda, że to śliczna wizja? – roześmiała się dźwięcznie – i pomyśl sobie, mój miły, że będziesz pierwszym człowiekiem zdolnym o sobie powiedzieć, że jest odpoczynkiem aniołów.

Pokiwałem głową, gdyż brzmiało to całkiem nieźle. W końcu byłem wirtuozem, a wirtuoz musi umieć zagrać na każdym instrumencie. Tyle, że teraz czekała na mnie symfoniczna orkiestra i wyrafinowana widownia żądna najsmakowitszych wrażeń. Czy mówiłem ci już, że uwielbiam trudne wyzwania?

Zakończenie numer 2

– Normalnie żyć. Po prostu normalnie żyć.

– To nie takie proste, mój miły – odparła i czułem w jej głosie autentyczny żal – masz na koncie za dużo krzywd, za dużo bólu, za dużo cierpienia. Warunkiem odkupienia są skrucha i pokuta. Skrucha już jest. Choć nie wiem, czy nie nazbyt wymieszana ze strachem. Ale gdzie pokuta?

– Pokuta – powtórzyłem – czyli?

– Wypij kielich do końca, Aleks. Trzymaj się tego, co postanowiłeś. Bądź wierny nowemu sobie.

Pocałowałem końce jej palców i wstałem.

– Może tak zrobię – powiedziałem – czy... czy to będzie trudne?

– Nie zamierzam cię oszukiwać – odparła spokojnie – będzie naprawdę dużo bólu.

Przymknąłem oczy, bo choć nie tego się spodziewałem, wiedziałem, że ona ma rację. Nie da się wymazać całego życia jednym pociągnięciem gumki. Tylko, czy fakt, że będę cierpiał pomoże w czymś tym, których kiedyś skrzywdziłem? Czy tak ma wyglądać sprawiedliwość? Ból za ból?

Przyglądała mi się uważnie, jakby znała moje myśli. Zresztą może naprawdę je znała. W końcu była aniołem. Chyba aniołem.

– No to do widzenia – powiedziałem.

– Do widzenia, Aleks – odparła i pocałowała mnie w policzek.

– A potem? – krzyknąłem, kiedy już odchodziła – co będzie potem?

– Potem będę już tylko ja – odrzekła, a w jej oczach było światło.

Obserwowałem jak idzie wśród drzew i patrzyłem za nią dopóty nie zniknęła z pola widzenia. Potem spojrzałem na zegarek. Musiałem wracać do domu, bo wiedziałem, że pięć minut po osiemnastej usłyszę dzwonek i będę musiał otworzyć drzwi nieproszonym gościom.

Zakończenie numer 3

– Cofnąć czas. Zapomnieć. Zacząć od nowa.

– Myślisz, że to wystarczy? – spytała z jakimś smutkiem w głosie.

– Nie wiem – odparłem.

– Cóż, zawsze możemy spróbować.

Ψ Ψ Ψ

Podszedłem do nieznajomej dziewczyny, kiedy Biała Dama mocno się już rozgościła w moim ciele. Siedziała pod sercem i w mózgu, zadowolona, uśmiechnięta, dzieląc się ze mną swoją radością. Kiedy się zbliżałem poczułem delikatną, kadzidlaną woń perfum. To był naprawdę ładny zapach, a ja uwielbiam, kiedy kobiety ładnie pachną.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam – powiedziałem zniżając głos – pozwól tylko, że spytam, czy nie za bardzo się potłukłaś?

– Kiedy spadałam z nieba? – odparła znużonym tonem i nawet nie spojrzała na mnie – czy faceci nie mogą wymyślić czegoś bardziej oryginalnego?

– Och – powiedziałem, gdyż nie byłem wcale zaskoczony. W końcu prawdziwy myśliwy potrafi poradzić sobie zarówno ze zwierzyną, którą ucieka, jak i taką która atakuje.

Połowa nocy

Tekst: Izabela Szolc
Rysunki: Marcin Kułakowski

„Umarła – tak właśnie umarła:
Gdy oddech jej ustał w końcu,
Wzięła węzełek z odzieżą
I ruszyła ku słońcu

Drobną figurkę u bramy
Aniołowie widać wypatrzyli,
Skoro po stronie śmiertelnych
Nie znalazłam jej od tej chwili”

Emily Dickinson A. D. 1856



Nowy Jork, grudzień 1999 roku

– Purytanie posądzili mnie o złą obmowę i praktykowanie czarów. Zbiory się nie udały, a krowy przestały dawać mleko. Zawieźli mnie na wozie do ratusza najbliższego miasteczka. Tam sędzia, który siedział akurat z wizytą u pastora kazał mi się przyznać. Do czego? – zapytałam go. Byłam starą panną, która mieszka na ojcowiźnie z jedną kozą. Zgoda, może pomogłam paru kobietom w ich problemie, ale żeby od razu czarownica? Nie! Więc poddano mnie torturom. Tortury przybyły ze Starego Świata wraz z purytanami. Położyli mnie na płaskim kamieniu, a następne, równie płaskie i wielkie zaczęli kłaść na moje piersi... Czułam jak trzeszczą mi żebra, ale mogłam tylko krzyczeć, że nie jestem czarownicą. Gdy tak dokładali tego ciężaru i dokładali, coś złego zaczęło się robić z moim językiem, w ogóle nie chciał się mieścić w mojej gębie, to znaczy ustach. Jakby te głazy go wypchnęły. Było już po mnie. Umierałam. Zauważyli to, ale i tak uznali, że skoro się nie przyznałam to muszę być ta Zła. Kat złapał obcęgami (stale trzymał je przytroczone do pasa) za koniec mojego języka. Wysunął mi się jak u żmii, opadł wzdłuż brody i dotykał kamieni – czułam na nim piasek. Później oprawca pociągnął, wyrwał do końca ten język i nareszcie umarłam...

– Po co Vanesso poddałaś się regresji hipnotycznej do wcześniejszych wcieleń?

– Och, miałam okropny problem: nie potrafiłam odezwać się do męża... – śmieje się cichutko. Jest ładną, młodą kreolką. Małe, złote kolczyki w kształcie słońc pobrzękują jej w uszach.

– Język stanął mi kołkiem w ustach.

– I co się okazało po regresie?

– Och, to trochę szalone! Ale i proste...

Kiwam głową w zgodnym rytmie z innymi uczestniczkami spotkania, innymi poszukiwaczkami własnych reinkarnacji.

–... Okazało się, że mój mąż z dzisiejszego wcielenia był tamtym purytańskim katem.

– O!

– Właśnie tak.

– Powiedz nam Vanesso, czy ta wiedza w czymś pomogła?

– Oczywiście, w końcu mogłam z Malcolmem normalnie porozmawiać.

Spontaniczne oklaski.

– Ale i tak się z nim rozwiodłam, w zeszłym roku.

Spontaniczne oklaski przybierają na sile.

– No dobrze moje panie...

Gwar.

– Hej, dziewczyny! Na dzisiaj już kończymy. Do zobaczenia pojutrze. Uważajcie na siebie. Pan jest z wami.

– Psychoterapeutka i specjalistka od regresingu hipnotycznego ma na imię Julia. Trzydziestolatka irlandzkiego pochodzenia, niegdyś ładna, dziś zniszczona przez chorobę. Doktoryzuje się „z takich jak my” na Columbia University. Nasze spotkania odbywają się dwa razy w tygodniu: w poniedziałki i czwartki. Same

kobiety, też w okolicach trzydziestki, raczej z dziećmi (ja dzieci mieć nie mogę), po rozwodach, próbujące szczęścia w nowych związkach. W większości dość dziane, z wyjątkiem tych przysłanych przez opiekę społeczną („niech spróbują ułożyć swoje życie od samiutkiego początku"). Ach tak, przyszedł kiedyś jeden facet, ale szybko się zmył. Gość nie zrobił na nas najlepszego wrażenia, bo wyglądał jak ostatnia miernota. Zresztą jeśli już, jego zniknięcie i tak mogłoby zmartwić jedynie mnie i Julię, bo tylko my dwie ciągle jesteśmy same. Julii trzęsą się ręce i cała tonie w robocie. Ja („wyglądasz kotku na naście lat") jestem tą, której przyszłemu małżeństwu i macierzyństwu kibicuje niemal cała dwudziestoosobowa grupa. „Mam trzydzieści lat – mówię – a ta cera, to francuskie kremy Lancôme". „Nie przejmuj się, Madonna urodziła w wieku 36 lat". „Serio? Myślałam, że po czterdziestce". Ostatnio przygruchały mi jakiegoś Włocha (właściciel restauracji, bynajmniej nie mafioso) – kuzyna Claudii. Nic z tego nie wyszło. Zraziło go to, że nie możemy się spotykać w dzień. Wziął mnie za „call girl" i był przekonany, że rankami i południami odsypiam pracę... Call girl, dobre sobie! Tym lepsze, że w ogóle nie sypiam, no i nie mam telefonu. A słońce po prostu mi szkodzi.

Wysypujemy się na ciemną ulicę niczym uczennice szkoły średniej. Przystają pierwsze taksówki, żółto-szare w nikłym świetle latarni. I samochody z mężami, którzy zapewne liczą na małe co nieco albo i nie (być może te parę godzin w tygodniu, które żony spędzają na samorozwoju, pozwala im na tete-a-tete z sekretarką)...

– Irene, idziesz piechotą?!

To Vanessa. Obok niej stoi Rebeka, Żydówka, która swoje wcześniejsze żydowskie wcielenie zakończyła samobójstwem w twierdzy Masada, chroniąc się przed okupacją rzymską (nieco później, bo już w XX wieku doprowadziło to do zerwania jej stosunków z reformowanym judaizmem, gdyż nawet układny rabin za bardzo ją wkurzał. „Słuchaj, ja wcale nie chciałam wtedy umierać, to jakiś nauczyciel, jakiś rebe mnie namówił!"). Teraz Rebeka zachowuje się jak prawdziwa gojka i nawet zrobiła sobie tatuaż. Ma dwadzieścia trzy lata.

Po Vanessę przyjechał drugi mąż. Zabrał ze sobą dwójkę jej dzieci, które musiał powyciągać z łóżek. Stawiały pewnie opór i marudziły, że jest zimno, zamiast tęsknić za matką. „No, jutro pójdziemy na jakieś zakupy! A teraz chodźcie. Mama się ucieszy". Widzę tę scenę we własnej głowie. Ściągnęłam ją z umysłu Malcolma 2.

– Irene, nie wygłupiaj się. Odwieziemy cię do domu.

– To miłe z waszej strony, ale naprawdę chcę zrobić sobie spacer.

– Irene, tu jest niebezpiecznie.

– Vanessa kochanie, jeśli nie chce to jej nie zmuszaj.

– W porządku Van. Mieszkam przecznicę stąd – kłamię bezczelnie.

– Przecznice w Nowym Jorku są większe niż te w Vancouver.

Śmieję się i macham ręką.

– Więc?

– Przeziębisz się!

– Nie.

Tego jestem pewna. Nigdy nie choruję; no prawie nigdy – sprawy sprzed trzystu lat się nie liczą.

– Do zobaczenia w czwartek!

Rachela i dzieciaki Vanessy przesyłają mi po całusie. Jestem wolna.

– Pierwszorzędne mieszkanie – przekonywał zarządca budynku otwierając drzwi staroświeckiej windy, a ja poczułam się jakbym grała w „Dziecku Rosemary".

– Przepraszam, że umówiłam się z panem tak późno – był koniec lata, po zmroku.

– Nic nie szkodzi. Ludzie muszą pracować. Inaczej jakby płacili za czynsz – zagulgotał. Zaskoczyła mnie obleśność tego dźwięku, w końcu zarządca był mężczyzną w pełni sił, w świetnie skrojonym garniturze, a nie śliniącym się starcem z tupecikiem na głowie. Tak, gulgotanie zdecydowanie do niego nie pasowało.

– Oczywiście. Jakżeby inaczej.

Wprowadził mnie do mieszkania.

– 77 Ulica. Z okna widać – wskazał na podświetlony gmach – Muzeum Historii Naturalnej. Wie pani: „Jurassic Park".

77 Ulica, ani za biedna, ani za bogata. W sam raz dla mnie.

– W Święto Dziękczynienia wypuszczają u nas balony. W kształcie zwierząt, kreskówek i takich tam. Kiedy byłem dzieckiem – rozmarzył się – pozwalano mi nie spać podczas tego wydarzenia, żebym mógł zobaczyć jak przyjeżdżają ciężarówki, a potem całe te przygotowania. Kiedyś uciekła dmuchana Panda...

„Zawiesił się". Czy nie tak opisują współcześnie ten stan dekoncentracji i szarego śniegu w mózgu?

– Mieszkał pan niedaleko?

– Zaraz obok. Tam gdzie kiedyś ta pisarka, Erica Jong. Moja matka ją znała.

– To miłe.

– A pani? Pani nie jest stąd? Pani nie jest nawet Amerykanką?

– Kanadyjką – kłamałam już tak naturalnie, że zaczynałam w to wierzyć.

Wykonał na środku największego pokoju parodię tańca derwisza:

– Świetnie. Jeśli chodzi o czynsz...

– Mogę zapłacić gotówką?

Uniósł białe brwi, jakbym zaproponowała mu coś niestosownego w tej „purytańskiej" epoce elektronicznego pieniądza.

– Jasne.

– Mam kota...

– Ma pani kota to będzie pani mieszkać z kotem – wzruszył ramionami. I dodał jeszcze:

– Ja hoduję papugi. Ptaszki, wie pani, coś zupełnie w opozycji do kota. Aha!

Następnego wieczora przeniosłam rzeczy (niewiele tego było) i zaczęłam grać w serialu „Tylko Manhattan". Bomba!

Ψ Ψ Ψ

Położyć się na środku trawnika w kształcie łzy, który Yoko Ono ufundowała w Central Parku, by upamiętnić śmierć Johna Lennona („Ależ ja szaleję za tym domem! Jeśli będziecie chcieli kiedyś podnająć, to jestem pierwsza w kolejce! Nie zapomnijcie o mnie! Ach, te dziwaczne maszkarony, te stwory pełzające po murze między oknami!"). Nieco to trywialne, ale trawa pachnie nocami upajająco. Tylko, że teraz mamy grudzień i wszystkie źdźbła przykryte są śniegiem.

Sznuruję mocniej czarny płaszcz, który wygląda idealnie jak szlafrok. Nie jest mi zimno, ale jak małomiasteczkowa panna, która trafiła na bal staram się naśladować ludzi w tym co czynią; w niezawinionym zresztą geście.

Moje serce tętni energią o większym cieple niż tysiąc płonących koszy, przy których grzeją się kloszardzi. Zimą te kosze pojawiają się zawsze i wszędzie – żadna przyjemność odrywać zamarzniętego człowieka od ławki jeśli nie ma numeru ubezpieczenia, a czasem nie pamięta jak się nazywa. Jak nazywał się w swoim „przeszłym" życiu.

– Ej, lala!

Nocni podrywacze. W tej części Manhattanu nie jest ich zbyt wielu – odwrotnie proporcjonalnie do ilości glin. Z drugiej strony to właśnie tutaj można spotkać laskę, która zaczytywała się na studiach Anaïs Nin i Colette, która co pół roku robiła testy krwi, nim nauczyła się chodzić łykała pigułki antykoncepcyjne, a uda wyćwiczyła aerobikiem, lub tym co teraz jest modne. I da się poderwać, bo całe dotychczasowe życie marzyła o odrobinie ryzyka. O mężczyznach, którzy nie dlatego pachną wódką, że są zalani, tylko że zapach ten potrzebny jest im do stylu.

– Kochanie!

Nic dzisiaj nie upolujesz, matole. To ja jestem łowcą, choć ostatnio na emeryturze. Odkąd burmistrzem został Rudolph Giulianni śmieci są wywożone częściej i jest zdecydowanie mniej postrzeleń. Cieszy mnie to. Raz dostałam srebrną kulą wprost w lewą pierś – okropny ból. Szczęściem pocisk nie zdruzgotał mostka, wpadł w ciało jak w gęsi puch – piersi mam naprawdę duże. Postrzał z rewolweru musi boleć podobnie. Przeczulona wybrałam więc Manhattan, choć mój przyszły biograf być może wolałby widzieć mnie na Brooklynie albo w Bronxie. Nie, dziękuję.

Kloszardzi. A dokładnie rzecz biorąc jeden kloszard: albo narkoman, albo profesor uniwersytetu. Sam? Dziwne, zwykle trzymają się parami, trójkami, w innych dzielnicach całymi watahami po kilkunastu, jak dzikie koty... Kumple tego poszli pewnie po coś do jedzenia. Odkąd chwyciły mrozy, różne religijne organizacje zaczęły rozdawać zupy i herbatę za darmo, przez całą dobę. Kloszardowi (wygląda trochę jak zdegenerowany Święty Mikołaj w czapce pilotce ze szrotu) to obojętne, że został sam na ulicy. Jest tak zalany, że musi mu się dwoić i troić w oczach. Uśmiecha się do mnie błyskając jednym zębem.

I zaczyna śpiewać: „God Bless America".

W ręce (obowiązkowa rękawiczka bez palców) trzyma papierową torbę (z której wystaje obowiązkowa szyjka). Pociąga od czasu do czasu, a jego śpiew brzmi jak zdarta płyta.

– Znam jeszcze Sinatrę – bełkocze.

Stoi przy koszu z żarem, nachyla się nad nim jakby chciał do niego wejść; jego policzki lśnią od potu niczym nawoskowane rajskie jabłuszka. Raj? Czy istniał kiedykolwiek? Czy kloszard został z niego wygnany? Na jakie boskie objawienie czeka, że jeszcze z nędzy i rozpaczy nie popełnił samobójstwa? A może lubi ten stan, w którym się znalazł? Może toleruje go, bo kocha życie, tak kurczowo się go trzyma?

Biorę na siebie rolę milczącego, boskiego posłańca – kloszard sam sobie resztę dośpiewa – podskakuję lekko na obcasach i frunę, lecę do gwiazd. Choć celniejsze będzie stwierdzenie, że po prostu unoszę się w powietrzu. Zamierzam polecieć w kierunku swojego mieszkania przy 77 Ulicy. Do swojego gniazda.

A propos: nie zmieniam się w żadnego nietoperza; trzymam swój kształt, którym obdarzyli mnie rodzice.

Kloszard otwiera usta, ale bynajmniej nie zwiewa.

– Nieźle dziadku pochlałeś – lubię być okrutna. Sycę się okrucieństwem, nawet kiedy jest malutkie jak cukiereczek.

Przeciera oczy. Raz, drugi – wódka ulewa się i wsiąka w gruby mankiet.

Nagle zrozumiałam, że on wierzy w to co widzi. Dla tej istoty wcale nie jestem pijackim urojeniem. Wydaje cienki pisk i wypuszcza butelkę wprost w ogień. Tak mi przykro...

Przysięgam, że nie zrobiłam „Świętemu Mikołajowi" krzywdy. To znaczy większej od tej, która mu się przytrafiła przez nieuwagę. Nie zabiłam go.

Ψ Ψ Ψ

Dom, słodki dom!

Kot siedzi nieruchomo na środku przedpokoju, niczym staroegipska figurka. „Teodor 27". Wychowany od małego, rudego kociaka wyrósł na niechlujnego zbója, który posikuje na ściany, bo nie mam sumienia, żeby go wykastrować.

– Jesteś głodny malutki?

W pokaźnej i pustej lodówce stoi tylko jedna, do połowy już opróżniona puszka kociej karmy. Wyjmuję ją na blat, żeby jedzenie się zagrzało. Teodor drepcze wokół niej niczym sumienny strażnik.

Dopiero teraz zdejmuję płaszcz, który zdążył już przesiąknąć topniejącym śniegiem.

Jestem zmęczona i potwornie znużona. Mam ciężką głowę i szczypią mnie oczy, ale nie potrafię spać. Zafunduję sobie drobną chwilę niebytu – może orkiestra we mnie postanowi jeszcze raz zagrać.

Nad łóżkiem wiszą „Marchewki" Tamary Łempickiej. Kopia. Oryginały kupuje moja sąsiadka z drugiej strony Central Parku – Madonna. Mnie wystarczają kopie. Po cóż innego miałabym sięgać, skoro nawet moje istnienie jest kopią życia?

Kładę się w ubraniu – dla wielu to symbol ostatecznego upadku jednostki. Zapalam nocną lampkę, choć mogłabym sobie to darować. Lubię światło, zaś moje oczy – podobne do oczu kota – stworzone są do półmroku, a nie całkowitej ciemności. Teraz żarówka, wcześniej księżycowa łuna... Nie jestem przesadnie wrażliwa jak na romantyczkę, ani przesadnie wrażliwa jak na potwora. „Przeżyłam" w końcu rewolucję przemysłową. Sięgam po książkę „Księżna de Cleves" Marie de La Fayette – XVII wieczna powieść o tym, jakim ciężarem dla kobiety może być przeszłość. I jakim ciężarem dla kobiety może być sama kobiecość! Biedna

Marie. Nazywaliśmy ją „le Grouillard” – Mgła. Wampiry ponoć mogą zamieniać się w mgłę, szczególnie te, którym ogromnie ciąży sam wampiryzm.

Dużo czytam, ale w wyborze lektur pozostaję sentymentalna: Madame de La Fayette, poezje Emily Dickinson, „Wywiad z wampirem” Annie Rice. Nie mogłabym zostać krytykiem literackim w „Newsweeku”.

A niech to szlag! Hałas potrafi nielicho przestraszyć – Teodor zrzucił puszkę z blatu. Biedaczek najwyraźniej myślał, że próbuję go zagłodzić. Nie rozumie mnie, nie jest cierpliwy, nie potrafiłby łapać myszy. A może się mylę? Może Teodor pojął – szybciej niż ja, ja się zapominam – że nasze egzystencje stosują inne miary czasu? Ruda „świnka” skończy jeść i przyjdzie do łóżka. Położy się i zaśnie wiedząc, że czuwam nad nim i pilnuję jego kociego żywota. Będziemy tak trwać.

Ψ Ψ Ψ

Kiedy po raz pierwszy wyszłam na nocny spacer opuszczając nowo wynajęte mieszkanie przy 77 Street, przewędrowałam dziesięć ulic w dół i spotkałam tak piękna kobietę, jakiej nie widziałam przez całe swoje „życie”. Była ładniejsza od najładniejszej damy dworu Katarzyny Medycejskiej; była ładniejsza nawet od Margot, splamionej krwią w Noc świętego Bartłomieja. Wyglądała jak słońce okaleczone złą mocą, ściągnięte z firmamentu i wtrącone w noc, gdzie królował księżyc. Miała płowe włosy sięgające pasa i letni garnitur, który pomiął się na plecach i pośladkach. Nie uśmiechała się, nie robiła nic, tylko stała przy jakiejś bramie. W pewnej chwili cmoknęła i podbiegł do niej wielki pies. Płowy jak jej włosy. Pies zobaczył mnie i zawarczał, a potem zawył przeciągle.

– Idź sobie stąd – powiedziało do mnie Słońce – Przeszkadzasz mi. Idź, nie jestem taka jak myślisz.

I zaczęła przechadzać się z psem, jakby tylko wyszła z nim na prawdziwy spacer za potrzebą. „Grała” dopóki nie zatrzymał się pierwszy samochód ze spoconym mężczyzną w środku.

Roześmiałam się. Słońce, jak mogłaś mnie tak oszukać. Znałam takie jak one: damy spacerujące po Paryżu ze zbyt głośnymi papugami na ramionach, kobiety w białych maseczkach, zlane od stóp do głów mocnymi, piżmowymi perfumami. Wenecjanki obute w pantofle na drewnianych, zbyt wysokich platformach. A potem Słońca, które nosiły głośno tykające zegarki. Tak głośne, że ich tik–tak potrafiło wzbudzić nocne echo. Wszystkie te mroczne istoty wiedziały kim naprawdę jestem i to upewniało mnie, że takich jak ja jest wiele, wiele i istnieją od początku świata.

Następnego wieczoru pojechałam obejrzeć Statuę Wolności. Stałam w granatowym mroku i patrzyłam – zadarłam głowę, a może i uniosłam się na parę chwil, żeby dokładniej zobaczyć kolce w koronie. W końcu wróciłam do domu taksówką. Dałam taksówkarzowi suty napiwek – ciągle opowiadał mi dowcipy, a ja się naprawdę śmiałam, choć chrapliwie: jakbym miała zardzewiałe gardło... Później popełnił błąd, bo przed domem zaczął dopytywać gdzie pracuję? Odpowiedziałam, że nigdzie. To skąd mam pieniądze? Odpowiedziałam, że istoty takie jak ja zawsze mają skarby. Że jesteśmy jak smoki. Zaproponował mi kawę, ale oczywiście odmówiłam. Był zły, rozczarowany i mógł narobić mi kłopotów. Wniknęłam do jego głowy i wyczyściłam pamięć o naszym spotkaniu – pieniądze za kurs rzecz jasna zostawiłam. W jakimś zakamarku znalazłam zelżałe wspomnienie: był w nim jeszcze chłopcem z Queens, który bawi się elektryczną kolejką. Łapie ślimaki i smaży je na torach, nim pociąg zdąży się na nich wykoleić. Potem płacz – ojciec, policjant, Polak z pochodzenia o nazwisku Wysocki oddaje kolejkę do lombardu. Żonie Wandzie kupuje za pożyczone pieniądze kwiaty na urodziny i srebrny pierścionek. Rodzice taksówkarza tańczą, obejmując się przy płycie Franka Sinatry. A że jest to nawet lepsze od tych kraks ze ślimakami, więc mały wybacza ojcu... Zapisałam mu w pamięci, że wiózł starą śmierdzącą babę, która bez przerwy gderała o tym jak bardzo chciała zostać aktorką. Nazywała się Louis Brooks i nie roztrząsałam czy prawdziwa Louis Brooks by mi to wybaczyła. Równocześnie w samochodowym radiu mówili o naćpanym po uszy baletmistrzu z AIDS, który wyskoczył z okna swojego szpanerskiego mieszkania przy Fifth Avenue, bo wydawało mu się, że potrafi latać. Jego zdrowi znajomi, artyści uznali, że lepiej roztrzaskać się na chodniku i eksplodować jak supernowa niż zgasnąć pod kroplówką. Czego to ludzie nie wymyślą...

Trzeciego dnia pobytu spotkałam małą lunatyczkę. Wyglądała całkiem jak duch i nie zdziwiłabym się gdyby naprawdę nim była. Nosiła na sobie wykrochmaloną białą koszulę nocną z walasienką wbijającą się w szyję (a wydawało mi się, że współczesne dzieciaki wolały spać w bawełnianych pidżamach z kotem Garfieldem) . Miała jasne loki sięgające ramion i mocno zaciskała blade usta. Ręce wystawiła przed siebie, jakby badając drogę. Jednak najbardziej niesamowite było to jak wędrowały jej gałki oczne pod błękitnymi żyłkami powiek. Co śniła? Gdzie śniła? Szła boso.

Nie zatrzymałam jej. Zniknęła gdzieś za rogiem przecznicy. Zobaczyłam jeszcze jak światło latarni wydobywa z prześwitu koszuli jej chudziutkie ciało siedmiolatki.

Jak widać NY-Big Apple powitał mnie z otwartymi ramionami starego grzesznika. Dałam się więc zaprosić na kubek krwi ujęta jego wyrafinowaną fantazją drapieżnika.

Ψ Ψ Ψ

Wieczorny, naprawdę długi spacer. Uwielbiam spacerować, chodzić wzdłuż Central Parku, okrążać go. Ze dwa razy zapuściłam się nawet na Dolny Manhattan, w okolice World Trade Center – jestem wytrzymała, ale to nie wszystko; ledwo zdążyłam na 77 Street przed świtem. Niestety, wszelkie odległości po Przemianie pozostały dla mnie wciąż takie same. Świadomość, że coś się nie zmieniło daje mi dużo radości... Na Manhattanie, o którym mówią Wyspa Wieżowców, Wyspa Rosnąca w Górę, Wyspa Świateł (brakuje tylko muzyki Haendla) trafiają się noce, w które doskonale widać gwiazdy. Kosmos budzi we mnie egzystencjalne lęki, mówi mi, że i na mnie, na moją nieśmiertelność przyjdzie pora. Jednocześnie jest Zagadką i Rozwiązaniem. Patrzę w gwiazdy i nie mogę oderwać wzroku, zahipnotyzowana jak gryzoń przez kobrę albo kot wzięty w reflektor samochodu.

Z daleka oglądam migające koguty radiowozów, karetki przypominające spadające meteoryty. Choć jest głęboka noc, w miejscach dokąd zawitała śmierć zawsze znajdzie się paru gapiów. Zwęszyli krew, choć trup wyniesiony na noszach z obrzeży Central Parku jest bezkrwisty. Z wyjątkiem paru skrzepłych plam na zgniecionej jak zepsuta dziecięca piłka czaszce. Na dodatek denat ma poderżnięte gardło.

– Odsunąć się! Czy ktoś coś widział? !

W alejce obrysowano miejsce po ciele, a teraz przy świetle policyjnego reflektora śledczy dywagują nad ludzkim konturem. Szeregowi rozciągają żółte taśmy, by zabezpieczyć miejsce zbrodni. Stoję blisko noszy, ale mój umysł jak flesz skacze trochę tu, trochę tam, gdzieś splata się z cudzą myślą (gość palcami uwalanymi od kredy trzyma papierosa), przeskakuje na przeziębionego gapia. Muszę się naprawdę skupić, by na dłużej skoncentrować myśli i wzrok na zamordowanym. To „Święty Mikołaj”. Kątem oka rejestruję jeszcze jak zniesmaczony wizualnym gwałtem sanitariusz kryje stężałą twarz pod prześcieradłem.

Przeszłam przez tyle „istnień”. Chodzę na wspólne sesje regresingu, by przekonać się czy znajdę kogoś, komu coś takiego też było podarowane. Na razie nikomu nie dałam wiary. Może wampiryzm ma mniej wspólnego z reinkarnacją niż mi się wydawało? Ale przynajmniej jestem żywym dowodem na to, że istnieję.

Oczywiście nie poddałam się hipnozie – nie muszę, moje wspomnienia są dostępne jak na dłoni, bez zapór ze śmierci i kolejnych narodzin... Poza tym wątpię, żeby to w ogóle się udało. Wampiry mają silne umysły, nie podatne na sugestię. Można stwierdzić, że tylko my możemy sugerować. Śmieję się, bo z drugiej strony czemu by kiedyś nie spróbować? Ponieważ mogę zabić psychoterapeutkę?

Bo wymknie mi się, że mam upodobania godne „smaków” Hannibala Lectera?

Albo odkryją, że lubię teleturnieje? Nie potrafię się zdecydować co byłoby najstraszniejsze.

JULIA: „Żyjemy tylko raz; czy może po wielokroć? Czy poprzednie wcielenia nie odbijają się w naszej obecnej egzystencji niczym w lustrze? Czy możliwe, że w poszukiwaniu przyczyn naszych kłopotów, lęków i porażek musimy cofnąć się wstecz nie o lata, ale całe wieki? Miałam pacjenta – pracowity, przebojowy mężczyzna, który utyskiwał, że „pieniądze absolutnie się go nie trzymają”. W poprzednim życiu był mniszką, która złożyła śluby ubóstwa w zakonie charakteryzującym się wyjątkowo surową regułą. Składana przysięga musiała więc być silniejsza niż śmierć!

Co mu poradziłam? W OBECNYM ŻYCIU MOŻNA SOBIE POZWOLIĆ NA WIĘCEJ”.

Znowu hałas, głośny brzęk. Niech go licho! Postawiłam papierową torbę na blacie. Były w niej butelki. Jedna z litrem mleka (prawdziwa szklana butelka, nie papierowy kartonik; wyobrażacie to sobie? Udało mi się pochwycić w „Delikatesach Ekologicznych” Świętego Graala. Było ich całkiem sporo, a każdy wyjątkowy) . Druga wysterylizowana i niechlujnie obłożona woreczkami lodu. Z ludzką krwią z czarnego rynku. Wiedzieliście, że coś takiego istnieje? Business is business. Sprzedają krew różnym dziwakom, jakby oddawali ją do banku, w szpitalu. A właściwie to nie tak – przyszły dawca przechodzi takie testy, na które ubezpieczeniowej opieki lekarskiej nie byłoby stać. Obie butelki za sprawą Teodora leżą teraz rozbite na kuchennych kafelkach. Rzeczka krwi wpływa do rzeczki mleka, mącąc ją na różowo.

Teodor w lekkim rozkroku stoi nad zmieszaną miksturą i ostrożnie chłepce.

Staram się wyglądać groźnie, ukarać go moim przeszywającym spojrzeniem, ale on jest kotem i gwiżdże na to.

– Cholera! – podnoszę go. – Uważaj, bo szkło powbija ci się w łapy.

Ψ Ψ Ψ

Nie szukałam w Ameryce wrażeń, przygód, nowego życia. Chciałam ciszy i szerokiego horyzontu przed oczami, kiedy będę patrzeć przez okno.

Czy powinnam powiedzieć na sesji regresingu, że znałam Emily? Czarnooką pustelnicę z Amherst (w sumie byłyśmy tam obie, dwie smutne piękności w stanie Massachusets) ? Czy nie tego się właśnie oczekuje i to nie tylko tu, w Ameryce? Że zwykli ludzie spotykają narodowych bohaterów? Mała Bett miała być kochanką Jeffersona. Luiza służącą u Lincolna. Amerykanki kochają swoich prezydentów. Susan twierdzi, że w poprzednim wcieleniu żyła jako Kleopatra VII – Królowa Egiptu. Ma konkurencję: większość amerykańskich gospodyń domowych, które miały możliwość oglądania filmu Mankiewicza, a jednocześnie wierzą w reinkarnację odnajduje się w ramionach Antoniusza granego przez Roberta Burtona i marzy o starożytnym nosie Elizabeth Taylor. Nie potępiam tego, choć mnie to śmieszy – każdy chciałby być piękny, sławny i bogaty. Mądry niekoniecznie. Za twoją mądrość w USA pracują psychoanalitycy i prawnicy. Emily była mądra, a chciała być sławna – częsty konflikt, aczkolwiek niedorzeczny. Ja marzę o tym, żeby wtopić się w tłum, stać się niewidzialna – nie wiem czy przemawia przeze mnie godna pochwały cnota, czy atawistyczne zachowanie drapieżnika, którym jednak jestem. Nie jestem człowiekiem. Czym jest ludzka sława wobec mojej nieśmiertelności?

„Konający tygrys jęczał - pić -
Przemierzyłam piaski w pogoni -
Ściekające ze skały krople
Zebrałam - przyniosłam w dłoni -



Potężne gałki zamgliła śmierć -
Lecz szukały - i mogłam dostrzec
Na siatkówce obrazy wody
I mnie - która ją niosę -

Nie ja zawiniłam - zbyt wolno śpiesząc -
I nie on zawinił - że padł martwy -
Kiedy byłam od niego o krok -
Ale nie żył - i to było faktem - „

Emily Dickinson A. D. 1862

Tak, byłam tygrysem wielkiej amerykańskiej poetki, tym większej, że niedocenionej za życia. Karmiła mnie, a ja zamykałam ją w ramionach jak te wszystkie Kleopatry z różowymi lokówkami swego Antoniusza. Kiedy Emily umarła postanowiłam się wynieść z okolic Amherest. Pojechałam do Bostonu. Później do Filadelfii, Waszyngtonu, Nowego Orleanu (z małą przerwą na końcówkę II Wojny Światowej, którą spędziłam w Europie) . Nie było tego wcale tak wiele, a ja z pustelnicy przemieniłam się w ograniczoną turystkę. Śmierć Emily Dickinson obeszła mnie więcej niż skłonna byłam przypuszczać. Z kotami, które odchodzą (płaczę, płaczę, płaczę) sprawa jest o tyle prostsza, że kot rodzi się i pozostaje kotem... A w tym przypadku? Czy możliwe byłoby istnienie „Emily 27"?

Odważyłam się i przeniosłam do Nowego Jorku. To miasto przypomina mi najbardziej rodzinny Konstantynopol. Gwarne, przeludnione, wielkie, z zabudową pełną pomniejszych krain: Manhattan, Brooklyn, Bronx, Queens, Staten Island, etc. Nowojorczycy to zupełnie odmienna rasa, tak jak byliśmy nią my, Grecy z Konstantynopola. Z wiekiem mój mózg zmienia się, ale zamiast wariować, przepoczwarzam się w coś doskonalszego: zaczynam słyszeć myśli, potrafię wejść w ludzki umysł, zakładam, że potrafię go zmienić, tylko nie chcę. Nowy Jork – najbardziej myślące miasto świata. Znów niczym średniowieczny Konstantynopol, gdzie wszelkie idee wykrzykiwano na każdym rogu. Lubię się w nie zanurzać i jak przystało na niedoszłą cesarzową, najbardziej odpowiadają mi te z 5-th Avenue.

Moje myśli milczą. Umilkły. Nie krzyczą: „ile; za ile; szybciej! „. Myśli i ludzie nie chcą umierać – mają bzika na punkcie śmierci. „Jam jest śmiercią", „Powstań Łazarzu", „Wśród nocnej ciszy". Zostało X dni do Sylwestra. Stary rok odchodzi, przychodzi Nowy"... „Le roi est mort, vive le roi!". „Wigilia to upamiętnienie starożytnego święta Boga Słońca, który tej najdłuższej nocy odradzając się wygrywa walkę z zasnuwającą świat Ciemnością". Ludzie wydają ostatnie tchnienie i stają się właśnie nią – Kostuchą-Ciemnością. O wampirach mówią, że to Chodząca Śmierć – nie jesteśmy ani chodzącą śmiercią ani chodzącym życiem. W sumie brak nam tożsamości; zupełnie inaczej niż outsiderom amerykańskiej literatury. Kocham cię Ameryko! Jesteśmy niewygodni. Prześlizgnęliśmy się obok śmierci, a jesteśmy nią napiętnowani. Zostawiła na nas taki ślad, że w naszej obecności każdy zapomina o życiu.

– A ty Irene kim byłaś?

– Urodziłam się w średniowiecznym Konstantynopolu i przeznaczona byłam na bazylisę, cesarzową Bizancjum. Jednak cesarz zerwał kontrakt ślubny. Długo nie byłam fizycznie dojrzała do małżeństwa, a on szybko potrzebował potomka, dziedzica. Byliśmy wtedy w stanie wojny z sułtanem Mahmedem, emirem Turków, który w końcu obległ Konstantynopol od reszty świata. Miałam na imię Irena. Byłam dziewczyną z oblężonego miasta. Mój ojciec był megaduksem, wodzem, żołnierzem, kapitanem – w najlepszych czasach dowodził pięcioma cesarskimi dromonami; potężnymi okrętami wojennymi. W wyniku spisku politycznego został odsunięty od władzy. Przejął ją najemnik, Genueńczyk Giovanni. Kochałam Giovanniego, ale on wykorzystał mnie i próbował jedynie zgwałcić. Zresztą zgwałcono mnie ostatniej nocy oblężenia i tak poznałam mężczyzn. Miałam piętnaście lat. Moja matka, Serbka, opuściła ojca i w ostatniej chwili umknęła na wyspę Moreę. Porzuciła mnie, mojego brata-bliźniaka Teodora i drugiego braciszka, pięcioletniego Teodozjusza. Ojciec wziął więc sobie kochankę Marę, brankę, która przyniosła zagładę do naszego domu. Była zaginioną rodzicielką Mahmeda, Pana Stu Słońc. Nie wiem co się z nią stało, kiedy przełamano obronę miasta. Megaduks zginął na murach z Teodorem. Teodozjusza znaleziono zatłuczonego. Ja chciałam żyć, dostać się na jakiś statek. Zabito mnie w porcie. Był maj 1453 roku. Tyle mogę im opowiedzieć. Nic o „Czarnym Darze". Nic o wampiryźmie Mary i Teodozjusza... Nic więcej o mojej matce.

Słuchały z otwartymi ustami, a teraz szybko je pozamykały, żebym nie zobaczyła jakie wrażenie zrobiła na nich moja historia. Żadna się nie przyzna, że to była najlepsza opowieść.

– Irene, jakie uczucia czy odczucia przyniosłaś ze sobą do dzisiejszego życia z przeszłej egzystencji w Konstantynopolu? – Julia zaczyna pocierać suche ręce, rodzi się potworny, cierpki dźwięk.

– Nie lubię Genueńczyków.

Śmiechy, ale już życzliwe – wydaje im się, że rozładowałam atmosferę. Niedoczekanie, potrafię być podła.

– Domyślałam się tego. Ale czy jest coś jeszcze?

Udaję, że zaczynam głęboko, ciężko oddychać (wyćwiczyłam sobie mięśnie szkieletowe). Splatam palce jak do modlitwy, chowam w nich usta.

Raptem prostuję się i mówię:

– Nie lubię ludzi.

Cisza. Kobitki (czemu przychodzą tu same kobitki?) próbują dojść do siebie, bo jak można ich nie lubić? Podnoszę się i wychodzę. Płaszcz zdjęty z wieszaka zakładam przed gmachem. W sumie po co mi to było?

Broda zalana krwią zakrzepła na kształt współczesnej rzeźby. Krew przykleiła też kolejne warstwy ubrania do zapadniętego, posiniaczonego torsu. Jak wygląda śnieg?

Zamordowano kolejnego kloszarda, ale minie trochę czasu nim zachłysną się tym gazety. „KIM JEST SERYJNY ZABÓJCA BEZDOMNYCH? ! "

Ψ Ψ Ψ

Oblężony Konstantynopol, 1453 r. po Ch.

„Oprawczyni odwraca się ku mnie: widzę gorejące czarnym ogniem oczy, rozdęte nozdrza. Widzę usta i zęby... Nie, kły. Kły, które rozchylają jej czerwone, rozkoszne wargi, spijające co wieczór siły mego ojca.

– Wąpierz... – mamroczę.

– I co? – podnoszę się z głębokiego fotela. Kolana ostatni raz przy brodzie. Oczy mnie pieką.

Julia podchodzi do ciemnego okna, w którym jak w lustrze odbija się jej zapadnięta twarz. Julia ma anoreksję, z którą nie chce się pogodzić i której nie próbuje zaleczyć. Jarzeniówki trzeszczą pod sufitem.

– Nic – mówi – Nic nie powiedziałaś.

– Nie weszłam w trans? – jakoś mnie to nie dziwi.

– Nie bardzo – mamrocze. Przypala papierosa, wychudzone dłonie drżą jak u kogoś, kto przed chwilą wyszedł cudem z katastrofy kolejowej.

– Boże, ale musi ci być zimno – wyrywa mi się, kiedy pomyślę o jej szkieletowym, pozbawionym grama tłuszczu ciele.

– Co? – kaszle.

– Nie powinnyśmy o tym porozmawiać? O sesji?

– Nie było żadnej sesji! – mówi twardo. I dodaje:

– Irene, chciałabym zostać sama.

Boso przechodzę do korytarza po płaszcz – indywidualne sesje regresingu zawsze odbywają się w domu psychoterapeuty. O mieszkaniu Julii nic nie da się powiedzieć. Nie, że jest nijakie – raczej jakby należało do nikogo. Właśnie tak.

– Może powtórzymy sesję w przyszłym tygodniu?

– Może – chce już zamknąć za mną drzwi. Na klamce wisi świąteczna maskotka renifera. A więc jednak?

– Irene, naprawdę myślałam, że jesteś Kanadyjką – to czyste stwierdzenie, nie pytanie.

Kim jestem?

– Podziwiam twoją wcześniejszą terapeutkę – nasze oczy spotykają się. Z papierosa Julii popiół opada jak śnieg i tworzy dziwaczny, jakby nie podlegający prawom grawitacji kopczyk.

– Ach tak – wychodzę na klatkę schodową.

Za plecami słyszę trzask zamykanej zasuwy.

Ψ Ψ Ψ

Brakuje mi snów. Sny – co za niepowetowana strata. Ale czy to nie sny świadczą o człowieczeństwie? Ja nie śnię nawet na jawie. Pustka. Bezsenność, przy której tylko wampiry nie wariują. Kiedy przychodzi mój czas, gdy znużenie osiąga apogeum znajduję sobie cichy punkt, półsiadam i czekam aż to zdenerwowanie, ta depresja nadmiaru rzeczywistości minie i znowu poczuję się jak nowo narodzona.

Taki stan utrzymuje się zwykle tyle, ile u zdrowego, dorosłego człowieka trwa sen. Ale jaki jest jałowy – żadnych sennych kochanków, krajobrazów z dzieciństwa, trawy, której zapach pamiętasz i w której możesz odpocząć. Żadnych wizyt ukochanych zmarłych. Nic. Ciężka strata, nie do wybaczenia, nie do otrząśnięcia. Mój duch na zawsze pozostanie uwięziony w ciele. Obserwuję za to Teodora, kiedy śni. Jak nastrasza wąsy, jak drgają jego małe łapki, kiedy gdzieś w kocich marzeniach goni mysz. Moje ciało pamięta sen. Tak jak i pamięta krew Emily. Przeszłość. Kropka. Sen jest krwią. Krwią o bogatym bukiecie, jak wino. Energia, nadzieja i podniecenie. Kiedy otrząsam się ze znużenia mój umysł jest niezborny. W wędrówce po nim pomagają mi pewne książki, wspierają pewne wspomnienia. Jak nieudany seans wywoływania duchów – żaden duszek się nie pojawił, żaden nie zastukał. Emily mawiała, że pokazałam jej wolność – jej, starej pannie zamkniętej w ogrodzie domu ojca, srogiego sędziego. Wybierałyśmy się na oglądanie ciem zamiast motyli. Ale Emily myliła się. Było całkiem odwrotnie – oderwałam ją od zdrowego snu, bo byłam zazdrosna. Mój świat nie mógł równać się z jej światem geniusza. Umarła nie zorientowawszy się. Jestem Panią Kłamstwa. Moją nogę przeszywa impuls elektryczny, trzęsie jak udkiem żaby w szkolnej pracowni fizyki. To znak, że dochodzę do siebie. Koniec z szarym szumem w głowie. Teodor ziewa.

Emily pisze. Nachylam się nad jej białą szyją, a ona odwraca głowę. W czarnych oczach odbija się płomień świecy.

– Ach to ty. To musiałaś być ty. Pozwól, że coś ci przeczytam... To będzie dla ciebie Irene.

JOE: „Może to być najwspanialsza praca na świecie, może też być najgorsza. Niczego nie da się porównać z ratowaniem życia. To praca, która wciąga jak narkotyk, dzięki niej ciągle jestem na haju. Widziałem, jak umierali ludzie, byłem świadkiem wielu tragedii, a tego nie da się wymazać z pamięci". (Joe Connelly jest sanitariuszem nocnej zmiany nowojorskiego pogotowia).

Oblężony Konstantynopol, 1453 r. po Ch.

„Coś w spojrzeniu Mary mówi mi, że wychowała już dziecko. Teodozjusz zawieszony jest dobre cztery metry nad ziemią – wygląda jakby stąpał po granatowym niebie.

Wąpierz obserwuje go z zadowoleniem.

– Matka mówiła, że aby latać zamieniacie się w nietoperze.

– W nietoperze?!

Stoję za nią i mówię tak cicho, aby nikt nas nie usłyszał:

– Czy naprawdę nigdy nie umieracie?

– Nigdy? – nawet nie domyślam się wyrazu jej twarzy – No przecież ja umarłam, nawet dawno temu... Przed wieloma laty.

– Zabili cię?

– Któż chciałby mnie zabijać! Umarłam, rodząc dziecko. Ono oczywiście przeżyło. A ja... chciałam mieć je na oku.

Musiał się wyczołgać ze stacji metra – jest zbyt chłodno ubrany i śmierdzi smarem. Oczy ma obwiedzione krwawym konturem – razi go światło latarni, pod którą umiera. Ulgę przyniósłby mu mój cień. Ale po co ulga? Czy cierpienie nie jest dowodem na to, że jeszcze żyje? Coś próbuje bełkotać; jestem pełna podziwu jak kloszardowi się to udaje z tak rozharatanym gardłem. Rozoranym, jakby ktoś ciął nożem, nie mógł trafić, odrywał rękę i znowu chlastał... Przykucam, ślinię palec i wcieram w różową smugę krwawy odcisk wąskiego palca.

– Grrr...

Pochylam się nad umierającym. Jego pięty tańczą na chodniku. Jest w sandałach, już wcześniej musiał odmrozić sobie wszystkie paluchy.

– Mamo... – wreszcie rozpoznaję, kogo wzywa kloszard. Kręcę głową.

Jego czy raptem uciekają w głąb czaszki. Białka matowieją, przestają odbijać światło latarni. Łza lśni na grzbiecie nosa. Wypadła z prawego czy z lewego oka? Kto zgadnie temu spełni się życzenie. Podnoszę się z kucek. W nowojorskim metrze koczuje 5000 bezdomnych i każdy miał matkę.

Kitty zaciska usta. Są wąskie więc teraz to wygląda jakby w ogóle znikły z jej twarzy. Nie zdaje sobie sprawy, że jej blade palce drapią oparcie krzesła. Powoli wraca.

– Mój mąż umarł, a ja mam urodzić pogrobowca. Nie jestem biedną wdową, w dodatku opiekuje się mną rodzina Henryka, ale wszystko to za mało. Za mało! Mieszkam w Amsterdamie w czasach, kiedy największą walutą jest cebulka tulipana, w czasach, kiedy buduje się domy z wysokimi, stromymi schodami. We Francji panuje Ludwik XIV – mówi jakby mimochodem i wbija oczy we mnie. Szczęka mi drętwieje; ale to nic, nic. Kitty jest córką francuskich emigrantów i tak naprawdę nazywa się Monique. Nie znosi tego imienia, nie znosi dziadka, który ma stragan w Lyonie, mieście za siedmioma górami, za siedmioma rzekami. Monique do wszystkiego przydaje miarę francuską.

– Jestem nieszczęśliwa, jakbym tonęła w nieszczęściu. I jeszcze ten strach. Wiecie czego się boję? Boję się, że nauczę się żyć bez Henryka, a przecież kiedy za niego wychodziłam wydał mi się nikim. Nikt. Nie pamiętam już nawet jak wyglądał. Umarł na skręt kiszek, miał lat dwadzieścia i pół. Brzuch, który noszę sterczy przede mną i działa jak flaga. Nie, nie to chciałam powiedzieć, ale zrozumiałyście. Kiedy dziecko się urodzi wszystko się skończy, a nie zacznie. Tylko matka Henryka może wygadywać, że te urodziny to nowy początek dla jej syna. Kiedy dziecko zapłacze przepłoszy ducha. Ja będę musiała zająć się niemowlęciem. Z biegiem lat coraz rzadziej będę chodzić na cmentarz. Może nawet wyjdę po raz drugi za mąż? To okropne. Czuję się niegodziwa. O wielkości straty mówi tylko rozpacz; a jeśli rozpacz umyka to strata przestaje być stratą.

Stoję na szczycie schodów, podest jest wąski, ocieram się napiętymi plecami o drzwi składziku. I nagle hop, skacze w dół jak poławiacz pereł. Ciężki brzuch uderza o krawędź stopnia, spadam na złamanie karku, a brzuch odbija się od kolejnych schodów jak piłka. Ból i białe światło pod zaciśniętymi powiekami. Boże, ja nie chcę jedynie stracić dziecka, chcę się zabić. Ciemność – korytarz stał się moim kościołem.

Milczymy, a Rebeka blednie – właśnie dowiedziała się, że sama jest w ciąży.

– I? – Julia podnosi się z krzesła.

Kitty przełyka głośno ślinę:

– Myślę, że powinnyście wiedzieć, że ja nie mogę mieć dzieci. Bardzo się staramy z Kevinem, ale nam to nie wychodzi...

Chrząknięcia.

– I? – Julia nachyla się nad Kitty.

– Myślę, że to dzieje się przez tamtą historię. Taka karma.

Chrząknięcia jeszcze głośniejsze niż poprzednio... W Nowym Jorku łatwiej uwierzyć w UFO niż w to, że będziemy płacić za grzechy. Grzechy swoje i przodków. Ja w karmiczną sprawiedliwość nie wierzę. Dla mnie istnieje tylko chaos.

– A ty Julio? Dlaczego nigdy nie opowiedziałaś o swoich doznaniach z poprzednich wcieleń? – pyta nagle Kitty. Doszła już do siebie po tej spowiedzi i nie jest już tak upiornie blada. To nasza owieczka. Prawie widzę jak srebrny błysk przeskoczył między ścianami. Julia nabiera powietrza:

– Oczywiście, że wam nie powiem, do cholery. Jestem waszą psychoterapeutką, a nie koleżanką!

– O rany – mówi Rebeka – Takiej reakcji spodziewałam się raczej po Irene.

– Dziękuję bardzo – kłaniam się jej nisko.

To smutne, ale nie potrafię przypomnieć sobie ich twarzy; co nie oznacza, że przychodzą do mnie jako bezkrwiste widma. Nie – każdą częścią swego ciała, umysłu wyczuwam ich... Jakby stali się przyjazną mocą, energią, najlepszą emocją jaką mi ofiarowali przed Katastrofą. Nadal mi dużo ofiarowują. Noszę ich ze sobą... Ojciec.

Matka. Mały Teodozjusz. Brat-bliźniak Teodor. Nawet ona, kochanka mojego ojca, wampirzyca Mara. Najsilniejsze wspomnienia zwykle przychodzą przed świętami. Te bardziej melancholijne przed Bożym Narodzeniem, najmocniejsze przed Nowym Rokiem. Kto by pomyślał... Zwykle staram się zajmować teraźniejszością, a przynajmniej tak się łudzę – pomimo sesji regresingu, sentymentalnych lektur i Teodora Dwudziestego Siódmego. Tęsknię za nimi. Wciąż i wciąż... Jestem piętnastoletnią dziewczynką skrzywdzoną przez wojnę. Jestem samotna, ale nie staram się tego zmienić, bo samotność jest nieuniknionym następstwem, a moja egzystencja tę stratę determinuje.

W amerykańskiej krainie baśni Boże Narodzenie trwa tylko dwa dni. Prezenty spod choinki można „po wszystkim" oddać do sklepu. Obserwuję Mikołaja z logo na plecach jakby był długopisem reklamowym jakiejś firmy; roziskrzone twarze dzieci odbijające się w sklepowych bombkach, ten stan monotonnej wrzawy, jaką powodują świąteczne zakupy ze sklepowymi promocjami. Wszystko w pewnym stopniu wnika we mnie, przebija na chwilę pancerz codziennego pragmatyzmu właśnie i powoduje, że powraca od dawna nie przeżywana chęć na... piernik? Na świeże, zielone oliwki?

I na ulotną chwilę wspomnienie smaku oliwek staje się silniejsze od widmowego smaku krwi.

Zniknął Teodor! Jeszcze wczoraj czułam jego oddech na swoich palcach, a dzisiaj starego kocura po prostu nie ma. Jakby wyparował. To straszne. Musiał mnie przechytrzyć i szmyrgnąć pod nogami, kiedy otwierałam drzwi na mroczny korytarz. Nie wiedziałam, że coś żywego jest w stanie to zrobić. Boję się o niego. Boję się, kiedy myślę o Wielkiej Wędrówce Teodora. Pewnie zaswędziały go te ocalone jądra i zniknął skuszony podniecającym zapachem kociej pani. Chciałabym się pomodlić, żeby Teodor odnalazł drogę do domu, a jeśli nawet nie, to żeby moje rude dzieciątko przetrwało w złym świecie, ale nie mam do kogo. Jedyne co mi daje nadzieję to śmieci. Manhattan – nawet za panowania Rudolpha Giulianiego – to wyspa rozwleczonych kubłów i wyrzucanych na wiatr odpadków z restauracji.

Proszę, och proszę...

Ψ Ψ Ψ

Oblężony Konstantynopol, 1453 r. po Ch.

„Chyba ostatni raz w życiu odnajduję w sobie tyle siły. Wyciągam ramiona przed siebie i rzucam się w wodę. Słyszę krzyk – pewnie teraz mnie zauważono. Budzę w sobie dzikość. W szalonym jak na mnie tempie pruję fale. Jestem lekka, jestem wolna, jestem w euforii – nawet celnie wystrzelony bełt, który przeszywa mi plecy i wtrąca pod wodę, nie jest w stanie zabić tych obudzonych nadziei. Niesłychanie powoli i spokojnie wypływam na powierzchnię – sięgają po mnie jej cudowne, bezpieczne ramiona"



Nie uratowałam go. Nie jestem aniołem stróżem. Czekałam, aż drżącą ręką poderżnie mu gardło.
– Julia... – powiedziałam tylko.

Chuda, biała ręka. Para buchająca z ust. Błysk noża zgaszony pierwszą krwią. Góra dół, góra dół. Krzyk grzęźnie w gardle, zmienia się w upiorne bulgotanie. Julia odtrąca broniące się ręce. Skąd ma tyle siły w tym swoim zagłodzonym ciele?

Kloszard obraca się jak postać z horrorów. Kolos na glinianych nogach: Afroamerykanin z wielką twarzą, dwa metry wzrostu, urodzony wręcz do NBA.

Zabił go brak szalika i wiara we własną krzepę.
– Julia! – wołam, a on wali się jak długi w śnieg.
Obraca się w moją stronę.
– To ty. To musiałaś być ty.
– Julia – powtarzam raz jeszcze.

I rozkładam ramiona, by mogła się w nie wtulić. Taka zakrwawiona, o malutkich, drżących rękach dziecka.
– Wiesz dlaczego to robię?
– Z powodu poprzedniego życia?
Kiwa głową, osuwa się na kolana.
– Umarłam jako mała dziewczynka. Mała dziewczynka, której głowa pełna była snów i marzeń. Mała dziewczynka, która lunatykowała. Mieszkaliśmy całkiem niedaleko stąd. Wojna dopiero co się skończyła, a ojciec lekarz wrócił zdrów i cały. Matka nie posiadała się z radości. Mogła mieć z dwadzieścia pięć lat, a ojciec był jej rówieśnikiem, wychowywali się razem. Ja miałam siedem. Tamtej nocy poszli na koncert, trzymając się za ręce. Zostawili ze mną służącą, starą babą, która śmierdziała tanim bourbonem (czy tego nie czuli?) i której rosły włosy na brodzie, przez co wyglądała jak Baba Jaga. Zamiast mnie pilnować usnęła. Wszyscy wiedzieli, że lunatykuję. „Rosy, kochanie, to przejdzie z pierwszą miesiączką". Coś się kończy, coś się zaczyna. Tak, miałam na imię Rosy i złote włosy do ramion jak księżniczka. Nie wiem jak udało mi się pokonać zamki, przemknąć obok portiera. Dlaczego nikt mnie nie zatrzymał. Obudziłam się w Central Parku, bosa, alejki były już nagrzane od słońca.

„Mamo, tato? "

„Jaka ładna dziewczynka. Jaka ładna laleczka".

Muśnięto moje włosy i poczułam kwaśny smród, gorszy nawet od alkoholowego oddechu służącej. Mężczyźni, cała trójka, byli bezdomni. I byli pijani. Ja jednak czułam, że całkiem świadomie chcą mi zrobić krzywdę. I zrobili. Ich cienie nade mną, ich ciała nade mną. Ostatniego ugryzłam w palec, więc skręcił mi kark jak ukręca się szyję gęsi. Nim odeszłam w ciemność, oglądałam ich z góry. Ich i siebie: biedną, małą Rosy, która wyglądała jak zepsuta lalka. Musiałam być wszystkim czego nienawidzili. Za gwałt i za morderstwo dostaliby oczywiście krzesło elektryczne, ale nikt nigdy ich nie złapał. Otrzepali kolana i odeszli. Już jako Julia sprawdziłam mikrofilmy z tamtego okresu. I nic. Pochowana i opłakana, matka była już w kolejnej ciąży. Ojca wyjałowiła z rozpaczy wojna. Chciał żyć – ponad wszystko, ponad mnie. Nie naciskali, kiedy śledztwo utknęło w martwym punkcie. Śledztwo od początku źle prowadzone. Następnego dnia wydarzyła się rzecz, która była ważniejsza od poszukiwania morderców Rosy. 28 lipca 1945 roku o Empire State Building rozbił się Bombowiec B-25. 14 ofiar śmiertelnych, 26 rannych. Była sobota, a pułkownik William Smith leciał na pułapie dwa razy niższym niż dopuszczalny. Milczę.

– Kiedyś – kiedy byłam już umarła, a nie byłam jeszcze Julią – zdawało mi się, że widzę rodziców. Poszłam za nimi. Byli starzy, ale śmiali się.
Cisza.
– Wiesz co wniosłam z tamtej egzystencji do dzisiejszego życia? Że sprawiedliwość karmiczna nie istnieje. A ja chciałam, żeby było inaczej.
Zaczyna płakać.
– Chodźmy stąd nim ktoś nas zobaczy – biorę ją za rękę.
– Zadzwoń na policję. Poczekam...
– To nie jest zbyt dobry pomysł, nie sądzisz?
– Ja już i tak nie potrafię z tym żyć.

„Wiem", myślę sobie. „Wszystko wiem, Julio". Przytulam swoje ciepłe czoło do jej spoconego i zimnego, by łatwiej przeniknąć, szybciej znaleźć się w środku. Otwieram po kolei wszystkie pokoje wspomnień, ale w żadnym z nich nie ma, ani nigdy nie było Rosy. Julia traci przytomność. Zanoszę ją do domu. Obmywam z krwi i kładę do łóżka. Zdejmuję pluszowego renifera z klamki i wciskam w poduszkę obok głowy Julii, która mamrocze coś i odpycha zabawkę. Kloszarda topię pod lodem jeziora w Central Parku. Jestem znużona.

Ψ Ψ Ψ

Oblężony Konstantynopol, 1453r. po Ch.

„Jak już nadmieniłam, mam dwóch braci. Młodszemu Teodozjuszowi wyraźnie brakuje matki. Kiedy na niego patrzę, wciąż widzę ogromne, wilgotne jak u cielaka oczy. Teodozjusz ma pięć lat i zbyt wiele nie rozumie. Co innego ten drugi. Sama walczę z obłędem swojego bliźniaka. Choroba Teodora, mojego prześlicznego Teodora przyszła tak niedawno. Rozkład, jaki poczyniła w jego głowie, przekonuje mnie, iż kryła się od dawna. Może od zawsze.
– Zrób coś! Zrób! – dopada mnie ze swym szaleństwem.
Milczę.
– Nie potrafię! Nie umiem się jej przeciwstawić! – Zamyka czaszkę w dłoniach i naciska. Naciska tak silnie, że boję się, iż ją zgruchocze.
– To wiedźma! Wiedźma! – zanosi się głośnym urwanym szlochem.
– Nie – mówię. – Nie, Teodorze. Ona nie jest wiedźmą. To Zło. Ojciec przywiózł zło do naszego domu. „

Ψ Ψ Ψ

Klub „DRACULA" powstał tuż po premierze filmu nowojorczyka Francisa Forda Coppoli o tym samym tytule. I trzymał się. Można rzec, że podtrzymywała go świeża krew, która wciąż się tam dostarczała na własnych nogach. Też tam chodziłam i myślę, że z czystej przekory chodziłyby tam wszystkie wampiry z Nowego Jorku.

W zasadzie Sylwester – z wyjątkiem tych dziwacznych republikańskich bali – jest świętem ludzi młodych. Starzy siedzą i oglądają telewizję. Specjalnie też dla młodych wcześniej się zaczyna. Pierwsi są studenci. Już uporali się ze świątecznymi odwiedzinami u bliższej i dalszej rodziny, a zimowa przerwa edukacyjna wciąż trwa – żyć nie umierać! Albo „żyj szybko, umrzyj młodo, zostaw piękne zwłoki". Moje piękne ciała i świeże krwioobiegi. Przy barze siedzi atrakcyjny, młody mężczyzna. Skórę ma bladą, jest jasnym szatynem. Pije coś, a głowa chodzi mu prawie jak u sowy. Do tego cały drży z mistycznego oczekiwania. Cały otwarty na przygody, założył nowe spodnie i założę się, że ma slipki Calvina Kleina. Stworzyłam własną teorię dotyczącą ludzi siedzących przy barze – w przeważającej większości to gadatliwi łotrzykowie ze skłonnościami do neurozy. Interesujące raczej dla piętnastolatek, ale czy ja na swój sposób nie mam piętnastu lat? Postanowiłam uczynić z tego szatyna wybrańca i oblubieńca. Oczy ma już nieźle zamglone, ale potrafi ręką wpić się w moje udo i jednocześnie nie spaść z barowego stołka.
– O bogini.

Ściska mocniej, a potem zaczyna głaskać. Przytrzymuję jego chłodne, młode palce.

– Jutro.

Przekrzywia głowę jak psiak, któremu coś wpadło do ucha.

– I od razu na trzy dni...

– Nie bardzo panią rozumiem?

Jestem jego prywatną kusicielką, jego europejskim Mefistofelesem.

– Niestety nie powtórzę. Aha, i nikt nie może wiedzieć.

– Trzydniowa... randka? – Układa klocki po swojemu.

– Nazwij to Grą.

– Ach tak – patrzy na mnie uważniej – Jesteś stuknięta?

Śmieję się.

– Hej, przepraszam! To jednak dość zaskakująca propozycja – język ma gładki, wypieszczony na uniwersytecie – Trzeciego dnia będzie noc sylwestrowa – zauważa nagle błyskotliwie.

– Mówiłam, że to Gra.

– Miałem go spędzić z przyjaciółmi...

– Z dziewczyną?

Krzywi się.

– Moja babka kazała mi unikać takich kobiet jak pani. Kobiet ze złego snu.

– A kim była ta mądra kobieta, jeśli wolno spytać?

– Znaną malarką. Jej prace wiszą w Museum of Modern Art.

Przysięgłabym, że barman próbuje nas podsłuchiwać (pewnie myśli, że sprzedaję narkotyki), ale niemożliwe, żeby mu się udało. Nachylam się ku chłopakowi i szepczę mu truciznę wprost do ucha. W tle dudni głośna muzyka, której w ogóle nie znam i nie potrafię jej sklasyfikować ani po wokaliście, ani po gatunku.

– Jutro o tej samej porze, tutaj – Wydaje mu się, że to jego propozycja.

– Dobrze – zgadzam się i gdybym nie była bladolicym wampirem, spłonęłabym rumieńcem.

– Świetnie. A teraz? Czego się napijesz?

– Muszę już iść – europejski Mefistofeles zamienia się w europejskiego Kopciuszka.

– Hej, jak masz na imię? Ja jestem Paul.

– Irene.

Znikam. To mój pierwszy Sylwester w Nowym Jorku i spędzę go w domu. Telewizor uszkodził mi się na amen jeszcze podczas przeprowadzki, a nie zadbałam o nowy. Nijak nie obejrzę świetlistej kuli, zrzucanej o północy z wieżowca „New York Timesa" na Times Square. Niezmiennie od 1904 roku.

Ufam chłopakowi. Ufam jego młodości – to wiek z tendencją do zakazanych przygód, o utopijnej hardości. Do tego dochodzi stricte amerykańska wiara w Dobrą Gwiazdę, całymi pokoleniami gorąco krzewiona przez WASPów, do jakich niewątpliwie należy Paul. White Anglo–Saxon Protestant z dobrego domu. W całonocnym supermarkecie robię zakupy niezbędne na przyjęcie w moim domu człowieka. Na kuchennym blacie układam krakersy, masło orzechowe, puszkę czerwonej fasoli, puszkę ananasa, pakowany próżniowo bekon, próżniowy chleb, chipsy i cukierki, trzy sześciopaki piwa, szampana, ręczniki papierowe i papier toaletowy – dwie rolki oraz paczkę prezerwatyw. Nie kupiłam sztucznych ogni. Moja ręka drży, kiedy na samym dnie papierowej torby znajduję puszkę tuńczyka. Marzę o tym, żeby Teodor wpadł teraz na bufet i rozrzucił na boki tę całą masę cholesterowego gówna, ale nic takiego oczywiście się nie dzieje. „Czas na Grę" – mówi mi kuchenny zegar – „Ząbek czy kiełek?"

Paul czeka na mnie przy barze. Gestem daję mu znać, że od razu wychodzimy. Co? Już? Nie wygląda na zachwyconego. Z jednej strony chciałby mnie mieć, z drugiej dobrze się tu bawi. Te wszystkie kolorowe drinki, kolorowe światła, kolorowe dziewczyny. Paul należy do pokolenia, które zawsze pragnie zjeść omlet nie rozbijając jajek.

– Myślałem, że tu jeszcze trochę zostaniemy.

– Nie.

– Proszę, Irene? – uśmiech ma weselszy od bąbelków szampana.

– Idziesz?

– No tak, oczywiście...

Wychodzimy na zaśnieżone ulice – jedynie uliczny asfalt lśni od wody, ale płatki śniegu wciąż padają i nie chcą dać za wygraną. Paul próbuje mnie pocałować, ale go odpycham.

– Jednak jesteś szurnięta, wiesz? – mówi.

– I to cię bierze – śmiejemy się jak dzieci na lodowisku.

– Nikomu nie mówiłeś?

– Skąd – zarzeka się.

Jasne, jedynie mamusi i trójce najbliższych kumpli, dla których jestem panią Robinson z „Absolwenta".

– Hej, gdzie ty zniknęłaś?!

Stałam się mgłą.

– Idź za moim głosem to cię zaprowadzę.

– Słyszę cię, a nie widzę. Niezła sztuczka. Czy nie lepiej zawiązać mi oczy i wziąć za rękę?

– Naprawdę wolałbyś?

– Mmm, delikatna aksamitka ocierająca się o czoło i grzbiet nosa. Twoja lekko spocona dłoń w mojej... A to całe nawoływanie jest takie bezhumanoidalne!

Milczę i idziemy, idziemy, idziemy.

– Hej, możemy wejść gdzieś na chwilę? Trochę wypiłem, a tu jest za zimno, żeby zaryzykować wyjęcie ptaka.

– Jeszcze przecznica i będziemy w domu – mówię.

Wchodzimy do mieszkania, a pęcherz Paula wydaje się być mocniejszy niż mi sugerowano albo ma jeszcze na tyle duży kredyt czasu, żeby od razu przycisnąć mnie do ściany i całować. Znacznie dłużej niż przewidywał Kodeks Williama Haysa.

– Zmarzłeś?

– Ty jesteś gorąca jak piec.

Odpycham go delikatnie:

– Łazienka jest za tamtymi drzwiami.

Odrywa się, ale wraca by pocałować moje czoło, jakbym była tym, kim nie jestem. Za kogo on mnie bierze?

– Musisz być bardzo samotna – szepcze współczująco.

Ψ Ψ Ψ

Cholera, odwykłam od miłości i jestem wstydliwa. Mam koc podciągnięty pod szyję, dla pewności dociskam go spiczastym podbródkiem. Inna sprawa z Paulem – siedzi po turecku, nagi, swobodny i rozgląda się. Znam już te dziwne gesty – jakby nie potrafił wędrować oczami, a musiał całą głową. Paula intrygują „Marchewki" Tamary Łempickiej wiszące nad łóżkiem. Mówi, że są śmieszne, że nie pasują do mnie... A co niby miało pasować? „Mona Lisa"? Uśmiecham się na samą myśl.

– Nie chciałabyś mieć oryginału? – wie, że patrzy na reprodukcję. Marchewki ułożone w prostokątnym wiklinowym koszyku. Bardzo marchewkowe...

– Nie.

– Dlaczego?

– To za długa historia.

– Opowiedz mi. Mam czas.

– Nie.

Zachmurza się i nieruchomieje. Jakiś freudysta mógłby napisać, że przypominam Paulowi matkę. Staram się nie parsknąć śmiechem. Pochyla się i rozkazuje:

– Pocałuj mnie.

Jak dobrze czasem nie być samą.

– Niewinne marchewki, niewinne jak ty... – Paul zaczyna mnie łaskotać.

Syknęłam, ale staram się za bardzo nie szamotać. Jestem bardzo silna, syberyjska tygrysica to przy mnie niedołężny kocur. Wystarczyłby jeden nieodpowiedzialny ruch... Na szczęście Paul przestaje. Przybiera pozę myśliciela. Dobry w tym jest.

– Nie sądziłem, że są takie... apetyczne.

Już go nie słucham. Za to on nieustannie chce słuchać mnie! Ciekawość aż do obrzydzenia. Ciekawość, która skrapla się wymiotami w moim gardle. Ludzka ciekawość. Wampiry nie są ciekawe – mają czas. Wiedza w końcu do nich sama przyjdzie, chyba, że trafią na domorosłego Van Helsinga. Czyż nie zadawalałby tych samych pytań co Paul?



– Czemu nic nie jesz?

– Wiesz, że jesteś strasznie blada?

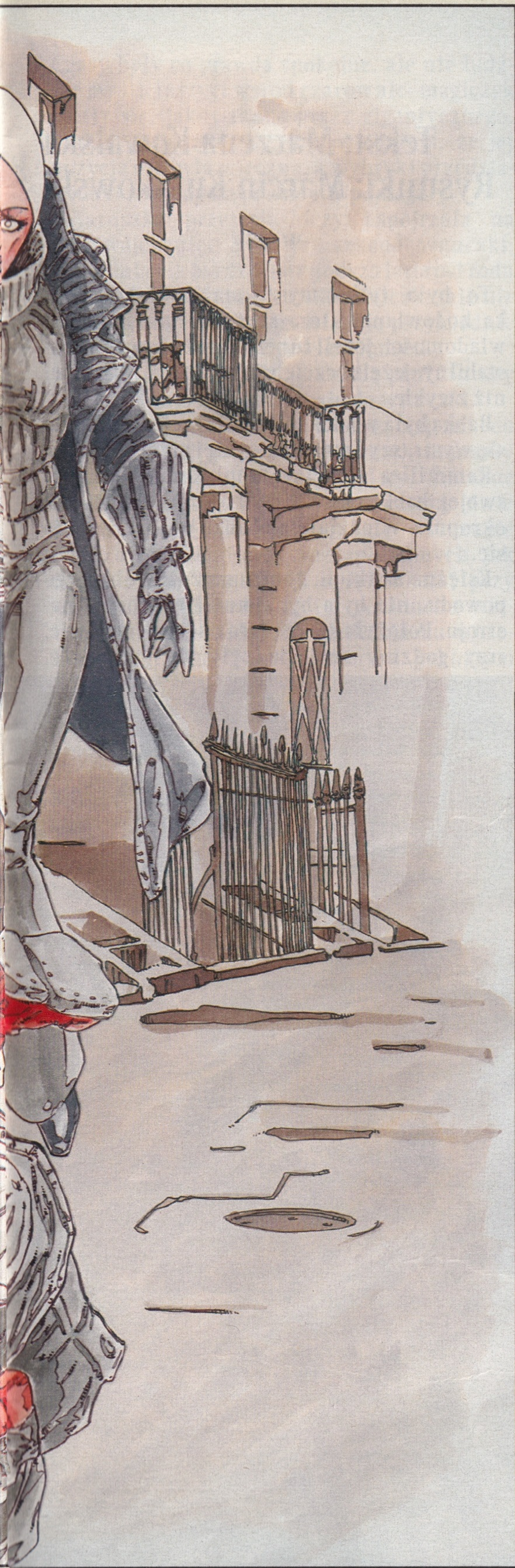
– Dlaczego twoje usta są takie czerwone? Przecież widzę, że ich nie malujesz?

– Karmię się energią ze słońca – odpowiadam.

– Bzdura, mało realne – krzywi się.

Czy gdybym mu powiedziała kim jestem, uznałby to za równie interesujące jak marchewki? Czy wziąłby mnie za postać z gry komputerowej – superlaskę biegającą po mrocznych labiryntach w skórzanych spodniach, które wbijają się między pośladki?

– I dlaczego nie pozwalasz mi zajrzeć do twojej lodówki? Hmmm...



Spod koca wystaje bezbronna stopa. Nawet pod tym kątem widzę rude nastroszone włosy porastające duży paluch. Mam ochotę klęknąć przy łóżku, wysunąć kły, a potem z całej siły, z czystej złośliwości wgryźć się w nogę. Jestem sfrustrowana i znudzona Paulem. Znudził mnie i wkurzył. Człowiek: skarpetki, slipy i włosy pod pachami. Wampirom trudniej niż ludziom przyznać się do klęski – większy egocentryzm. Robię dobrą minę do złej gry, jakbym co najmniej była żoną Paula, a nie nieznajomą, która zaprosiła go na noc, bo potrzebowała rozrywki. Paul narzeka na jedzenie, narzeka na popsuty telewizor i tęskni za zewnętrznym światem.

Trzy dni, a on już dostaje klaustrofobii. Młodość go roznosi. Myślałam, że te trzy dni będą miały wartość dla mnie i dla niego. Liczyłam, że starczy rozmowy i uniesień. Myliłam się – zbyt wielka różnica gatunkowa. Kręcił się po kuchni aż kopnął nogą w aluminiową miskę Teodora, wepchniętą pod śniadaniowy stolik. Brwi uniosły mu się do góry, jakby miały zamiar odlecieć z twarzy.

– Miałam kota.

– Wyrzuć to. Hodujesz bakterie.

Wiem.

Chłopak się budzi. Unosi trochę głowę, przydługie włosy szorują po poduszce. Patrzy na mnie jak na wielką łakoć, wielki prezent, gwiazdkę z nieba. Różnię się od jego pachnących mydłem koleżanek w puchatych, jasnych swetrach. Pociąga go moje doświadczenie, starość, która kryje się w moich oczach.

– Paul – wypowiadam to imię niczym smakosz nazwę ulubionej potrawy.

– Paul – powtarza za mną, modelując ślad mojego akcentu.

Parskam jak kot.

– Miałaś mnie obudzić – mówi to tonem rozkapryszonego dziecka, któremu obiecano rozrywkę.

– Obudziłby cię hałas.

– Już jest głośno.

– To jeszcze nic.

– Ale mnie zmęczyłaś – wierzga nogami, rozkopując koce.

Mam ochotę go przykryć. Mam ochotę...

– Odrobisz, jesteś młody.

– Babciu, czemu nie rozchylisz żaluzji?

Właśnie, dlaczego nie? Uliczny gwar natęża się. W nocne niebo uderza pojedyncza raca, potem druga, trzecia i następne, ale nie jest to jeszcze spełnienie, na które czeka świat. Spełnienie dające nadzieję na przyszłość, o ile przezwycięży się ten pierwotny lęk, który niczym pająk kroczy po plecach.

– Chodź do mnie – Paul uderza otwartą dłonią w miejsce obok siebie. Ten nakazująco–zawłaszczający gest, który musiał podpatrzeć u jakiegoś starszego mężczyzny. Może na starym filmie? Jego pokolenie równouprawnienia płci nie ma o takim „wstępie" pojęcia.

Uśmiecham się pod nosem i jej posłusznie. Kładę swoją głowę na gładkiej klatce piersiowej, która podnosi się i opada w rytmicznym, zdrowym oddechu. Słyszę wyraźnie jak tętni krew w szyi i instynktownie rozchylam usta. Czy można walczyć ze swoją naturą?

– Kiedy byłem berbeciem wyliczyłem, że w roku 2000 skończę trzydzieści dwa lata. Potem ktoś mi powiedział, że pomyliłem się o całe dziesięć lat i będę miał dwadzieścia dwa. Dopiero dwadzieścia dwa! Poczułem się wspaniale i... – przerywa, kiedy wielki zegar uderzył po raz pierwszy.

– JEDEN! – zaskandował tłum na ulicach.

Całkiem niedawno dowiedziałam się, że Hiszpanie jedzą po jednym winogronie na każde uderzenie sylwestrowego zegara. Nie wydało mi się to osobliwe, tylko piękne. A później szampan.

– DWA!

– Juhuuu! – Paul drze się jak kowboj na rodeo. – Dwadzieścia dwa lata i Nowe Tysiąclecie.

Drażni mnie, jak większość myli się w kwestii czasu. Czy czas nie powinien być dla ludzi najważniejszy?

– Nowy wiek zacznie się za rok od tej nocy, w dwa tysiące pierwszym...

– TRZY!

Paul mnie nie słucha.

Jest Sylwester i kończy się 1999 rok po Narodzeniu Chrystusa. Paul ma dwadzieścia dwa lata, a ja pięćset sześćdziesiąt jeden. Minęło pięćset czterdzieści sześć lat od zdobycia Konstantynopola i mojej Przemiany. Dla Greków z „Nowego Rzymu" byłby 7508 rok od Stworzenia Świata.

– CZTERY!

– O w mordę! – wyrywa się Paulowi. – Nie ma szampana!

– Jest, stoi w lodówce – przytrzymuję chłopaka. – Przyniosę.

– PIĘĆ!

– Nie zdążysz!

Puszczam do niego oko. Bardziej interesujący powinien być mój nagi tyłek – co za czasy!

– SZEŚĆ!

Wyjmuję z lodówki Don Perignon. Natychmiast skrapla się na nim para.

– SIEDEM!

Butelki z konserwowaną krwią stoją obok siebie w zgrabnych rzędach. Butelki i jedna puszka tuńczyka.

– Teodorze... – czuję tylko smutek.

– OSIEM!

– Irene!!!

– DZIEWIĘĆ!

– Już jestem głuptasie, czemu tak wrzeszczysz? – Próbuję go rozluźnić i nadmuchać mu w pępek, ale mi umyka.

– DZIESIĘĆ!

Przechylam się kusząco.

– JEDENAŚCIE!

– Czemu odstawiłaś butelkę na parapet?!

Kołyszę biodrami, kiedy się do niego zbliżam. Paul przełyka ślinę. Widzę, że zaczyna się wczuwać w noworoczną niespodziankę.

– Przed szampanem trzeba zjeść winogrona – zamykam go w wybitnie intymnym uścisku.

– DWANAŚCIE!

Tysiąc czterysta trzy lata temu Prorok uciekł do Medyny. Hałas jest ogłuszający. Niebo płonie. Prości Nowojorczycy prześcignęli nawet pirotechników JKM Ludwika Króla Słońce, który naprawdę lubił się zabawiać sztucznymi ogniami w Wersalu.

Biedny Ludwik, biedny Paul... Świat śpieszył się do tej nocy, tej godziny, a teraz, jakby wynagradzając ten pośpiech zamarł na parę chwil. Zatrzymał czas. Kły same wysunęły się z dziąseł. Teraz działał tylko instynkt – szybki jak myśl. Krew zalewa moje usta, gardło, nawet tchawicę. Trwaj chwilo, bo jesteś piękna... Drżę, a przez moje wargi przepływa istna transmisja Życia.

„Budzi się dzień" – czy tak właśnie mawiają? Zapomniałam opuścić żaluzji i to właśnie przez to idiotyczne niedbalstwo orientuję się, że niebo zachmurzone jest ołowianymi chmurami, które jak filtr zatrzymują promienie słońca. Postanawiam zaryzykować i wyjść na spacer. Miasto po sylwestrowych zapasach stoi opustoszałe i w miarę ciche – nie licząc odgłosów Brygad Czyszczących. Myję zęby. Zapach mężczyzny zbladł na tyle, że w tej sekundzie mogę sobie odpuścić prysznic. Zadziwiające jak osoby z kacem potrafią wcześnie zwlec się z łóżek w poszukiwaniu zimna i tlenu. Pudruję się i otulam „na czarno". Czarne okulary dopełniają dzieła. Może poznam jakiegoś Paula? Już na schodach zaczynają zgrzytać mi pod obcasami okruchy szkła. Otwieram drzwi wejściowe – z chmur pada lepki śnieg jakby niebo się otwarło i sypnęło manną. Strzygę uszami. Miau! Spoglądam w dół, rudy kocur zawzięcie ociera się o moje nogi, przednimi łapami ufnie wspina się na kolana. Człowieczy Sylwester musiał go nielicho przestraszyć. Biorę kota na ręce. Nie wykręca nawet łba, kiedy całuję go po pysku – wie, że tak ma być.

– No chodź – Czeka smaczny tuńczyk – odwracam się na pięcie i wracam do holu. Spacer będzie musiał poczekać.

„Nie miałam czasu na nienawiść –
Grób stawał mi na przeszkodzie -
Nie wystarczyło życia, by
Żywić do końca myśli wrogie -

I kochać też nie miałam czasu -
Ale że trzeba mieć zajęcie -
Tej odrobinie trudu przecież
Musiałam go poświęcić -"

Emily Dickinson A. D. 1862

Fragmenty poezji Emily Dickinson w tłumaczeniu Ludmiły Marjańskiej (E. Dickinson „I jestem różą" Twój STYL 1998 r.)

Fragment powieści Iry Levina „Dziecko Rosemary" w tłumaczeniu Bogdana Barana (Phantom Press International 1992 r.)

Lustro

Tekst: Marzena Kowalska
Rysunki: Marcin Kułakowski

Lustro przenoszące było gotowe, ale obsługująca go magiczka bynajmniej wprost przeciwnie. Jak zresztą można jej się dziwić, w końcu był to jej pierwszy dzień pracy i po prostu... bała się. Na dodatek o podróży tego kogoś w ogóle jej nie poinformowano. Lustro jednak było gotowe i nie można było go zatrzymać, zresztą Kammillea była tylko młodszą strażniczką i to strażniczką bez doświadczenia o bardzo małych uprawnieniach. Mogła tylko czekać i modlić się do Pięknej Pani o Skrzydłach Przebaczenia...

Podróżnik musiał walczyć z bezcielesnymi mocami, które zamieszkiwały podróżnicze kanały, gdyż jasna, falująca powłoka lustra nagle zaczęła sypać iskrami. Dziewczyna rzuciła się, by odsunąć od żarzących się węgielków pleciony dywanik spod lustra, ale już było za późno. Sucha plecionka zajęła się w mgnieniu oka i spłonęła, zasnuwając kamienną izbę jasnym, mdłym dymem.

Kammillea zakasłała i uniosła do ust haftowaną chusteczkę prababci. Zaraz owiał ją zapach fiołkowej perfumy, produkowanej przez nią samą i to dodało jej pewności siebie. Gdy tylko dym odpadł rozejrzała się w poszukiwaniu małego lusterka, które odrzuciła, gdy tylko zauważyła zmiany w kamiennym lustrze przenoszącym.

Z małego, rzeźbionego w kocie łebki lustereczka wyjrzała smukła, ładna twarzyczka o pełnych ustach, ciemnozielonych oczach i wystających kościach policzkowych, poznaczonych teraz smugami sadzy; okolona kręconymi, brązowymi włosami, których skręty były tak mocne, że nigdy nie udawało się ich ułożyć w najmodniejszy w tym sezonie gładki kok, opadający na kark.

Doprowadzenie się do względnego porządku nie zajęło jej dużo czasu. Szata strażniczki była czarna, więc na niej brudu nie było widać. Poprawiła jeszcze uciekające spod szerokiego kaptura włosy i uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Była gotowa przyjąć gościa i to nie tylko zewnętrznie, ale wiedziała, że to jeszcze trochę potrwa. Lustro nadal było mleczno białe i nawet nie ukazało granatu kanału, więc mogła wrócić na swój stołek pod oknem i rozmyślać dalej.

Kammillea, mimo całej swej próżności wcale nie była głupią trzpiotką. Wprost przeciwnie. Skończyła dwa miesiące temu najlepszą szkołę w całej Skandawii, Katedrę Nauk Skandawii, i to wcale nie na ostatnim miejscu. Tak jak jej matka, hrabina de Snowdown i babka, księżna Sankton, która była jedną z pięciu władających Skandawią czarownic–magiczek, została najpierw strażniczką lustra przenoszącego, ale chyba nie miała do tego drygu. Bardziej lubiła zajęcia z alchemii zapachów i tworzenie perfum o różnych aromatach i... przeznaczeniach, od miłosnych, zmysłowych, do trucizn, których działania często nie można było wykryć. Zamknięcie jej w Sali Przybywających, czyli okrągłej, kamiennej i wilgotnej jamie, która mieściła się w podziemiach ruin Wieży Pierwszej Strażniczki nie było najwspanialszą propozycją, ale było to lepsze niż nic. Zresztą rodzina tego chciała. A mała hrabianka nie mogła się sprzeciwiać – no przynajmniej nie teraz. W końcu i tak tolerowali jej alchemiczne wyczyny, a ona nie chciała zwady w tym akurat mommencie.

Poruszyła się na twardym, drewnianym stołku i wyjrzała przez wąskie okno na zewnątrz. Miasto zasypiało. Lampy uliczne, zapalały się powoli, gdy tyko podeszli do nich ogniowi. Ich dotyk sprawiał, że szare, wąskie uliczki Iskani ożywały, i mimo hulającego wszędzie zimnego, jesiennego wiatru nabierały ciepłych barw. Niskie, fantazyjne domki nabierały mistycznych kształtów i drgały, jakby muskane wszechmocnym wiatrem. W oddali, rozświetlony magicznymi pochodniami lśnił Senat Czarownic-Magiczek. Ale w Sali Przybywających nie było ogniowych, ani magicznych pochodni, wstęp miały tu tylko władające i ona – Strażniczka, więc sama musiała zadbać o ciepło i światło. Podniosła się niechętnie, zerkając na lustro, które nadal nie chciało odkryć swojej tajemnicy. Było jej zimno, zatarła więc dłonie, a następnie wyszeptała kilka słów i na surowym, kamiennym kominku zapłonął ogień. Kominek stał naprzeciwko lustra, ale płomienie nie odbijały się. Kamienne, puste ściany stały się ekranem dla pląsających cieni i wtedy... lustro zaczęło się zmieniać, jakby tylko na to czekało.

Kammillea odsunęła nogą resztki dywanika pod stołek i stanęła przed kamiennym dziełem skandawijskich kamieniarzy.

Lustro porażało swoim pięknem i prostotą. Jasny granit, uformowany został na kształt owalnego portalu, oplecionego cieniutką siateczką delikatnego powoju, zwieńczonego u szczytu w delikatne skrzydła Pięknej Pani. Jego dotąd mleczna powłoka pociemniała, a następnie zamigotała, by ukazać korytarz podróżny. Granatowy mrok, rozbłyskiwał gdzie niegdzie miodowymi iskierkami – podróżnikami, z których jedna zbliżała się do strażniczki.

Iskra rosła powoli, ale nie zmieniała się, nie przekształcała się w człowieka, tak jak powinna, jak ją uczono. Kammillea nie rozumiała, ale mogła tylko czekać, wiedząc, że nic złego nie może jej się stać, że chroni ją magia...

Ale myliła się, magia nie mogła ochronić jej przed... myszą, która wyskoczyła z lustra.

Kammillea zrobiła to, co każda kobieta. Wskoczyła na stołek, a potem wdrapała się na wąski parapet, przytuliła się do zimnej szyby i... krzyknęła.

Ψ Ψ Ψ

To była tylko mysz, mała, biała myszka hodowlana, która służy do przenoszenia wiadomości, jeżeli tunel podróżniczy jest niestabilny, jeżeli bezcieleśni zagrażają bardziej niż zwykle.

Babka była wściekła. I miała rację. Jak mogła się wystraszyć myszy, zwykłej myszy.

Kammillea siedziała zapłakana na łóżku swojej babki, księżnej Sankton, i czuła się okropnie. Wiedziała, że babka ją ukarze i bała się...

Księżna Sankton, zbudzona ze zbyt błahego powodu, nie była bynajmniej w dobrym nastroju. Położyła się dopiero nad ranem i dwie, trzy godziny snu nie były wystarczające.



Czasy były co prawda spokojne, ale nie ludzkie myśli. Intrygi wśród czarownic–magiczek plotły się, jakby tkane przez gigantycznego, szalonego pająka. Księżna wiedziała, że jej pozycja nie była wieczna, a wybryki przedstawicieli rodziny na pewno nie pomagały.

Staruszka przetarła oczy i spojrzała na winowajczynię. Było jej szkoda wnuczki, wiedziała jak bardzo najmłodsza latorośl rodu męczy się na stanowisku Strażniczki, ale nie miała innego wyjścia, musiała ją przykładnie ukarać. I nawet miała pewien pomysł.

– Zajmiesz się za karę hodowlą pani Matury – powiedziała odwracając się do wnuczki.

– Co? ! – Gdyby ktoś teraz zajrzał do rozświetlonej grubymi świecami komnaty zobaczyłby dwie, piękne kobiety. Podobne do siebie zresztą jak nie przymierzając dwie krople wody. Obydwie niskie i szczupłe o brązowych włosach, rozcapierzonych jak pawie pióro, tańczących sprężynkami przy każdym, najlżejszym nawet podmuchu wiatru. Młodsza, zapłakana siedziała na wysokim, miękkim łóżku otulonym puchatym baldachimem i wpatrywała się ze strachem w oczach w starszą, odzianą w gruby, zielonkawy szlafrok. Księżna mimo swoich stu lat była nadal piękną kobietą. Mikstury przedłużające urodę i życie, które stosowała nie musiały zbyt intensywnie działać. Piękno i czar zawarty był w każdej damie rodu Sankton.

– Chcesz bym babrała się wśród smrodu i gówien? – Kammillea była nie tylko przerażona... była strasznie przerażona.

– Wiesz, że muszę ci to nakazać – Księżna usiadła obok wnuczki i pogłaskała ją po głowie.

– Dałam plamy, że nie rozpoznałam barwi lustra, zawiadamiającej o przyjściu zwykłej wiadomości, ale żeby mnie wysyłać na farmę hodowlaną, to chyba za duża kara. Wiesz jaki mam wyczulony nos – Kammillea próbowała wpłynąć na babkę, ale dobrze wiedziała, że jeżeli księżna o czymś postanowiła, to nigdy nie zmieniała zdania. Taka już była: twarda i opanowana, surowa, ale też sprawiedliwa. Tylko, że przez tą jej sprawiedliwość pozostała czwórka czarownic-magiczek, członkiń władającego Senatu korzystała ze wszelkich, niezbyt sprawiedliwych form podkładania księżnej nogi. Wszystkie miały chrapkę na miejsce władczyni.

– Zrozum... – Postanowiła zrozumieć, ale chyba nie myślała, jak bardzo będzie sobie później pluła w brodę.

Ψ Ψ Ψ

– Jak wywieziesz ten gnój z piątej klatki, zajmij się myszką damy Kordyli...

– Dobrze, proszę pani – Wąskie pomieszczenie, zbudowane z suszonej cegły i obrzucone piaskową mieszanką po obu stronach zapełnione było małymi klateczkami z milionami myszek: białych i szarych, czarnych i łaciatych, a nawet zielonych czy czerwonych – efektów nieudolnie nałożonych wiadomości. A wśród nich, w jasnym fartuchu, z łopatką i wiaderkiem w ręku kursowała Kammillea i przeklinała wszystkie lustra świata.



To, że w budynku farmy śmierdziało, nie dało się ukryć i z każdym dniem Kammillea coraz bardziej sobie to uświadamiała. Jej wyczulony nos cierpiał straszliwie. Od ponad miesiąca nie była w swojej pracowni i była pewna, że od nowa będzie się musiała uczyć zapachu róż i fiołków. Ale musiała odbyć karę do końca. Nie miała innego wyjścia.

Ogromne wrota mysiej sypialni otworzyły się cichutko i przez wąską, długą szparę wsunęła się puszysta główka.

– Mama? – zdziwiła się Kammillea i odłożywszy narzędzia pracy padła w ramiona niskiej, korpulentnej kobiety o kręconych, brązowych włosach i szerokim uśmiechu.

– Jak ty tu wytrzymujesz, kochanie? – hrabina Snowdown odepchnęła od siebie córkę i potrząsnęła głową. – Jak wrócisz do domu musisz wziąć bardzo długą kąpiel, bardzo długą...

– To raczej nie nastąpi szybko – roześmiała się Kammillea i poprowadziła mamę do małego stolika przy drzwiach i usadowiła ją na jedynym stojącym przy nim krześle.

– Raczej szybko kochanie. Babka zdjęła z ciebie karę, gdy okazało się, że lustro zostało zaatakowane przez dziwne pasożyty, które zmieniają jego barwę... Zresztą to produkt nazbyt uboczny od doświadczeń członkini Senatu – madame de Brount.

– To znaczy, że nie wtopiłam?

– Jak ty się wyrażasz? ! To na pewno przez te myszy. Bynajmniej tak, masz rację, to nie ty zawiniłaś. – Hrabina poprawiła ciężką burgundową suknię i zarzuciła na ramiona, trzymany w ręku zielonkawy szal. – Wracasz do domu, a potem na swoje stare stanowisko.

Kammillea odwróciła się od matki, by ukryć skrzywioną twarz. Wcale nie chciała dalej siedzieć w tej pustej, wilgotnej komnacie, mając za towarzysza milczące lustro, tak rzadko wykorzystywane, z powodu hord bezcielesnych. Chciała wrócić do ich posiadłości w Lesie Młódek, do swojej pracowni w Wieży Panny, by tworzyć zapachy i mikstury... szczególnie zaś by dokończyć recepturę subtelnej trucizny, nazwanej jej imieniem.

– No chodź już. Pani Matura pozwoliła ci zakończyć zadanie, a zresztą naprawdę nie mogę już tutaj wytrzymać. Pomijając to wszystko, twoja babka ma też i inne problemy.

Przez ogromne wrota obydwie wyszły w noc, poprzetykaną mroźnymi nitkami zbliżającej się zimy i szybko przeszły przez otaczający trzy długie budynki farmy, młody lasek, mijając niskie, obrośnięte mchem domki strażników i pracowników. Latający powóz ojca, hrabiego Totusa Snowdowna już czekał na piaszczystym podjeździe, za wysokim, kamiennym płotem, niecierpliwiąc się. Gruby, potężny stangret zaciskał w ogromnych dłoniach złote lejce, którymi oplecione zostały dwa potężne pegazy ze stajni hrabiego: Tot i Tus, ulubieńcy pana.

Ψ Ψ Ψ

– No, już jesteśmy – Westchnęła sama do siebie Kammillea, zauważając pasmo mgły, służące za wytycznik ziem jej ojca.

Mleczna otoczka odpędzała złoczyńców, a jednocześnie zatrzymywała zwierzynę w obrębie Lasu Młódek, zwanego tak z powodu bardzo wysokiego przyrostu naturalnego wśród jeleni, saren i danieli, pląsających po dzikich ostępach. Hrabia, który bardzo kochał przyrodę dbał o spokój i wolność swoich czworonożnych podopiecznych. Na jego ziemiach zakazane było polowanie, a jedzono tylko i wyłącznie mięso zwierząt hodowlanych: kur, kaczek, gęsi czy świń, ale także i te zwierzaki były traktowane wprost po królewsku.

Las Młódek, pozostawiony był sam sobie i dlatego był gęsty, pełen połamanych konarów i miłych dla oka, trudnych do zdobycia zakątków. Przecinało go kilka wąwozów, i rozświetlało piętnaście stawów i jeziorek, zasilanych dwoma rzekami Kamą i Millą, nazwanymi tak na pamiątkę ukochanych kobiet hrabiego, czyli żony i córki.

W samym centrum lasu, na niewielkim podwyższeniu stworzonym przez naturę, wśród ogromnych głazów, porozrzucanych bezwładnie wiła się brukowana dróżka, prowadząca do piętrowego zamczyska, zbudowanego z ciemnych kamieni, które pochodziły z samego lasu, a dokładniej z rzek. Zamek wyglądał dość ponuro, na pierwszy rzut oka, ale gdy tylko ktoś lepiej mu się przyjrzał, rozumiał, że się mylił. Cztery narożne wieże połączone zostały systemem filigranowych, ale mocnych krużganków. Same wieże zaś, ozdobione dachami w kształcie wiedźmich tiar, zwieńczone zostały czterema symbolami Skandawii: słońcem, księżycem, jelenimi rogami i kurzym udkiem – symbolem krainy zwanej Kurzycą. Sam dziedziniec, jasny i czysty był centrum spotkań wszystkich mieszkańców i gości. Jego centralne miejsce zajmowała gigantyczna fontanna, otoczona z jednej strony półkolistym stołem, z drugiej splotami fioletowych kwiatów–pnączy. Fontanna wycięta z granitu uformowanego w ogromny kwiatowy kielich, na brzegu którego stała gromada leśnych, zwiewnych skrzatów, które swymi kamiennymi, misternie wyciętymi skrzydłami, muskały wyciekającą ze środka wodę. Strumień wybijał się z pręcików, umieszczonych w środku kielicha i spływały na dół, na otaczającą kielich wąską, rzeźbioną w pegazy rynienkę, która odprowadzała wodę krętym strumieniem, obiegając wszystkie kąty dziedzińca, prosto na zewnątrz murów. Tam, wypływała niewielką kaskadą, obmywając kamienie i niskie iglaki, a swym szumem witając przybywających gości.

– Mówiłaś, że babcia ma też inne problemy? – Kammillea szturchnęła zasypiającą rodzicielkę, gdy powóz zataczał ostatnie koło nad lasem.

– Ta... – hrabina przez chwilę musiała sobie przypominać, gdzie się znajduje. – Twoja babcia musi zająć się tajemniczym zniknięciem Różanej Damy, madame Rosemarrity. To ona przysłała tą mysz, która tak cię przeraziła. No i potem zniknęła.

– Jak to? – Kammillea nie wydała się być bardzo tym faktem zainteresowana. Dla niej najważniejsze było to, że nie nawaliła i że babcia będzie ją musiała przeprosić, i że w oddali widać było już jej pracownię, więc słuchała tylko jednym uchem.

– Wiadomość od madame była bardzo błaha, chodziło o jakąś recepturę, nad którą pracuje... Nie było tam ani słowa o tym, że ktoś jej zagraża czy, że czegoś się obawia. Moja matka podejrzewa łowców czarownic z Findonawie.

– Ale to dość daleko od nas... Zresztą Findowie nigdy nie byli agresywni, w końcu Skandawia podpisała z nimi kontrakt pokojowy i przyjacielski, a także pakt o dzieleniu się wszelkimi nowościami... A zresztą, kogóż miałyby interesować perfumy? – Kammillea zaśmiała się i pomachała stojącemu przy fontannie hrabiemu.

Powóz wylądował ostrożnie i bez większych wstrząsów, zaraz zresztą nadbiegli stajenni, by uspokoić pegazy i odprowadzić je do podziemnej stajni.

– Martwiłem się o was – hrabia zastrzygł cieniutkimi wąsikami i uśmiechnął się całym sobą, przytulając córkę i żonę.

– Nie było takiej potrzeby, był z nami Grebb – hrabina wskazała na stangreta, który ciężko zeskoczył z powozu, a następnie wyciągniętą zza lamowanej złoto pazuchy zielonkawą buteleczkę i skroił nią powóz.

W mgnieniu oka ogromny, drewniany, bogato zdobiony perłami powóz zmniejszył się do rozmiarów dziecięcej zabawki i powędrował do kieszeni Grebba, który skłonił się i dumnym krokiem powędrował do swojego mieszkania, tuż obok kuchni, na parterze.

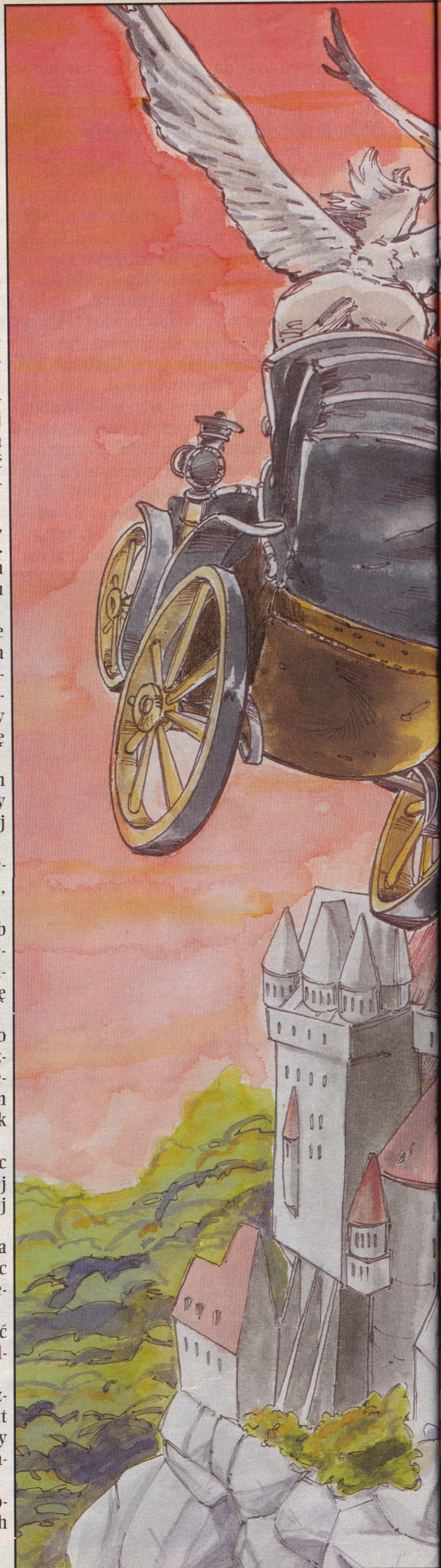
– Cieszę się, że wróciłaś... – zaczął ojciec, znając jednak dobrze swoją córkę postanowił jej dłużej nie zatrzymywać. – Tak, możesz pobiec do swojej pracowni, ale kolacja za dwie godziny...

Ostatnie słowa nie złapały już dziewczyny, która furkocząc nie zdjętym jeszcze fartuchem, gubiąc po drodze nakrochmalony czepek, pobiegła w kierunku wieży zwieńczonej księżycem. Jej wieży.

Nie zatrzymała się jednak w swojej sali przyjęć i zabaw na parterze, ani w sypialni na piętrze, tylko pognała od razu do pracowni na poddaszu.

Drzwi sypialni, szerokie i grube, okute magicznymi runami były zamknięte. Była pewna, że nikt tu nie zaglądał, taka była niepisana umowa między nią a służbą. Szybko zdjęła pięć chroniących, magicznych zamków i weszła do środka.

Jej pracownia była dużym, kwadratowym pomieszczeniem, o chropowatych, kamiennych





ścianach i czterech oknach, wychodzących na cztery strony świata, miejscami zastawionymi wysokimi półkami z książkami. Centralne miejsce zajmował ogromny, drewniany stół, powalany różnokolorowymi barwnikami, miejscami poprzepalany kwasem i otoczony połamanymi w większości krzesłami. Stały na nim butelki we wszystkich kształtach i kolorach, niewielkie wieczne ogniska, plątaniny rurek, unoszące się nad nimi w powietrzu.

Kammillea usiadła na jednym z krzeseł i pstryknięciem rozpaliła ogień na wysokim, rzeźbionym kominku. Gdy tylko weszła w powietrzu pojawiły się zawieszone tam mieszki z suszonymi kwiatami oraz unoszące się ponad dachem wąskie doniczki z kwiatami i aromatycznymi roślinami; ukryte dotąd przed wzrokiem niepowołanych.

Była w końcu u siebie, w domu... swojej kryjówce, której nigdy nie widzieli ani jej rodzice, ani inni ludzie, no przynajmniej w takiej formie, w jakiej naprawdę istniała. Kammillea była dobra, wprost genialna, mimo, że nie wszyscy o tym wiedzieli. A receptura, skradziona madame Rosemarrity i ulepszona przez nią samą, mogła zdziałać bardzo wiele. Więcej, niż ktokolwiek myślał.

Tak łatwo było wejść w jej posiadanie. Już na pierwszym roku w Katedrze Nauk wiedziała, że jeżeli chodzi o zapachy, jest najlepsza. Ale wiedziała też, że chce zatrzymać tą wiadomość tylko dla siebie. Badając drzewo genealogiczne odkryła, że to właśnie moc i talent jej matki, w połączeniu z możliwościami babki po mieczu, hrabiny de Knoks, jednej z największych wiedźm, wyklętej przez wszystkich i nie wspominanej przez ojca, dał jej niespotykany talent. Dar zmieniania ludzi w zwierzęta, na zawsze, tylko dzięki zapachowi. Dzięki wszelakim, komponowanym przez nią samą zapachom, mogła zrobić wszystko, nawet zabić czy też nie pozwolić, by narodziła się kobieta, o mocy podobnej do jej – jej siostra. Matka i ojciec zbyt chętnie korzystali z jej prezentów – perfum na każdą okazję. Zbyt chętnie...

Kammillea odsłoniła niewidoczną kotarę przy oknie i zaśmiała się, zbyt głośno. Receptura zapisana jej własnym szyfrem była nie do odkrycia. Dla nikogo, ale wymagała doszlifowania. Dziewczyna zaraz wzięła się do pracy. Nie chciała czekać. Wynik ostateczny musiał być jeszcze mocniejszy, niż tylko zmienienie w zwierzę, w tym zapachu musiało być coś jeszcze...

Przelała jasny płyn z jednej butelki do drugiej, a potem wzmocniła ognisko... Była tak bliska zwycięstwa, gdy nagle błysnął piorun i spalił ją na popiół...

ΨΨΨ

– Kochałem ją, ale wiedziałem, że będzie taka jak matka. Musiała być taka. Nawet ta twoja kara, nie zepsuła jej perfekcyjnego węchu, który mimo, że wdychała truciznę, to jednak nie dotykał jej, ona zawsze zostawała, zawsze żywa... – hrabia objął małżonkę i skinął na stojącego przy drzwiach służącego.

– Wiesz, że próbowałam. Poprosiłam o pomoc nawet Rosemarittę, ale i ona nie mogła wiele zdziałać. Twoja córka, wasza córka była zła, tak jak przypuszczałam – Księżna spojrzała na małżonków i przetarła oczy – Nie udało mi się i musiała zginąć, zabiłaby wszystkich.

Sypialnia hrabiostwa Snowdown, była ogromna. Wyłożona po sufit dywanami i makatkami, które miały ocieplić to pomieszczenie, ale nawet one, czy dwa, duże kominki i buzujący na nich ogień, nie mogły tego dokonać. Zimno przenikało całą trójkę, która przebywała w tym pomieszczeniu. Hrabia siedział na szerokim, małżeńskim łożu, obejmując małżonkę, a księżna, stała przy oknie wpatrując się w zrujnowaną do połowy wieżę, niegdyś zwieńczoną księżycem. Kammillea nie żyła i tak musiało być. Była zbyt groźna, była przodkinią hrabiny de Knoks i była kobietą, musiała zginąć, by przez nią nie zginęli inni. Księżna wiedziała o tym od dnia narodzin Kammillei. Od dnia, gdy dwie, dopiero narodzone bliźniaczki stoczyły ze sobą walkę w kołysce. Ta, która przeżyła... była silniejsza, to ona została obdarzona mocą węchu, niegdyś przynależną tylko hrabinie de Knoks.

Księżna przez długi czas myślała, że uda jej się uszkodzić nos dziewczyny, a gdy te próby się nie powiodły starała się odciągnąć ją od pracowni, umieszczając w Sali Przybywających, rzadko używanej z powodu bezcielesnych. Nie wiedziała, że dziewczyna jest na tyle sprytna, by sama podróżować i odnaleźć legendę zapachów, madame Rosemarittę. Z którą jednak nie chciała się zaprzyjaźnić... chciała receptur, by je ulepszyć. I udało jej się... nie tylko ulepszyć, ale zamienić też madame w mysz... Myszy też nie pomogły, a szczególnie ich smród...

Ale teraz Kammillea nie żyła, a ukryta ciąża zakończyła się powodzeniem – synem.

Księżna Sankton z uśmiechem spoglądała na radującą się parę, tulącą w ramionach, przyniesionego przez służącego z ukrytej komnaty, której strzegł Grebb. Teraz, gdy już nie czuli zagrożenia ze strony wyrodnej córki, mogli radować się prawdziwą rodziną.

Czarownica–magiczka zniknęła. Nie chciała przeszkadzać. Zresztą musiała jeszcze dokończyć recepturę, która miała uwolnić madame Rosemarittę ze skóry myszy...

ΨΨΨ

Ranek omiótł dymiące jeszcze popioły jednej z wież, w Lesie Młódek. Usuwając dym i szare, fruwające wszędzie pozostałości po nagromadzonych papierach odkrył też bielejący szkielet. Pozostałość po życiu... złym życiu.

Znad zwęglonych kości uniósł się obłoczek, prawie niewidzialny, ale wyczuwalny, opleciony mdłym, słodkawym zapachem. Obłoczek najpierw przez chwilę unosił się w powietrzu, ponad gruzami, a następnie wzbił się wyżej. Mimo poranka jedno okno rozbłyskiwało światłem i to właśnie tam skierował się obłoczek. Wsunął się lekko przez niedomkniętą okiennicę. Nie musiał długo szukać. Drewniana kołyska, pokryta chroniącymi runami zatrzymała go tylko na moment. Bardzo krótką chwilę.

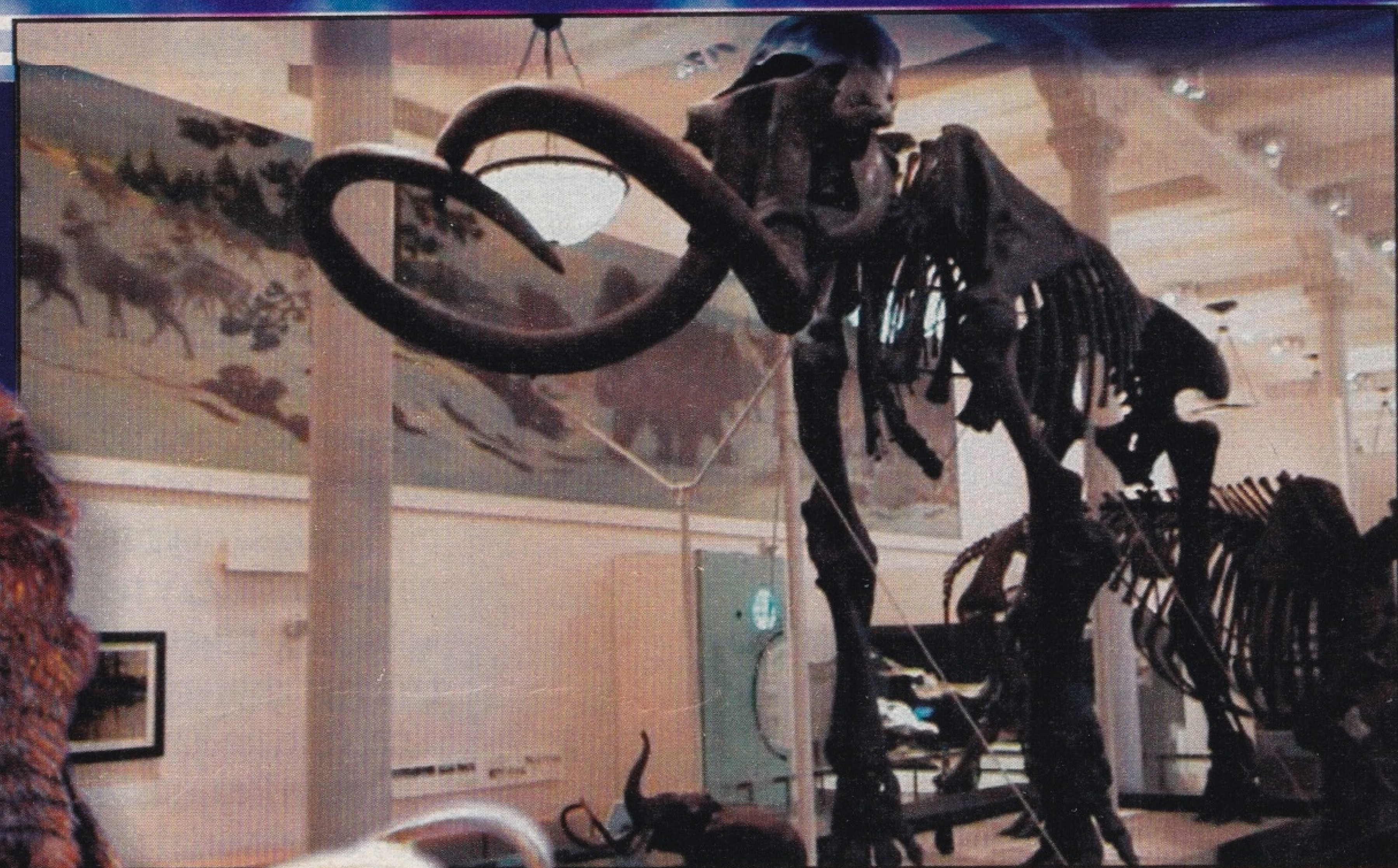
Obłoczek oplótł dziecko, które nawet nie zakwiliło. Otworzyło tylko swoje ciemne oczy i... uśmiechnęło się, zamieniając w białą myszkę z szarymi łapkami.

Gdy drzwi sypialni malca otworzyły się, w kołysce znowu kwilił chłopiec.

Sklonuj się, człowieku!

Tekst: Piotr Moskal

W dużym uproszczeniu klonowanie polega na produkcji jednego lub kilku zwierząt genetycznie identycznych ze zwierzęciem macierzystym. Termin jest dość szeroki i obejmuje trzy techniki, które w znacznym stopniu różnią się od siebie, zaś ich cele są całkiem odmienne. Większość ludzi odnosi się do klonowania dość sceptycznie, mając w pamięci niezliczone filmy i książki grozy. Rzeczywistość okazuje się jednak bardziej skomplikowana i zaskakująca niż filmy, a potencjalne korzyści płynące z różnych technik klonowania zdają się być olbrzymie (jak choćby możliwość klonowania wymarłych gatunków)

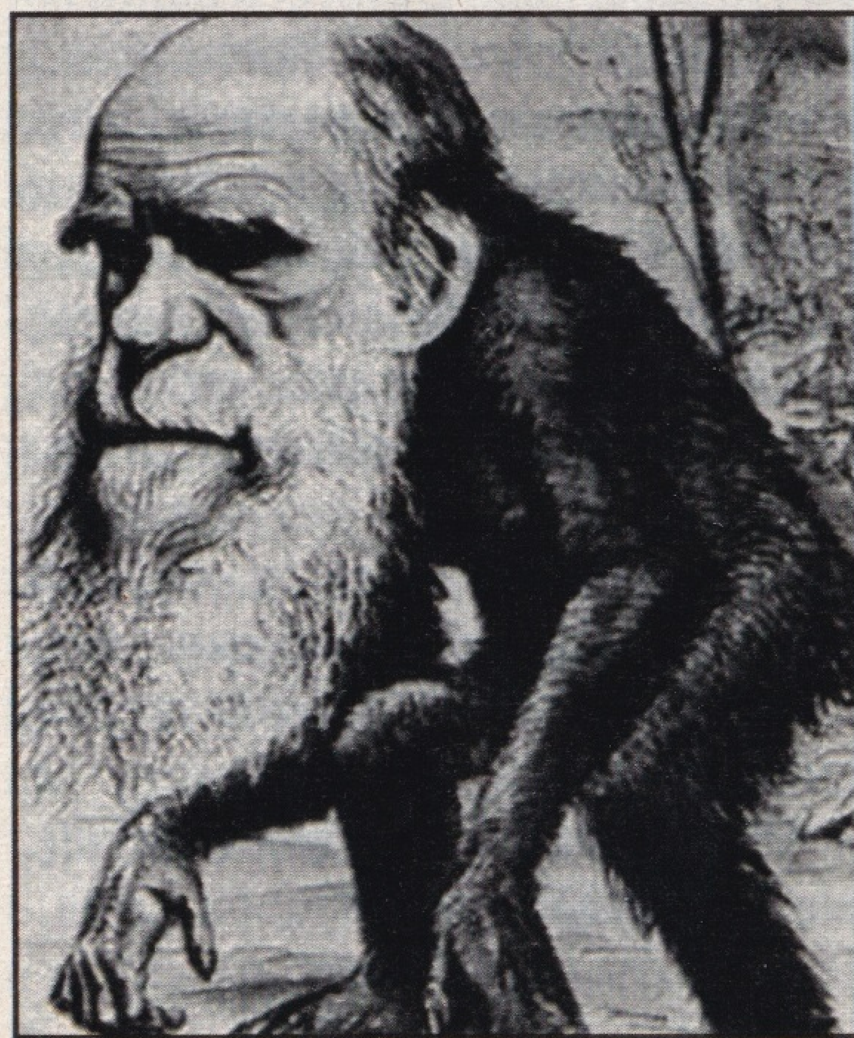




Trochę historii

Jeszcze 200 lat temu ludzie mieli niewielkie pojęcie o otaczającym ich świecie zwierząt i roślin. Od wieków wierzyli, że zwierzęta stworzył Bóg, podobnie zresztą jak człowieka. Przy okazji niektórym osobom wydawało się, że człowiek ze zwierzętami nie ma nic wspólnego...

Ten spokój niewiedzy zburzył dopiero w XIX wieku Karol Darwin swoim rewolucyjnym dziełem „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego" (1859). Jego teoria ewolucji mówiła, iż wszystkie organizmy na Ziemi wyewoluowały z jednego praorganizmu, zaś ich obecna różnorodność jest wynikiem zmieniającego się bezustannie środowiska życia. Ewolucja opiera się na dwóch zjawiskach: przypadkowych mutacjach i doborze naturalnym. Jak to działa? Bardzo prosto. Weźmy przykładowe myszy. Mnożą się szybko i niby każda z nich jest taka sama, a jednak troszkę inna – informacja genetyczna często ulega lekkim, przypadkowym zmianom podczas rozmnażania. Większość takich mutacji jest bezużyteczna, czasem nawet fatalna w skutkach dla organizmu, lecz zdarzają się też pozytywne mutacje, dające organizmowi nowe zdolności.



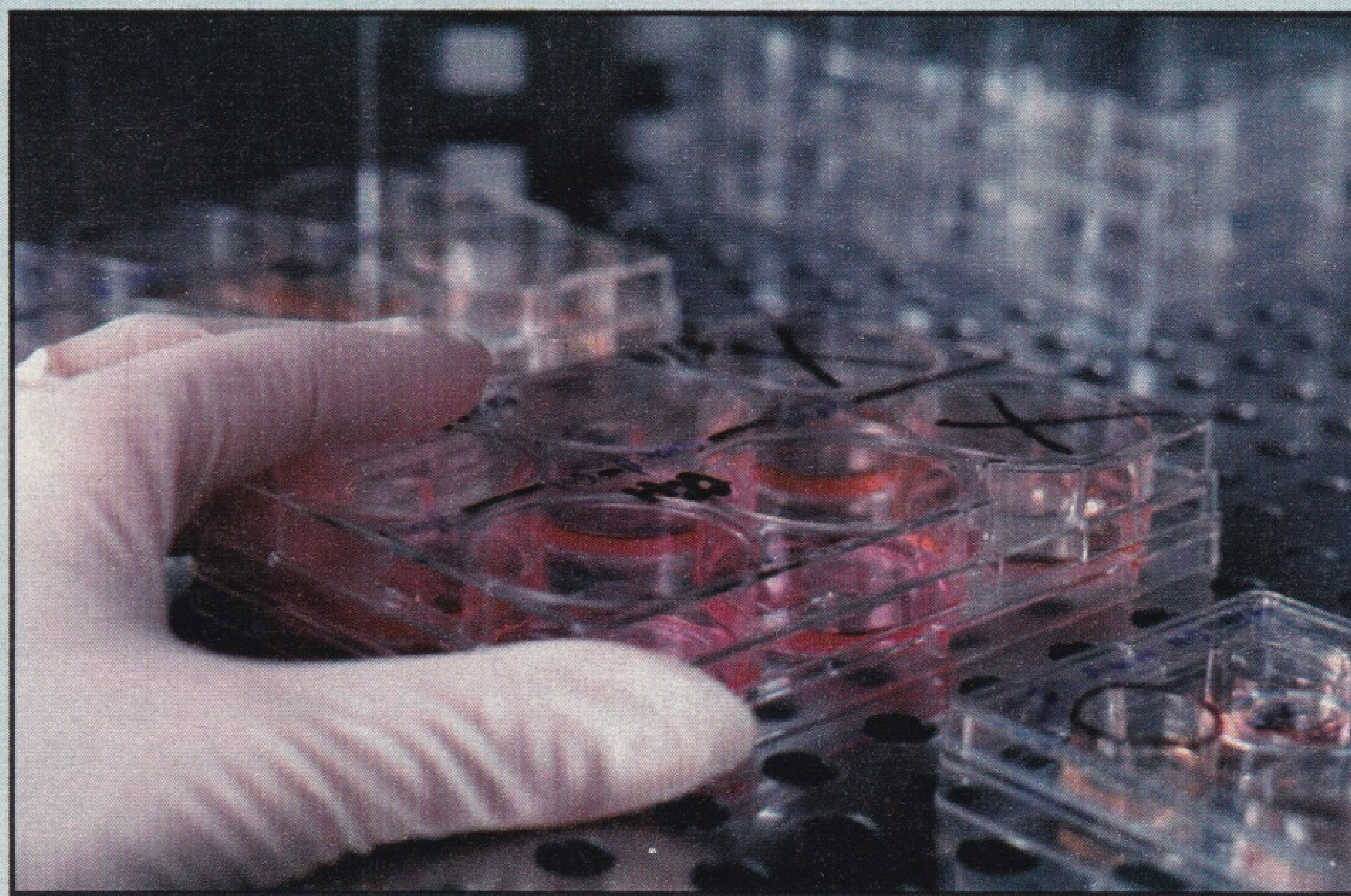
Z kolei dobór naturalny polega na tym, że przeżywają tylko najlepiej przystosowane osobniki, a inne giną. Przykładowo: w środowisku pojawia się trująca substancja. Okazuje się, że 99,99% myszy ginie, jednak kilka przeżywa, gdyż całkiem przypadkowo są akurat odporne na tę substancję. Te myszy, które przeżyły, namnażają się, odbudowując kolonię, przekazują swoją odporność potomstwu i tak oto gatunek myszy właśnie uodpornił się na truciznę.

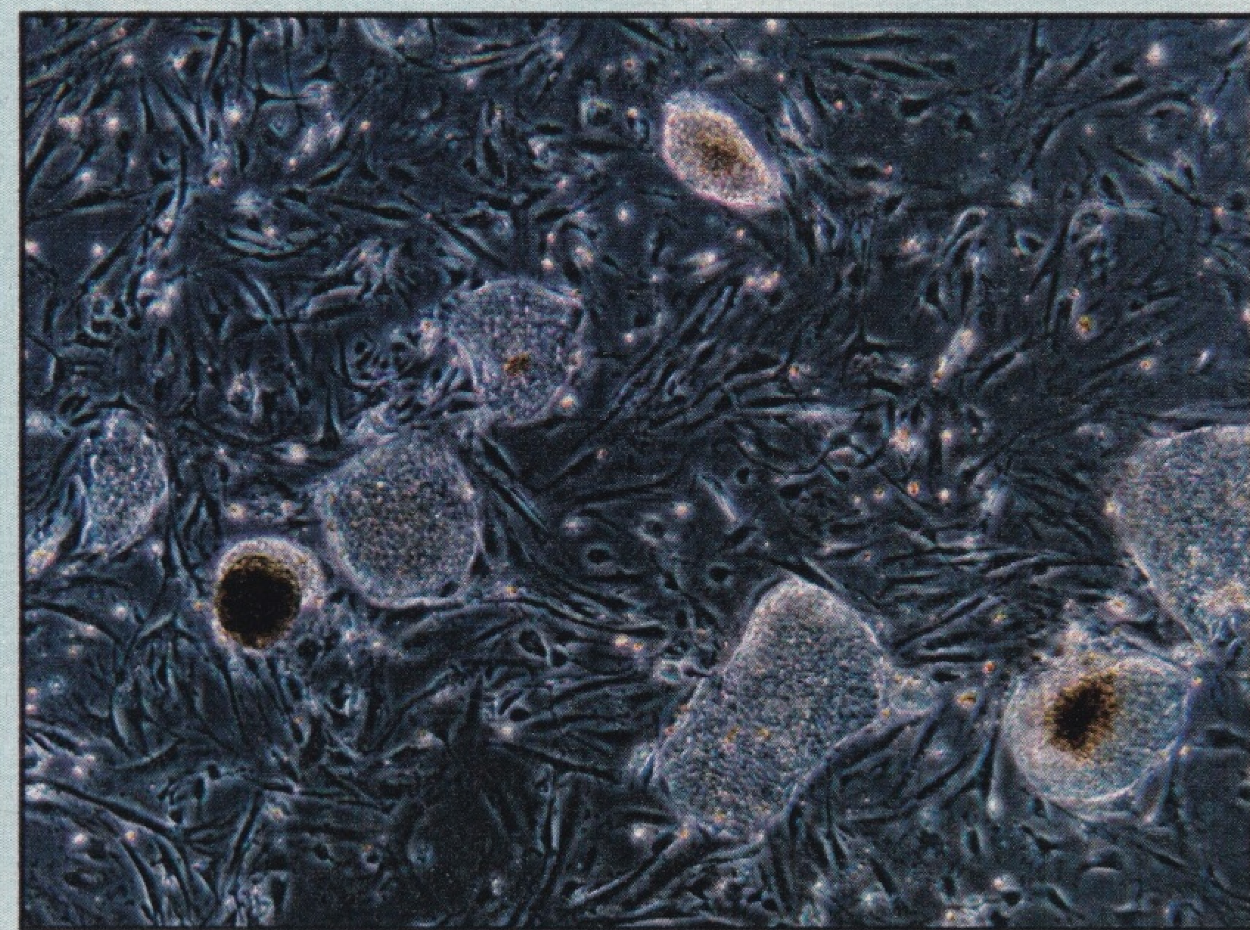
Jednym z wniosków wypływających z teorii Darwina jest też fakt, że człowiek pochodzi od małpy. Na początku społeczeństwo przyjęło rewelacje Darwina z dużą rezerwą – był publicznie wyszydzany, kpiono z niego (patrz ilustracja). Dopiero po latach ludzie oswoili się z jego teorią.

Kolejnym krokiem w zrozumieniu zagadki życia było odkrycie kodu DNA – nastąpiło to dopiero po drugiej wojnie światowej. Od tego momentu nauka poszła naprzód w lawinowym tempie i niecałe 20 lat po odkryciu DNA byliśmy już w stanie modyfikować genetycznie organizmy (patrz ramka na końcu artykułu), a następnie je klonować. Dziś stoją przed nami możliwości absolutnie fantastyczne – np. rosyjscy naukowcy parę dni temu ogłosili, iż zamierzają wyklonować mamuta, gatunek wymarły 30 000 lat temu. Być może film „Park Jurajski" był bardziej proroczy niż się wszystkim zdawało...

Klonowanie embrionalne

Technika medyczna, w wyniku której powstają identyczne dwojaczki, trojaczki itd. Z embriona pobieranych jest kilka komórek, które (każda osobno) rozwijają się w jego kopię. W ten prosty sposób powstają tzw. wieloraczki, które mają identyczny kod DNA. Do tej pory tego typu eksperymenty wykonywane były na wielu różnych gatunkach zwierząt. Na ludzkich embrionach odbyło się niewiele doświadczeń, ale przecież technicznie zabieg taki niczym nie odbiega od eksperymentów na zwierzętach. Klonowanie embrionalne można by nazwać sztucznym procesem tworzenia bliźniaków, gdyż mechanizm jest praktycznie identyczny z naturalnym. Średnio 1 na 75 ludzkich embrionów w sposób samoistny rozpada się na dwie lub więcej części (czasami nawet 6 lub więcej, o czym zwykle radośnie zawiadamia nas telewizja), a obdarowani przez naturę rodzice mogą cieszyć się powstałymi w „normalny" sposób klonami. Czy sztucznie wyprodukowany bliźniak czymś się różni od urodzonego naturalnie? To pytanie raczej natury moralno-religijnej niż naukowej, gdyż z technicznego punktu widzenia sztucznie stworzony klon jest pełnoprawnym człowiekiem i nikt nie ma prawa kwestionować jego przynależności do naszej rasy.





Jak to się robi?

Klonowanie embrionalne człowieka przebiega następująco. Komórka jajowa łączona jest w szklanej zlewce z plemnikiem. Następnie zygota, czyli zapłodnione jajeczko, z czasem rozwija się w blastulę (sferę zbudowaną z komórek). Zygota dzieli się najpierw na 2 części, potem na 4, na 8 i tak dalej. Do zlewki dodawany jest specjalny preparat chemiczny, który rozpuszcza powłokę spajającą komórki. Przy okazji płyn dostarcza im elementów odżywczych, które sprzyjają dzieleniu się komórek. Po pozbyciu się powłoki zygota dzielona jest na pojedyncze komórki, z których każda umieszczana jest w osobnej zlewce. Następnie w sposób sztuczny odtwarzana jest powłoka ochronna zdjęta wcześniej, zaś komórce pozwala się rosnąć i dzielić w normalny sposób. Podczas eksperymentu na ludzkim embrionie celowo użyto wadliwej komórki rozrodczej. Uzyskane klony rozwinęły się do postaci 32 komórek, a następnie obumarły. Gdyby jednak użyta komórka była sprawna, z pewnością rozwinęłaby się w płody ludzkie. Wadliwej komórki użyto z powodów etycznych.

Historia badań

Ekspeymenty z klonowaniem embrionalnym przeprowadzane były na myszach od końca lat 70. Na innych zwierzętach szereg badań przeprowadzono w latach 80. Uzyskane sklonowane embriony umieszczano w łonie matki tak, by rozwinęły się w nowy organizm. Niestety, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w wielu innych krajach, zabroniono wszelkich eksperymentów na ludzkich embrionach, głównie za sprawą protestów fanatycznych grup religijnych walczących przedtem nie mniej zajadle o odebranie kobietom prawa do aborcji. Zarówno za kadencji Regana, jak i Busha (starego) badania na ludziach były zakazane. Dopiero Bill Clinton zniósł ten przepis (w sumie nie był taki zły:).
Przez kilkanaście lat proces klonowania embrionalnego z powodzeniem był wykorzystywany między innymi na owcach i bydle. Ciężko określić, kto pierwszy spróbował sklonować embrion ludzki, gdyż ze względu na prawo eksperyment ten przebiegał w tajemnicy. Jednak oficjalnie po raz pierwszy dokonał tego Robert J. Stillman wraz ze swoim zespołem z Centrum Medycznego im. George'a Washingtona w Waszyngtonie DC. Naukowcy wzięli 17 uszkodzonych embrionów, które i tak umarłyby w przeciągu kilku dni niezależnie od tego, co by z nimi nie robiono. W każdym razie żadna z komórek nie miała szans rozwinąć się w płód. Eksperyment powiódł się, uzyskano z każdej komórki jednego lub więcej klonów. Jak się zdaje, głównym zamierzeniem autorów doświadczenia było ściągnięcie uwagi społecznej na problem klonowania ludzi.
Obecnie dopuszczalne jest eksperymentowanie na embrionach ludzkich (ich duże zapasy są efektem wielu lat stosowania techniki in vitro) do 18 dnia ich życia. Liczba ta wynika z faktu, iż właśnie około 18 dnia rozpoczyna się produkcja układu nerwowego embrionu.

Czy to moralne?

Badania nad klonowaniem embrionalnym na zwierzętach mają kilka niewątpliwych zalet. Naukowcy pracują nad stworzeniem transgenicznego gatunku świń (miałyby ludzkie geny). Organy pobrane z takich zwierząt byłyby akceptowane przez ludzki organizm i mogłyby rocznie uratować życie wielu tysięcy ludzi umierających z braku możliwości przeszczepu. Gdyby plan się powiódł, można by drogą klonowania uzyskać tyle zwierząt, ile będzie potrzeba szpitalom. Podobnie, technika klonowania przydaje się do uzyskania odpowiedniej liczby innych zwierząt laboratoryjnych o zmodyfikowanych genach (gdyby mnożyły się w sposób naturalny, wiele osobników byłoby bezużytecznych na skutek naturalnych mutacji oryginalnej kombinacji łańcucha DNA).
Jeśli chodzi o klonowanie ludzkich embrionów, również wymienia się szereg zalet, między innymi ich przydatność w badaniach medycznych dotyczących ciąży, raka (morula, twór następujący po blastuli, rozwija się niezwykle szybko, podobnie jak komórki rakowe. Niektórzy naukowcy sądzą, że jeśli wynaleziony zostanie środek uniemożliwiający rozwój moruli, również lekarstwo na raka jest w zasięgu ręki), pozbywania się wrodzonych defektów genetycznych, które mogłyby zostać odziedziczone przez następne pokolenie, jak również w badaniach dotyczących zwiększania efektywności techniki in vitro. Inną zaletą posiadania bliźniaków jest uprzywilejowana sytuacja, gdy jeden z nich zachoruje i będzie potrzebował przeszczepu chorego organu bądź szpiku kostnego.
Są oczywiście również ujemne strony. Niektórzy zwracają uwagę na problemy natury etycznej, związane z techniką klonowania embrionalnego. Mogłaby zostać wykorzystana do eliminacji zygot danej płci (gdy rodzice chcą np. koniecznie dziewczynkę – gen odpowiedzialny za płeć może zostać zlokalizowany już wkrótce). Podobnie, „odsiać" można np. wszystkich brunetów, zielonookich czy posiadaczy danej grupy krwi. Istnieje ryzyko, że jakiś kraj mógłby wprowadzić „genetyczny terror" i usiłować wzmóc w swoim narodzie jakieś konkretne cechy (tak jak usiłowali to uczynić naziści w III Rzeszy). Gdyby udało się uzyskać taki idealny genetycznie embrion, można by go sklonować w dowolnych ilościach (na myśl od razu przychodzi mi „Diuna" Franka Herberta oraz „Atak Klonów" Lucasa). Oczywiście niekoniecznie nadistota musi być celem badań. Można sobie sklonować armię robotników (Lenin by się ucieszył), muzyków czy ludzi o dowolnych innych predyspozycjach. No i wreszcie last, but not least, pozostaje problem zadecydowania, co jest człowiekiem, a co nie. Dla niektórych osób zlepek czterech komórek na krzyż (zygota) jest już istotą ludzką i eksperymentowanie na nich, a nie daj Boże zabicie ich, jest zbrodnią (i grzechem). Ocenę moralną pozostawiam każdemu z Was, gdyż jest to bardzo subiektywna sprawa...



Klonowanie reprodukcyjne (dorosłych osobników)

Technika ta stosowana jest, by otrzymać replikę żyjącego już zwierzęcia (lub człowieka). Wykorzystywano już ją do klonowania owiec i innych ssaków. Jak na razie nie przeprowadzono żadnego potwierdzonego eksperymentu na ludziach, choć krążą pogłoski, iż niejaki dr Severino Aninori już usiłował to zrobić. Gdyby eksperyment się powiódł, otrzymalibyśmy klona (bliźniaka) istniejącej już osoby. Niestety istnieje spore ryzyko, że cały proces może spowodować poważne defekty genetyczne u stworzonego embriona.



Jak to się robi?

Poza komórkami rozrodczymi (plemnik, jajeczko), każda komórka naszego ciała posiada pełen zestaw informacji zapisanych w kodzie DNA, by móc odtworzyć na ich podstawie kompletny organizm identyczny ze wzorcowym. Dzięki skomplikowanemu systemowi chemicznych substancji organizm ogranicza funkcje każdej komórki do pożądanych (inne funkcje mają komórki nerwowe, a inne np. komórki mięśni). Do niedawna nikt nie wierzył, że te „chemiczne pęta" da się zlikwidować i zmusić tym samym komórkę do zachowań innych niż te, które wykonywała od zawsze. A jednak udało się! Słynny już eksperyment, który dał światu owieczkę Dolly, przebiegał następująco. Od 6-letniej owcy pobrano DNA i zastąpiono nim oryginalne DNA jajeczka owcy. Do rozwoju jajeczko pobudzane było impulsami elektrycznymi. Z 277 prób wymuszenia podziału powiodło się tylko 29. Embriony wszczepiono owcom-nosicielkom – 13 z nich faktycznie zaszło w ciążę, jednak tylko jednej z nich udało się ją donosić. Niektórzy naukowcy twierdzili, że ponieważ Dolly powstała z 6-letniej komórki (a raczej kodu DNA), jej okres życia może ulec skróceniu ze standardowych dla owiec 11 lat do 5. Nic takiego jednak nie nastąpiło – Dolly ma teraz 7 lat i miewa się dobrze.

Historia badań

1997 – Dr Ian Wilmut z Uniwersytetu w Roslin w Szkocji klonuje owieczkę Dolly. Od tego czasu w instytucie sklonowano 7 innych owiec 3 różnych ras. Przypuszczalnie metodą szkockich naukowców można bez problemu klonować również inne ssaki, a może nawet ludzi.

1998 – Dr Ryuzo Yanagimachi z Uniwersytetu Hawajaskiego sklonował 22 myszy. Niektóre z nich to klony klonów. W tym samym roku badacze z Kinki University w Nara (wiem, to brzmi głupio:) wyklonowali 8 cielaków z jednego DNA krowy, z czego 4 przeżyły pierwsze tygodnie życia. Niedługo też trzeba było czekać na pierwszą próbę na ludziach. W grudniu 1998 naukowcy Kim Seung-bo i Lee Bo-yeon z Korei ogłosili, iż udało im się sklonować człowieka. DNA 30-letniej kobiety umieszczono w jej jajeczku. Koreańczycy odczekali, aż embrion podzieli się na 4 części. Na tym etapie embrion powinien zostać wszczepiony matce-nosicielce, jednak badacze nie zrobili tego, tłumacząc się innymi celami doświadczenia oraz wątpliwościami moralnymi.

2000 – do końca tysiąclecia udało się sklonować 8 gatunków zwierząt, między innymi myszy, krowy, rezusy (małpy), owce, świnie i szczury. W wyniku eksperymentów powstało od 3000 do 5000 sklonowanych osobników. Przy okazji natrafiono na problemy: losowo występujące błędy w uzyskanym kodzie prawdopodobnie spowodowane morderczym tempem, w jakim komórka musi przeprogramować się do swojej nowej roli.

Przez ostatnie dwa lata kilka organizacji i osób próbowało założyć klinikę klonowania ludzi (między innymi Richard Seeds z Illinois, dr Panayiotis Zavos z Lexington i dr Severino Antinori), lecz jak do tej pory nikt nie udokumentował przeprowadzenia udanego eksperymentu tego typu. Do prac nad sklonowaniem człowiek przyznaje się też otwarcie sekta Raelianów, której członkowie wierzą (między innymi), że gatunek ludzi powstał w laboratoriach Obcych i że zmartwychwstanie Jezusa dokonało się za sprawą klonowania.

Czy to moralne?

Wśród potencjalnych zalet klonowania ludzi wymienia się między innymi możliwość „przejścia" z rodziciela na klona wrodzonych i możliwych do odziedziczenia talentów (np. muzykalność itp.), jak również szereg możliwości, które oferowałoby parom niezdolnym do wyprodukowania potomstwa w sposób naturalny. Niestety, poważnych problemów technicznych i moralnych jest sporo. Nie ma pewności, czy klon urodzi się zdrowy. Podczas eksperymentów na zwierzętach rodziły się czasem osobniki zdeformowane, obciążone bardzo poważnymi defektami genetycznymi. Moglibyśmy więc stać się świadkiem scen w koszmarności nie ustępujących laboratorium z 4 części „Obcego". Istnieje też ryzyko, że stosowanie na dużą skalę klonowanie ludzi zlikwiduje różnorodność genetyczną naszego gatunku i zuboży pulę DNA ludzkości. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze wątpliwości moralne czy wolno eksperymentować na ludzkich embrionach, problemy natury emocjonalnej (jak rodzic będzie się zachowywał w stosunku do klona, który technicznie rzecz biorąc jest jego opóźnionym bliźniakiem) oraz religijnej (czy klon ma duszę?).



Dolly: sklonowana owca

Naukowcy z Roslin Institute w Edynburgu stworzyli owcę-klona, wykorzystując DNA z dorosłego zwierzęcia. Po przeniesieniu kodu genetycznego do niezapłodnionego jajeczka powstał embrion, który wszczepiono owcy-nosicielce, by się rozwinął w nowe zwierzę.

Owca dawczyni

Komórka macierzysta zostaje pobrana z ciała owcy A

Z niezapłodnionego jajeczka owcy B usuwane jest jądro komórkowe wraz z nicią DNA

Komórka pobrana z owcy A zastępuje jądro w jajeczku owcy B. Powstaje sklonowany embrion

Embrion

Embrion wszczepiany jest do łona matki-nosicielki...

...gdzie dzieli się i rośnie, jak każdy inny płód

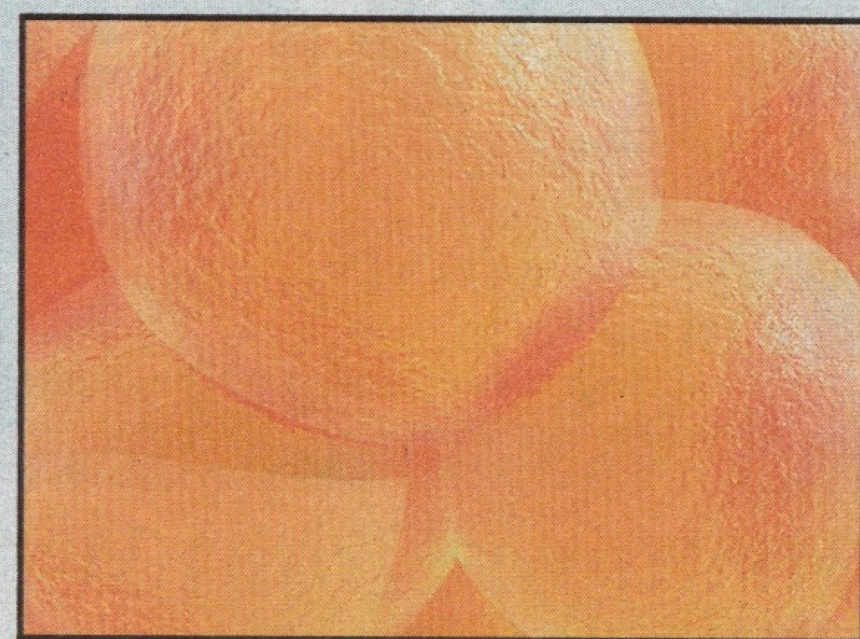
Na końcu procesu powstaje owca genetycznie identyczna z oryginalnym zwierzęciem

Klonowanie terapeutyczne (organów)

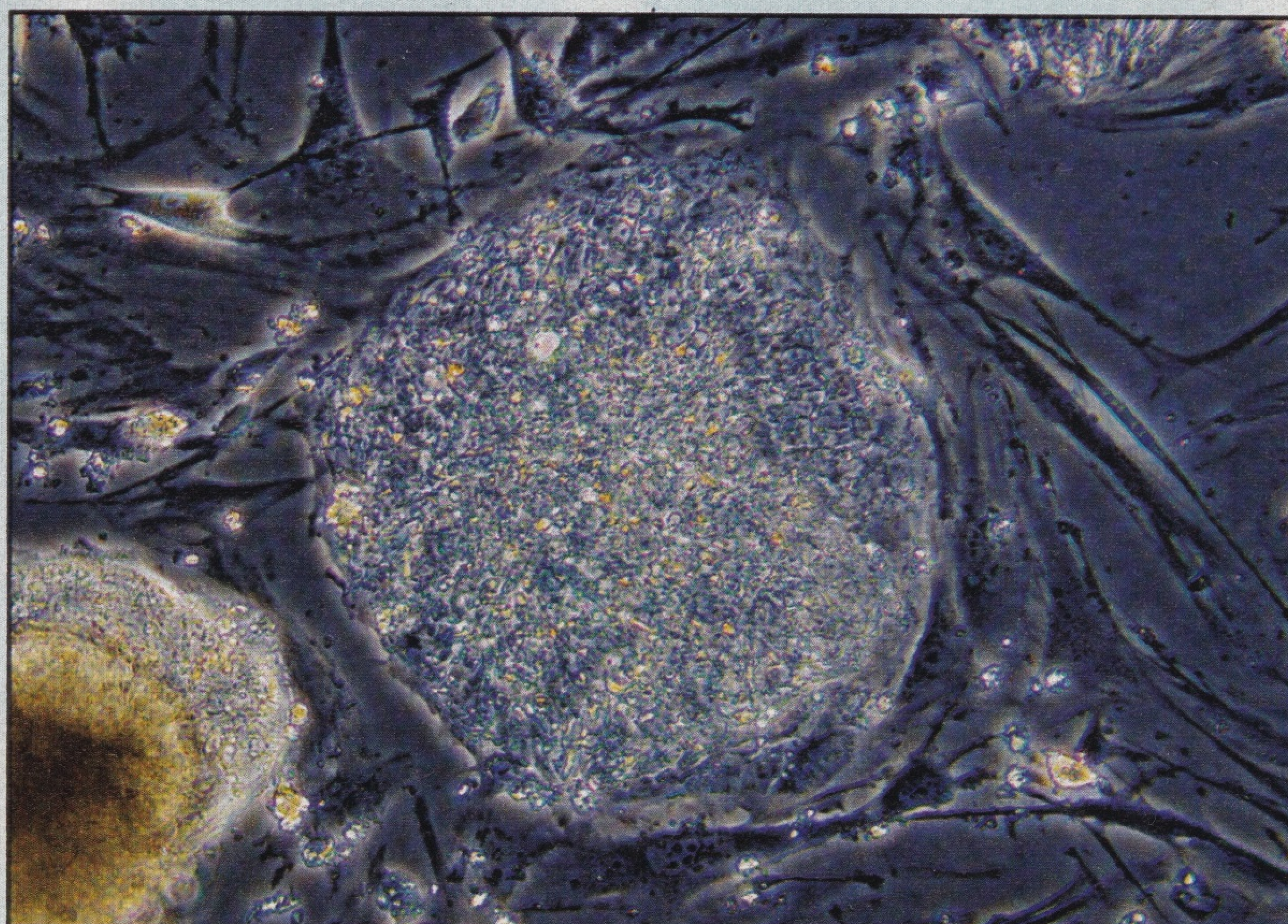
Technika, której pierwsze etapy są identyczne jak w przypadku klonowania reproduktywnego. Celem jest jednak nie wyklonowanie całego osobnika, a zmuszenie komórek do rozwinięcia się w konkretny organ, który potem może być wszczepiony osobie, która była dawcą komórek. To znacznie lepsza technika niż przeszczepianie organów od innych osób, gdyż chory dostaje organ identyczny z własnym, zaś ryzyko odrzucenia jest nikłe. Poza tym technika ta daje możliwość klonowania dowolnej ilości organów, co zlikwidowałoby skutecznie kolejki chorych czekających na przeszczep.

Jak to się robi?

Od dowolnej kobiety pobierane jest jajeczko, jego DNA zastępowane jest DNA chorego. Następnie komórka pobudzana jest impulsem elektrycznym do rozwoju. Gdy embrion dostatecznie się rozwinie, pobierane są z niego specjalne komórki, hemocytoblasty, które mogą rozwinąć się w dowolny organ ludzkiego ciała. Po odczekaniu stosownego czasu organ gotowy jest do przeszczepu. Jak dotąd żadnej klinice nie udało się przeprowadzić procesu w całości, ale to już tylko kwestia czasu.







Czy to moralne?

Zalety techniki klonowania organów są niezliczone – dziesiątki tysięcy chorych osób, desperacko potrzebujących przeszczepu, mogłoby dzięki niej otrzymać szansę na normalne życie. Co do ujemnych skutków i kwestii moralnych – nie różnią się one od tych wymienionych już wcześniej, więc nie będę się powtarzał. Niemniej chyba można stwierdzić, iż klonowanie organów jest najmniej kontrowersyjne ze wszystkich typów klonowania.

Modyfikacje genetyczne

Zrozumienie kodu genetycznego organizmów żywych pozwala nam nie tylko dociec, jak i czemu się one rozwijały, lecz również w rozwój ten ingerować. To trochę tak, jak dłubanie edytorem w plikach – gdy weźmiesz na warsztat save game'a od SIM CITY i odkryjesz, w którym miejscu zapisana jest informacja np. o ilości pieniędzy, które posiadasz, z powodzeniem możesz zastąpić ją inną (przeważnie większą:) sumą. W podobny sposób w łańcuchu DNA poszczególne geny (cegiełki) odpowiadają za różne parametry naszego organizmu. I tak na przykład jeden gen za kolor oczu, inny za masę ciała, jeszcze inny za odporność na taką czy inną chorobę. To kompletny plan budowy ciała ludzkiego, w którym każdy najdrobniejszy szczegół jest na swoim miejscu. Wiedząc, który gen za co odpowiada, możemy zmieniać właściwości roślin, zwierząt (i ludzi), przerabiając go, zastępując innym lub dodając do już istniejących genów zapożyczone od innych organizmów.
Modyfikacje genetyczne zaczęto przeprowadzać już w latach 70., głównie na roślinach uprawnych. Tak powstała tzw. żywność transgeniczna. W Stanach Zjednoczonych np. popularne stały się zmodyfikowane zboża, zawierające elementy odżywcze, dotąd niespotykane w tego typu uprawach. Tworzono rośliny bardziej odżywcze, bardziej odporne na warunki środowiskowe, itp. Do dziś powstały setki i tysiące nowych gatunków roślin, a my jemy je często, nawet nie wiedząc, że nie są naturalne. Od pewnego czasu daje się zauważyć swoistą psychozę – ludzie coraz bardziej boją się żywności transgenicznej, a najlepiej sprzedają się produkty z etykietką „100% natural".
Jak każda przesada, tak i to zjawisko do pozytywnych nie należy, choć trzeba przyznać, że jedzenie zmodyfikowanych genetycznie produktów może przynieść jakieś długofalowe ujemne skutki, o których na razie nie mamy pojęcia (bo nasze doświadczenie w tych sprawach jest na razie niewielkie – zaledwie 30 lat badań).
Ze zwierzętami sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, ale i tu naukowcy nie zamierzają długo czekać. Wyhodowano już między innymi całkiem łysego kota, dość monstrualne myszy (patrz zdjęcie – to NIE jest fotomontaż ani chora wyobraźnia grafika!), małpkę z genami meduzy i wiele, wiele innych dziwadeł. Choć cel jest kuszący, jednak efekty tych eksperymentów prezentują się dość przerażająco... Jak na razie nie przeprowadzano (przynajmniej jawnie) żadnych większych eksperymentów na ludziach. Może to i dobrze, gdyż zarówno sukces, jak i porażka takiego eksperymentu niosą wielkie ryzyko. W przypadku porażki obiekt testów umrze lub zostanie straszliwie zdeformowany i będzie cierpiał męki do końca swych nędznych dni. Gdyby jednak eksperyment zakończył się powodzeniem – obiekt stałby się zdrowszy, wyższy, mądrzejszy czy co tam sobie wymarzycie – czyż nie kusiłoby nas, by stworzyć nadistotę? Człowieka ewolucyjnie lepszego od swoich pobratymców? Lepiej przystosowanego, inteligentniejszego? Zaraz, zaraz. Przecież ktoś już kiedyś chciał to zrobić i skończyło się hekatombą. Chodzi oczywiście o faszystowskie Niemcy i ideę rasy panów. Czy przez te 60 lat, które minęły, zmądrzeliśmy, czy wyciągnęliśmy wnioski z historii? Patrząc na to, co dzieje się na świecie, szczerze wątpię. Umiejętność modyfikowania genów pod względem tworzenia stawia nas na równi z Bogiem, obawiam się jednak, że zupełnie nie jesteśmy na to gotowi...





Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer, archiwum Roslin Institute w Edynburgu

Tekst: Andrzej Zaremba

„For the taste of things to come"

Skomputeryzowani miłośnicy fantastyki otrzymają w najbliższym czasie szansę na przeżycie sporych atrakcji. I to niezależnie od tego, czy ktoś lubi gry szybkie i dynamiczne, czy też woli się poświęcić kontemplacyjnym rozrywkom ;)

Medieval Total War: Viking Invasion

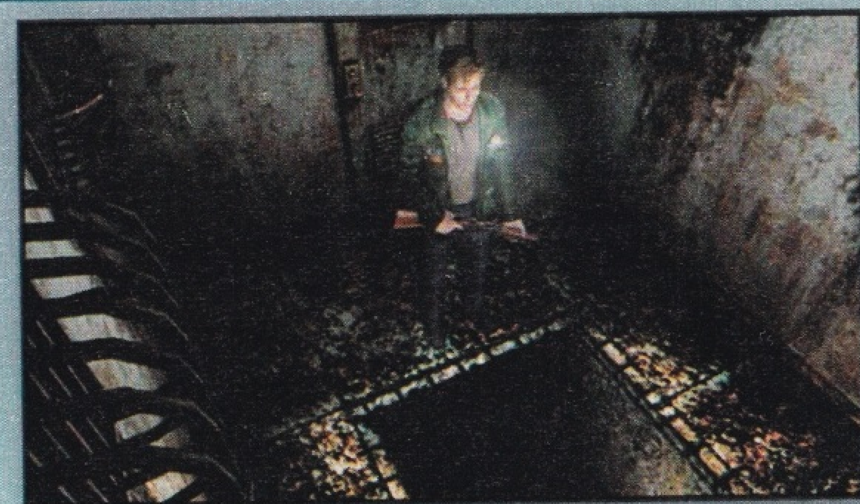


Prawdziwi stratedzy, taktycy i miłośnicy alternatywnej historii na pewno czują dreszczyk podniecenia, wiedząc, że już na wiosnę pojawi się gra będąca kontynuacją największego strategicznego hitu wszech czasów. Tym razem graczy czeka podróż do IX wieku i walka o Wyspy Brytyjskie. Saksoni, Piktowie, Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy, mieszkańcy Mercii i Northumbrii tłuką się ile wlezie między sobą, ale rychło stają wobec nowego wyzwania: ze wschodu przybywają morscy rabusie – Wikingowie. W Viking Invasion będziesz mógł rozegrać kampanię, prowadząc każdy z ośmiu narodów walczących o Wyspy Brytyjskie. Zająć się gospodarką, militariami, dyplomacją, handlem, podbojem nowych prowincji oraz poprowadzić do boju wielotysięczne armie (na pięknie przygotowanych trójwymiarowych mapach). Ale to nie wszystko. Viking Invasion oferuje też szereg zmian w grze-matce (która dotyczy już całej średniowiecznej Europy). Tym razem możliwe stanie się prowadzenie kampanii takimi państwami jak Aragonia i Węgry, pojawią się też nowe oddziały wojskowe i możliwość wznoszenia nowych budynków. Ulepszeniu zostaną poddane niektóre elementy interfejsu, a także opcje taktyczne (między innymi atrakcyjniejsze staną się oblężenia zamków, a armie zyskają możliwość prowadzenia zaawansowanego zwiadu).

Gatunek:	strategia turowa/RTS
Producent:	Activision
Cena:	nie ustalono
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	szykuje się trzęsienie ziemi



Silent Hill 2



Wielki konsolowy hit (znany jeszcze na PSX) pojawi się na naszych pecetach. Co prawda właściciele PlayStation 2 niedługo będą mogli poznać już trzecią odsłonę gry (a prowadzone są prace nad czwartą), ale i tak warto przyjrzeć się bliżej temu niesamowitemu programowi. Dlaczego niesamowitemu? Otóż dlatego, że seria Silent Hill jest powszechnie uważana za jeden z najsprawniej zrealizowanych horrorów w historii gier. Zresztą, już sam początek fabuły jest całkiem zajmujący. Oto wcielasz się w postać Jamesa Sunderlanda, człowieka, który otrzymuje od dawno niewidzianej żony liścik z propozycją spotkania. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że James ostatnio widział żonę... w trumnie. Gdyż zmarła ona kilka lat wcześniej. Teraz przybywa na wyznaczone miejsce i staje przed możliwością wyjaśnienia potwornych tajemnic.



Silent Hill 2 to gra przeznaczona tylko i wyłącznie dla dorosłych. Przesiąknięta jest mroczną atmosferą, pełna grozy i okrucieństwa. Nastrój dodatkowo potęguje wspaniała, trójwymiarowa grafika, dzięki której zarówno postacie, jak i scenografie nabierają niepokojąco realistycznych kształtów. Jeśli wspomnimy jeszcze o rewelacyjnej ścieżce muzycznej oraz idealnie przygotowanych efektach specjalnych, to wiadomo już, że tej gry nie będzie mógł ominąć żaden miłośnik horroru.

Aha, i rada na koniec: grać tylko w nocy, w ciemnych pokojach, bez obecności postronnych „przeszkadzajek". Efekty gwarantowane!



Gatunek:	przygodowa
Producent:	Konami
Cena:	169 złotych
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	totalny odjazd dla miłośni9ków grozy

Warcraft III: The Frozen Throne



Seria firmy Blizzard należy (zwłaszcza dzięki rewelacyjnemu trybowi gry wieloosobowej) do najpopularniejszych strategii czasu rzeczywistego w historii. Tym razem będziesz miał okazję poznać rozszerzenie do trzeciej części gry, uczestnicząc w walce o fantastyczną krainę Azeroth. Poprowadzisz wojska czterech ras: Nocnych Elfów, Ludzi, Nieumarłych oraz Orków. Dla pierwszych trzech nacji przewidziano jedną, wspólną kampanię, natomiast Orkowie będą mieć swój własny scenariusz. Fabuła The Frozen Throne opowiada o poszukiwaniach grobowca Nerzhula – potężnego władcy Nieumarłych, a głównymi bohaterami są rycerz śmierci Arthas oraz elficki zdrajca Illdian.

W porównaniu z grą-matką zaszły pewne interesujące zmiany. Po pierwsze, każda rasa zyska nową jednostkę oraz możliwość wznoszenia specjalnych budynków. Po drugie, wzbogacona zostanie oferta handlowa neutralnych gmachów, a czekający na wynajęcie neutralni bohaterowie pojawią się, dysponując unikalnymi zdolnościami. Poza tym autorzy stworzyli nową, ulepszoną wersję edytora map oraz przygotowują zestaw odrębnych scenariuszy, napisanych zarówno z myślą o wersji single, jak i multiplayer.

W lutym firma rozpoczęła szeroko zakrojone (pięć tysięcy osób) beta testy programu.

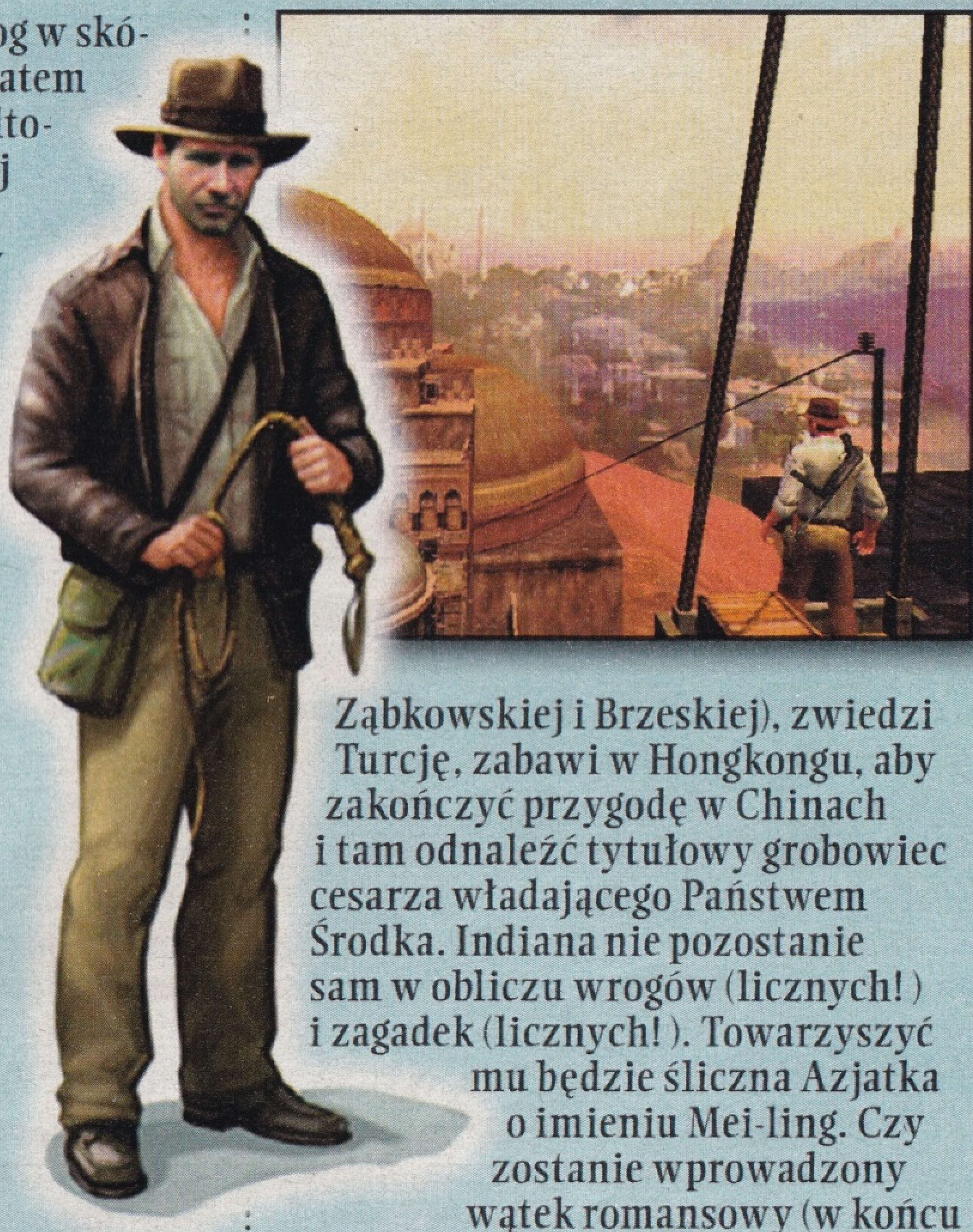




Gatunek:	RTS
Producent:	Blizzard
Cena:	poniżej 100 złotych
Termin:	wiosna/lato 2003
Ocena:	będzie wielki hit

Indiana Jones and the Emperor Tomb

Indiana Jones – archeolog w skórzanym kapeluszu i z batem w dłoni – to jedna z kultowych postaci współczesnej pop kultury. Twórcy gier postanowili po raz kolejny pokazać nam nowe przygody Indy'ego. Tym razem sławny archeolog wybierze się na Cejlon. Ale to tylko początek przygody. Indiana – prawdziwy globtrotuar ;) – wpadnie na chwilę do Pragi (tej czeskiej, a nie na róg Ząbkowskiej i Brzeskiej), zwiedzi Turcję, zabawi w Hongkongu, aby zakończyć przygodę w Chinach i tam odnaleźć tytułowy grobowiec cesarza władającego Państwem Środka. Indiana nie pozostanie sam w obliczu wrogów (licznych!) i zagadek (licznych!). Towarzyszyć mu będzie śliczna Azjatka o imieniu Mei-ling. Czy zostanie wprowadzony wątek romansowy (w końcu kim byłby Jones bez jakiejś uroczej flamy?), tego autorzy jeszcze nie zdecydowali, ale gra na pewno ma być przede wszystkim pełna dynamiki. A więc nie miłosna opowieść ani statyczne i żmudne rozwiązywanie zagadek, lecz bijatyki, pościgi, strzelanina. Skakanie, pływanie i wspinanie się. Pokonywanie wrogów za pomocą pięści, chwytów judo, bata, pistoletu czy karabinu. Oczywiście Emperor Tomb nie będzie tylko zręcznościową nawalanką. Ogromną rolę odegrają elementy przygodowe (rozmowy z napotkanymi postaciami) oraz rozwiązywanie logicznych zagadek.







Gatunek:	zręcznościowo-przygodowa
Producent:	Lucas Arts
Cena:	169 złotych
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	dla fanatyków

Black & White 2



Pierwsza część tego programu zbierała rewelacyjne oceny. Przynajmniej na samym początku, bo kto pograł dłużej, orientował się, iż z czasem zabawa stawała się niemożliwie nudna. Legendarny Peter Molyneux – jedna z największych osobistości „growego" rynku – powraca na arenę z kontynuacją swego ostatniego hitu. I tak jak poprzednio zostaniesz ni mniej ni więcej, tylko bogiem. Bogiem, którego twoi poddani będą sławić z uśmiechem i miłością lub którego imienia wezwą, składając krwawe ofiary i pustosząc osady sąsiadów (wyrzynając, gwałcąc oraz paląc... yes, yes, yes!). Wybór należy tylko do ciebie, musisz jednak pamiętać, że w tym świecie nie będziesz jedynym bogiem i przyjdzie ci zmierzyć się z innymi nadprzyrodzonymi istotami. A ty będziesz silny siłą swych wyznawców oraz mocą potężnych stworzeń – Chowańców.

Black&White 2 przejdzie pewną ewolucję w porównaniu do pierwszej części. Mniej będzie zarządzania społecznością, a więcej wojen. Za to jedno pozostanie takie samo: rewelacyjna, trójwymiarowa grafika i znakomicie skonfigurowana Sztuczna Inteligencja.







Gatunek:	strategiczna
Producent:	Elektronic Arts
Cena:	nieznana
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	dla fanatyków

Gothic II



Gothic – jedna z ciekawszych i lepiej przyjętych na rynku gier role-playing – opowiadała o odizolowanej kolonii więźniów poddanych katorżniczej pracy. Główny bohater trafiał do tego zamkniętego i rządzącego się swoimi prawami świata. Część druga gry kontynuuje tę historię. Magiczna bariera odgradzająca skazańców została zniszczona i hordy dawnych niewolników wydostały się na wolność. Teraz pustoszą i plądrują kraj, a nikt nie jest w stanie im się przeciwstawić. Królewskie wojska i milicje potrafią zapewnić bezpieczeństwo jedynie w obrębie miast, a prowincja jest wydana na pastwę bandytów. Wcielając się w głównego bohatera gry, będziesz musiał poradzić sobie z chaosem ogarniającym kraj i doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca.

Gothic II – podobnie jak jego poprzednik – pozwoli na poprowadzenie przygody w pięknym, trójwymiarowym i rozległym świecie. Co ważne, jedną z głównych zalet programu stanie się interaktywność otoczenia, a bohater będzie miał przed sobą wiele alternatywnych dróg postępowania.



Gatunek:	role-playing
Producent:	JoWood
Cena:	poniżej 100 złotych
Termin:	lato 2003
Ocena:	napewno dobra zabawa



Lionheart

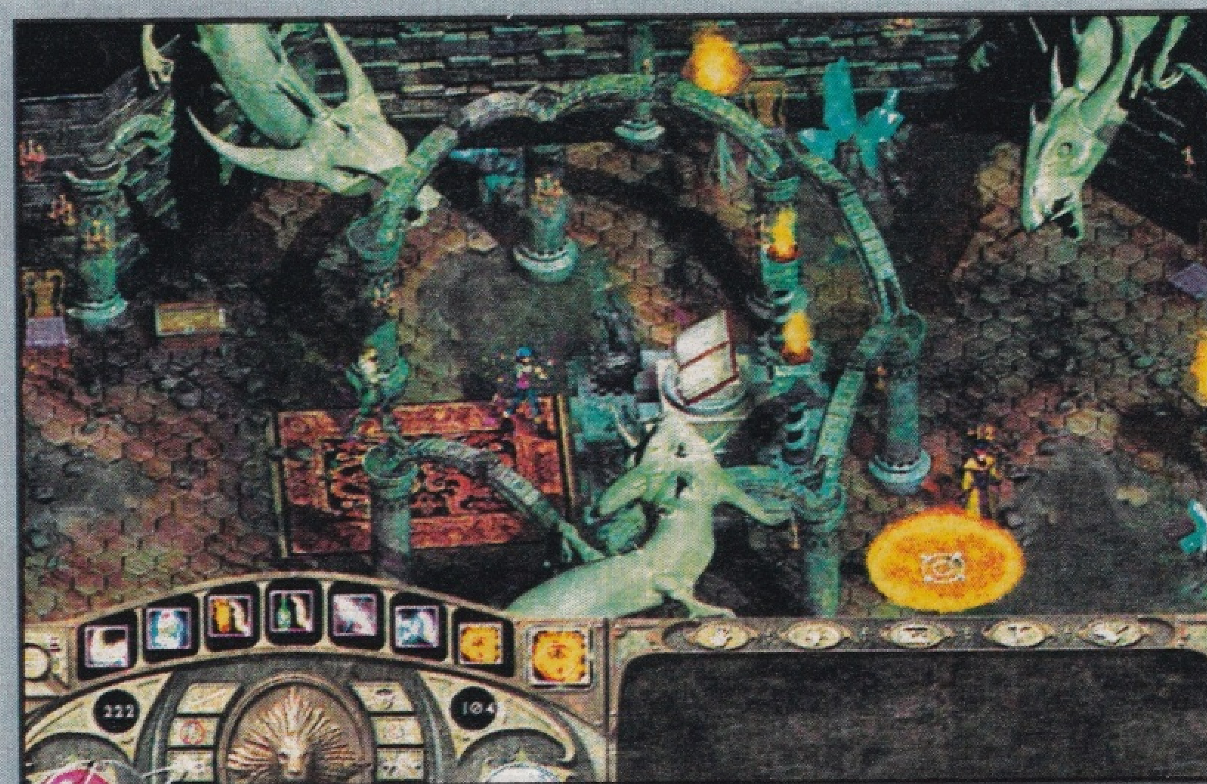
Seria Fallout była na rynku role-play prawdziwym objawieniem i miłośników gatunku przykuła do komputerów na długie miesiące. Miło więc wiedzieć, że firma Black Isle Studio współpracuje w tej chwili przy tworzeniu programu opartego na idei Fallouta. Tyle że akcja gry Lionheart (termin ten oznacza Lwie Serce i był przydomkiem angielskiego władcy Ryszarda, znanego między innymi z wielu hollywoodzkich filmów o wyprawach krzyżowych) toczyć się ma w XVI-wiecznej Europie. Ale dziwna jest ta Europa. Historia potoczyła się w tym alternatywnym świecie zupełnie inaczej niż w naszej rzeczywistości. W czasie trwania Trzeciej Wyprawy Krzyżowej świat przeżył kataklizm, w wyniku którego pojawiła się na nim magia oraz przeróżne fantastyczne i demoniczne istoty.



Zjawienie się tych zupełnie nowych sił spowodowało sojusz pomiędzy Ryszardem – królem Anglii i władcą niewiernych – Saladynem.

Gracz pojawia się w tym świecie w prawie 400 lat po magicznym kataklizmie. Jest właśnie XVI wiek, a na Ziemi rządzą magia oraz renesansowa technika. Ogromną rolę odgrywają również siły Świętej Inkwizycji, która ma chronić ludzi przed demonicznymi stworami. Generalnie trwa walka pomiędzy tymi, którzy twierdzą, że należy korzystać z sił magii, oraz tymi, którzy sądzą, że remedium na wszelkie sprawy nadnaturalne są żelazo i stos.

Lionheart, podobnie jak seria Fallout, to gra, w której ogromną rolę odegra fabuła. Zadaniem sterowanego przez ciebie bohatera będzie zwiedzanie ogromnego świata, poznawanie rządzących nim praw, odkrywanie mrocznych tajemnic i zawiłych intryg. W czasie swej podróży wykonasz dziesiątki przeróżnych, mniej lub bardziej skomplikowanych, misji i będziesz miał okazję rozmawiać z setkami postaci, zarówno przyjacielsko, jak i wrogo nastawionych. Oczywiście w role-play nie może zabraknąć walki. Będziesz miał okazję zmierzyć się z przeszło stoma gatunkami przeciwników – od postaci właściwych dla epoki, aż po wymyślne, mitologiczne i demoniczne stworzenia.



Podobnie jak w Fallout, zobaczysz w Lionheart skomplikowany, bogaty (ale zrozumiały i sprawdzający się w praktyce) system charakterystyk. Twój bohater zostanie bardzo dokładnie określony, poznasz jego wady i zalety oraz specjalne umiejętności. W miarę trwania przygody heros zyska punkty doświadczenia, nowe poziomy doświadczenia, rozwinie cechy i zdolności oraz pozna specjalne, właściwe tylko jemu, umiejętności. Generalnie Lionheart opowiada o przygodach samotnego bohatera – tylko jego stworzysz od A do Z i o jego rozwoju będziesz decydować. Ale twój heros w trakcie podróży może poznać osoby, które zechcą się do niego przyłączyć (maksymalnie trzy). Jednak gracz nie zyska nad tymi postaciami pełnej kontroli.

Autorzy przewidzieli pewną, dość ubogą formę rozgrywki wieloosobowej. Otóż możesz wraz z trojgiem przyjaciół stworzyć grupę bohaterów i wziąć udział w przygodzie. Niestety, tej samej, co w trybie single player. Wątpię więc, aby kogokolwiek zainteresowało takie rozwiązanie.



Pewne zastrzeżenia może budzić fakt, iż twórcy zdecydowali się kontynuować zwyczaj tworzenia gier w grafice 2D. Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach – czasach Morrowinda, Dungeon Siege i Neverwinter Nights – jest to dobry pomysł. Oczywiście w Lionheart uwaga zostanie skierowana na fabułę, a nie dynamiczną akcję, ale jednak... Z drugiej strony mamy liczne przykłady, że RPG 2D nadal potrafi się obronić. Przypomnijmy tylko cudowne Arcanum czy choćby wzmiankowany już cykl Fallout. Tak więc: zobaczymy.



Gatunek:	RPG
Producent:	Black Isle
Cena:	poniżej 100 złotych
Termin:	wiosna/lato 2003
Ocena:	będzie wielki hit

Ghostmaster

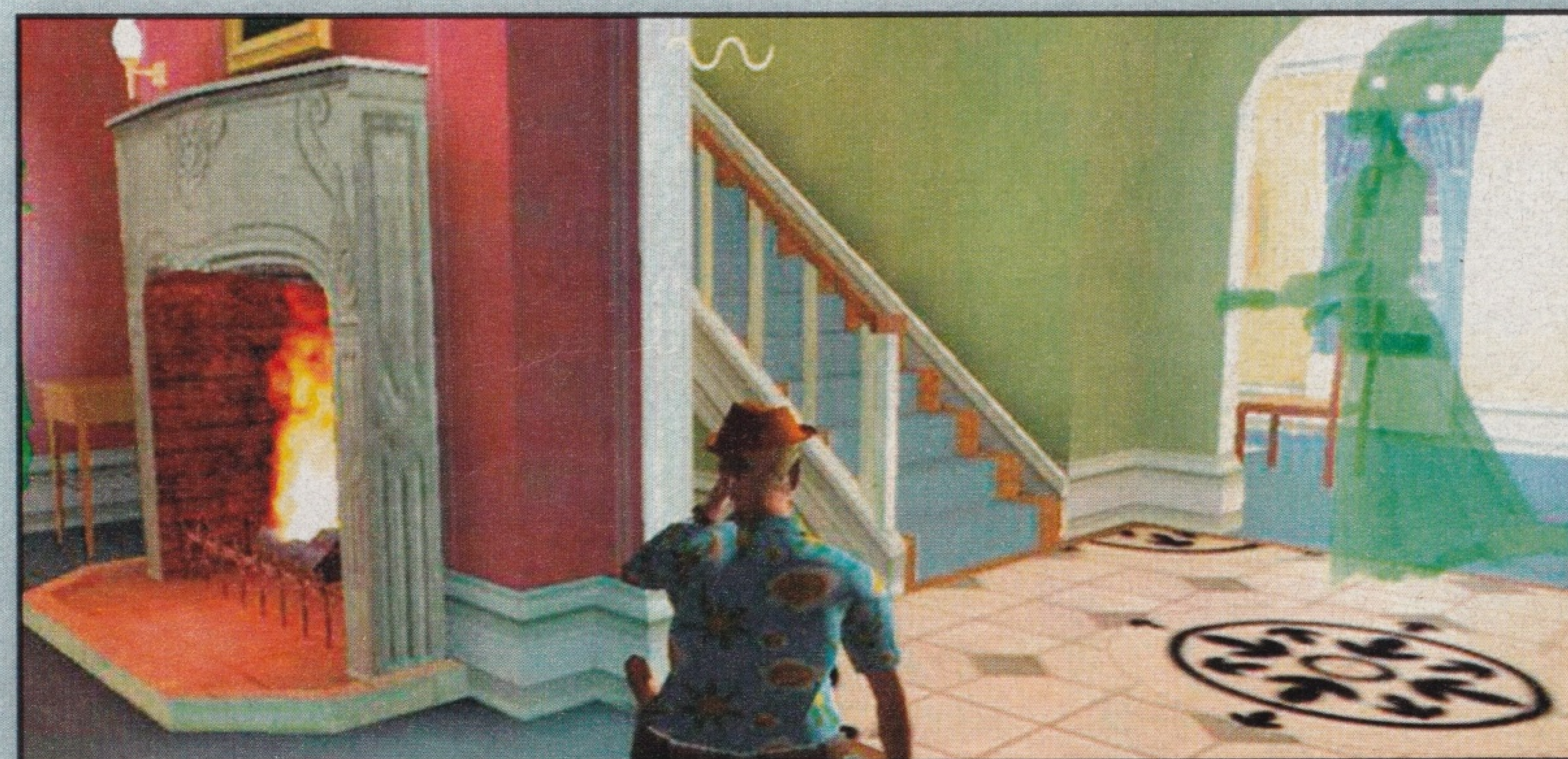
Byłeś kiedyś w nawiedzonym domu? Widziałeś dziwne, mgliste postacie snujące się po piętrach, piwnicach i strychach? Słyszałeś brzęk łańcuchów, potępieńcze jęki i upiorne wycia? Widziałeś, jak przedmioty same się przesuwają, a na meblach zostają wilgotne ślady ektoplazmy? Jeżeli nie widziałeś i nie słyszałeś tego wszystkiego, to na pewno program Ghostmaster będzie dla ciebie dobrym poradnikiem dotyczącym duchów. W dodatku to ty staniesz na czele duchowej hałastry ;) i zajmiesz się tym, co nadnaturalne istoty kochają najbardziej: STRASZENIEM! Oczywiście straszenie nie będzie takie proste. Otrzymasz do dyspozycji przeszło 20 gatunków duchów, a każdy będzie dysponował sobie tylko znanymi zdolnościami i cechami (łącznie ze wszystkimi odmianami duchy posiadać będą około 150 umiejętności). W zależności od sytuacji wyślesz na przykład Jeźdźca Bez Głowy, który zacznie siać strach na okolicznych drogach, złośliwego Gremlina, wnikającego do przedmiotów mechanicznych i powodującego ich awarię, lub przerażającą Banshee, paraliżującą zawodzeniem każdego, kto usłyszy jej płacz.



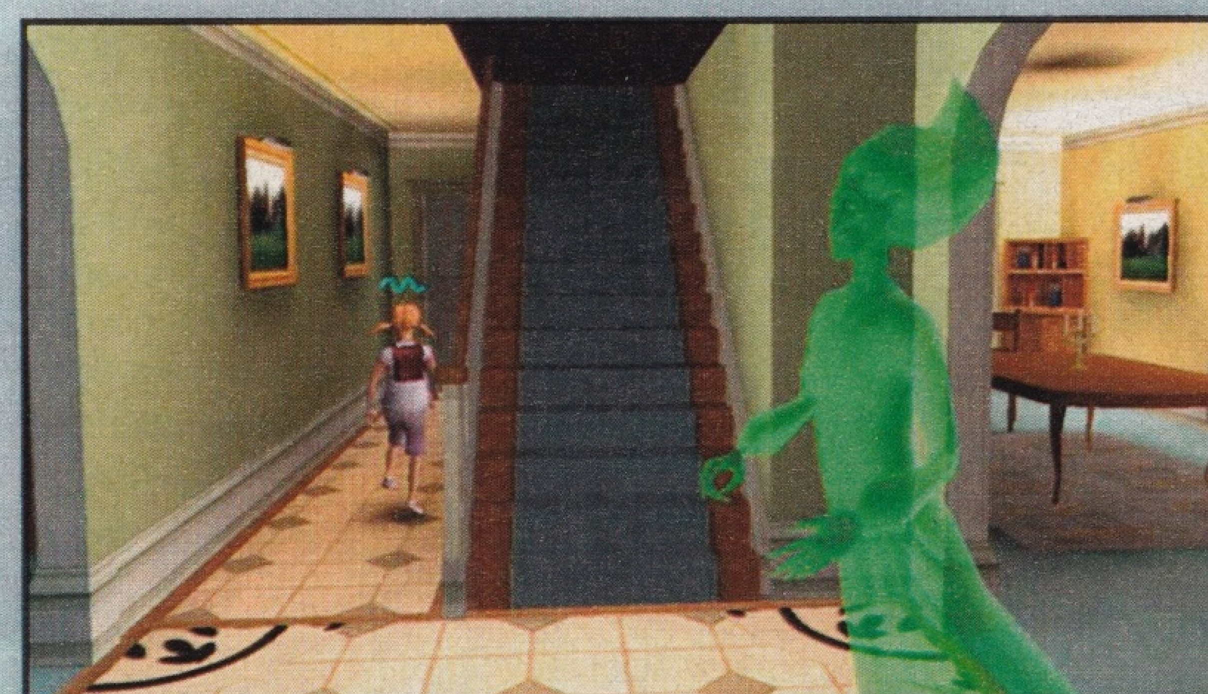
Jako przywódca i „kolega kierownik" duchów zyskasz możliwość obserwowania świata z perspektywy każdego ze swoich podwładnych, a także wcielenia się w człowieka, który został przez ducha opętany.

Co jest największą radością dla niebijącego już od lat serduszka zmory, ducha lub innego upiora? Prawdziwym miodkiem jest widok przerażonego, a najlepiej oszalałego ze strachu człowieka! W dodatku w samej grze to przerażenie pełnić będzie bardzo ważną rolę. Otóż im bardziej wystraszysz ludzi, tym więcej zgromadzisz punktów ektoplazmy, a co za tym idzie, tym sprawniej korzystać będziesz ze specjalnych, wyjątkowych mocy.

Grafika Ghostmaster, jak widać na załączonych obrazkach, jest niestety utrzymana w stylu cartoonowo-dobranockowym. Sądzę, że to błąd twórców, bo moim zdaniem aż prosiłaby się tu realistyczna grafika w stylu konsolowych horrorów, takich jak serie Silent Hill czy Resident Evil. No ale widać, że autorzy chcą nie tylko nas przestraszyć, ale również razem z nami się pośmiać. Poza tym z całą pewnością chodziło również o to, by gra nie została zaklasyfikowana jako produkt tylko dla graczy dorosłych, co mogłoby poważnie wpłynąć na wyniki sprzedaży.



W Ghostmaster nie przewidziano trybu rozgrywki wieloosobowej.



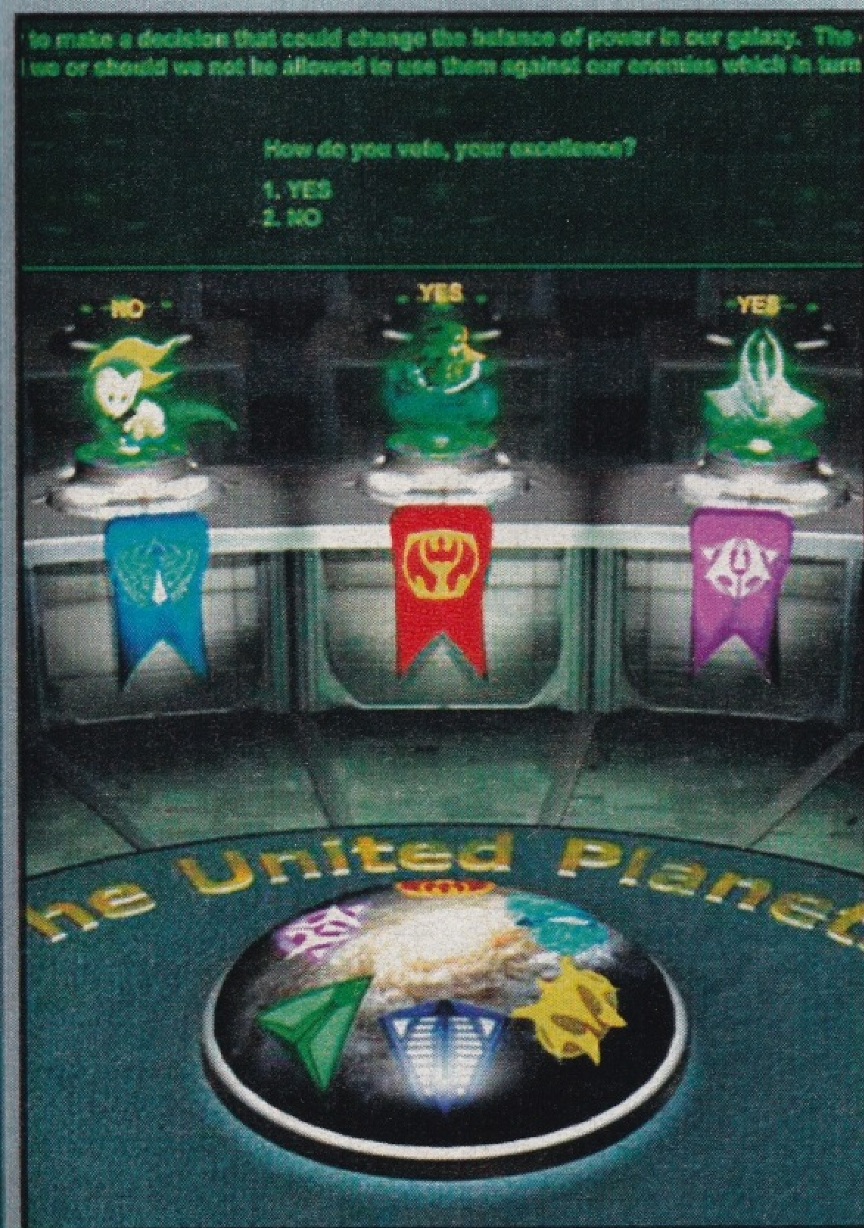
Gatunek:	strategiczno-menadżerska
Producent:	Empire
Cena:	nieznana
Termin:	wiosna/lato 2003
Ocena:	zobaczymy

Galactic Civilization

Podbój Kosmosu, zasiedlenie dalekich planet, poruszanie się po przestrzeni kosmicznej jak po własnym podwórku, opanowanie sił natury i kontakt z obcymi formami życia to marzenia naszej cywilizacji od wielu lat, a może nawet stuleci. Twórcy gier próbują nam przybliżyć ten problem. Ani moje, ani wasze pokolenie zapewne nie doczeka już panowania ludzkiego rodzaju w Kosmosie (tragedia wahadłowca Columbia udowodniła, jak daleko nam jeszcze do perfekcji), ale w końcu możemy sobie pozwolić na puszczenie wodzy wyobraźni. Twórcy z firmy Strategy First (znanej ze świetnej serii fantasy zatytułowanej Disciples) postanowili stworzyć konkurencję dla Master of Orion III – ostatniej odsłony najsłynniejszego cyklu dotyczącego podboju Kosmosu. Galactic Civilization – bo o tej grze mowa – będzie strategią turową, w której zajmiesz się wszelkimi aspektami rozwoju cywilizacji mającej opanować Wszechświat.



Zabawę rozpoczynasz w 2178 roku, w chwili, kiedy ludzkość poznaje metodę szybkiego podróżowania do gwiazd. Oczywiście efekt jest taki jak przy zasiedlaniu Dzikiego Zachodu: wszyscy rzucają się na poszukiwanie przygody, surowców oraz miejsca do lepszego życia. Ale nie należy zapominać o tym, iż Kosmos nie jest pusty, a dobry Pan Bóg stworzył w nim inne rozumne gatunki. Niektóre przyjazne, a niektóre wrogie. Twoim zadaniem stanie się poprowadzenie ludzkości ku pełnej chwały przyszłości. Galactic Civilization ma być, co ciekawe, grą w dużej mierze odwzorowującą stosunki polityczne. Nie jesteś więc samowładnym panem i imperatorem, którego każde słowo jest rozkazem dla poddanych. By skutecznie rządzić, musisz postępować rozsądnie, rozważnie i myśleć o kilku ruchach naprzód. Potężny Senat, skupiający przeróżne frakcje polityczne, jest władny w każdej chwili powiedzieć ci głośno: nie! i wysłać na zasłużoną emeryturę. Aby zapewnić sobie popularność, musisz umiejętnie lawirować pomiędzy różnymi partiami politycznymi i każdej z nich móc zaoferować coś cennego. Być może przypominać to będzie społeczno-polityczną grę, jaką musiałeś prowadzić w świetnej symulacji społeczeństwa, zatytułowanej Tropico.



Oczywiście na pierwszy rzut oka problem wydaje się łatwy do rozwiązania: człowiekowi, aby był szczęśliwy, należy dać dobrze zjeść, dobrze zarobić i zapewnić godziwe rozrywki. Ale jak to wygląda w praktyce, to wszyscy dobrze wiemy, patrząc chociażby na złodziei i nieudaczników rządzących Polską.

Twórcy gry zadecydowali, że aby uatrakcyjnić zabawę, będziesz mógł na początku każdej kampanii określić cechy swego społeczeństwa, posługując się systemem podobnym nieco do tego znanego z gier role-play (i z serii Master of Orion) . W zależności od tego, jak wiele czasu chcesz poświęcić na zabawę, będziesz mógł zadecydować o podboju malutkiej galaktyki, jak i ogromnego, ogrooomnego uniwersum zapełnionego setkami systemów gwiezdnych (znowu kłania się Master of Orion) . Gracze niedoświadczeni mogą tak skonfigurować program, by napotkane obce cywilizacje zachowywały się pasywnie i przyjaźnie, a gracze żądni trudnych wyzwań mogą ustalić agresywny i ekspansywny model zachowania.

Gra nie od parady ma w tytule słówko „civilization", bo nawiązania do słynnego programu Sida Meiera są aż nazbyt wyraźne. Jako przywódca Ziemian będziesz decydować o pełnym rozwoju społeczności: nauce, ekonomii i handlu, sprawach socjalnych, militariach, rozbudowie infrastruktury gospodarczej i, last but not least, planach ekspansji kosmicznej.

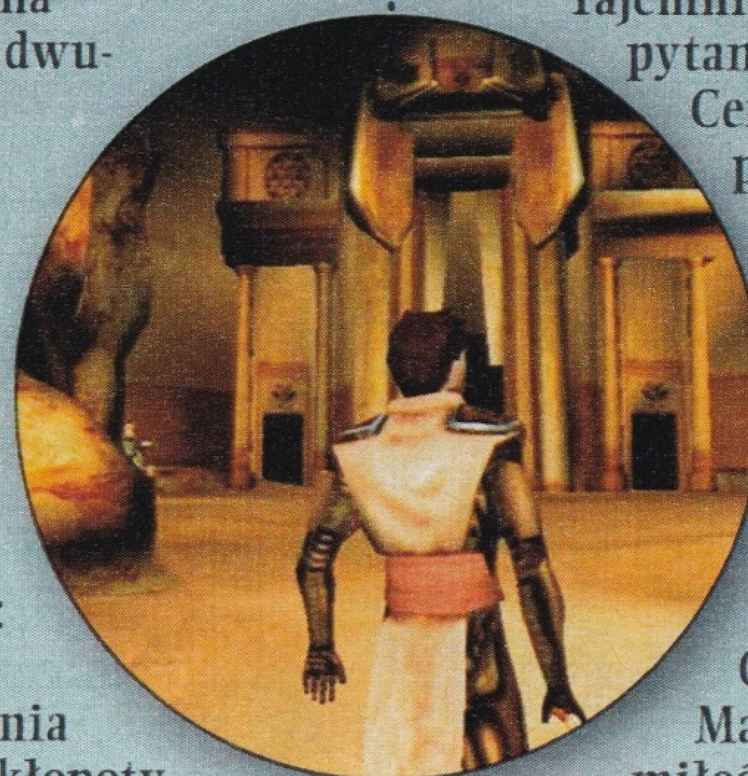
Podobnie jak w Master of Orion cel, czyli zwycięstwo i objęcie galaktycznego przywództwa, będziesz mógł osiągnąć na niejeden sposób. Jasne, najprościej wyrżnąć wszystkich w pień (w końcu dobry Obcy, to martwy Obcy!), ale może lepiej wykazać się nieco większą finezją? Dokonać podboju cywilizacyjno-kulturowego? Albo przyjąć czołobitny hołd innych cywilizacji, które zobaczą w tobie niezrównanego polityka? Co ciekawe twórcy nie próbowali nawet zabrać się za zrealizowanie opcji rozgrywki wieloosobowej. Może uznali, że rzecz nie warta jest zachodu, bo sieciowcy i tak chętniej sięgną po programy znacznie bardziej dynamiczne od turowych strategii?



Gatunek:	strategia turowa
Producent:	Strategy First
Cena:	poniżej 100 złotych
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	powinno być dobrze

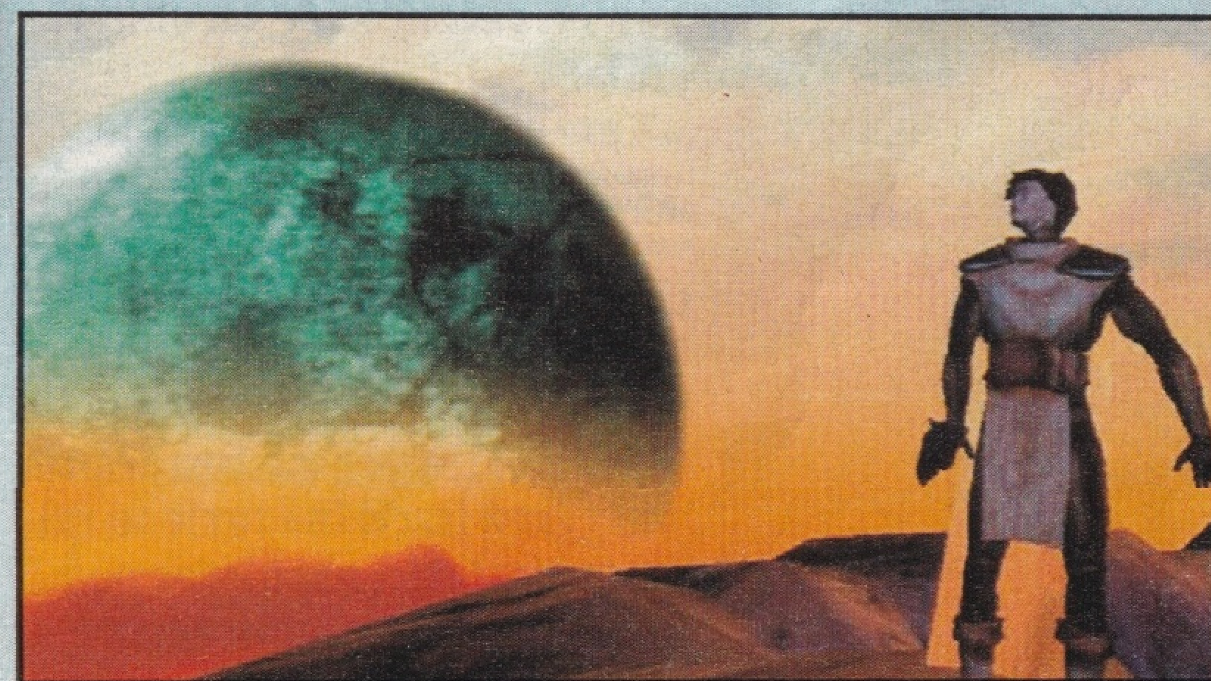
Frank Herbert's Dune

Biedny Frank Herbert przewracałby się w grobie, widząc, co ludzie z firmy Cryo zrobili z jego pięknym i bogatym światem (opisywanym na łamach wielu książek i dwukrotnie sfilmowanym). Dune jest połączeniem gry przygodowej i zręcznościowej, zrealizowanym w najgorszym stylu firmy Cryo. Co gorsza, program pełen jest denerwujących błędów. Oto przykłady: Paul Muad'dib, którym sterujesz w czasie trwania przygody, ma ogromne kłopoty zarówno z chodzeniem, jak i walką. Fabuła jest pretekstowa, a dialogi beznadziejnie ubogie. Nie można zapisywać stanu gry w czasie trwania misji. Grafika (zarówno postacie, jak i tekstury) jest kiepska, rozpikselizowana i kanciasta. Gracze mają kłopoty ze skomplikowanym interfejsem. Niektóre elementy zręcznościowe rażą zawyżonym stopniem trudności. Wystarczy? Chyba wystarczy!



Tajemnicą pozostaje dla mnie pytanie, dlaczego firma Cenega decyduje się na publikację tego „shitu", który ukazał się na Zachodzie niemal dwa lata temu i zebrał fatalne oceny (np. Game Industry News – 0,5/5, Computer Gaming World – 1/5, PC Gamer – 25/100, Game Spot 3,3/10).

Mam nadzieję, że żaden miłośnik świata Diuny nie zdecyduje się na kupienie tej gry, bo można sobie tylko obrzydzić piękne książkowe lub filmowe wspomnienia. Jak to dobrze, że miłosierny Pan Bóg ocalił nas od firmy Cryo i zesłał na tych lamerów klątwę bankructwa!

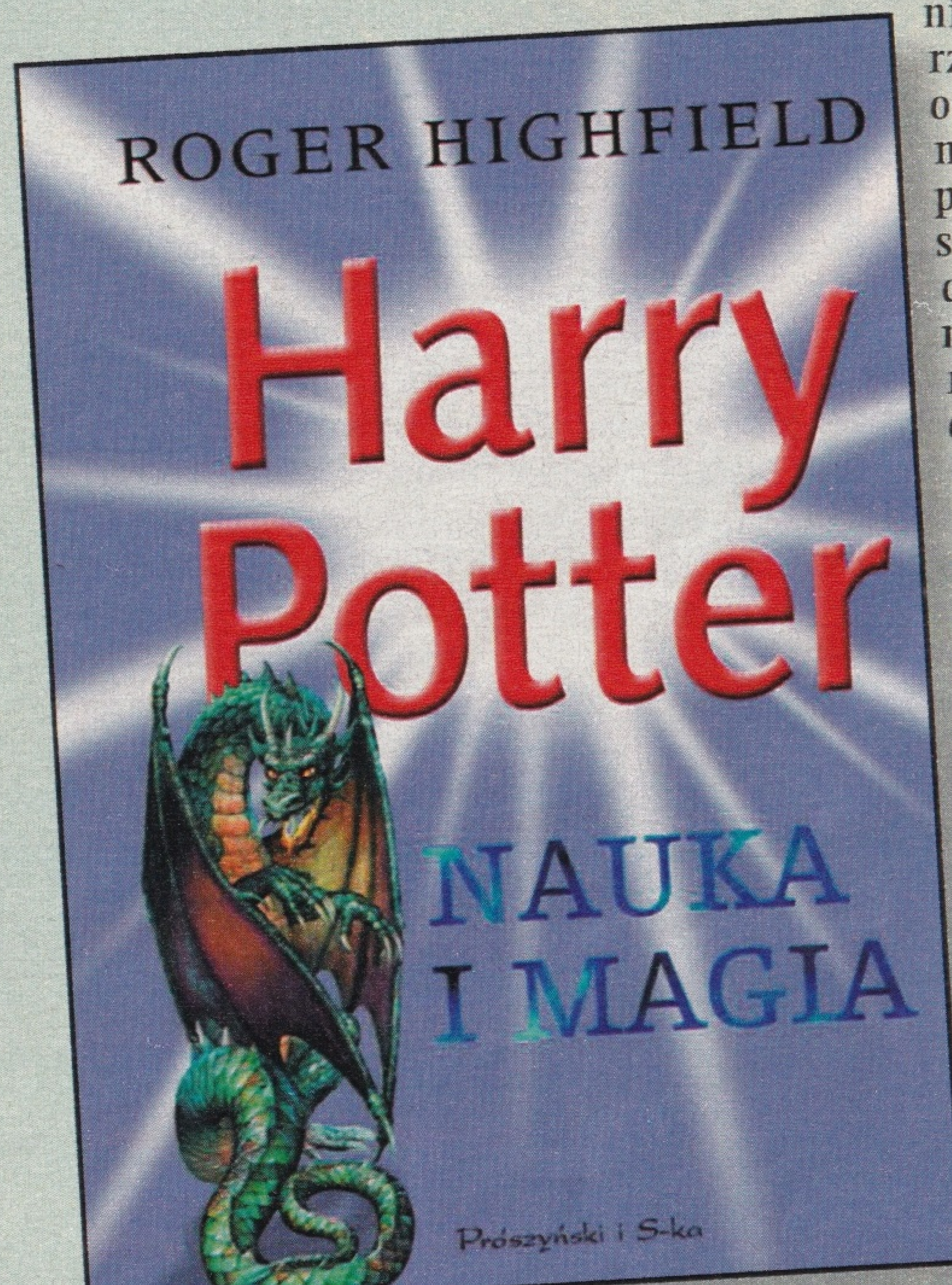


Gatunek:	przygodowo-zręcznościowa
Producent:	Cyro
Cena:	79 złotych
Termin:	wiosna 2003
Ocena:	absolutne dno

Tekst: Paweł Ziemkiewicz

Co nowego – książki

Latające miotły antygrawitacyjne



Cały świat opanowała potteromania. Tym razem jednak do rąk polskich czytelników trafiła książka opowiadająca nie o samym Harrym Potterze i jego przyjaciołach, lecz o naukowych podstawach... magii. Autor, znany i ceniony publicysta popularnonaukowy, stara się przystępnie przybliżyć czytelnikom różne aspekty magii i wytłumaczyć działanie rozmaitych czarów w oparciu o najnowsze odkrycia naukowe. Omawiając poszczególne zagadnienia magiczne (np. latające miotły, smoki, pelerynę-niewidkę czy kamień filozoficzny), autor wprowadza czytelnika w świat rzeczywistych odkryć naukowych i zastanawia się, jak przy pomocy znanych i poznanych metod można osiągnąć efekty podobne do magicznych. Dzięki temu czytelnik zostaje wprowadzony w teorie fizyczne leżące u podstaw możliwych zastosowań antygrawitacji (na razie to tylko spekulacje, ale biorąc pod uwagę postęp współczesnej nauki, może wkrótce staną się one faktami), światłowodów czy inżynierii genetycznej.

Książka jest napisana przystępnym językiem (choć zdarzają się partie, nad którymi trzeba się nieco zastanowić), a tłumacz przyznaje, że stosował konsultację potterologiczną, tak więc miłośnicy młodego czarodzieja nie będą się irytować pomyłkami. Po przeczytaniu dochodzimy jednak do wniosku, że wprawdzie można naukowo interpretować wiele magicznych fenomenów, ale magia jest zdecydowanie bardziej romantyczna.

Dla kogo?
Dla wszystkich, których interesuje świat magii, czarów oraz literatura popularnonaukowa.

Dlaczego kupić?
Ciekawie napisana książka dla młodzieży i dorosłych. Interesujące połączenie magii i najnowszych zdobyczy nauki.

Autor: Roger Highfield
Tytuł: Harry Potter. Nauka i magia
Wydawnictwo: Prószyński i S-ka
Cena: 32,00 zł.

Z salonów do kamieniołomu



Festiwal rodzimej fantastyki trwa. Oto na rynku pojawiła się nowa książka polskiego pisarza. „Achaja" Andrzeja Ziemiańskiego jest powieścią fantasy (i jak to w fantasy często bywa, pierwszym tomem cyklu powieściowego).

Akcja prowadzona jest trójwątkowo. Główny wątek opowiada dzieje tytułowej Achaji, która jest księżniczką, córką księcia z pierwszego małżeństwa. Ojciec postanawia wysłać ją do wojska, co powoduje spore komplikacje. Do głosu bowiem dochodzi wpływowa rodzina drugiej żony księcia i Achaja dostaje się do niewoli. Jest torturowana, bita, gwałcona, aż wreszcie trafia do kamieniołomów. Tam poznaje dwóch niewolników, którzy szkolą ją w sztukach walki, a Achaja pilnie ćwiczy, bo pragnie wrócić do swojego księstwa i pomścić krzywdy. Drugi wątek opowiada o klasztornym skrybie i sierocie, którzy razem postanowili rządzić światem i skutecznie wcielają swój plan w życie. Wreszcie w trzecim poznajemy mnicha, który ma do spełnienia misję od Boga.

Całość jest napisana sprawnie – choć pewne skróty (książka liczy sobie sześćset dwadzieścia stron) wyszłyby jej na dobre – zwłaszcza na poprawce skorzystałyby partie szkolenia bohaterki zawierające nieco mętną filozofię. Czyta się to całkiem nieźle mimo kilku zbyt rozwlekłych i nużących fragmentów. Przydałaby się także nieco uważniejsza redakcja, bo w tekście zostały dziwaczne formy (jak „szermować" w znaczeniu „uprawiać szermierkę").

„Achaja" obfituje w bardzo brutalne i okrutne sceny, a w tekście pojawiają się słowa popularnie uznawane za niecenzuralne, więc nie jest to lektura wskazana dla młodych czytelników. Ale trzeba autorowi przyznać, że udało mu się uniknąć taniego efekciarstwa i stworzył interesującą powieść fantasy bez smoków, licznie rzucanych czarów i bez czarodziejskiego guzika, po który trzeba wyruszyć na drugi koniec świata.

Dla kogo?
Dla nieco starszych miłośników fantasy i polskiej fantastyki.

Dlaczego kupić?
Bo to dobra powieść, o interesującej fabule, a akcja będzie kontynuowana w dalszych częściach.

Autor: Andrzej Ziemiański
Tytuł: Achaja tom 1
Wydawnictwo: Fabryka Słów
Cena: 29,99 zł.

Potwór z błotnistych kanałów

„Relikwiarz" to kontynuacja powieści „Relikt", według której nakręcono znany film pod tym samym tytułem. Kinomani, którzy sięgną po tę książkę bez przeczytania pierwszej części, mogą poczuć się nieco zdezorientowani, ponieważ pojawiają się w niej postaci, które w filmie zginęły. Ale to niewielkie różnice i łatwe do zaakceptowania.

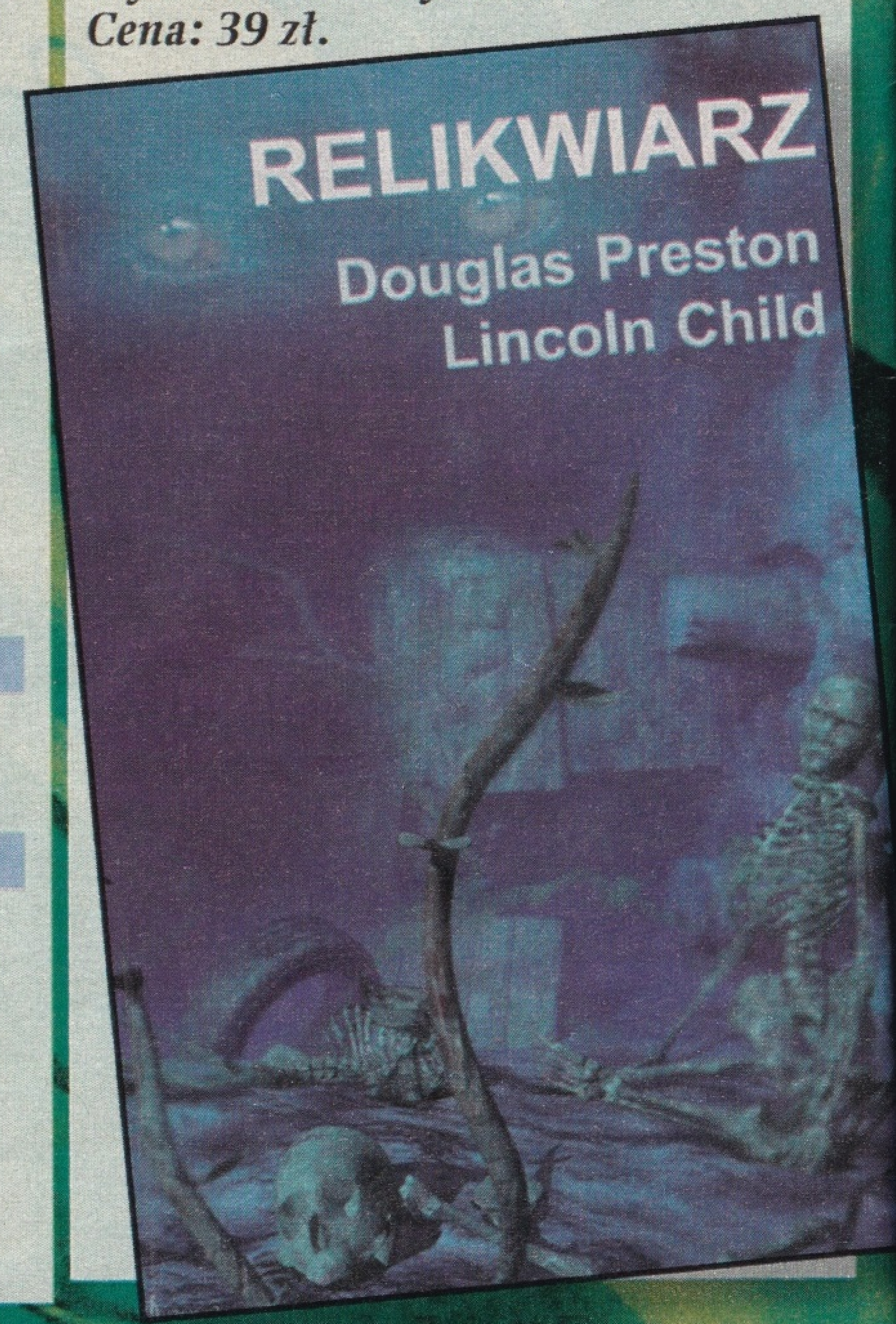
Policyjni nurkowie w błotnistych wodach rzeki Hudson w Nowym Jorku znajdują szkielet o niezwykłych deformacjach. Policja prosi o pomoc w śledztwie specjalistkę antropologii z Muzeum Historii Naturalnej. W ten sposób pani doktor ponownie styka się z koszmarem, o którym usiłuje zapomnieć od roku.

Powieść jest znakomicie napisana. Akcja toczy się wartko i obfituje w niespodziewane zwroty, a nastrój grozy jest budowany bardzo umiejętnie. Już samo zawiązanie akcji następuje na kilku pierwszych stronach, a potem autorzy nie dają czytelnikowi zbyt wielu możliwości do odpoczynku. Udało się im także uniknąć popadania w typowe schematy charakterystyczne dla horrorów. Bardzo ciekawe jest także tło obyczajowe powieści. Akcja częściowo toczy się w podziemiach Nowego Jorku, ukazując świat, jakiego czytelnik nie zna, a nawet nie podejrzewa, że może on istnieć naprawdę.

Dla kogo:
Lektura absolutnie wskazana dla wszystkich miłośników horroru.

Dlaczego kupić?
Bo to znakomicie napisany horror uświadamiający nam, że zawsze może być gorzej.

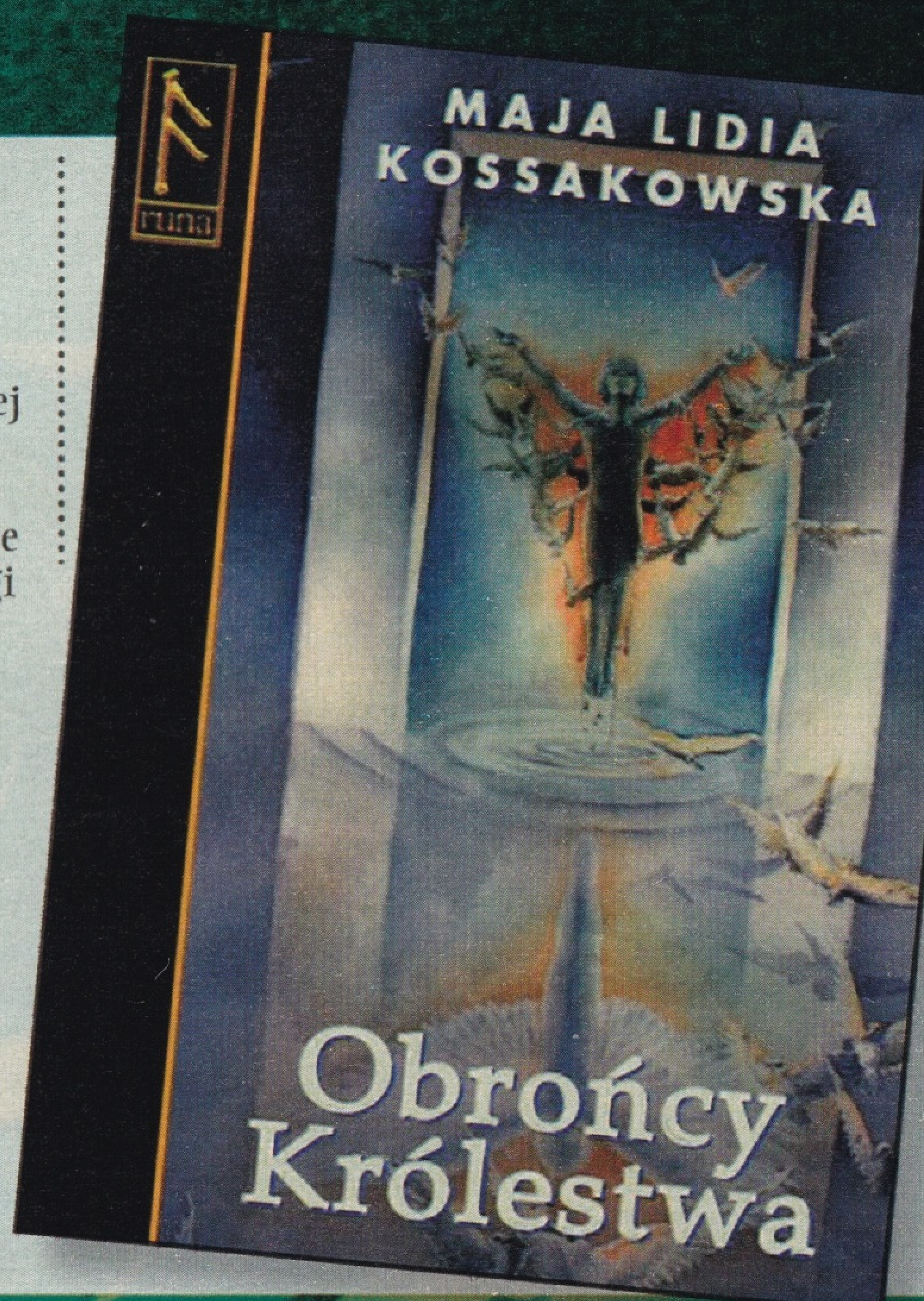
Autor: Douglas Preston, Lincoln Child
Tytuł: Relikwiarz
Wydawnictwo: Zysk i S-ka
Cena: 39 zł.



Anielskie życie

„Obrońcy królestwa" to zbiór ośmiu opowiadań autorstwa Maji Lidii Kossakowskiej. Autorka już wcześniej dała się poznać czytelnikom opowiadaniami publikowanymi na łamach m. in. „Fenixa". Za wchodzące w skład zbioru opowiadanie „Beznogi tancerz" otrzymała Nagrodę Pisarzy Polskich w roku 2000.

Wszystkie teksty Kossakowskiej opowiadają o życiu aniołów i demonów zamieszkujących Niebo, Piekło i Limbo – łącznik między tymi dwiema krainami, w którym toczy się nieustanna wlaka o dominację któregoś ze światów. Anioły u Kossakowskiej nie są tak nieskazitelnymi istotami jak zwykło się sądzić. Targają nimi namiętności, wątpliwości, poddają się wielu ludzkim słabostkom.



Niektóre handlują narkotykami (suszoną trawą z Fatimy lub wodą z Lourdes), inne walczą o władzę i pozycję w swoim świecie. A piekielne demony nie są tylko wcieleniem zła. One także prowadzą zwyczajne, codzienne życie.

Kossakowska tworzy przewrotną, ale wielopłaszczyznową wizję zastępów niebieskich w służbie Boga i ciemnych mocy w służbie Lucyfera. Udaje jej się ze swobodą łączyć mitologię chrześcijańską z pradawnymi wierzeniami magicznymi i wątkami współczesnej kultury popularnej. W sumie powstała książka bardzo interesująca, proponująca nowe i oryginalne spojrzenie na zaświaty i ich mieszkańców. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że opowiadania z recenzowanego zbioru nie wyczerpują tematu i że w swoich następnych utworach autorka jeszcze powróci do mieszkańców Niebios i Piekieł.

Dla kogo?

Dla wszystkich miłośników fantasy. A także dla tych, którzy nie lubią fantasy, ale podobają im się inteligentne, pełne humoru książki.

Dlaczego kupić?

Bo to świetnie napisana książka, pełna znakomitych pomysłów.

Autor: Maja Lidia Kossakowska
Tytuł: Obrońcy królestwa
Wydawnictwo: Agencja Wydawnicza Runa
Cena: 23,50 zł.
Książka ukaże się w marcu

Weź pobłogosławiony śrubokręt...

„Wiedźmin z Wielkiego Kijowa" to interesująca książka, w której autorowi udało się pogodzić tradycyjne science fiction z modną literaturą fantasy. Tytułowy bohater jest odpowiednikiem znanego nam z prozy Andrzeja Sapkowskiego Geralta. Nosi nawet to samo imię, tyle że żyje w przyszłości, w świecie, w którym zdarzyła się bliżej nieokreślona katastrofa. Ludzie wegetują w izolowanych miastach, dzieląc Ziemię z innymi rasami (elfami, wirgami i halfingami – niestety tłumacz zostawił, a redakcja nie wyłapała pomyłki – czyli niziołkami), raz zgodnie, kiedy indziej nie. Niestety, w tym świecie maszyny zyskały świadomość i czasami wyrywają się spod kontroli. A jak pokonać zbuntowanego buldożera, szalejącą koparkę czy najgorszego z nich, transformera? No cóż, nie ma innego wyjścia i trzeba wezwać technoegzorcystę, wiedźmina przyszłości.

Wasiljew otwarcie przyznaje się do fascynacji twórczością Andrzeja Sapkowskiego i zwrócił się do swego ulubionego autora o pozwolenie na wykorzystanie stworzonych przez niego postaci. Sądząc po tym zbiorze, nie zmarnował szansy i napisał udane dzieło. Nie jest to może literatura, która przejdzie na trwałe do kanonu światowej fantastyki, ale czyta się ją lekko i sądzę, że wielu czytelników z przyjemnością sięgnie po kolejne utwory tego autora.

Zbiór „Wiedźmin z Wielkiego Kijowa" zawiera cztery opowiadania traktujące o dokonaniach Geralta, a także ujawniające tajemnice zakonu mieszczącego się w zagubionym mieście Arzamas-6. Zakonu, w którym przygotowuje się nowe kadry do wiedźmińskiego fachu. Wasiljew z powodzeniem kreuje postapokaliptyczny świat, a jego wizja pozostaje w pamięci po lekturze.

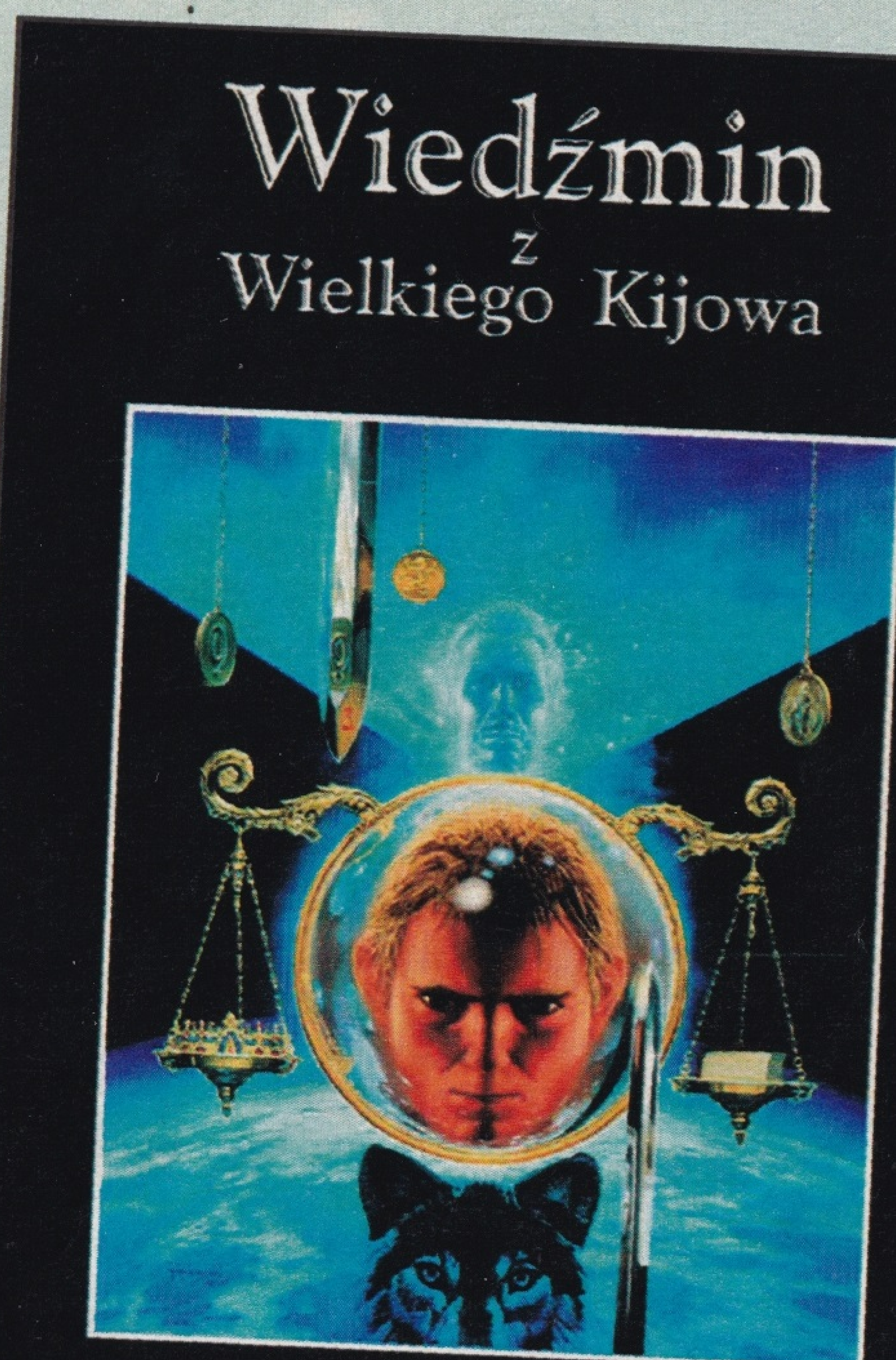
Dla kogo?

Dla miłośników klasycznej science fiction i dla miłośników Wiedźmina, ale nie tych straszliwie ortodoksyjnych.

Dlaczego kupić?

Ciekawa książka stanowiąca pierwszy tom opowiadań o technoegzorcyście.

Autor: Władimir Wasiljew
Tytuł: Wiedźmin z Wielkiego Kijowa
Wydawnictwo: ISA Sp. z o. o.
Cena: 19.00 zł.



Sceny z życia smoków i smokowych

Właśnie ukazała się siódma i ostatnia część cyklu o smoku Bazilu Złamanym Ogonie i jego opiekunie, smokowym Relkinie. Warto sięgnąć po tę książkę, bo choć nie należy ona do kanonu światowej literatury fantasy, to jest lekturą ciekawą i przyjemną.

Poznajemy ostatnią przygodę dość niezwykłej pary – potężnego smoka bojowego, szkolonego do walk i wojen oraz drobnego, młodego chłopaka, który się nim opiekuje. Obaj są przyjaciółmi i obaj ciągle wplątują się w niezwykłe i niebezpieczne przygody. Tym razem muszą stoczyć walkę z potężnym wrogiem pragnącym opanować (jak to zwykle w fantasy bywa) cały świat. Fabuła może nie brzmi oryginalnie, ale całość jest zgrabnie napisana i czyta się przyjemnie. To typowa lektura odpoczynkowa, dająca poczucie odprężenia i mile spędzonego czasu. Z tych samych powodów warto także sięgnąć po poprzednie pozycje z cyklu. Wprawdzie żadna z nich nie zapadnie w pamięć na zawsze, ale chwile miłej rozrywki też są cenne. I pamiętajcie: najlepszym przyjacielem smoka jest jego smokowy.

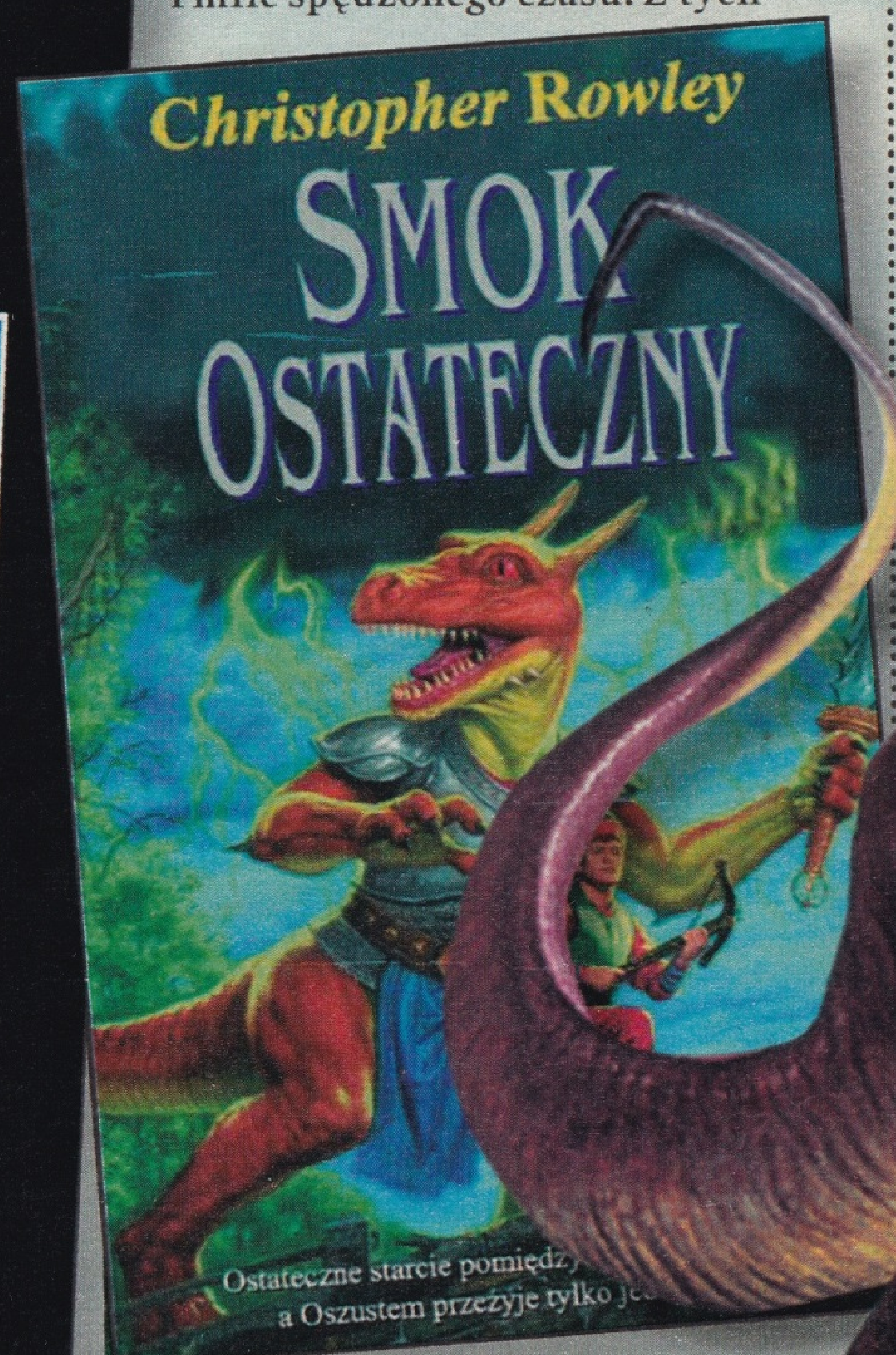
Dla kogo?

Dla miłośników smoków i lekkiej rozrywkowej fantasy.

Dlaczego kupić?

Bo całość składa się na ciekawie i sprawnie napisany cykl, po który zawsze można sięgnąć, gdy pragniemy chwili rozrywki.

Autor: Christopher Rowley
Tytuł: Smok ostateczny
Wydawnictwo:ISA Sp z o. o.
Cena: 24,90 zł.



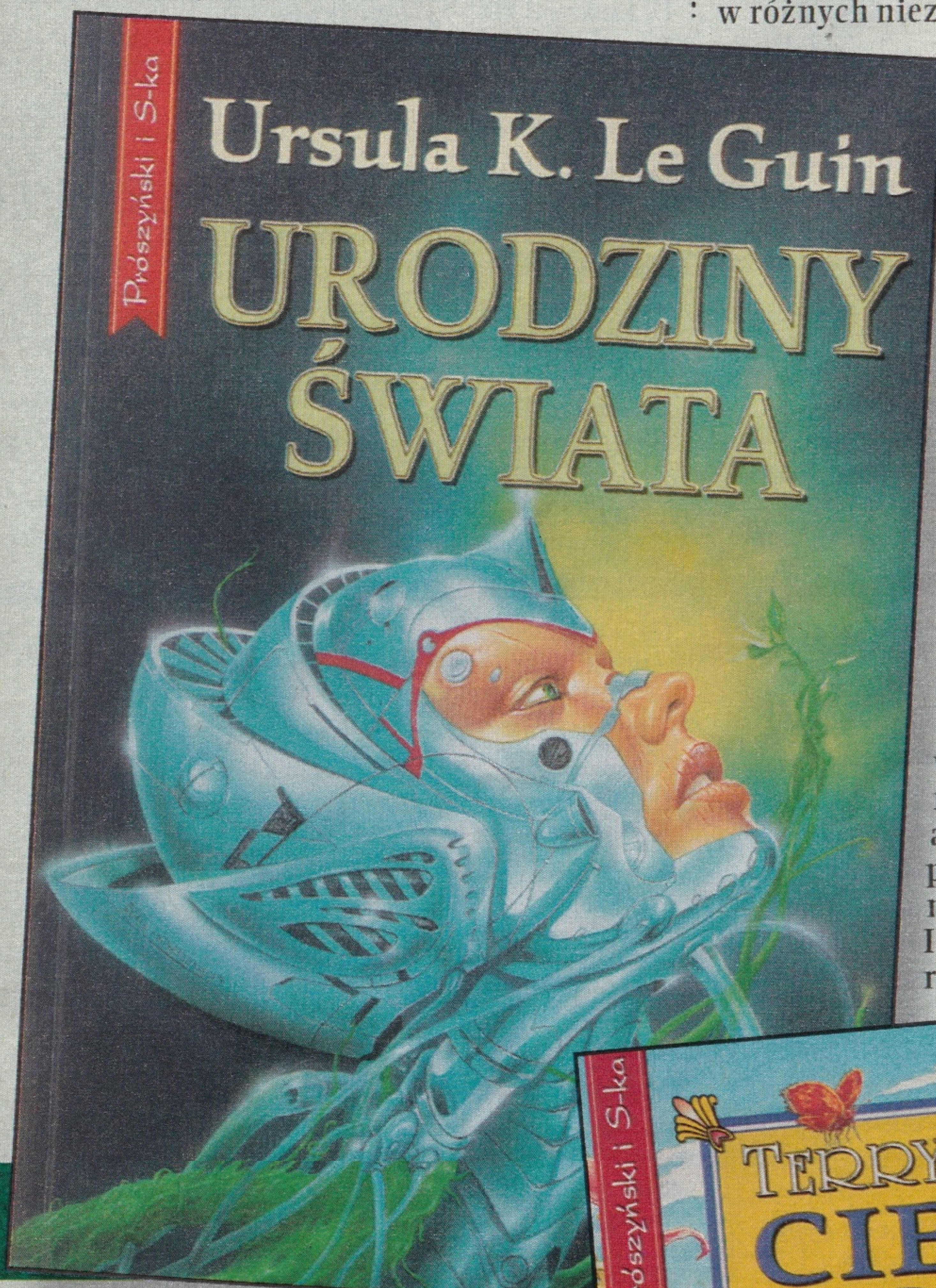


Tekst: Andrzej Zaremba

Rozmowy o dziwnym seksie

Ursula K. Le Guin jest postacią wyjątkowo antypatyczną, by nie powiedzieć obrzydliwą. Zagorzała feministka, admiratorka Saddama Husajna, aktywna i gorąca zwolenniczka mordowania nienarodzonych dzieci. Jednak wszystko to nie przeszkadza, temu że Le Guin jest uznaną i znakomitą pisarką, potrafiącą wspaniale operować słowem oraz nastrojem. „Urodziny świata" to zbiór opowiadań, których głównym tematem jest seksualizm człowieka. Dodajmy: seksualizm rodzący się w różnych nieziemskich kulturach i społecznościach. Le Guin powraca w tej książce między innymi do słynnego świata Zimy (znanego z powieści „Lewa Ręka Ciemności"), zamieszkanego przez istoty będące hemafrodytami i zmieniające płeć w zależności od niezależnych czynników. Świat ten jest dodatkowo interesujący z uwagi, iż jego mieszkańcy odczuwają popęd seksualny tylko w ściśle określonych miesiącach w roku, a przez resztę czasu pozostając obojętni na miłosne przyjemności. I jeszcze jedno: nie rozumieją jak można odczuwać popęd seksualny przez cały czas i podobne zachowanie traktują jak zboczenie. Hemafrodyczne związki wiążą się z interesującymi konsekwencjami społecznymi. Ten sam osobnik może być bowiem zarówno ojcem (jednego roku) zapładniającym samice, jak i matką (następnego roku), która jest zapładniana przez samca. Może zresztą przez tego samego, który poprzednio był zapłodnioną przez niego samicą... Prawda ile tu społeczno-kulturowych implikacji? I jakie kłopoty rodzinno-wychowawcze! Jednak świat Zimy to nie jedyne uniwersum przedstawiane przez Le Guin. Amerykańska autorka opisuje również planetę, na której mężczyźni i kobiety żyją w oddzielnych społecznościach. Kobiety zajmują się rzemiosłem i nauką, a mężczyźni egzystują w zamkach-koszarach, poświęcając się jedynie zawodom sportowym oraz ciągłej, niebezpiecznej rywalizacji. W świecie tym nie istnieje miłość pomiędzy odmiennymi płciami, a stosunki seksualne służą jedynie przyjemności oraz zapłodnieniu. Jednak w pewnym momencie przychodzi czas, kiedy obie, w gruncie rzeczy obce sobie społeczności, muszą się nauczyć żyć wspólnie. Jeszcze bardziej zdumiewającą wizję roztacza Le Guin ukazując kastową cywilizację, w której jedyną oficjalnie uznaną formą rodziny jest małżeństwo składające się z czterech osób, przy czym uprawianie seksu pomiędzy tymi pochodzącymi z tej samej kasty jest traktowane jak najgorsze zwyrodnienie. I tak dalej, i tak dalej.

Le Guin to autorka niezwykle interesująca. Barwne opisy świata, niebanalne przemyślenia, fantastycznie zarysowane postaci, które wydają się na kartach książki żyć własnym życiem. Oto atuty tej lektury. Oczywiście nie każdemu przypadnie ona do gustu. Erotyczne obsesje autorki nie muszą się podobać, a swoboda w traktowaniu homoseksualnych zboczeń może budzić sprzeciw lub nawet wstręt. Jednak w żadnym wypadku nie można amerykańskiej pisarce odmówić ogromnego talentu i zdolności do przedstawiania wymyślonych światów tak, jakby istniały one naprawdę, a Le Guin była jedynie reportażystką.



Dla kogo?

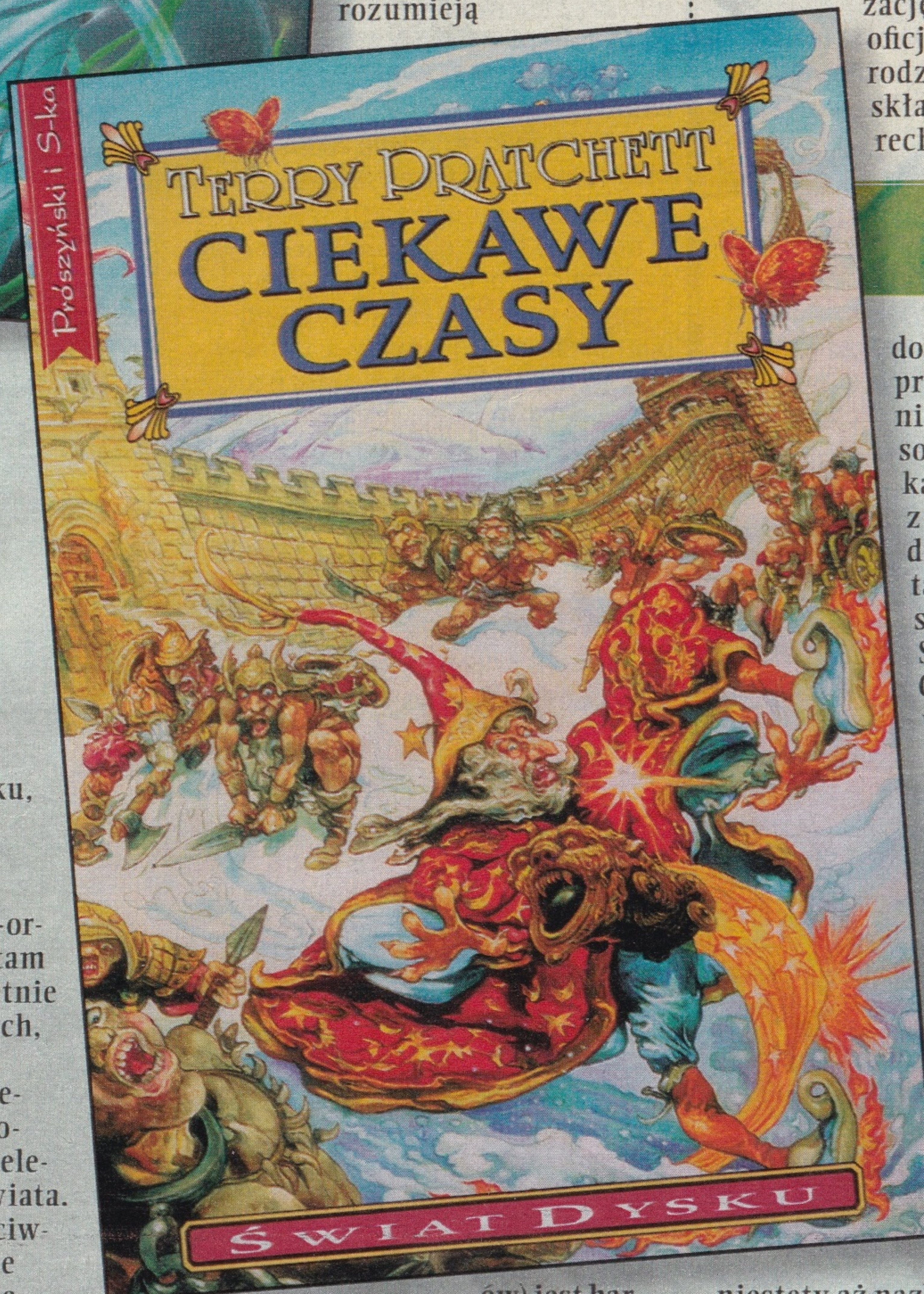
Dla czytelnika wyrafinowanego, lubiącego niebanalne lektury. Nie polecam zagorzałym słuchaczom Radia, które Ma Ryja.

Dlaczego kupić?

Bo Le Guin jest mistrzynią nastroju i pomysłu. Bo potrafi w cudowny sposób budować światy i ożywiać postacie.

***Autor:** Ursula Le Guin*
***Tytuł:** Urodziny Świata*
***Wydawnictwo:** Prószyński i S-ka*
***Cena:** 29,90 zł.*

Powrót Wielkiego Nieudacznika



Jeśli nie wiesz, kim jest Rincewind, niedoszły absolwent magicznego Uniwersytetu w Ankh-Morpork, to wierz mi, że bardzo wiele straciłeś. I może w tym wypadku nie należy lektury zaczynać od „Ciekawych czasów", lecz sięgnąć po pierwsze książki Pratchetta z serii Świata Dysku, np. „Kolor Magii", a potem „Równoumagicznienie". Jeśli jednak poznałeś już biednego Rincewinda (to taki człowiek-orkiestra, bo gdzie nie pójdzie, tam w trąbę dostaje), zapewne chętnie weźmiesz udział w jego nowych, zdumiewających przygodach. W „Ciekawych czasach" Rincewind zostaje (dzięki magiczno-technicznym zabiegom) przeteleportowany na drugi koniec świata. Na tajemniczy kontynent Przeciwwagi, gdzie złoto jest pospolite niczym miedź lub żelazo, a nie mające ceny w reszcie globu drzewo myślącej gruszy występuje nagminnie. Potężne Imperium (rządzone przez marionetkowego cesarza oraz wszechwładne rodziny Hongów, Tongów, Fangów, Sungów i McSweeneyów) jest bardzo wyraźnie wzorowane na kulturze chińskiej. Okrucieństwo połączone z wyrafinowaną sztuką, niezwykle drobiazgowe ceremoniały, traktowanie poddanych jak przedmioty, pozbawione myśli oraz uczuć. Właśnie do takiego świata przybywa roztrzepany, niesforny i niemający sobie równych w szukaniu kłopotów magik z Ankh-Morpork. Na drodze do poznania tajemnic Imperium spotka barbarzyńską Srebrną Ordę, Czerwoną Armię walczącą o wyzwolenie społeczne (która to organizacja uważa go za największego bohatera wszech czasów), zmierzy się ze straszliwym panem Hongiem i powtórnie przeżyje przygody z przyjacielem z dawnych lat – Dwukwiatem.

Pratchett jest specjalistą od komedii. Jego książki zwykle tryskają humorem, czasem niestety aż nazbyt wysilonym (jakby autor nie był w stanie przeboleć strony bez żartu). Znam wiele osób, które pożegnały się już na zawsze ze Światem Dysku, nie mogąc wytrzymać autora, który w kółko opowiada jeden i ten sam dowcip, zręcznie tylko zmieniając scenerię i czasami bohaterów. Ja przez powieści Pratchetta przechodzę bez bólu, lecz z całą pewnością jest to tylko literatura klasy B. Ale przecież nie każdy musi od razu pisać wiekopomne arcydzieła, prawda? Czasami ważna jest chwila prostej, chłopskiej rozrywki. Ot, tak jak Bawarczycy: pośmiać się z tego, że właśnie ktoś głośno pierdnął w skórzane portki.

Dla kogo?

Dla miłośników Świata Dysku. Czytelnicy nieznający tego uniwersum mogą się poczuć na początku lekko zdezorientowani. Jednak autor na tyle swobodnie prowadzi fabułę, że każdy szybko powinien poczuć się w Świecie Dysku jak u siebie w domu. Specyficzne poczucie humoru autora nie każdemu musi odpowiadać.

Dlaczego kupić?

Bo lekkie. Traktujemy z przymrużeniem oka. Odprężające. Idealna lektura do pociągu. Przeczytać i zapomnieć.

***Autor:** Terry Pratchett*
***Tytuł:** Ciekawe czasy*
***Wydawnictwo:** Prószyński i S-ka*
***Cena:** 29,90 zł.*

Amerykańscy bogowie

ANDRZEJ SAPKOWSKI PRZEDSTAWIA
NEIL GAIMAN
Autor „Nigdziebądź"
AMERYKAŃSCY BOGOWIE

Neil Gaiman to jedno z ostatnich objawień literatury s-f. Autor scenariuszy do komiksów, które mocno zatrzęsły „obrazkowym" światem, laureat nagród Hugo i Nebula, coraz popularniejszy w Polsce. Powieść „Amerykańscy bogowie" ukazała się już jakiś czas temu, ale z uwagi na fakt, że redakcja Fantasy uznała ją za najlepszą książkę roku 2002, warto poświęcić jej kilka słów więcej. Akcja „Amerykańskich bogów" toczy się współcześnie w Stanach Zjednoczonych, a przynajmniej tak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, gdyż potem autor stopniowo coraz głębiej przenosi czytelnika do świata wierzeń, mitów i koszmarów świata egzystującego gdzieś obok naszego, na samej granicy postrzegania. Głównym bohaterem powieści jest Cień – były więzień, wypuszczony na zwolnienie warunkowe, człowiek, który przeżywa tragedię, dowiadując się o śmierci ukochanej żony. Kolejna informacja o tym dramatycznym zdarzeniu jest taka, że zginęła ona w wypadku samochodowym, dokładnie w czasie, kiedy uprawiała seks oralny z jego najlepszym przyjacielem.

„Amerykańscy bogowie" są nawiązaniem do powieści drogi. Cień zwiedza Stany Zjednoczone i poznaje osoby, z których istnienia dotąd nie zdawał sobie nawet sprawy. A kim są te osoby? Otóż ni mniej, ni więcej, tylko zapomnianymi bogami. Pogańskimi bóstwami wypartymi przez chrześcijaństwo. Tymi, w których wierzyli Skandynawowie i Egipcjanie, dzicy koczownicy z azjatyckich stepów czy Indianie. Teraz wegetują pozbawieni siły, która ich utrzymywała przy życiu – wiary ludzi. Pracują w rzeźniach, zakładach pogrzebowych, prowadzą taksówki czy tak jak przewodnik Cienia – Wednesday – są sprytnymi oszustami i naciągaczami.

Neil Gaiman to autor znakomity. Perfekcyjnie operuje zarówno dialogiem, jak i opisem, z ogromną zręcznością buduje nastrój powieści i wypełnia ją żyjącymi postaciami z krwi i kości. W powieści Gaimana mało jest odpowiedzi, a więcej pytań. O to, co jest ważne w życiu i jak należy postępować, by nie zawieść samego siebie. To książka o ideach i ideałach, o mrocznych i wzniosłych pragnieniach. O miłości, która czasami może, chociaż na chwilę, być silniejsza od śmierci.

Dla kogo?

Dla doświadczonego i wyrafinowanego czytelnika. Spokojny tok narracji może znużyć zbyt niecierpliwych odbiorców. Książka jak dobra whisky. Radzę ją długo smakować, a nie próbować wypijać duszkiem.

Dlaczego kupić?

Bo intrygujące i fascynujące. Kawał dobrej literatury.

Autor: Neil Gaiman.
Tytuł: Amerykańscy bogowie
Wydawnictwo: MAG
Cena: 32 zł.

Tekst: Jolanta Lisowska

Fantastyczny przewodnik po stacjach telewizyjnych

KONTAKT



✪ 1.03, TVN, Sb., g. 22.30
✪ Science-fiction, USA, 1997
✪ Reż. Robert Zemeckis
✪ Wyst: Jodie Foster, Matthew McConaughey, James Woods, Tom Skerritt

Fabuła

Ellie Arroway (Jodie Foster) przez całe życie szuka odpowiedzi. W dzieciństwie wstaje w nocy z łóżka, żeby przez krótkofalówkę znaleźć głos, który by jej odpowiedział na nurtujące pytania. Po śmierci ojca Ellie poświęca się nauce. W czasie studiów postanawia zająć się badaniami sygnałów wysyłanych przez pozaziemskie inteligencje. Pewnego dnia z odległej gwiazdy Vega dociera na Ziemię sygnał radiowy, który Ellie odbiera. Naukowcy z całego świata jednoczą się w próbach odkodowania przekazu, a nasza planeta przyjmuje go z jednakową dozą nadziei i strachu, ponieważ zawiera szczegółowe plany międzygalaktycznego pojazdu mogącego przetransportować pasażerów w odległą przestrzeń kosmiczną. To mogłoby zwiastować świt nowej, zdumiewającej ery lub też nieuchronny Armageddon.

Dla kogo?

Dla cierpliwych

Wady i zalety

Film oparty jest na najlepiej sprzedającej się powieści roku 1985, autorstwa laureata nagrody Pulitzera oraz znanego astronoma, Carla Sagana. Są efekty, niezwykłe przygody, podróże kosmiczne i wszystko, co kojarzy się z science-fiction, akcją i wielkimi hollywoodzkimi produkcjami. Jak każdy głośny film, ma on swoich wielbicieli, a także zaciekłych przeciwników. Jedno jest pewne. „Kontakt" to kolejny obraz o największym chyba marzeniu ludzi, czyli odkryciu w Kosmosie innych istot rozumnych. Osią fabuły są dyskusje Ellie z zakochanym w niej teologiem na temat rozumu i wiary, techniki i Boga, które sprowadzają się do poziomu frazesów. Niekiedy jednak reżyserowi udaje się stworzyć atmosferę mistycznej tajemnicy otaczającej zagadkę głębi Kosmosu. Filmowi zarzucano wątłą i nierówno poprowadzoną fabułę, a Jodie Foster porównywano do natchnionej Joanny D'Arc kosmologii. Za rolę w „Kontakcie" otrzymała ona nagrodę Saturn Award, od Academy of Science Fiction, Fantasy & Horror Films w 1998 roku, w kategorii najlepsza aktorka.

ŁOWCY WAMPIRÓW

✪ 1.03, TVP 2, Sb., g. 0.45
✪ Horror, USA, 1998
✪ Reż. John Carpenter
✪ Wyst: James Wood, Daniel Baldwin, Sheryl Lee

Fabuła

Jack Crow kieruje grupą zabijaków wynajętych przez kardynała Albę, watykańskiego emisariusza w Nowym Meksyku. Ich zadaniem jest zniszczenie pewnego domu na odludziu – siedliska wampirów. Komando unicestwia wszystkie wampiry z wyjątkiem liczącego 600 lat przywódcy, Valeka, średniowiecznego księdza, który zbuntował się przeciwko Kościołowi.
Scenariusz powstał na podstawie powieści Johna Steakleya „Łowcy wampirów". Jest to przede wszystkim gotycki horror, jednakże ze świadomie wprowadzonymi przez reżysera elementami... westernu (wiele scen nagrywano w autentycznym westernowym miasteczku). Stylistyka niektórych scen może kojarzyć się również z innymi gatunkami kina amerykańskiego, takimi jak dramat policyjny oraz film drogi (road movies). Walka z wampirami wysuwa się na plan pierwszy, nie wypełnia jednak fabuły bez reszty. Carpenter zostawił w nim miejsce na miłość, a raczej na trójkąt miłosny.

Dla kogo?

Dla dorosłych i „nieobrzydliwych

Wady i zalety

Przeciwnicy filmu, poza odrzuceniem kilku schematów jak czosnek i krzyże, zarzucają reżyserowi m. in. „zmarnowanie" ciekawego tematu i słabą muzykę, której autorem jest on sam.

DZIEŃ ZAGŁADY

✪ 7.03, TVN, Pt., g. 20.40
✪ Science-fiction, USA, 1998
✪ Reż. Mimi Leder
✪ Wyst: Robert Duvall, Tea Leoni, Elijah Wood, Vanessa Redgrave, Morgan Freeman



Fabuła

Kiedy w filmie „Dzień zagłady" naukowcy odkryją, że w kierunku Ziemi zbliża się kometa (o tak dużej masie, że jej uderzenie spowoduje zagładę), pytanie o ratunek oraz sens istnienia naszej cywilizacji musi zadać sobie każda osoba na Ziemi. Pytanie to nurtuje również astronautów podejmujących się desperackiej misji zmiany lotu komety – misji, w której chcąc ratować przyszłość świata, gotowi są poświęcić własne życie. Od nich zależy być albo nie być miliardów ludzi.

Dla kogo?

Dla fanów kina katastroficznego

Wady i zalety

„Dzień zagłady" to opowieść o reakcji świata na wyrok śmierci. Jest to historia pokazana z punktu widzenia kilku osób, dzięki czemu olbrzymi kataklizm zostaje sprowadzony do indywidualnego poziomu. Pomimo epickiego rozmachu i imponujących zdjęć jest to przede wszystkim opowieść o ludziach, o ich zmaganiach w obliczu grożącej zagłady i próbie odnalezienia tego, co dla każdego jest w życiu najważniejsze.

ANATOMIA

✪ 8.03, HBO, Sb., g. 1.10
✪ Horror, Niemcy, 2000
✪ Reż. Stefan Ruzowitzky,
✪ Wyst: Franka Ponente, Benno Furmann

Fabuła

Studentka medycyny Paula Henning zostaje przyjęta na renomowaną uczelnię w Heidelbergu. W ten sposób kontynuuje rodzinną tradycję. Jej radość nie trwa długo – w prosektorium znajduje ciało chłopaka, którego poznała kilka dni wcześniej i któremu uratowała życie. Rozpoczyna śledztwo i wpada na trop tajnej organizacji działającej na terenie uczelni. Pozornie niewinni studenci anatomii i ich rektorzy okazują się nieobliczalnymi psychopatami.

Dla kogo?

Dla dorosłych

Wady i zalety

Film bardzo realistycznie przedstawia życie przyszłych lekarzy, chirurgów. Nie jest to typowy horror, gdyż widz obserwuje liczne zabawne sytuacje oraz gagi. Film stanowi ukłon reżysera w stronę ekspresjonizmu z lat 20. i 30. Pełno tu mrocznych wnętrz czy długich cieni budujących nastrój niesamowitości. „Anatomię" można potraktować jak kolejny horror, którego bohaterami są studenci medycyny, ale jest to też próba rozliczenia się z nazistowską przeszłością Niemiec. Film nie jest znany w Polsce, ale cieszył się niedawno dobrą opinią na Zachodzie. Kolejny to przykład, iż nisko budżetowe obrazy z debiutantami w rolach głównych potrafią wnieść coś nowego do kinematografii. Zasłużone oklaski otrzymała odtwórczyni głównej roli, Franka Potente – dwukrotna laureatka Nagrody Widzów German Film Awards (w 1999 i 2000 roku) w kategorii Aktorka Roku. Obraz został wybrany przez publiczność niemiecką Filmem Roku 2000.

SZTUCZNA INTELIGENCJA

✪ 9.03, Canal+, Ndz., g. 20.00
✪ Science-fiction, USA, 2001,
✪ Reż. Steven Spielberg
✪ Wyst: Haley Joel Osment, Jude Law, Frances O'Connor, William Hurt

Fabuła

To wzruszająca historia dziecka-robota Davida (Haley Joel Osment), który został zaprogramowany, by odczuwać miłość. Jednak w tym poprawnie działającym systemie pojawia się błąd – człowiek. Kiedy rodzony syn Moniki, „matki" Davida, Martin, budzi się ze śpiączki, dokłada wszelkich starań, by wyeliminować robota-konkurenta. Uwięziony w pułapce miłości



David ma odtąd tylko jeden cel: być chłopcem z krwi i kości oraz odzyskać uczucie Moniki. Aby to osiągnąć, musi znaleźć błękitną wróżkę, która niegdyś uczyniła z Pinokia prawdziwego chłopca.

Pomysł „Sztucznej inteligencji" pochodzi od wielkiego mistyka kina Stanleya Kubricka, który nabył prawa do opowiadania „Super-Toys Last All Summer Long" Briana Aldissa i zainteresował tym projektem Stevena Spielberga. Wspólnie pracowali nad nim aż do śmierci Kubricka w 1999 roku. Spielberg dostał scenariusz niejako w spadku.

Dla kogo?

W zasadzie niemal kino familijne, ale dzieci zasną z nudów

Wady i zalety

Film został uznany za mało udany, ale stanowi pozycję szczególną ze względu na rozmiary inscenizacji oraz na problem, w jakim stopniu technika zniekształca naszą naturę, uczucia, ludzkość. Z Kubricka zostały powolna narracja oraz niektóre pomysły wizualne. Reżyser „E. T. " poszedł zaś w swoim ulubionym kierunku, czyli w stronę krytyki niewrażliwości. „Sztuczna inteligencja" to wielkie widowisko, oszałamiające dekoracje, bardzo dobre aktorstwo, szczególnie w wykonaniu Haleya Joela Osmenta oraz zdjęcia w wykonaniu Janusza Kamińskiego. Nie powstało dzieło sztuki, ale produkt wart jednak uwagi.

NAWIEDZONY

- 22.03, TVN, Sb., g. 20.30
- Horror, USA 1999
- Reż. Jan de Bont
- Wyst: Liam Neeson, Catherine Zeta-Jones, Owen Wilson

Fabuła

Posępny i mroczny, ponad stuletni Hill House stoi na uboczu. Właściciel stworzył go z myślą o swojej żonie oraz o dzieciach, których jednak nigdy nie mieli. Zamiast radości w Hill House zagościły groza i smutek, które z czasem zbudowały złowieszczą legendę tego miejsca. Dom pozostał niezamieszkany... tak przynajmniej się wydawało. Sto lat później doktor David Marrow, zaintrygowany historią posiadłości Hill House, sprowadza w to miejsce trzy osoby w celu zbadania dolegliwości związanych z zaburzeniami snu. Ściany domu kryją jednak jakąś tajemnicę. Pod osłoną ciemności dom ożywa...

Dla kogo?

Dla niewybrednych miłośników horrorów

Wady i zalety

„Nawiedzony" jest przykładem niesłabnącego zainteresowania sekretami tajemniczych, opuszczonych domów, duchami przeszłości i nawiedzonymi budowlami. Jest to jednocześnie przykład zastosowania efektów specjalnych, które wymknęły się spod kontroli reżysera. Technice podporządkowano film i literaturę, a warto wiedzieć, że powieść Shirley Jackson „The Haunting of Hill House" (która stała się podstawą scenariusza) uchodzi za małe arcydzieło gatunku. Subtelne i niepokojące powiązanie wątku psychologicznego z metafizycznym horrorem nie zostało przeniesione do filmu. „Nawiedzony" w reżyserii Jana de Bonta jest wirtualną rzeczywistością, a aktorzy nie potrafią poruszać się w niej przekonywująco. Pomiędzy wizualnymi trikami akcja toczy się leniwie, a żadna z postaci nie budzi ani sympatii, ani zainteresowania – ludzie zepchnięci zostają na drugi plan (choć aktorzy przecież występują tu znakomici).

CZERWONA PLANETA

- 28.03, HBO, Pt., g. 21.00
- Science-fiction, USA, 2000
- Reż. Anthony Hoffman
- Wyst: Val Kilmer, Carrie-Anne Moss



Fabuła

W roku 2050 Ziemia staje w obliczu ekologicznej katastrofy. Naukowcy szukają w Kosmosie nowego miejsca do życia. Szansą na ocalenie ludzkości wydaje się Mars. Z pomocą satelity założono tam hodowlę alg wytwarzających tlen. Na Marsa muszą polecieć astronauci, by sprawdzić, jak powiódł się eksperyment. Wyrusza więc pierwszy załogowy lot – Mars 1. Jednak rozbłysk słońca uszkadza statek kosmiczny, a astronauci muszą walczyć o życie, zdani jedynie na własne siły. Czy uda im się wrócić cało na Ziemię, a co ważniejsze, czy znajdą ratunek dla ludzkości?

Dla kogo?

Dla tych, którzy chcą się przekonać, że Kilmer i Moss mogli wystąpić również w bardzo słabym filmie

Wady i zalety

W filmie wykorzystano efekty specjalne w ponad 900 ujęciach, a do produkcji została zaangażowana grupa specjalistów, która między innymi wykreowała przerażającego wroga załogi w postaci robota AMEE. Efekty specjalne, futurologiczne wizje, a w głównej roli Val Kilmer. Efekt końcowy psuje jednak długa wędrówka przez pustynię marsjańską, w trakcie której pięcioosobowa załoga docieka przyczyn niepowodzenia próby stworzenia biologicznego życia na planecie. Twórcy filmu nie dążą do stworzenia napięcia czy zaskoczenia. Za to skupiają się na dialogach i banalnym filozofowaniu bohaterów, do których trudno nabrać przekonania.

JURASSIC PARK III

- 30.03, Canal+, Nd., g. 20.00
- Science-fiction, USA, 2001



- Reż. Joe Johnston
- Wyst: Sam Neil, Tea Leoni, William H. Macy, Trevor Morgan

Fabuła

Akcja kolejnego epizodu „Parku Jurajskiego" rozgrywa się na wyspie Sorna. Rozwiedzione małżeństwo poszukuje 14-letniego syna, który zaginął w czasie lotu na lotni. Rodzice organizują ekipę ratunkową, a na jej czele staje znany z pierwszej części cyklu dr. Alan Grant.

Dla kogo?

Dla wszystkich

Wady i zalety

Film kontynuuje wątki i korzysta z wcześniejszych osiągnięć dwóch wcześniejszych przebojów filmowych Spielberga – „Jurassic Park" (1993) i „Jurassic Park II: Zaginiony świat". Przy pierwszej ze swoich produkcji, chcąc przenieść na ekran postaci opisane w powieści Michaela Crichtona, Spielberg sięgnął do najnowocześniejszej, przełomowej wręcz technologii. Nowatorski film zebrał trzy nagrody Amerykańskiej Akademii w dziedzinie osiągnięć technicznych, w tym również za Najlepsze Efekty Wizualne. Do czasu zejścia „Jurassic Park" z ekranów był to najlepiej sprzedający się film wszech czasów. „Jurassic Park II: Zaginiony świat" nadal pozostaje numerem jeden jeśli chodzi o rekordowe wpływy w pierwszy weekend wyświetlania z sumą 92,7 milionów dolarów. Film nominowany był do Oscara w kategorii efektów wizualnych. „Jurassic Park III" wpisuje się w tę spuściznę filmową swoją oryginalną historią i kontynuacją obrazu fascynacji współczesnego człowieka prehistorycznymi gadami. Reżyser „Jurassic Park III", Johnston, musiał siłą rzeczy odwołać się do wysokich standardów ustanowionych przez pierwsze części trylogii Jurajskiej. I udało mu się to nad podziw dobrze.

ZAGUBIENI W KOSMOSIE

- 30.03, TVN, Nd., 14.35
- Science-fiction, USA/GB 1998
- Reż. Stephen Hopkins
- Wyst: Gary Oldman, William Hurt, Matt LeBlanc, Mimi Rogers

Fabuła

Film jest kinową wersją serialu telewizyjnego z lat 1965-1968, którego akcja rozgrywała się w roku 1997. Oparty na nowym scenariuszu Akivy Goldsmana jest jednak zrozumiały również dla widzów nieznających serialu. Film przenosi widzów w niezbyt odległą przyszłość i ukazuje perypetie profesora Johna Robinsona i jego najbliższych, którzy tworzą pierwszą w dziejach ludzkości rodzinę wytypowaną do eksperymentalnego osiedlenia się w przestrzeni kosmicznej. Robinsonowie wyruszają w przestworza na pokładzie statku kosmicznego, a przewidywany czas podróży wynosi 10 lat. Jednak misja zostaje storpedowana przez doktora Zachary'ego Smitha, kosmicznego szpiega i terrorystę.

Dla kogo?

Kino familijne

Wady i zalety

„Zagubionym w Kosmosie" nie brak atrybutów współczesnego kina science-fiction. W konstrukcji atrakcyjnej fabuły wykorzystano m. in. motywy wędrówki w czasie i transformacji ciała ludzkiego. Na ekranie pojawiają się roboty oraz przeróżne, zarówno przyjazne, jak i nieprzyjazne, pozaziemskie istoty. Warstwa wizualna obfituje w niezliczone efekty specjalne.

Film Hopkinsa jest również opowieścią o rodzinnych więzach i rodzinnej solidarności. Wrażenia przestrzenne spotęgował autor zdjęć, Australijczyk Peter Levy, filmując niemal wszystkie sceny przy stałej przesłonie obiektywu.

Zdjęcia: archiwum Wydawnictwa Bauer; Godziny emisji filmów mogą ulec zmianie, za co redakcja nie ponosi odpowiedzialności

Matrix
WALKA TRWA...

Ten tytuł wywołuje dreszcz podniecenia u większości miłośników kinowej rozrywki. Nic więc dziwnego, że nie mogą oni usiedzieć spokojnie na kanapie w oczekiwaniu na dwie kolejne części wielkiego przeboju. A te zbliżają się już wielkimi krokami. Jest pewne, że i tym razem bracia Wachowscy zaskoczą nas czymś niezwykłym.

Tekst: Aleksandra Cichy

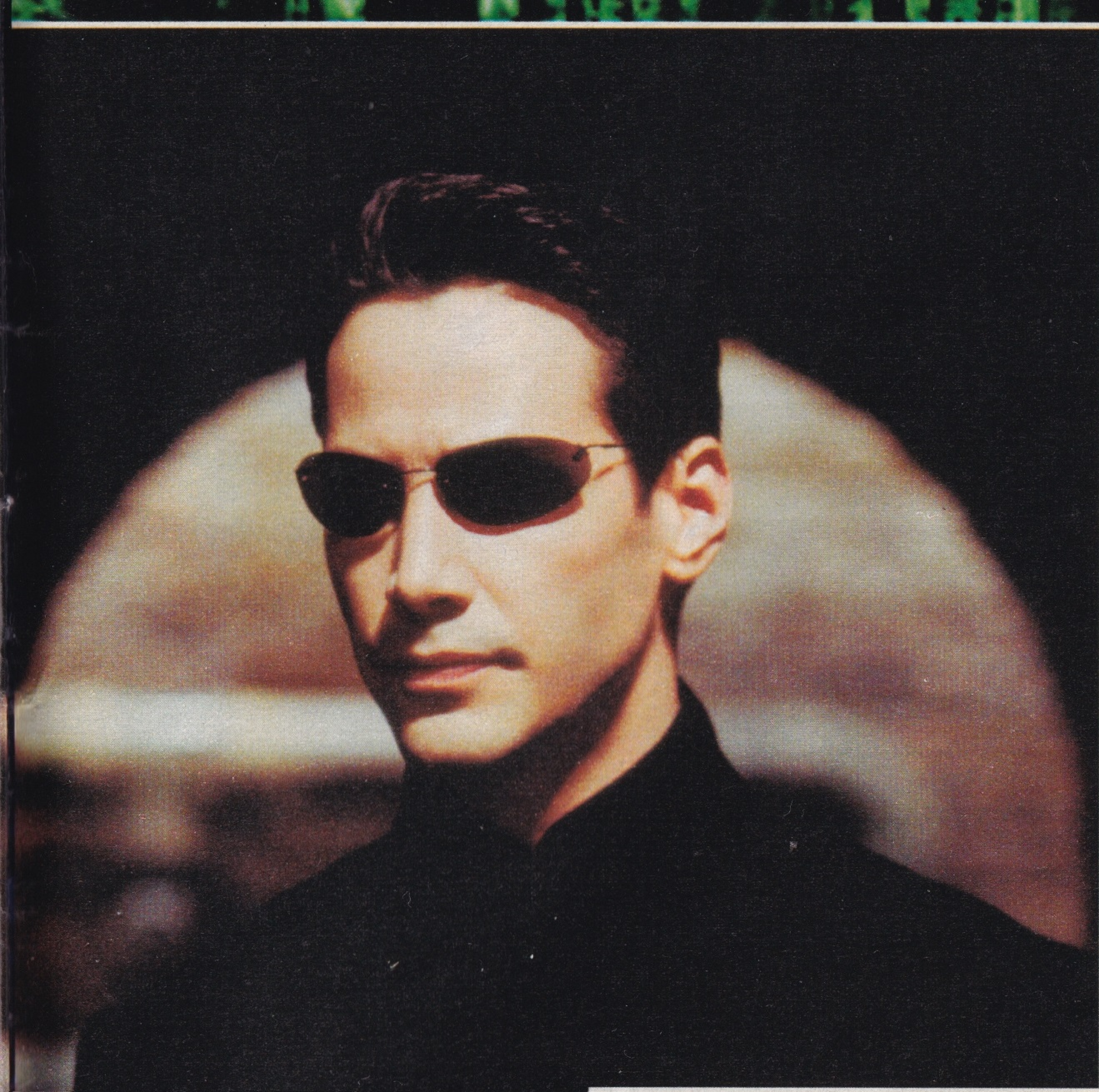


Pod koniec stycznia 2003 roku ponad 80 milionów ludzi z zapartym tchem śledziło finał niezwykle popularnych w USA rozgrywek futbolu amerykańskiego. Tego wieczora miało miejsce także wydarzenie dla wielu bardziej interesujące niż megafinał Super Bowl. W przerwie reklamowej w trakcie meczu pokazano bowiem najnowszy trailer kolejnych części „Matrixa", w którym pojawiło się wiele nieujawnionych do tej pory elementów. Dostaliśmy prawdziwy przedsmak tego, co nas czeka już niedługo, bo w maju i w listopadzie tego roku: walkę Neo z setkami Agentów czy ucieczkę Trinity i nowego bohatera, KeyMastera, na motocyklu – to tylko niektóre z atrakcji. Projektanci mody zapowiadają, że niebawem na ulicach i pokazach zacznie królować styl Matrix, a na jednym z amerykańskich uniwersytetów już teraz można zgłębiać filozofię przedstawioną w tym filmie. Wszystko wskazuje więc, że kolejny raz bracia Wachowscy zaczarują miliony widzów na całym świecie, a rok 2003 będzie rokiem „Matrixa"!

NIE MA TO JAK RODZINA

Twórcy „Matrixa", bracia Larry (ur. 1965) i Andy (ur. 1967) Wachowscy (zresztą Amerykanie polskiego pochodzenia), to osoby naprawdę fascynujące. Mimo że dobiegają czterdziestki, dalej ubierają się i zachowują jak rozbrykani studenci. Noszą czapeczki baseballowe, wyciągnięte T-shirty i spodnie do kolan. Uwielbiają gry komputerowe i konsolowe, filmy kung-fu oraz japońską animację. Od zawsze woleli też żyć w świecie iluzji i fantazji. W ich kontrakcie z Warner Bros, wytwórnią sponsorującą „Matrixa", znalazło się np. zastrzeżenie, że bracia nie muszą uczestniczyć w promocji filmów, bo jak mówią, to ich dzieła mają za nich przemawiać. Wszyscy jednak wiedzą, że Wachowscy po prostu nie lubią nudnych wywiadów, a w życiu zdają się kierować jedną główną zasadą: nigdy nie robić tego, co nie sprawia przyjemności. Być może także dlatego zakończyli edukację już na drugim roku college'u, z którego zostali wyrzuceni. Wachowscy nie przejęli się tym zbytnio: pracowali jako malarze pokojowi, cieśle, a także tworzyli scenariusze do komiksów. Skrzętnie zbierali też pomysły, bo bardzo, ale to bardzo chcieli pracować w biznesie filmowym. Niestety, początki nie były łatwe. Ich pierwszy scenariusz, przygotowany do filmu „Zabójcy" z 1995 roku (z Banderasem i Stallone), nie tylko został przerobiony przez innego autora, dzięki czemu opowieść psychologiczna zmieniła się w sensacyjną bajkę, ale także nie spodobał się widzom. Bracia postanowili więc, że następnym razem wezmą sprawy w swoje ręce i SAMI wyreżyserują film, do którego napiszą scenariusz.





BULLET TIME

Technika użyta w „Matrixie" do przedstawienia scen walk. Dany obiekt, np. skaczący bohater, jest fotografowany przez 100 nieruchomych aparatów (ustawionych dookoła niego), które wykonują serię wielu zdjęć (około 1200 na minutę). Następnie zdjęcia te są skanowane do komputera i układane w serię przypominającą sceny z filmu animowanego. Komputerowo dorabiane są także ujęcia przejściowe, które nie zostały uchwycone przez aparaty. Taka seria zdjęć może być zaprezentowana odbiorcy szybciej albo wolniej bez utracenia ostrości obrazu. Można też odnieść wrażenie, że kamera obraca się dookoła postaci.

Technika ta została potem wykorzystana w innych filmach (np. w „Aniołkach Charliego"), grach komputerowych (Max Payne) oraz sparodiowana w „Shreku" i w serii Straszny Film. Do połowy 2002 roku „bullet time" pojawił się w ponad 20 różnych filmach.

ANIMATRIX

Wachowscy nigdy nie ukrywali fascynacji japońską animacją. Teraz także anime będzie mogło zaczerpnąć parę pomysłów ze świata „Matrixa". „Animatrix" jest bowiem serią dziewięciu krótkich (6-16 minut) filmów anime, które zostaną stworzone przez wybrane przez Wachowskich japońskie sławy (m. in. Yoshiaki Kawajiri, Takeshi Koike, Mahiro Maeda), a także specjalistów z firmy Square (znanej m. in. z serii doskonałych konsolowych RPG Final Fantasy). Historie, w których tworzeniu oczywiście uczestniczyli Wachowscy (sami napisali scenariusz do 4 z 9 opowieści), przedstawią lepiej świat „Matrixa" oraz wyjaśnią niektóre związane z nim tajemnice. Filmy będzie można ściągnąć ze strony www.theanimatrix.com (pierwszy z filmów, „The Second Renaissance" (część 1)), jest dostępny od 4 lutego, pozostałe pojawią się w Internecie w marcu, kwietniu i maju), a także kupić na DVD w czerwcu. „Final Flight of the Osiris", stworzony przez Square, ma zostać pokazany w USA w marcu przed filmem „Dreamcatcher".



DAJ PANIE 100 MILIONÓW

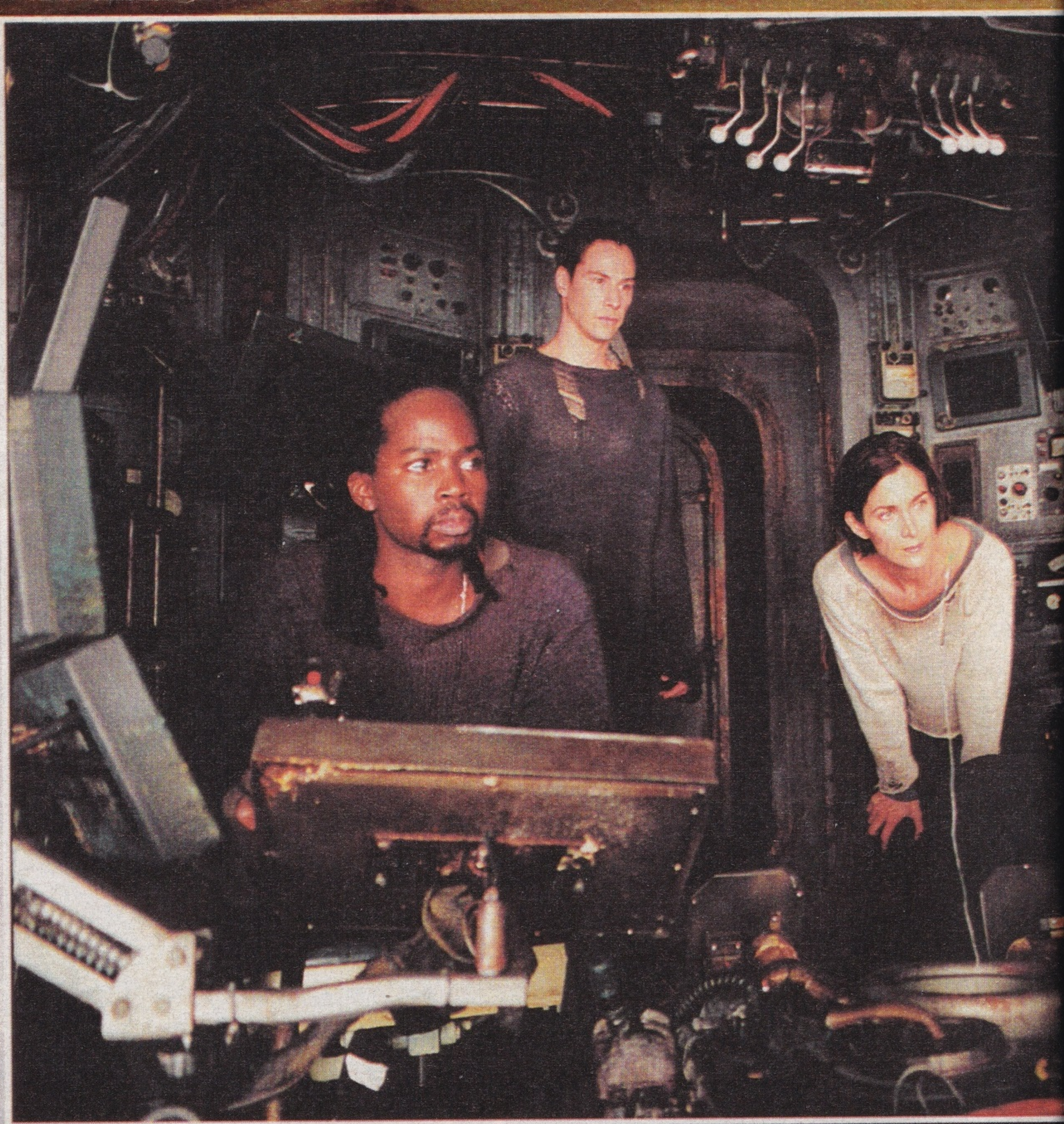
Wachowscy na pewno nie mają jednej cechy: skromności. Od razu bowiem założyli, że ich następny (a właściwie pierwszy) film nie tylko będzie miał budżet... 100 milionów dolarów, ale także będzie początkiem trylogii, i uparcie trzymali się tego postanowienia. Przygotowali też wstępny szkic scenariusza i usiłowali przekonać do swojej wizji szefów Warnera. W tym celu zrobili nawet film za „jedyne" 5 milionów dolarów („Związek" o perypetiach lesbijskiej pary uciekającej z „brudnymi" pieniędzmi). Ta ostatnia produkcja spodobała się widzom i studio było gotowe do powierzenia Wachowskim reżyserii kolejnego filmu, ale oczywiście nie z tak dużym budżetem. Bracia byli jednak nieugięci, chcieli nakręcić przebój, którego jeszcze nikt przed nimi nie zrobił i potrzebowali na to pieniędzy, dużo pieniędzy. O dziwo: szefowie Warnera nie zrozumieli wprawdzie zawiłości scenariusza kolejnego dzieła Wachowskich (chociaż teraz zgodnie twierdzą, że od razu wyczuli w nim wielki potencjał), ale postanowili przeznaczyć na ten projekt 63 miliony dolarów. Jak widać, Wachowskim sprzyjał los i tak rozpoczęła się historia „Matrixa".

ZUPA ŚMIECIUSZKA

Bracia zabrali się do pracy z właściwym sobie zapałem. Postanowili, że w „Matrixie" znajdą się wszystkie pomysły, jakie kiedykolwiek przyszły im do głowy. A że dużo czytali, oglądali i grali w wiele gier komputerowych, to w ich scenariuszu nie zabrakło zarówno nawiązań do filmów kung-fu, gier komputerowych, klasycznych książek dla dzieci (m. in. do „Alicji w Krainie Czarów"), japońskich filmów oraz komiksów (anime i manga), jak i... Biblii, mitologii (wystarczy spojrzeć na imiona bohaterów „Matrixa": Morfeusz, Niobe, Persefona) oraz dzieł filozoficznych. Powstała z tego zupa – śmieciuszka, w której znalazły się wszelkie możliwe składniki, co przyczyniło się także do złośliwej opinii niektórych krytyków, twierdzących, że „Matrix" wcale nie jest oryginalnym dziełem, ale plagiatem wielu popularnych książek i filmów.

Potem rozpoczął się swoisty koncert życzeń. Wachowscy z chirurgiczną precyzją rozrysowali wszystkie ujęcia, do czego wykorzystali swoją praktykę w biznesie komiksowym, a potem zażądali, żeby ich pomysły, co do jednego, znalazły się w „Matrixie". A trzeba przyznać, że wyobraźnię mają sporą! Po pierwsze, bracia chcieli, żeby w filmie umieszczono niezmiernie efektowne sceny walk, opracowane zgodnie z ich wizjami. A skoro od dawna podziwiali dzieła mistrzów z Hongkongu, to zaprosili do współpracy jednego z nich, Wu Pinga, specjalistę nie tylko od kung-fu, ale też od walk, w których występowali „latający" aktorzy, podwieszani na specjalnych linach.

Pan Ping był przyzwyczajony do wysokich wymagań, ale jeszcze nigdy nie pracował z aktorami, którzy na początku nie umieli nawet wyprowadzić prostego ciosu i daleko im było do Jackie Chana lub Jeta Li. A do tego musiał ich wyszkolić przed rozpoczęciem zdjęć, w ciągu 4 miesięcy (od października 1997 do marca 1998). W czasie forsow-



MATRIX W GRACH

Wydawało się dziwne, że do tej pory „Matrixem" nie zainteresowali się producenci gier komputerowych. Okazuje się, że nie docenili oni potencjału dzieła Wachowskich. Propozycję zrobienia matrixowej gry odrzucili (przed premierą filmu) zarówno Hideo Kojima, odpowiedzialny za genialny Metal Gear Solid, studio Bungie (twórcy Halo na Xboxa), jak i szef studia Shiny Entertainment (twórcy Messiaha, MDK i Sacrifice), Dave Perry. Ten ostatni dostał jednak od Wachowskich jeszcze jedną szansę i właśnie pracuje nad pierwszą grą, której akcja będzie się rozgrywała w świecie „Matrixa": ENTER THE MATRIX (na PC, PS2, Xboxa i GameCube). Gra pojawi się w sklepach razem z premierą drugiego „Matrixa", w połowie maja. Co więcej, grupę twórców z Shiny wspierają przy produkcji sami Wachowscy, znani miłośnicy wszelkich gier komputerowych i konsolowych (podobno udało im się nawet kiedyś zdewastować Xboxa podczas zażartej potyczki w Halo). Odpowiadają oni za scenariusz gry. Dzięki temu w ETM pojawi się godzina materiału filmowego, którego nie będzie można zobaczyć w kinie, a Wachowscy (wyraźnie w swoim żywiole) specjalnie na potrzeby gry napisali scenariusz, wymyślili też nowe postaci. Gracze będą mogli wcielić się w Niobe (graną w filmie przez Jade Pinkett-Smith) lub w tajemniczą postać zwaną Ghost (Duch) i zwiedzić (oraz całkowicie zniszczyć przy użyciu różnych rodzajów broni) wiele lokacji, które zostaną także pokazane w drugim „Matrixie". Podobno dzięki grze będzie można zrozumieć prawdziwe znaczenie wielu fragmentów kinowego „Matrixa". Twórcy zapowiadają, że gra będzie stylem nawiązywała do Maxa Payne'a (nic dziwnego, w końcu on z kolei korzystał z techniki „bullet time"), zostanie też okraszona walkami kung-fu i skradaniem się rodem z Metal Gear Solid. Nie zabraknie szalonych pościgów (zarówno w świecie Matrixa, gdzie trzeba będzie np. jak najszybciej dotrzeć do budki telefonicznej, czy w świecie rzeczywistym, gdzie trzeba będzie wymknąć się Strażnikom).

nego treningu siódme poty przelewali wspólnie sława kina Laurence Fishburne (Morfeusz), gwiazdor Keanu Reeves (główny bohater „Matrixa", Neo), który akurat w tym czasie leczył się po skomplikowanej operacji kręgów szyjnych, jak i mało znana Carrie-Anne Moss. Keanu Reeves pewnie nie raz wtedy żałował, że przyjął rolę Neo, którą przed nim odrzucili Ewan McGregor („Trainspotting", „Gwiezdne Wojny I i II") i Will Smith (wolał wystąpić w „Bardzo Dzikim Zachodzie", który to film okazał się totalną porażką artystyczną i finansową).

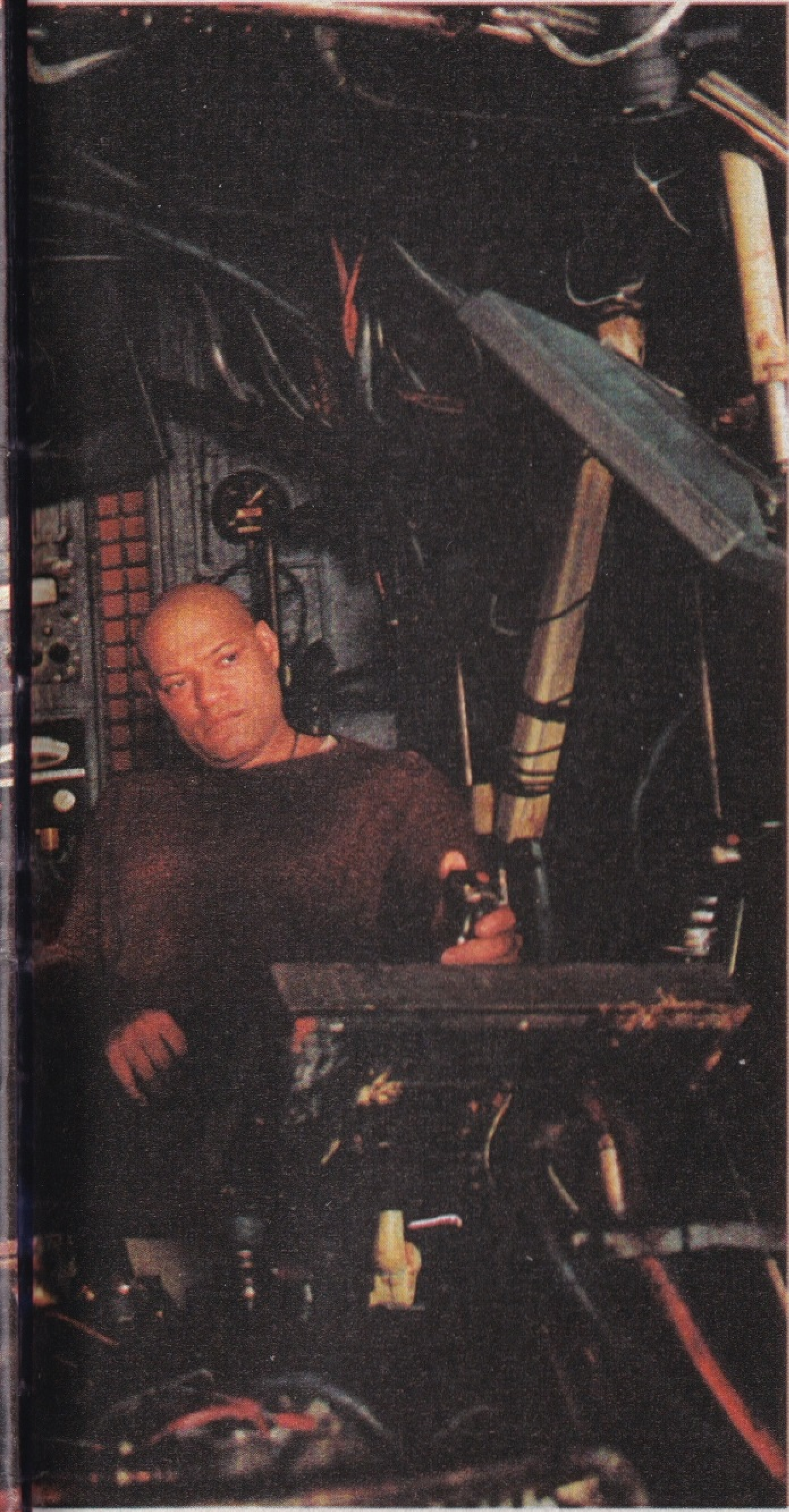
Bracia mieli także sporo pomysłów dotyczących efektów specjalnych, mających ozdobić „Matrixa". Chcieli np. pokazać ze wszystkich stron zatrzymany w bezruchu pocisk. Niestety, okazało się, że żadne ze studiów specjalizujących się w efektach specjalnych nie chce się zmierzyć z takim wyzwaniem. W końcu zdecydował się na to John Gaeta i tak powstała technika „bullet time" (patrz ramka), dzięki której spełniły się marzenia braci. Wachowscy sprytnie wybrali też miejsce kręcenia zdjęć. Cała ekipa poleciała do Australii, w której nie tylko było taniej niż w Hollywood, ale również istniało mniejsze ryzyko, że oficjele z Warnera będą się zbytnio interesowali poczynaniami filmowców.

RESZTA JEST JUŻ HISTORIĄ

Zdjęcia do „Matrixa" trwały 25 tygodni (marzec 1998 – sierpień 1998). Po jego premierze w 1999 roku szybko okazało się, że film nie tylko odniósł sukces finansowy, ale także stał się pozycją kultową dla całego młodego pokolenia. Docenili go także krytycy, przyznając „Matrixowi" 4 Oskary (za efekty wizualne, efekty dźwiękowe, dźwięk i montaż). Jak widać, warto być upartym: bracia Wachowscy awansowali na znanych reżyserów, a Warner Bros czym prędzej zgodził się na nakręcenie kolejnych dwóch części trylogii. „Matrix Reaktywacja" („Matrix Reloaded") i „Matrix Rewolucje" („Matrix Revolutions") będą miały swoją premierę 4 lata po pojawieniu się w kinach części pierwszej. Oba filmy kręcono jednocześnie, oczywiście za o wiele większe pieniądze oraz z dużo większym rozmachem. Czy odniosą taki sam sukces jak pierwszy „Matrix"? Tym razem przed Wachowskimi stoi o wiele trudniejsze zadanie. Po pierwsze, apetyt rośnie w miarę jedzenia, a wszyscy już od 4 lat czekają z niecierpliwością na kolejne części megaprzeboju. Po drugie, na horyzoncie pojawiła się niezmiernie groźna konkurencja: trylogia „Władca Pierścieni" (zresztą w króla elfów z „Władcy Pierścieni" i agenta Smitha z „Matrixa" wcielił







się ten sam aktor, Hugo Weaving). Bracia Wachowscy lubią jednak wyzwania. A widzowie lubią filmy Wachowskich...

TAJEMNICE NOWYCH PRODUKCJI

Kolejne części Matrixa pojawią się w kinach na wiosnę („Matrix Reaktywacja" w Polsce zagości 23 maja) i na jesieni („Matrix Rewolucje" w naszych kinach pojawi się 7 listopada) 2003 roku. To dosyć niespotykane, bo zwykle między premierami kolejnych części serii zachowywany jest co najmniej rok przerwy.

Wiadomo na pewno, że w filmach nie zagra amerykańska piosenkarka i aktorka, 22- letnia Aaliyah, która miała wcielić się w rolę Zee. Niestety, zginęła w katastrofie lotniczej. W trzeciej części nie zobaczymy też Glorii Foster, Wyroczni, która zmarła z powodu powikłań cukrzycowych. Pojawią się natomiast najważniejsi bohaterowie poprzedniej części: Neo, Trinity i Morfeusz, grani przez tych samych aktorów co poprzednio, także Agent Smith (Hugo Weaving), a raczej wielu Agentów Smithów. Dołączy do nich także żona Willa Smitha (Jada Pinket-Smith) jako była ukochana Morfeusza, Niobe, a także sławna aktorka i modelka, zjawiskowo piękna Monica Bellucci jako Persefona (podobno będzie chciała uwieść Neo...). Tym razem w filmie ujrzymy zresztą o wiele więcej aktorów i statystów niż w pierwszej części.

Na razie ważniejsze informacje na temat fabuły obu produkcji utrzymywane są w tajemnicy (zwłaszcza drugiej części), ale sporo ciekawostek ujrzało już światło dzienne:

– Maszyny poznają położenie ostatniego wolnego miasta ludzi, Zionu (Syjonu) i będą chciały je zniszczyć.

– Jedyną nadzieją dla cywilizacji stanie się niejaki Keymaster, drobny Chińczyk, który wie o wszystkich punktach dostępu do Matrixa. Ochraniają go jednak dwaj paskudni, ubrani na biało bliźniacy, nazywani... Twin 1 i Twin 2 (Bliźniak 1 i 2) – zabłąkane wirusy w Matrixie.

– Trinity i Morfeusz będą musieli uratować Keymastera i sprowadzić go do prawdziwego świata.

– Widzowie zobaczą niezwykle efektowną scenę ucieczki Trinity i Keymastera po autostradzie. A jak wiadomo, autostrada to także świetne miejsce do pościgu dla Agentów, w końcu pełno na niej ludzi, w których ciała mogą się przemieszczać i spróbować staranować uciekających rebeliantów. Podobno ma to być najbardziej efektowny pościg, jaki widziano kiedykolwiek w kinie. Bracia Wachowscy długo szukali autostrady, na której przez 7 tygodni chcieli kręcić sceny ucieczki Trinity i Keymastera. Wymagania, jak zwykle, mieli dosyć specyficzne. Chcieli bowiem, żeby autostrada miała... mroczny klimat. Po długich poszukiwaniach okazało się, że taka autostrada... nie istnieje. Bracia zamówili więc własne dwie mile PRAWDZIWEJ autostrady, którą wybudowano w starej amerykańskiej bazie w Kalifornii. Kosztowało to „jedyne" 2.4 miliona dolarów.

– Neo będzie walczyć ze 100 kopiami Agenta Smitha (tę efektowną scenę kręcono przez 27 dni).

– Akcja „Matrix Rewolucje" będzie się toczyła w rzeczywistym świecie (a nie w Matrixie), w ruinach miasta ludzi.

– W nowych „Matrixach" znajdzie się prawie 3000 ujęć z wykorzystaniem efektów specjalnych (w pierwszym filmie było ich zaledwie 412).

– Braciom Wachowskim oczywiście nie spodobało się to, że ich „bullet time" wykorzystany został w tak wielu innych filmach,więc postanowili wymyślić coś nowego i zaskakującego. Tym razem będzie to technika nazywana „virtual cinematography". Dzięki niej ma zatrzeć się granica między rzeczywistością a efektami komputerowymi. W czasie walki Neo z Agentem Smithem nie będzie można np. rozpoznać, który z Hugo Weavingów jest prawdziwym aktorem, a który tylko efektem specjalnym. Taka sama technika zostanie wykorzystana także do przedstawienia pojazdów, przedmiotów i pokojów oraz wszystkiego, co sobie wymarzą Wachowscy.

MONEY, MONEY, MONEY

Budżet „Matrixa":
63 miliony dolarów

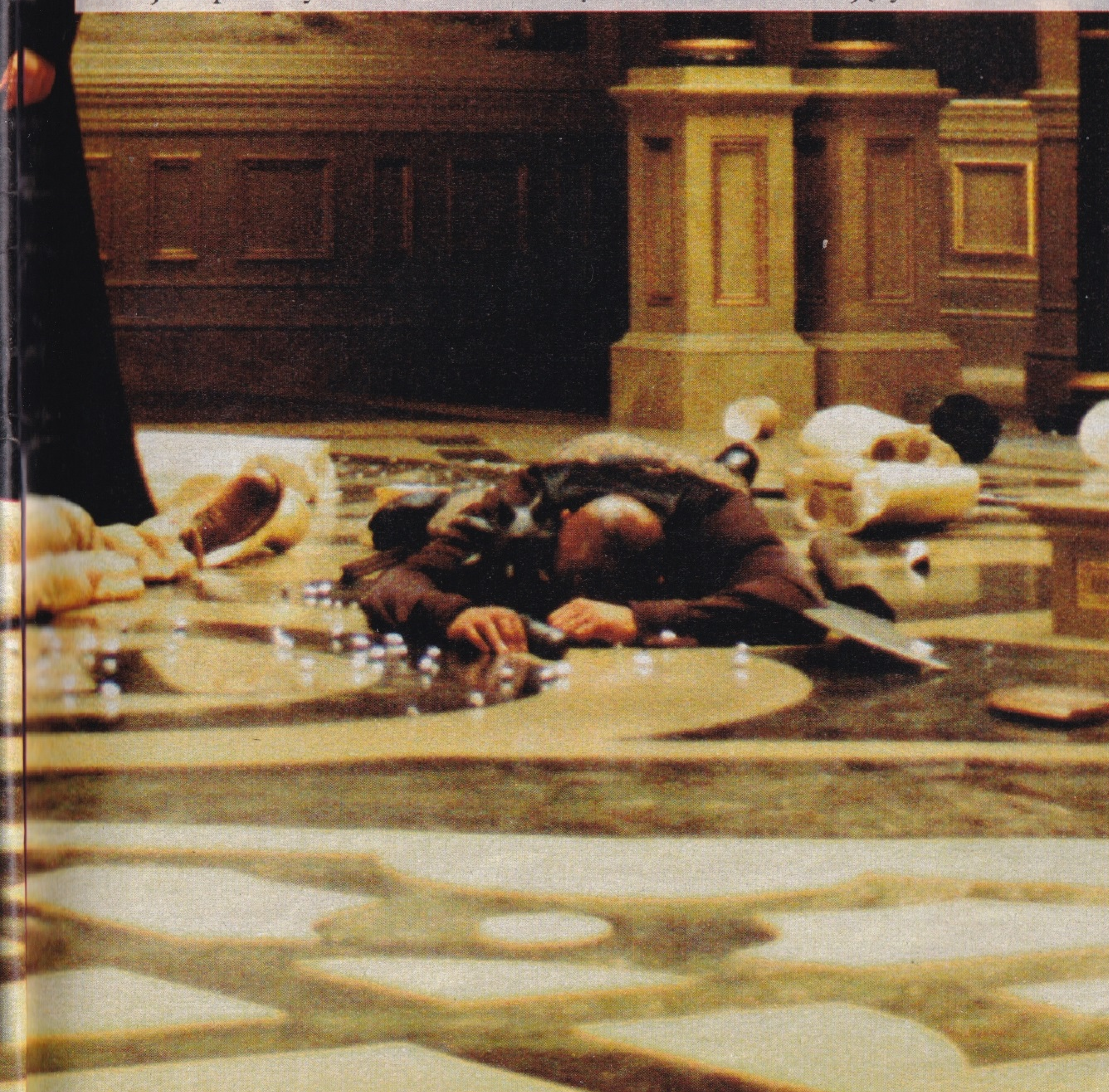
Wpływy w roku premiery:
USA: 171 milionów dolarów
Poza Ameryką: 285 milionów dolarów

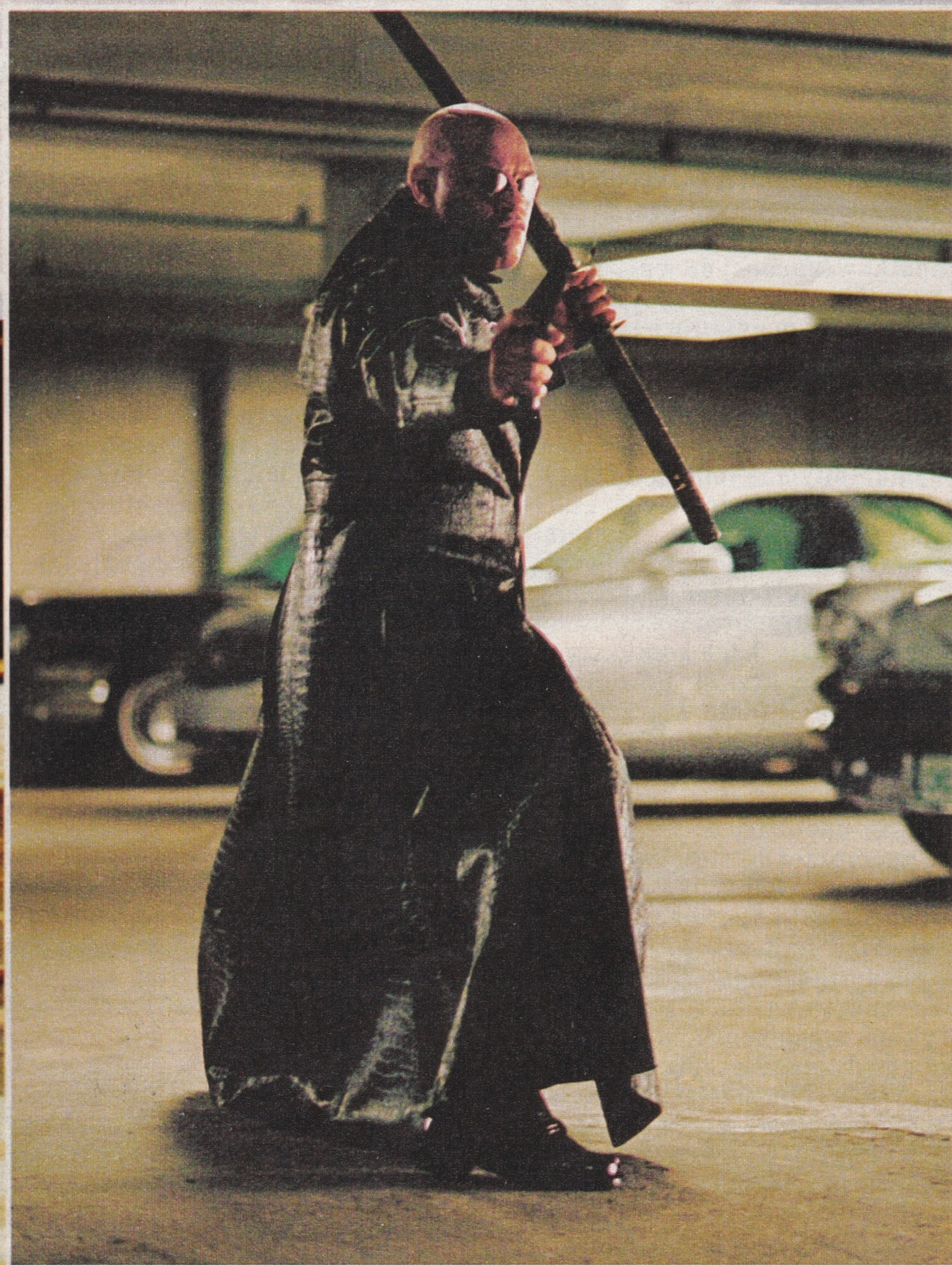
Rekordy sprzedaży DVD:
Matrix był też pierwszym filmem na DVD, który sprzedał się w nakładzie miliona kopii.

Budżet dwóch kolejnych części „Matrixa":

Produkcja obu filmów będzie kosztowała co najmniej 300 milionów dolarów (wszystko wskazuje na to, że jest to suma sporo zaniżona, skoro 17-minutowa sekwencja bitwy w „Matrix Rewolucje" pochłonęła ponad $40 milionów, a wybudowanie 2-milowego odcinka autostrady ponad $2.4 milionów).

Efekty specjalne w obu częściach:
Ponad 100 milionów dolarów.



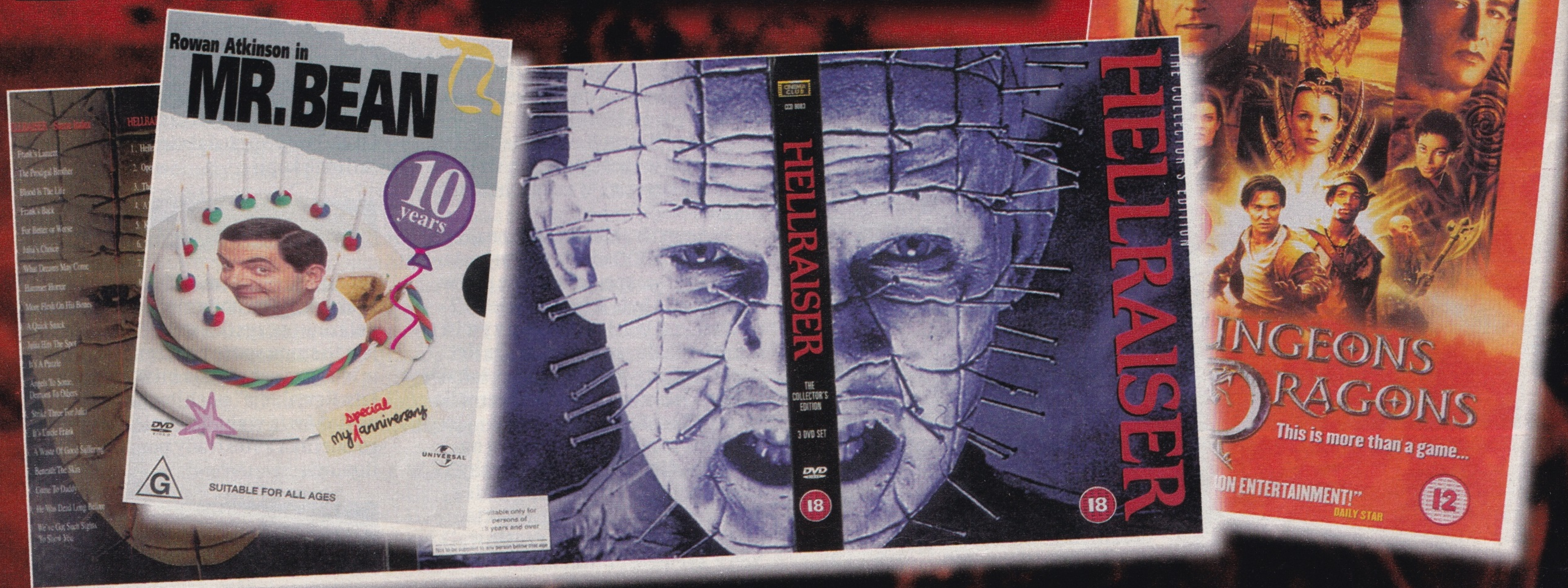


Zdjęcia: Warner Bros, archiwum wydawnictwa Bauer

NIEZNANY ŚWIAT DVD

Tekst: Adrian Chmielarz

Masz kartę kredytową, dostęp do Sieci i odtwarzacz DVD? Świat nieprawdopodobnych przeżyć filmowych stoi przed tobą otwarty na oścież. Zamiast przepłacać i kupować filmy w Empikach, sprowadź je z Zachodu. A my radzimy, z jakich sklepów wysyłkowych korzystać.



Harlan Ellison – geniusz s-f – nie wypowiada dwóch zdań bez mocnego przekleństwa, obraża wszystkich bez dyskryminacji, ludzkość uważa za zbiór mniejszych lub większych debili, a przyszłość naszego gatunku jest dla niego tak klarowna jak losy zapałki wrzuconej do wulkanu. Fan jego twórczości zadał mu kiedyś mailem pytanie o pewien trudny wyraz, jaki napotkał w jednym z opowiadań. Choć twórca gardzi komputerem, a Internet uważa za największy śmietnik świata, innym fanom udało się wydusić z niego odpowiedź. „Co to za kretyńskie pytanie" – subtelnie zauważył Harlan – „Jakiś przymuł wysyła mi maila, tracąc czas mój i swój, wymaga, bym poszperał w starych książkach kontekstu, w jakim ten wyraz się pojawia, i przypomniał sobie, dlaczego 15 lat temu go użyłem. A mógł odpalić internetową przeszukiwarkę, wpisać owe słowo i w 3 sekundy uzyskać odpowiedź". Historia ta przypomniała mi się, gdy zostałem poproszony o napisanie artykuliku na temat kupowania DVD przez Sieć. Najpierw pomyślałem, że każdy obdarzony choć jednym palcem delikwent może połączyć się z www.google.com.pl i samemu odszukać wszelkie potrzebnych informacje. Za chwilę zreflektowałem się jednak, że mnie samemu wypracowanie sprawnego systemu zamawiania zajęło parę ładnych miesięcy i skoro przyjąć opinię Ellisona o Internecie jako przerośniętym śmietniku, warto oszczędzić czas i cierpienie ludziom, którzy dopiero wchodzą w fazę zakupów przez kliknięcie.

Tak czy owak, przeszukiwarki internetowe zawsze się przydają. O jednej, najlepszej, już wspomniałem, ale warto też zainstalować sobie program Copernic (www. copernic. com) , który jest. . . przeszukiwarką przeszukiwarek. Otóż taki Google obejmuje tylko część Internetu i aby rezultat poszukiwań był jak najpełniejszy, należałoby wchodzić po kolei na rozmaitych jego konkurentów. Copernic nas od tego uwalnia, automatycznie szukając odpowiedzi po znanych ludzkości wyszukiwarkach, ładnie grupując odpowiedzi, kasując podwójne linki itd. Polecam.

Oszołomiona „extasy" część młodzieży „pluje kaszką" na globalny korporacjonizm, ale nie da się ukryć faktu, że osobiście nigdy się nie zawiodłem na absolutnie największym sklepie internetowym świata, Amazon. Sprowadzałem już DVD z USA (www. amazon. com) , bo tylko tam mają kolekcjonerską edycję „Swingersów", pierwszy sezon „Przyja-

ciół" z przedłużonymi odcinkami czy też boxowe wydanie sitcomu „Sports Night". Sprowadzałem także z Francji (www. amazon. fr) , bo tylko francuska edycja obu Conanów (ze ścieżką i napisami po angielsku, oczywiście) pozbawiona jest cenzorskich cięć. Jednak 99% moich zamówień składam w Anglii (www. amazon. co. uk) . Paczka przychodzi w 4-5 dni, żadna mi nigdy nie zginęła, a wybór jest wprost przeogromny. Wyobrażacie sobie, że kupiłem tam specjalne dwupłytowe wydanie „Predatora" z polskimi napisami (!) , rzeczy, której w Polsce prawdopodobnie w ogóle nigdy nie uświadczymy?

Amazon ma interesujące ceny, ale pobiera opłatę za wysyłkę. Najlepszym jego konkurentem jest Benson (www. bensonworld. co. uk) , który żadnych dodatkowych opłat nie pobiera, ofertę ma prawie równie bogatą (np. ostatnio udało mi się tam zakupić pierwszy sezon „Archiwum X", którego zapasy w Amazonie już zostały wyczerpane) , a właściciele chętnie odpowiadają na maile. Uczciwie przyznam jednak, że raz przesyłka zaginęła. Czy to kwestia moich sąsiadów, czy problem Bensona – nie wiem. Dodać w tym miejscu należy, że po pierwsze, po moim monicie za darmo (SIC!) wysłano mi DVD raz jeszcze, a poza tym istnieje opcja przesyłki ubezpieczonej (odbiór osobisty na poczcie) .

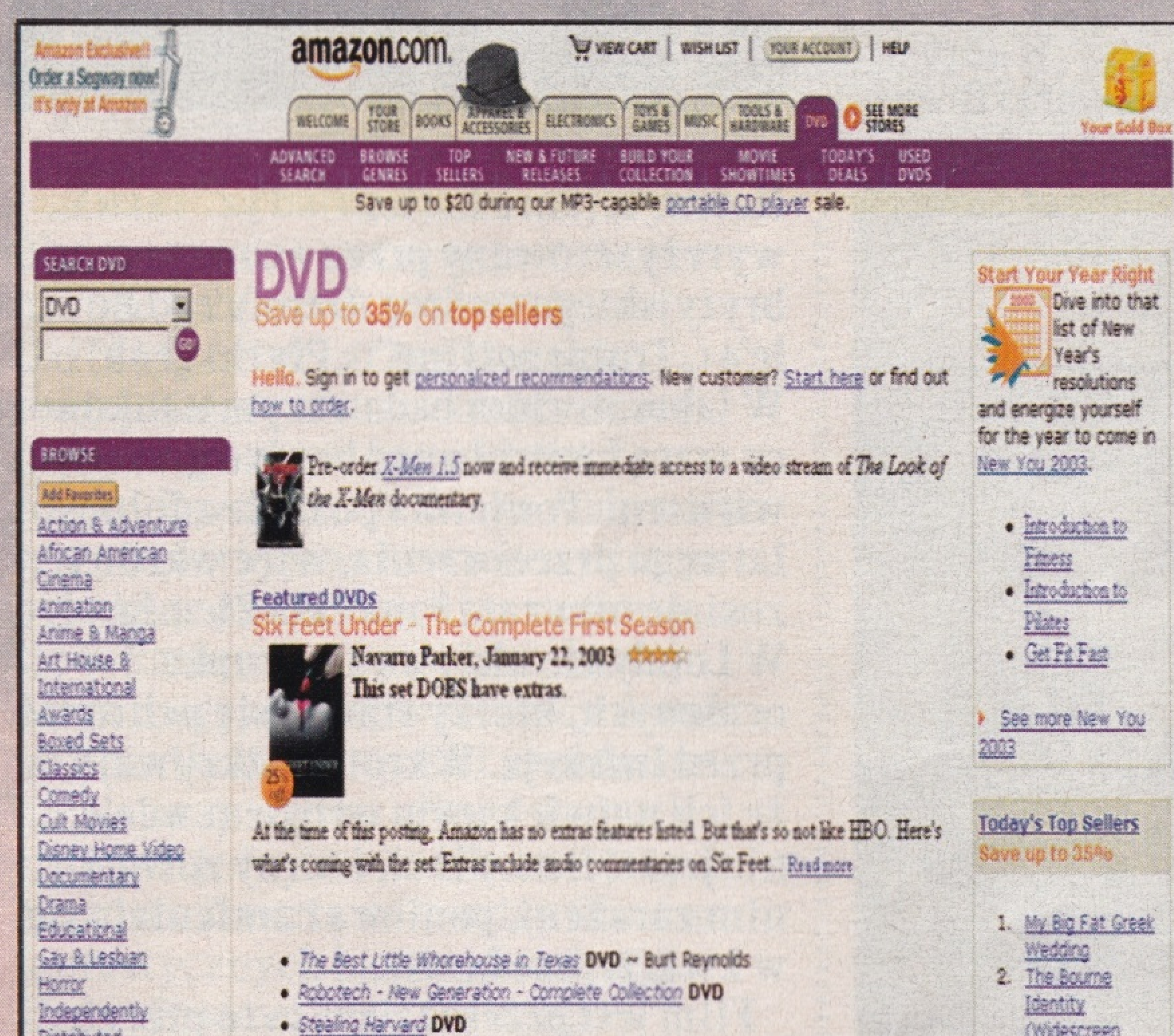
Mam znajomych, którzy tak długo szukają dobrej ceny, aż znajdą ją choćby. . . w Australii. Strona (www. ezyDVD. com. au) oferuje wiele filmów działających w regionie 2 (czyli Europa) po nikczemnie niskich cenach i choć czas oczekiwania waha się od tygodnia do kilku, to zysk jest spory. Oszczędzać można również i w Polsce, ludzie kupujący w Empikach mogą się nieźle zdziwić, zaglądając choćby na www.is-dvd.pl lub www.e-dvd.pl. Ale, uwaga! , ceny w polskich sklepach wysyłkowych są z reguły dużo wyższe niż na Zachodzie.

Ostateczny jednak werdykt cenowy (jeśli to jest dla kogoś najistotniejszym kryterium) wydać można dopiero po odwiedzinach analogicznych do Copernica wyszukiwarek sklepowych. Anglofilom polecam www.bestpricedvd.co.uk, a amerykanofilom www.dvdprice-search.com. Wpisujemy tytuł filmu i za chwilę otrzymujemy listę oferujących go sklepów, włącznie z zaznaczeniem tego najtańszego. Dla prawdziwego fanatyka DVD absolutnie obowiązkowym miejscem w Sieci jest www.dvd-compare.org.uk. Po wpisaniu tytułu filmu ukazuje się porównanie wszelakich jego edycji (np. region 1, 2 i 4) . Jest to bezcenne źródło informacji, dzięki któremu, na przykład, okazuje się, iż amerykańskie wydania „Przyjaciół" są w rzeczywistości zakodowane w regionie 1 i 2 (a nie tylko 1) , że tylko wydanie R1 „Lśnienia" nie zostało skrócone przez Kubricka o całe 30 minut (!) i że tylko francuska edycja „Kręgu" (Ring) ma soundtrack w Dolby Digital 5.1.

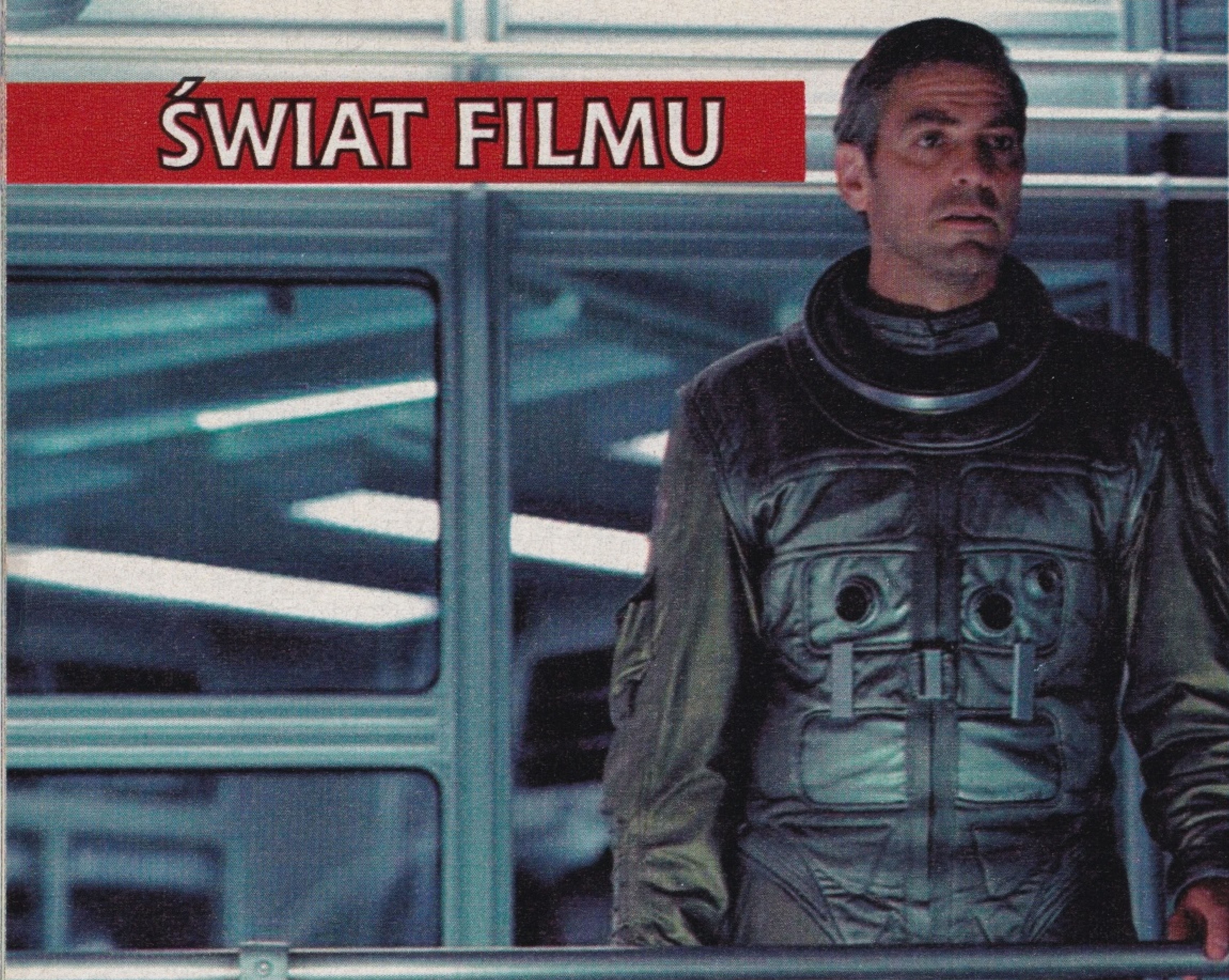
Niektórym jednak nawet i to nie wystarczy. W końcu wspomniany „Krąg" znamy ledwie w wersji japońskiej lub amerykańskiej, a przecież istnieje – ponoć najlepsza z całej trójki – wersja koreańska. Legendarny horror „Dellamorte Dellamore" z Rupertem Everettem został wyprodukowany w Europie, lecz konia z rzędem temu, kto w europejskich sklepach go znajdzie. Hideo Nakata zrobił po „Ringu 2" kolejny gorąco przyjęty horror, „Dark Water", pozornie do kupienia tylko bezpośrednio w Hongkongu lub Tokio. Z pomocą przychodzi tutaj jeden z największych sklepów specjalizujących się w „dziwnych" DVD: www.hkflix.com. Poszukiwacze odtrutek na wielkoprodukcyjne gnioty typu „A. I. " poczują się tam jak w niebie.

Warto zagłębić się w świat wysyłkowych sklepów, bo wycieczki do Media Marktu nie zakończą się zakupem całego sezonu „Twin Peaks", „Futuramy" czy „24". Poza tym, ceny w polskich sklepach są nieprzyzwoicie wysokie. Mam nadzieję, że ten pobieżny przegląd zachęci was do zanurkowania w nieznane do tej pory głębiny. 15 lat temu wstrząsnął mną film „Falling in Love" z Meryl Streep i Robertem de Niro. Od wczoraj znajduje się na mojej półce dzięki pięciu kliknięciom i debetowi na karcie. Jak więc widać, nawet i w śmietniku można znaleźć ciekawe rzeczy.









Tekst: Paweł Ziemkiewicz

Nowości z małego i wielkiego ekranu

Kino

SOLARIS

(Solaris), reż. Steven Soderbergh, wyst.: George Clooney, Natascha McElhone, Jeremy Davies, Viola Davis. USA 2002, 99 min. Już w kinach.



Adaptacja jednej z najlepszych powieści Stanisława Lema. Film zrealizowany bardzo starannie, z olbrzymim rozmachem. Znakomite efekty specjalne, bardzo realna scenografia, lecz scenariusz ograniczył się właściwie do wątku miłosnego. Gdzieś zniknęła cała tajemnica Oceanu, który wymykał się wszelkiemu opisowi i poznaniu, zmieniono także końcówkę powieści. Warto zobaczyć, ale należy pamiętać, że z oryginalnego „Solaris" pozostała tylko niewielka część.

THE RING – KRĄG 2

(Ring 2), reż: Hideo Nakata, wyst.: Miki Nakatani, Hitomi Sato, Kyoko Fukada, Nanako Matsushima. Japonia, 2000, 95 min. Już w kinach.

Ciąg dalszy kultowego japońskiego horroru „The Ring – Krąg". Scenariusz, powstał na podstawie



powieści Koji Suzuki (nazywanego japońskim Stephenem Kingiem). Po pozornym wyjaśnieniu zagadki morderczej kasety wideo bohaterka poprzedniego filmu znika w niewyjaśnionych okolicznościach. Mai Takano, przyjaciółka głównego bohatera pierwszej części, postanawia wyjaśnić przyczyny jego tajemniczej śmierci. Wkrótce trafia na kasetę wideo i podąża tym tropem. W miarę jak poznaje nowe fakty, wydarzenia zaczynają się robić coraz bardziej dramatyczne. Film do samego końca trzyma widzów w napięciu.

STAR TREK – NEMESIS

(Star Trek – Nemesis), reż: Stuart Baird, wyst.: Patrick Stewart, Brent Spiner, Jonathan Frakes, Marina Sirtis, Levar Burton, Michael Dorn, Gates McFadden. USA 2002, 117 min. Premiera 7 marca



Dziesiąty pełnometrażowy film osadzony w świecie wykreowanym przez twórców serialu Star Trek. Tym razem załoga statku Enterprise udaje się na Romulusa, ojczystą planetę największych wrogów Federacji, Romulan. Romulanie pragną zawrzeć z Federacją pokój i właśnie z misją pokojową zostaje wysłany Enterprise. Jednak na miejscu okazuje się, że nowy przywódca Romulan dysponuje bardzo silną bronią, która może zniszczyć nie tylko Enterprise z załogą, ale także Ziemię.

Miłośnicy serialu znajdą tu swoich ulubionych bohaterów, przygotowano dla nich kilka niespodzianek (między innymi jeden ślub), ale widzowie nie będący pasjonatami serii mogą poczuć się nieco rozczarowani.

28 DNI PÓŹNIEJ

(28 Days Later), reż: Danny Boyle, wyst.: Cillian Murphy, Naomie Harris, Megan Burns, Brendan Gleeson. Wielka Brytania/USA/Holandia 2002, 112 min. Premiera 14 marca.



Horror science fiction wyreżyserowany przez znanego brytyjskiego twórcę, Danny'ego Boyle'a („Trainspotting", „Płytki grób"). W laboratorium badawczym naukowcy tracą kontrolę nad bardzo groźnym wirusem. Ponieważ posiada zdolność łatwego przenoszenia, więc wkrótce zostaje nim zarażona cała Ziemia. W Londynie ukrywa się grupka ocalonych, którzy starają się uchronić przed infekcją. Wkrótce odkrywają, że ich największym wrogiem wcale nie jest wirus, ale ci, którzy zostali nim zarażeni, ponieważ zmieniają się w kwiożercze bestie.

Film jest przerażający (o to przecież chodzi w horrorach). Jak napisał jeden z krytyków, film ma jedno z najlepszych zakończeń na świecie.

KSIĘGA DŻUNGLI 2

(Jungle Book 2), reż: Steve Trenbirth. USA 2003. Premiera 21 marca



Kontynuacja jednego z największych przebojów ze studia Walta Disneya, klasycznego filmu animowanego opartego na słynnej powieści Rudyarda Kiplinga. Film opowiada o dalszych przygodach Mowgliego, chłopca wychowanego w dżungli przez zwierzęta. Mowgli musi wrócić do dżungli, by raz na zawsze rozprawić się ze swoim największym wrogiem, tygrysem Shere Khanem. Jak zwykle w disnejowskich filmach, są piosenki i znakomita animacja, a całość ma polską wersję językową.

DAREDEVIL

(Daredevil), reż: Mark Steven Johnson, wyst.: Ben Affleck, Jennifer Garner, Michael Clarke Duncan, Colin Farrell, Jon Fevreau. USA 2002. Premiera 28 marca



Filmowa adaptacja popularnego komiksu. Główny bohater, Matt Murdock (w tej roli Ben Affleck), stracił w dzieciństwie wzrok. Ale w wyniku wypadku rozwinęły się u niego inne zmysły, które kompensują mu ten brak. Już jako dorosły mężczyzna (prawnik z wykształcenia), Matt wciela się w Daredevila, bohatera walczącego ze złem. Jego życie komplikuje się, kiedy poznaje piękną Electrę. Kobieta skrywa pewną tajemnicę, której nie chce ujawnić nawet ukochanemu. Głównym wątkiem filmu jest walka Daredevila z superprzestępcą Kingpinem i zawodowym mordercą Bullseyem. Jak zwykle w takich produkcjach film ma oszałamiające

GALAXY QUEST KOSMICZNA ZAŁOGA

(Galaxy Quest), reż: Dean Parisot, wyst.: Alan Rickman, Sigourney Weaver, Tim Allen, Tony Shaloub. USA 1999. 98 min. Dystrybutor Imperial Entertainment.



Bardzo dobra komedia jawnie parodiująca Star Trek i środowisko fanów serialu. Bohaterowie zamkniętego przed dwudziestu laty cyklu o statku NSEA Protector wciąż jeżdżą na konwenty i spotykają się z fanami. Na jednym z konwentów zwracają się do nich przedstawiciele obcej cywilizacji, którzy potraktowali serial jako program dokumentalny i proszą o pomoc w uratowaniu ich planety. W związku z tym zapraszają ludzi z NSEA Protector na statek, który zbudowali specjalnie dla nich. Aktorzy trafiają w Kosmos, a tam muszą stoczyć prawdziwe bitwy z prawdziwym wrogiem.

Całość jest bardzo zabawna i dobrze zagrana. Dialogi pełne są dowcipów, a dla osób znających środowisko fanów w filmie znajdą się dodatkowe smaczki. Polska edycja DVD ma jedną podstawową wadę – na płycie nie ma polskich napisów (jest tylko wersja z lektorem, spłaszczająca efekty dźwiękowe).

Wydanie jednopłytowe. Dodatki: zwiastun kinowy, dokument „On Location In Space", Cutting Room Floor (sceny usunięte z filmu).

ZNAKI

(Signs), Scenariusz i reżyseria: M. Night Shyamalan, wyst.: Mel Gibson, Joaquin Phoenix, Cherry Jones, M. Night Shyamalan i inni. USA 2002, 107 min. Dystrybutor Imperial Entertainment.



Thriller science fiction wyreżyserowany przez twórcę głośnego „Szóstego zmysłu". Na polach farmerów z różnych zakątków kuli ziemskiej pojawiają się tajemnicze znaki. Wkrótce stacje telewizyjne zaczynają informować o coraz liczniejszych pojawieniach się UFO. Bohaterowie filmu, skromny farmer (Mel Gibson) wraz z dwójka dzieci i bratem (Joaquin Phoenix), mieszkają na małej farmie. Od czasu pojawienia się pierwszych znaków w ich okolicy zaczynają dziać się niepokojące rzeczy. Stopniowo narasta atmosfera zagrożenia, aż wreszcie bohaterowie zostają zmuszeni do tego, by stoczyć walkę o życie.

„Znaki" są bardzo interesującym filmem zrealizowanym perfekcyjnie pod względem technicznym. Dzięki świetnej grze aktorskiej rozgrywający się na ekranie sensacyjny dramat wciąga widzów bez reszty. Powoli z wielkiego widowiska science fiction (na które liczyliśmy, oglądając początek), film zmienia się w kameralną opowieść, której akcja rozgrywa się w piwnicy domu (miłośnikom fantastyki nieodmiennie kojarzy się to z „Nocą żywych trupów",jednym z najsłynniejszych horrów). Zresztą miłośnicy filmów fantastycznych bez trudu odnajdą ślady „Ptaków" czy „Inwazji porywaczy ciał", do których reżyser świadomie nawiązywał, składając w ten sposób hołd wielkim dziełom kinowej fantastyki.

RAPORT MNIEJSZOŚCI

(Minority Report), reż: Steven Spielberg, wyst.: Tom Cruise, Colin Farrell, Samantha Morton, Kathryn Morrison. USA 2002, 145 min. Dystrybutor Imperial Entertainment.



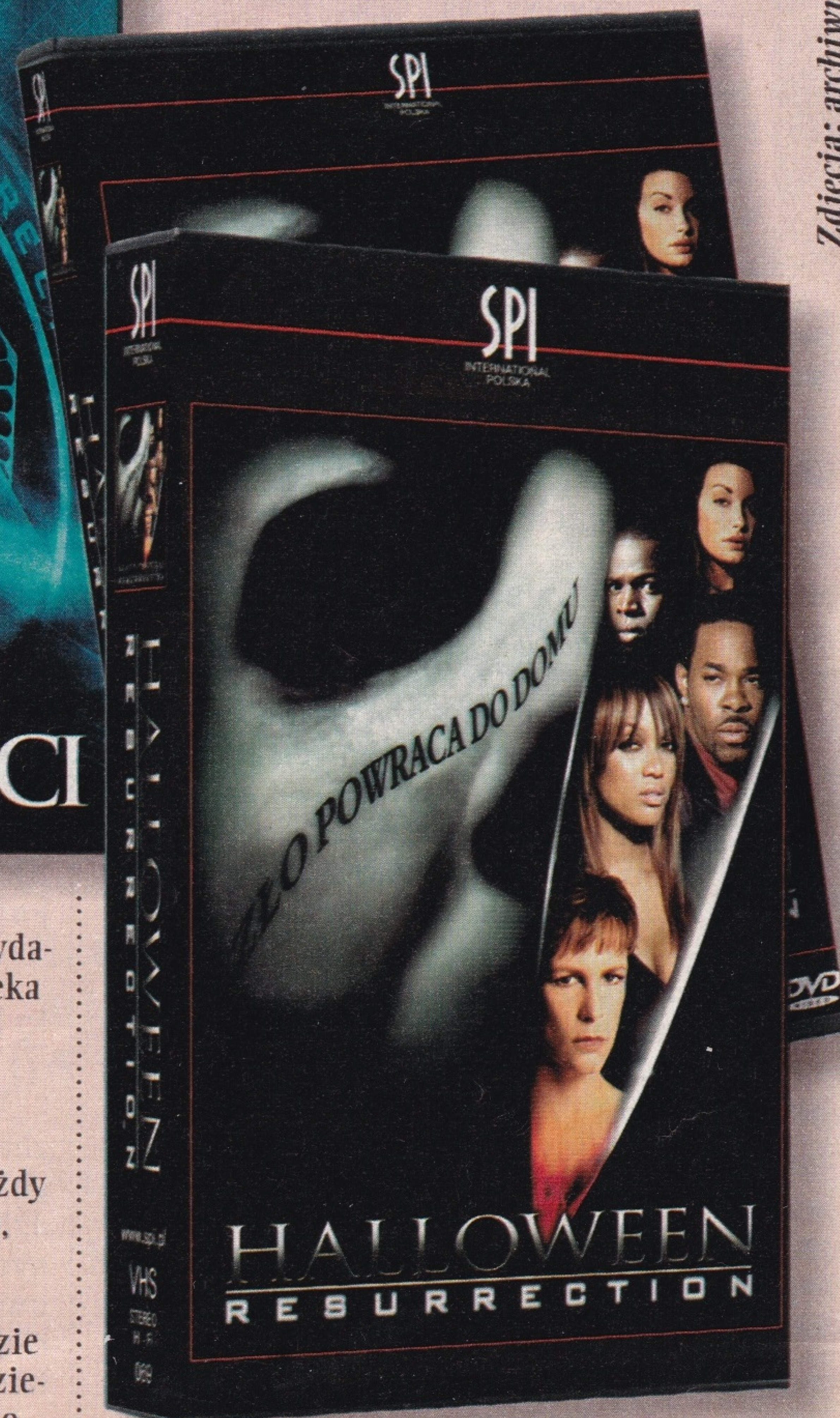
Film science fiction oparty na opowiadaniu Philipa K. Dicka. Waszyngton, rok 2054. Futurystyczny świat, w którym nie ma miejsca na zbrodnię, bo przyszłość można przewidzieć, a w innych ukarać, zanim popełnią zaplanowane morderstwo. Dowodów ich niedoszłych zbrodni dostarczają Jasnowidze ukryci w podziemiach Agencji Prewencji Departamentu Sprawiedliwości – trzy obdarzone niezwykłymi zdolnościami parapsychologicznymi istoty, które nigdy się nie mylą. Nad sprawnym działaniem Agencji Prewencji czuwa komisarz John Anderton (Tom Cruise), który przed sześciu laty stracił syna i gotów jest na wszystko, by oszczędzić innym rodzicom podobnego losu. Anderton wierzy w niezawodność systemu... dopóki sam nie stanie się głównym podejrzanym. Jako szef Agencji Prewencji Anderton pierwszy ogląda obrazy przekazywane przez Jasnowidzów, którzy oczami wyobraźni widzą szczegóły przyszłych zbrodni. Ich werdykt nie pozostawia wątpliwości – za niespełna 36 godzin John Anderton zabije człowieka, którego nawet nie zna. Mimo iż miejsce zbrodni i twarz ofiary są mu obce, prawda wydaje się niepodważalna. Anderton ucieka przed próbującymi go aresztować agentami, którymi dowodzi jego zacięty rywal Danny Witwer (Colin Farrell). Niełatwo jednak ukryć się w mieście przyszłości, w którym każdy ruch śledzą kamery bezpieczeństwa, a Jasnowidze potrafią przewidzieć postępowanie uciekiniera.

Dodatki w postaci dwóch płyt, gdzie na pierwszej dokumentalnej znajdziemy: „Minority Report: From Story to Screen", „Deconstructing Minority Report", „The Stunts of Minority Report", „The Digital World of Minority Report", „Final Report", zaś druga płyta to: noty produkcyjne, storyboardy, zdjęcia, biografie twórców i aktorów.

HALLOWEEN: RESURRECTION

(Halloween: Resurrection), reż: Rick Rosenthal, wyst.: Jamie Lee Curtis, Bianca Kajlich, Busta Rhymes, Tyra Banks, Thomas Ian Nicholas. USA 2002, 94 min. Dystrybutor SPI.

Kolejna część jednego z najsłynniejszych cykli filmowych. Tym razem realizatorzy powrócili do źródła i akcję filmu umieścili w miejscu, w którym się wszystko zaczęło. Internetowa firma organizuje wyjątkowy wieczór Halloween w domu rodzinnym Mike'a Myersa. Zabawa jest na żywo transmitowana w Internecie, a uczestnikami jest grupa szczęśliwców, którym udało się wygrać specjalnie na tę okazję zorganizowany konkurs. Podczas imprezy zamaskowany morderca powraca i po raz kolejny przypomina, że choć czas płynie, on nie umiera i wciąż może zabijać... Film wyszedł spod ręki reżysera, który przed laty zrealizował „Halloween 2" i przeznaczony jest dla miłośników gatunku.



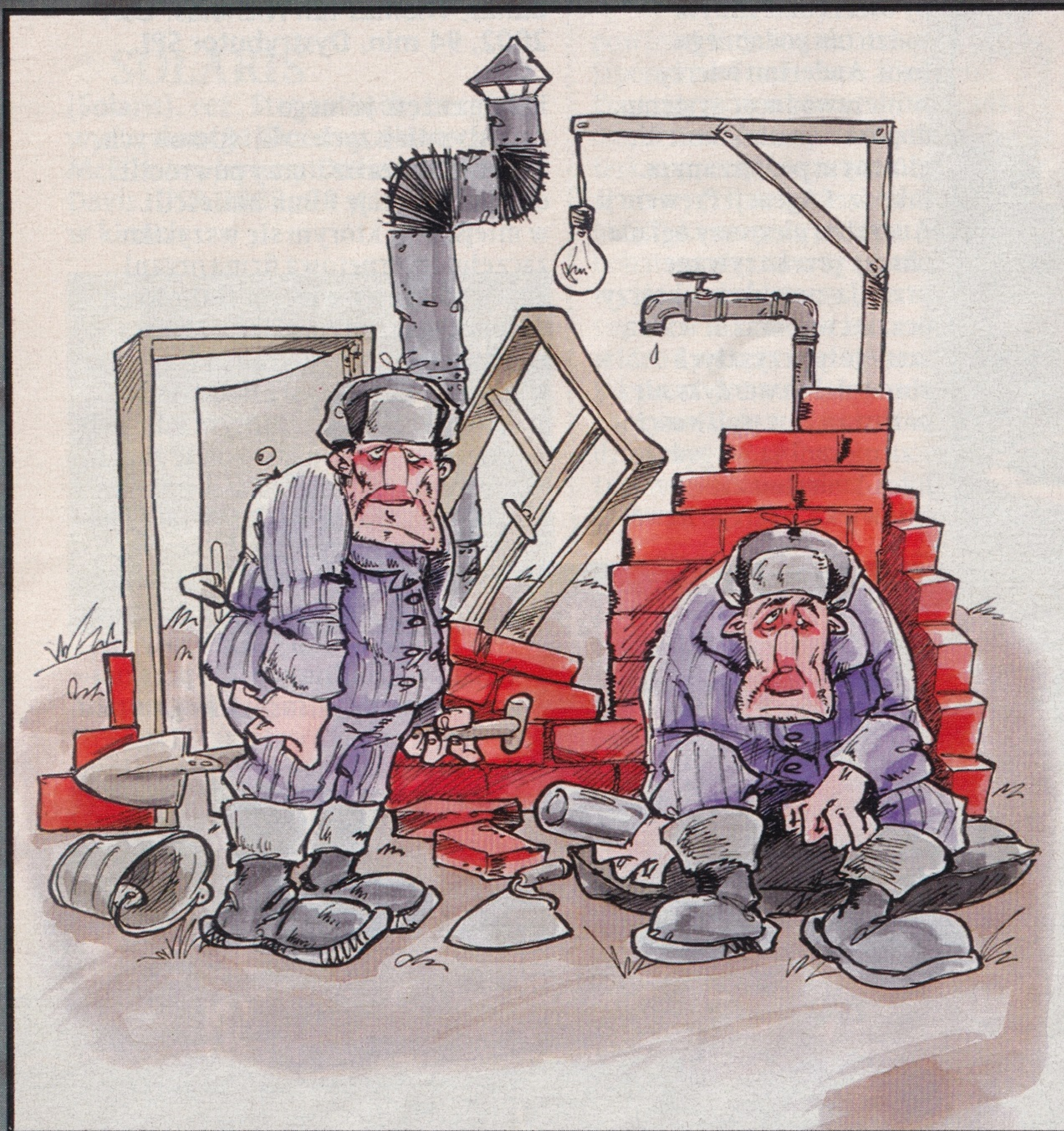
Zdjęcia: archiwum wydawnictwa Bauer



Dobrze być złym

„Kiedy umrzecie, z radością zatańczę na waszych grobach"

Tekst: redaktor Gollum



Tysiącletnia Świątynia

– Z szacunkiem dla świetnej historii budujemy jeszcze lepszą przyszłość. Głęboko wierzę, że na nowo rozpalamy ognisko, przy którym dla każdego wystarczy miejsca. Ten ogień płonie przecież w nas wszystkich i nic go nie zgasi.

– Wznosimy świątynię, która przetrwa tysiące lat. Zbudujmy ją razem.

Zapytacie, kto mógł wygłosić te idiotyczno-patetyczne teksty? Czerwonoarmista do swojej przyjaciółki kołchoźniczki? Faszystowski agitator do tłumu chłopców z hitlerjugend? A może Leszek Młynarz do aktywu młodzieżowego z Sojuszu Lewych Dochodów? Nie! Oto przesłanie redaktora jednego z pism komputerowych. Naj-naj-najzabawniejszy jest fakt, że to pismo (wypełnione samozachwycającymi się redaktorami jak tyłek lisa owsikami) upadło już po dwóch numerach (z braku czytelników). No może nie do końca upadło. Ze stustronicowego miesięcznika zmieniło się w kwartalną broszurkę dodawaną do starych i nędznych gier komputerowych. Łubu dubu, łubu dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu! Niech żyje nam...

Pierścień w Ryju

„Władca Pierścieni: Dwie Wieże" zbiera w części prasy fachowej dość chłodne recenzje. Ale kto by się spodziewał, że Sieć pełna będzie krytycznych (oraz BARDZO krytycznych!) uwag i opinii na temat tego filmu. Co ciekawe, protestują nie tylko wierni fani książki!

Stopklatka (www. stopklatka.pl)

Bez powalenia na kolana. Jedynka wnosiła coś sobą, pokazywała stworzony przez Tolkiena inny świat. „Dwie Wieże" to jedynie ubarwiona efektami specjalnymi (już nie takimi jak jedynka), nudnawa bajeczka na miarę Herkulesa lub Xeny – Wojowniczej Księżniczki... Może chociaż w trójce wysilą się na coś ciekawego. Na razie jest 1: 1, ale do 3 razy sztuka. (Pshemo)

Zarówno „Dwie Wieże", jak i „Drużyna Pierścienia" to jedne z najsłabszych filmów, jakie widziałem. Zaznaczam, że nie czytałem książki. Dziwi mnie bardzo, że nikt nie odważy się tego napisać w żadnej poważnej recenzji. Postacie są słabo zarysowane, jedynie Gollum robi duże wrażenie, ale reszta jest bardzo nierzeczywista. Filmowe kreacje wydają się naiwne – jak z brazylijskiego serialu. Podobnie sama narracja filmu – wątki przewijają się w przypadkowy sposób, całe opowiadanie nuży. Zastanawiam się, co ludzie widzą w tym filmie. Dla mnie jest on po prostu słaby. (NN) (A dla mnie autor tych słów jest po prostu pajacem – Frogger).

Dwie Wieże mnie bardzo mocno rozczarowały. Dla kogoś, kto nie czytał książki, film jest zapewne super. Mnie jednak zupełnie nie podobały się zmiany w stostunku do pierwowzoru, dodawanie nowych sytuacji jest zupełnie niepotrzebne. Reżyser zmienił niektóre wątki, nadał nowe znaczenia (inne!) niż Tolkien, co spowodowało, że stworzył zupełnie nową opowieść! To nie jest prawdziwa historia Tolkiena. (Amstrong)

Gry Online (www. gry-online. pl)

Po obejrzeniu filmu mam bardzo mieszane uczucia. To, co Jackson zrobił z postaciami, nie mieści się w głowie! Na przykład: Theoden jako tchórzliwy staruch, który boi się bitwy... Myślę, że Tolkien przewraca się w grobie. (tomy)

Rozczarowały mnie niektóre efekty specjalne (powtarzam niektóre), zwłaszcza jak Merry i Pippin siedzą na Drzewcu i idą przez las. To po prostu blue box z lat 60. Aż się śmiać chciało... I sceny, kiedy widać, jak Sam i Frodo są komputerowo pomniejszeni (np. gdy Faramir trzyma ich w grocie pod wodospadem). Przy takim budżecie mogli się postarać o lepszych specjalistów. (Robo)

Co mnie wkurzyło do reszty? To, że niektóre sceny były przeamerykanizowane, a szczególnie przed bitwą o Helms Deep. Myślałem, że mnie szlag trafi, jak pokazywali te schorowane dzieci słaniające się na nogach pod ciężarem miecza. O ile pamiętam, wojsko Theodena nie było aż takie marne w porównaniu do orków, a w filmie... to jak chłop walczyłby ze smokiem. (Myziot)

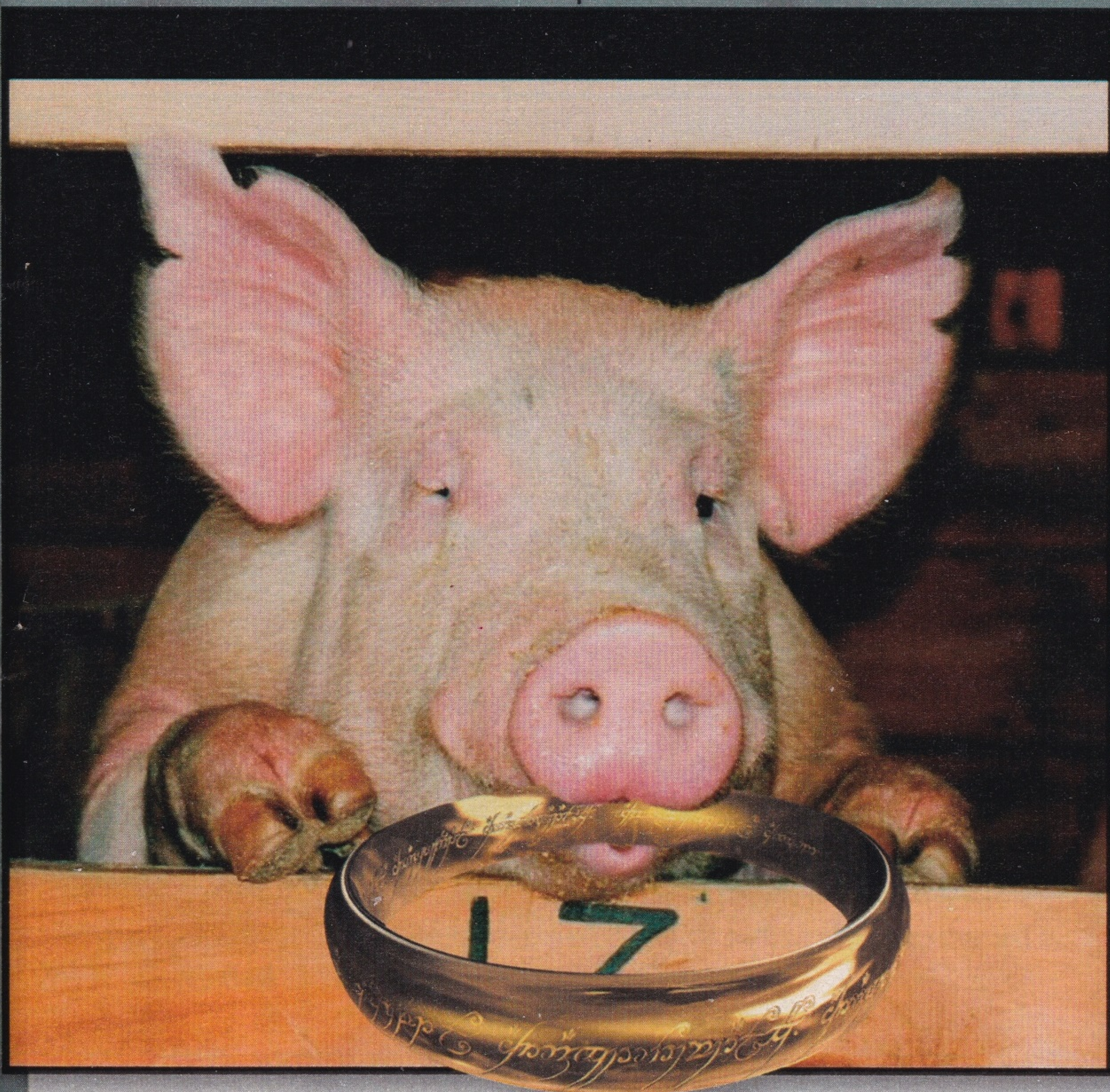
Można naprawdę pęknąć ze śmiechu, widząc kawalerię szarżującą w dół zbocza o nachyleniu około 70 stopni prosto na barykadę z długich włóczni. Melasa to mało powiedziane – oto, co z nich powinno zostać. (Przemodar)

Wirtualna Polska (www.wp.pl)

Boże, jak można stworzyć tak nudny i tandetny film, jakim są „Dwie Wieże". Ten obraz powinien zastąpić karę śmierci. Nie radzę oglądać go nikomu, ponieważ odmóżdża. Moja ocena -10 w skali od 0 do 10. (muzg)

Legolas zjeżdżający na snowboardzie ze schodów? Wargowie wyglądający jak z plasteliny, orkowie przypominający narąbanego Leppera. Nawet tego filmu nie wypalilem, tylko skasowałem zaraz po obejrzeniu. (epilog)

Jako jedna z fanek Tolkiena nie mogę nie powiedzieć tego, co myślę: film jest po prostu karykaturą książki. Obraża pisarza i pomniejsza jego sukces. Świat stworzony przez Tolkiena jest dokładnie dopracowany w każdym szczególe, a film tylko pokrótce opowiada o tym świecie. Jackson zmarnował te 12 lat, które Tolkien poświęcił, by stworzyć Śródziemie. (karolcia rulez)



✪Komerchą zalatuje mi ten film i tyle. Same podniosłe i patetyczne sceny. Zastanawiam się, ile czasu będzie trwała scena w ostatniej części, gdy Frodo będzie musiał wrzucić pierścień do Orodruiny. Pewnie z pół filmu, he, he. (Anonim)

✪Wczoraj byłem w kinie na premierze. Boże, jakie nudy! Przez pierwsze dwie godziny nic się nie dzieje. Osławiona już bitwa na końcu niczym specjalnym się nie wyróżnia, efekty niedopracowane i widać, że komputerowe, tylko Gollum trochę ratuje całość. (Mariusz)

✪Przesadzono chyba trochę z humorem: Gimli w roli Jar-Jar Binksa, Legolas na snowboardzie czy też piszczący od ciosu w krocze ork wyglądają naprawdę niepokojąco. (Snaga)

✪Film jest przegadany, za długi i nudny. Nie bardzo przejąłem się losem bohaterów, nie przestraszyłem się też niczego. To, co ma straszyć, jest dziecinne. Przykład: oko Saurona. Wyobrażałem sobie martwe, żółte oko, które momentalnie zaczyna się nerwowo poruszać, szarpie się agonalnie, pragnąc zdobyć pierścień. Ten neon z filmu Jacksona jest przesadzony, kolorowy, sztuczny, dziecinny – nie robi na mnie wrażenia. Nie wiem, po co komu te żenujące wstawki typu: elf na desce... (Karaczan)

✪To jest najgorsza adaptacja książki i jeden z najnudniejszych filmów w historii. Prezentuje stuprocentowy przerost formy nad treścią. Cały obraz jest patetyczny i podniosły, a bohaterowie są nieskazitelni i przez to sztuczni. Są w filmie gagi, z których nie wiadomo, śmiać się czy płakać (Legolas na desce). A w ogóle film jest NUDNY! Naprawdę, nie rozumiem, o co chodziło jego twórcy. (Spawn)

✪Byliśmy wczoraj na „Władcy Pierścieni: Dwie Wieże". Przed zaśnięciem ratowała nas rola Gimliego, zespół Abba i analiza właściwości mi-thrillu, który zamierzamy wykorzystać do produkcji ram rowerowych! Klęska, porażka, hańba, profanacja, bluźnierstwo, tragedia, kompromitacja, amerykanizacja, a nade wszystko głupie! To słowa, które cisną nam się na usta po projekcji. Peter Jackson powinien przeprosić wszystkich fanatyków Tolkiena za sprowadzenie prozy pełnej subtelności, niedopowiedzeń, ukrytego czaru i głębokich przeżyć do roli B-klasowego kina akcji rycerskiej. Całe szczęście, że na końcu nie łopotała amerykańska flaga, Legolas nie salutował do Gandalfa, a Eowina w ósmym miesiącu ciąży nie stała, trzymając się za brzuch, na tle zachodzącego słońca! Jak powiedziałem: GŁUPIE!!! (Carlos)

✪Spodziewałem się dużo więcej. Film słaby, mający niewiele wspólnego z trylogią. Na plus jedynie sceny bitew, są niezłe, ale porównując do bitwy z Sauronem z pierwszej części, już nie robią takiego wrażenia. Reżyserowi udało się wprowadzić momenty maksymalnie nudne i usypiające. (Cdale)

Ale w Internecie znajdziecie nie tylko krytyczne recenzje! Odzywali się również zagorzali obrońcy filmu, prezentując bogate, rozbudowane i przemyślane opinie:

✪BARDZO FFFFFAAAAAJJJJNNNYYYYY FILM. DUŻO DUŻO DUŻO LEPSZY OD SWOJEJ POPRZEDNICZKI I JESZCZE RAZ SUPER SUPER SUPER SUPER SUPER SUPER SUPER. (Lukop)

✪Gdy ktoś napisze, że film mu się nie podobał, to zaku... z laczka i poprawię z kopyta. (Andrzej S.)

✪Co wy wszyscy chcecie, gościu świetny film zrobił. Fakt faktem, odbiegł od książki z paroma scenami, ale chciał dodać coś nowego, coś od siebie, pokazać, że też może pokazać trochu z innej strony. Ciekawe, jakbyście wy nakręcili? Facet odwalił kawał dobrej roboty, musimy gościowi zaufać. I k*** a mać zostawcie chłopa w spokoju, ja p***e. Se sami nakręćcie film i wtedy pogadamy. (mario)

Kop razem z nami...

Zapraszam wszystkich do korespondencji! Denerwuje was ktoś? Macie ochotę go zbluzgać, zniszczyć, zabić, skopać, zdeptać, rozerwać na strzępy, opluć? Wyrzućcie z siebie swoją złość! Właśnie tu, w dziale Wolno Kopać, jest miejsce dla was! Dla was, którzy jesteście tacy, jak ja. Którzy nienawidzicie Światła i kąpiecie się w Mroku. Dla was, którzy zawsze kibicowaliście lordowi Vaderowi i płakaliście, kiedy wybuchała Gwiazda Śmierci. Dla was, którzy trzymaliście kciuki za Saurona i modliliście się o to, by jego Oko spojrzało w waszą stronę. Dla was, którzy marzyliście o tym, by wielki lord Voldemort wreszcie zdupczył pewnego siebie gnojka w małych pinglach. Niech Mrok będzie z wami!

Konkurs na recenzję filmową „Kiła stulecia"

Często po wyjściu z kina jesteś w bojowym nastroju. Masz ochotę pochlastać załogę kina, dopaść szpule z filmem, polać je benzyną i podpalić, a następnie wsiąść w najbliższy samolot i polecieć do reżysera, by zrobić mu przedziałek siekierą. Na usta zaś cisną ci się słowa, na dźwięk których każdy szewc spłonąłby się ze wstydu... Niniejszym dajemy ci szansę przelania gniewu na papier! Ogłaszamy konkurs na recenzję filmową „Kiła stulecia". Wybierz film (dowolny – nowy lub starszy) i napisz najbardziej zjadliwą, najokrutniejszą recenzję, jaką świat widział! Warunki są tylko trzy: recenzja musi być złośliwa, napisana poprawną i elegancką polszczyzną (nie przyjmiemy wynurzeń w stylu „no i tego, no, do d*** k**** z tym jeb**** filmem!", zaś jej objętość nie może przekraczać 2 Kb (wliczając spacje). Najlepsza recenzja zostanie opublikowana w Fantasy w niniejszym dziale, zaś jej autor otrzyma nagrodę-niespodziankę od redaktora Golluma (pachnący rybami pocałunek!).



Na wasze dzieła czekamy do końca marca 2003. Swoje prace możecie przesyłać do nas zarówno tradycyjną pocztą (preferowane maszynopisy bądź wydruki komputerowe), jak i e-mailem, na adres konkursy@click.pl. W tym drugim przypadku jako temat wiadomości wpiszcie „Konkurs Fantasy", a tekst zapiszcie w formacie *.txt.

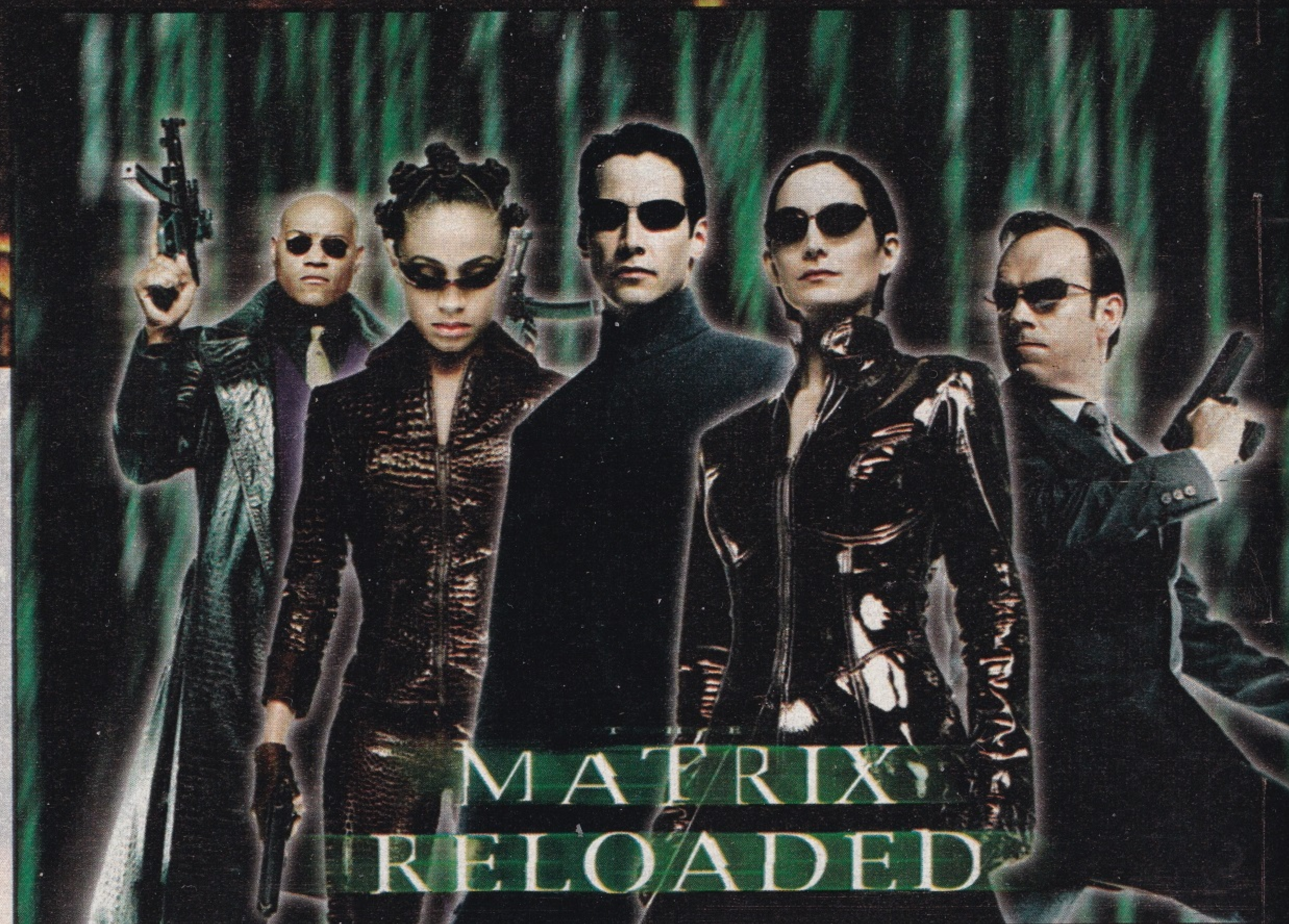
Nasz adres:
Redakcja CLICK!
ul. Motorowa 1
04-035 Warszawa

Na kopercie dopiszci
„Konkurs Fantasy"

Powodzenia!

KONKURS

Matrix



Zapraszamy Was do udziału w konkursie. Poprawne odpowiedzi wysyłajcie SMS na nasz specjalny numer 7164. A oto pytanie:

Za czym miał podążać Neo?

A: białymi myszkami
B: białym rekinem
C: białym królikiem
D: białym światłem

Tym razem wśród osób, które podadzą właściwą odpowiedź, rozlosujemy zestawy gier komputerowych (między innymi MORROWIND i NEVERWINTER NIGHTS oraz książek (między innymi ACHAJA Andrzeja Ziemiańskiego, CAŁA KUPA WIELKICH BRACI Rafała Ziemkiewicza, WEŹMISZ CZARNO KURE Andrzeja Pilipiuka i antologię ZAJDEL 2002.

Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wyślijcie SMS o treści CL.F1.# (zamiast # wpiszcie A, B, C lub D)

Na odpowiedzi czekamy do końca marca 2003
Koszt wysłania SMS wynosi 1,22 zł (z VAT)
Usługa dostępna jest we wszystkich sieciach komórkowych działających w Polsce (Era, Plus GSM, Idea)



Z przyjemnością informujemy, że w konkursie SMS z poprzedniego numeru nagrody wylosowali:

Marzena Pluta z Chrzanowa, Wojciech Wisławski z Warszawy, Marek Pietras z Krakowa, Anna Kaszyńska ze Szczecina, Robert Włodarek z Suwałk, Jan Ściborek z Poznania, Jacek Walewski z Leszna, Jarosław Domagała z Tarnowa, Irena Grabowska z Gdyni, Łukasz Dobrowolski z Bielska-Białej

Każdy ze zwycięzców otrzymał pakiet nagród składający się z gier: Might&Magic IX, Etherlords, Warcraft III ***oraz książek*** *Cała kupa wielkich braci* Ziemkiewicza, *Weźmij czarno kure* Pilipiuka, *Zajdel 2002 – Antologia polskich opowiadań* oraz *Wilcze gniazdo* Komudy.

W następnym numerze (między innymi):

- Schizofreniczne wizje Philipa K. Dicka
- Nowoczesne pole bitwy – broń przyszłości
- Magiczna medycyna dawniej i teraz
- Starożytni Słowianie – demony, bogowie, obyczaje
- Krucjaty – bohaterowie i bandyci

...oraz opowiadania i recenzje (kino, DVD, książki, gry)

Kolejny FANTASY CLICK! już 29 kwietnia 2003

Gothic II

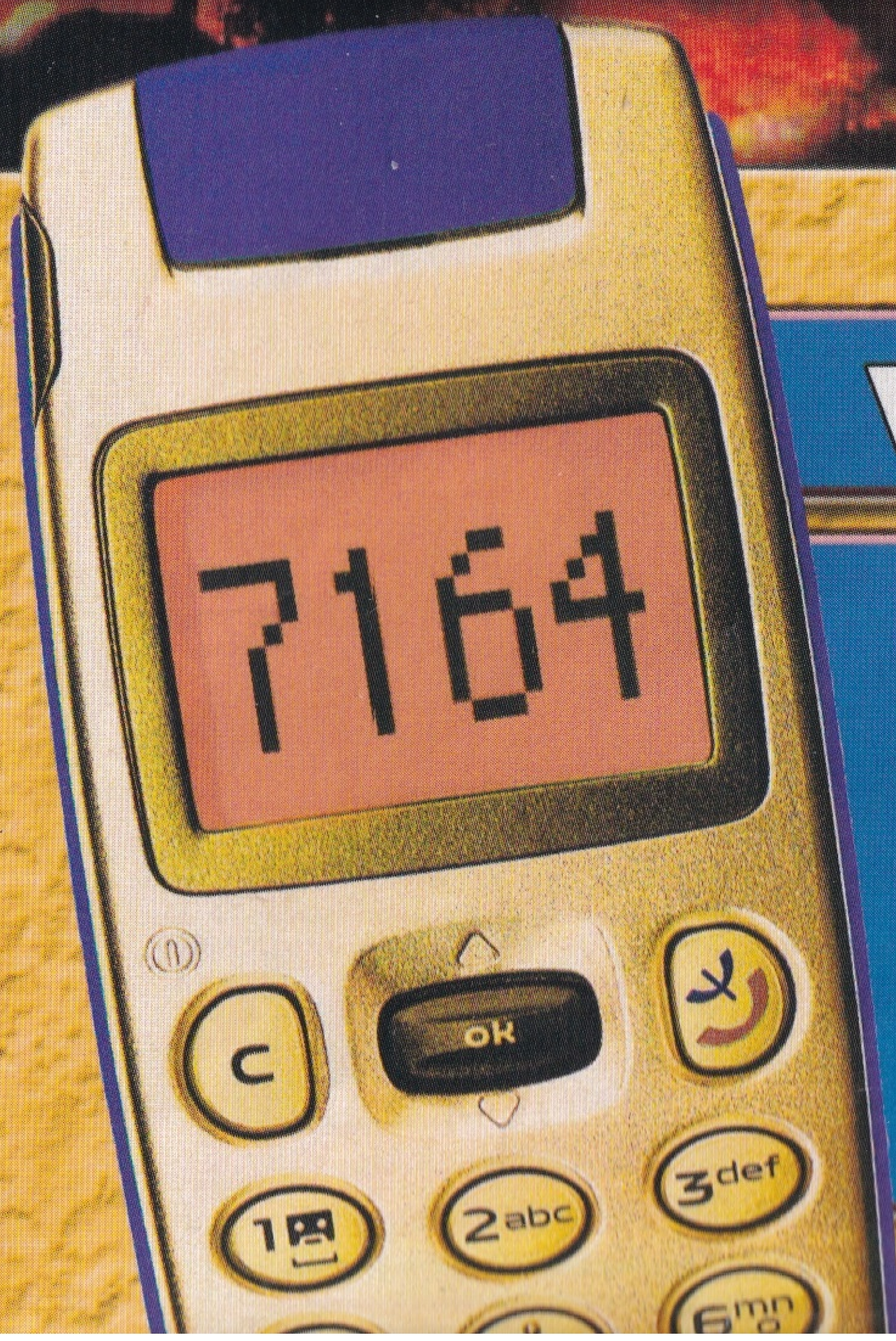
Wygraj z nami 25 gier



A oto pytanie konkursowe:
W pierwszej części gry główny bohater trafia do:

A) pałacu cesarza
B) kolonii karnej
C) ekskluzywnego domu uciech
D) akademii magów

Jeśli znasz prawidłową odpowiedź, jesteś już tylko o krok od szansy na wygraną!



WYŚLIJ SMS I WYGRAJ!



Aby wziąć udział w naszym konkursie, wybierz prawidłową odpowiedź i wyślij SMS'a.

KONKURSOWY NUMER SMS

7164

Koszt wysłania wiadomości wynosi tylko 1,22 zł (z VAT), usługa dostępna jest we wszystkich sieciach komórkowych (Era, Idea, Plus GSM).

JAK WYSŁAĆ ODPOWIEDŹ?


1. Wybierz odpowiedź (a, b, c lub d).
2. Na podany obok numer wyślij wiadomość:

CL.GO.#

gdzie zamiast # wpisz a, b, c lub d.

3. Na odpowiedzi czekamy do końca marca.
4. O wygranej zostaniesz powiadomiony telefonicznie lub poprzez SMS.

W losowaniu nagród biorą udział tylko i wyłącznie zgłoszenia wysyłane SMS'em o treści zgodnej z podanym wzorem. W treść wiadomości nie wpisujcie żadnych innych danych. Nie ma ograniczenia liczby SMS'ów od jednego uczestnika.


Katedra
http://www.katedra.net.pl